



ASSASSIN'S
— CREED —

HERESY
HEREZJA

CHRISTIE GOLDEN

Assassin's Creed® HERESY

CHRISTIE GOLDEN

PRZEKŁAD
MICHAŁ STRĄKOW



Tytuł oryginału
Assassin's Creed® Heresy

First published in the USA by Ubisoft Publishing 2016

First published in Great Britain by Penguin Books and Ubisoft 2016

Penguin Books is part of the Penguin Random House group of companies
whose addresses can be found at global.penguinrandomhouse.com

Copyright © 2017 Ubisoft Entertainment

Assassin's Creed, Ubisoft and the Ubisoft logo are trademarks of
Ubisoft Entertainment in the U.S. and/or other countries.

Przekład

Michał Strąków

Redakcja i korekta

Danuta Porębska, Tomasz Porębski
oraz Pracownia 12 A

Konwersja

Tomasz Brzozowski

Insignis Media, Kraków 2017

ISBN 978-83-65315-49-6



Insignis Media

ul. Lubicz 17D/21–22, 31-503 Kraków

telefon / fax +48 (12) 636 25 19

biuro@insignis.pl, www.insignis.pl

facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

twitter.com/insignis_media (@insignis_media)

instagram.com/insignis_media (@insignis_media)

Snapchat: [insignis_media](#)

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Prolog](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

[O Autorce](#)

Prolog

Wieczorny jesienny chłód przenikał przez cienką koszulę uciekiniera, który przebiegł przez betonowy chodnik i pędził przez wypielęgnowany trawnik urządzonego na dachu ogrodu. *Co mnie podkusiło, żeby pchać się na dach?* – pomyślał ze złością, ale było już za późno, by naprawić ten błąd. – *Wpakowałem się niczym cholerny szczur w pułapkę.*

Mężczyznę ścigali templariusze.

Wiedzieli, dokąd uciekł. Wiedzieli też równie dobrze jak on, że z dachu budynku można było wydostać się jedynie windą albo jedną z dwóch klatek schodowych, z których właśnie wynurzyli się ścigający o zaciętych, nieubłaganych twarzach.

Myśl. Myśl!

Myślenie już nieraz ocaliło mu skórę. Logiczny, przenikliwy, analityczny umysł pozwalał mu wykaraskać się ze wszystkich opresji, jakie z sadystycznym upodobaniem zsyłało na niego życie. Ale tym razem czuł, że logiczne myślenie nie zdoła mu pomóc.

Za jego plecami rozległ się złowróżbny huk wystrzałów. *Drzewa* – podpowiedział błyskawicznie jego racjonalny umysł, ponownie ratując mu życie. Mężczyzna zmienił kierunek ucieczki i pobiegł zakosami, by utrudnić strzelcom celowanie. Poruszając się zygzakami, skierował się w stronę drzew, krzewów i stojących w ogrodzie rzeźb oraz opustoszałych o tej porze budek z lodami i napojami, za którymi można było ukryć się przed gradem kul.

Ale w ten sposób mógł jedynie odwlec nieuchronny koniec.

Zdawał sobie sprawę, do czego zdolni są templariusze. I wiedział, czego od niego chcą. Nie ścigali go po to, by go uwięzić ani wydobyć z niego informacje. Chodziło im wyłącznie o to, by go zabić. I dlatego już wkrótce, lada moment, będzie martwy.

Templariusze byli uzbrojeni, ale on także nie był bezbronny. Posiadał pradawną i nadzwyczaj potężną broń: Miecz Edenu, który na przestrzeni wieków wielokrotnie przechodził z rąk do rąk i należał zarówno do templariuszy, jak i do asasynów. Uciekinier posługiwał się nim już wcześniej, ale teraz miecz był w pochwie zawieszanej na jego plecach. Ciężar broni uspokajał go i dodawał mu otuchy, jednak mężczyzna nie zamierzał po nią sięgać. W tej sytuacji i tak do niczego by mu się nie przydała.

Templariusze pragnęli ujarzmić albo zabić każdego, kto stanie im na drodze. Istniał tylko jeden sposób na to, by uciekinier ocalił życie. Zdawał sobie sprawę, że jeśli mu się uda, będzie to cholerny cud.

Serce tłukło mu się w piersi, płuca płonęły ogniem, a mięśnie osiągnęły granicę wytrzymałości – ostatecznie był tylko człowiekiem, niezależnie od tego, jaki trening przeszedł i jaki kod genetyczny zapisany był w komórkach jego ciała. Mimo zmęczenia biegł jednak dalej, nie zwalniając tempa – nie mógł zwolnić, tak jak nie mógł pozwolić, by logiczne, analityczne, racjonalne myślenie zagłuszyło pierwotny instynkt przetrwania. Nie mógł dopuścić, by jego umysł wziął górę nad ciałem.

Bo przecież to ono wiedziało, co należy zrobić. Wiedziało również, jak tego dokonać.

Nagle tuż obok niego rozpadła się na kawałki rozerwana pociskiem gałąź. Drzazgi zraniły go w twarz, po której spłynęła krew.

Z rąk templariuszy czekała go pewna śmierć. Jeśli jednak zdoła dotrzeć do niskiego kamiennego muru okalającego ogród, założony na dachu londyńskiej siedziby Abstergo Industries, to otworzy się przed nim nikła szansa na przeżycie.

Pod warunkiem że wystarczy mu wiary, by z niej skorzystać.

Nie zawahał się. Kiedy dobiegł do muru, przesadził go jednym susem niczym płotkarz przeskakujący ponad ustawioną na bieżni przeszkodą. Jego długie nogi jeszcze przez moment młóciły powietrze. Wygiął plecy w łuk, rozpostarł szeroko ramiona...

...i poszybował w dół.

1

Światło pochodni tańczyło na kamiennych ścianach komnaty, a groteskowe cienie pełzały po okutych żelazem drewnianych drzwiach oraz po płótnie obrazu przedstawiającego naturalnej wielkości postać najznamienitszego ze wszystkich Wielkich Mistrzów Zakonu Templariuszy. Ubrany w długą białą koszulę oraz ceremonialną szatę z ciężkiego czerwonego materiału postulant podniósł wzrok i przyjrzał się obrazowi; oczy białobrodego mężczyzny wydawały się łagodne, ale poza, w jakiej został uwieczniony na płótnie, wyrażała siłę i zdecydowanie.

Panującą w komnacie ciszę przerwał niski, spokojny głos:

– Jakub de Molay był oficjalnie ostatnim Wielkim Mistrzem Zakonu Rycerzy Świątyni. Został fałszywie oskarżony o herezję przez pozbawionych skrupułów ludzi, którzy za nic mieli dobro ludzkości i kierowali się jedynie własnymi, egoistycznymi pragnieniami. Najlepszy spośród nas przyznał się do najgorszych zbrodni; zbrodni, których nie popełnił. Wrogowie de Molaya sądzili, że jego śmierć oznacza koniec całego Zakonu, i to przekonanie utrzymywało się przez kolejne stulecia. Ale my przetrwaliśmy.

Mistrz Zakonu podszedł do postulanta i stanął u jego boku.

– Jakub de Molay umarł w męczarniach, by Zakon mógł przetrwać. Od tamtej pory nasz Zakon działał ostrożnie i potajemnie. O jego istnieniu wiedzieli jedynie ci, którzy gotowi byli oddać za niego życie.

Postulant spojrzął w ciemne oczy Mistrza.

– Bądź skromny jak pył i niewzruszony jak głaz – powiedział Mistrz, po czym dłonią obleczoną w rękawiczkę wskazał na marmurową podłogę.

Postulant położył się na marmurowych płytach, twarz oparł o zimny kamień, a ręce wyciągnął na boki, przyjmując kształt krzyża.

– Tej nocy towarzyszyć ci będzie jedynie Ojciec Zrozumienia. Niech uwolni cię od wszystkiego, co nie służy umocnieniu Zakonu, i obdarzy niezachwianą pewnością. Niech cię oczyści i napełni zdecydowaniem. Nie śpij i nie śnij na jawie. Przyjdziemy po ciebie o świcie. Jeśli uznamy, że jesteś godzien, zostaniesz wywyższony. Jeśli okażesz się niegodny, odwrócimy się od ciebie. Niech prowadzi cię Ojciec Zrozumienia.

Postulant usłyszał cichy odgłos oddalających się kroków, a potem skrzypnięcie zawiasów, trzask zamykanych drzwi i szcęk przekręcanego w zamku klucza.

Został sam z poczuciem, że może opuścić to pomieszczenie w jeden tylko sposób – jako członek Wewnętrznego Sanktuarium Zakonu.

Jeśli zawiedzie... Nie. Nie zamierzał nawet rozważać takiej ewentualności.

Nie obawiał się, że zmorzy go sen. Płonące pochodnie oświetlały komnatę, ale nie były w stanie jej ogrzać. Zimny marmur wysysał chciwie ciepło z jego ciała; nawet dwie warstwy ceremonialnej odzieży nie zapewniały mu skutecznej ochrony przed chłodem. Czas płynął powoli, obojętny na ludzką niewygodę. Leżącemu krzyżem mężczyźnie wydawało się, że minęła cała wieczność, zanim wreszcie usłyszał upragniony dźwięk: zgrzyt klucza w zamku. Po chwili ktoś chwycił go pod ramiona i podniósł do góry. Postulant zagryzł wargi, by stłumić bolesne syknięcie; godziny spędzone na niemiłosiernie zimnej podłodze dały mu się we znaki.

Dwaj pomocnicy, którzy podźwignęli go z podłogi, opuścili komnatę, a on podążył za nimi. Szli w milczeniu po kamiennej posadzce, która, w odróżnieniu od marmurowej podłogi komnaty, wykonana została z kawałków łupku. Po pewnym czasie dotarli do łukowo sklepionej bramy z cegły i kamienia, oskrzydłonej przez masywne pnie drzew, które pięły się wysoko i niknęły w ciemnościach ponad kręgiem bladego światła pełgających pochodni.

Za bramą czekała na postulanta grupka odzianych w długie szaty, zakapturzonych postaci. Chociaż wszystkie trzymały w dłoniach zapalone woskowe świece, ich twarze spowijał mrok, w którym połyskiwały jedynie odbijające blask świec oczy.

– Ludzkie ciało ma swoje serce – rozpoczął monotonną recytację Mistrz Zakonu. – Ziemia ma swoje jądro. Każda rzecz ma swój ośrodek, z którego czerpie najgłębszą siłę. Źródłem siły Zakonu Templariuszy jest Wewnętrzne Sanktuarium. Tworzy ją dziewięcioro wybranych, po trzykroć troje. Jeśli okażesz się godny, dołączysz do Świątyni jako ten dziewiąty. A teraz mów: jakich trzech prawd dotyczących Zakonu nauczyłeś się podczas swego czuwania?

Pytanie zaskoczyło postulanta. Przez moment miał w głowie pustkę, ale w końcu zebrał myśli i odpowiedział.

– Nauczyłem się, że prawdziwa wiedza sływa wyłącznie na tych, którzy naprawdę jej pragną. Nauczyłem się, że władza powinna należeć do tych, którzy potrafią wznieść się ponad zgiełk i chaos, bo tylko oni są w stanie dostrzec prawidłowości świata. Nauczyłem się, że mądrość polega na sprawowaniu rządów opartych na wiedzy i rozumie.

Kilkoro zgromadzonych w milczeniu wymieniło spojrzenia. Głos ponownie zabrał Wielki Mistrz.

– Niewielu jest członków Zakonu Templariuszy, a jeszcze mniej liczni są ci, którzy zostali wybrani, by zasiadać w jego Wewnętrznym Sanktuarium. Złożyłeś już ślubowanie, że będziesz przestrzegał reguł naszego Zakonu i wartości, którymi się kierujemy. Czy jesteś gotów uczynić kolejny krok na drodze wtajemniczenia i dołączyć do garstki wybrańców, którzy uczynią ten świat takim, jaki być powinien? Czy przysięgasz zachować w tajemnicy wszystko, o czym tu usłyszysz, nie taić niczego przed członkami Wewnętrznego Sanktuarium i nigdy nie sprzeniewierzyć się ideałom templariuszy?

– Niechaj dopomoże mi w tym Ojciec Zrozumienia. Przysięgam – odparł postulant.

Mistrz milczał przez dłuższą chwilę. Wreszcie skinął głową. Pozostali członkowie

kręgu wewnętrznego wtajemniczenia unieśli jednocześnie swoje świece, tak aby postulant mógł zobaczyć ich twarze.

– Odtąd jesteś członkiem Wewnętrznego Sanktuarium.

Mistrz podszedł do postulanta, by wpiąć w jego szatę długą srebrną szpilę. Przypominała ona miniaturowy miecz z rękojeścią zwieńczoną równoramiennym krzyżem, pośrodku którego umieszczono rubin. Była czymś więcej niż tylko ozdobą – jej ostry koniec zanurzono wcześniej w toksynie. Jeśli jej posiadacz został zaatakowany, wystarczyło wbić ją w ciało napastnika... lub we własne, gdyby zaszła taka konieczność. Kiedy Mistrz umieścił ozdobną szpilkę na szacie postulanta, templariusze zdmuchnęli swoje świece.

– Odwróć się i powitaj swoich braci i siostry, Simonie Hathawayu.

Pochodnie, których płomienie okazały się jedynie doskonałymi holograficznymi iluzjami ognia, „zgasły” momentalnie, po czym zniknęły we wnękach. W pomieszczeniu zapaliły się lampy; początkowo jarzyły się słabym, przytłumionym blaskiem, by oczy zebranych mogły stopniowo przyzwyczaić się do jasności. Na ścianie po lewej przesunęła się z cichym szmerem kamienna płyta, zza której wyłoniła się mapa świata, upstrzona migoczącymi, kolorowymi lampkami. Każdy kolor odpowiadał określone mu obszarowi działalności Abstergo Industries – oraz Zakonu Templariuszy.

Ceremonia dobiegła końca i templariusze zsunęli z głów kaptury i zdjęli ceremonialne stroje. Simon przesunął dłonią po grubej tkaninie swojej szaty. Była ona dziełem wyłącznie ludzkich rąk – każda czynność, począwszy od strzyżenia owiec, przez gręplowanie i przędzenie wełny, aż po barwienie gotowej tkaniny, została wykonana ręcznie, bez pomocy maszyn. Do tego jeszcze te misterne hafty... Simon pokręcił głową, podziwiając ogrom pracy, jaki włożono w to, by szaty zakładane wyłącznie z okazji ceremonii przyjmowania nowych członków Wewnętrznego Sanktuarium jak najbardziej przypominały stroje noszone przez templariuszy przed wiekami. Z wykształcenia był historykiem i dlatego bardziej niż ktokolwiek inny potrafił docenić wysiłek na rzecz zachowania historycznych realiów.

W końcu niechętnie zdjął ceremonialne szaty i zastąpił je marynarką, po czym zwrócił się ku swoim nowym konfratrom. Znał ich wszystkich, jednych lepiej, innych gorzej. Wiedział, że Laetitia England zajmuje jedno z kierowniczych stanowisk w Dziale Operacji. Na przekór swojemu nazwisku, Laetitia była Amerykanką; pracowała w biurze Abstergo w Filadelfii. Mitsuko Nakamura, dyrektorka Działu Badań Rodowodu i Pozyskiwania Zasobów, urzędowała na przemian w Filadelfii oraz w ośrodku Abstergo w Rzymie. Simon serdecznie zazdrościł jej posady. W Abstergo „pozyskiwanie zasobów” oznaczało coś zupełnie odmiennego niż w innych korporacjach. Polegało na pozyskiwaniu obiektów do badań prowadzonych przy użyciu Animusa – szczytowego osiągnięcia technologii, z którym Simon nie miał jeszcze okazji bliżej się zapoznać.

Kolejni dwaj członkowie Wewnętrznego Sanktuarium, czyli Alvaro Gramatica, na pozór jowialny szef Działu Nowoczesnych Technologii, a także porywczy Juhani Otso Berg, zajęci byli obowiązkami w innym zakątku świata i nie mogli być fizycznie

obecni na ceremonii. Uczestniczyli więc w niej zdalnie, spoglądając na zebranych z dwóch dużych, wiszących na ścianach ekranów.

Gramatica i Berg byli współpracownikami Isabelle Ardant, byłej przełożonej Simona, a zarazem jego poprzedniczki w Wewnętrznym Sanktuarium. Nieco ponad rok wcześniej Isabelle zginęła z ręki asasyna. Simon nie pałał do niej nadmierną sympatią; prawdę powiedziawszy, nie pałał nadmierną sympatią do nikogo. Miał jednak poczucie, że jego koleżanka ze studenckiej ławy – Isabelle i on studiowali razem w Cambridge – nie zasłużyła sobie na to, by zginąć od ciosu w plecy zadanego przez mordercę zbyt tchórzliwego, by spojrzeć swojej ofierze w twarz. Tej nocy, podczas której zabito Isabelle, za jej ochronę odpowiedzialny był Berg. Simon miał mu za złe, że nie powstrzymał zamachowca.

W uroczystości uczestniczyli również David Kilkerman, następca zmarłego i nieszczęśliwie opłakiwanego (w każdym razie na pewno nie przez Simona) Warrena Vidica na stanowisku szefa Projektu Animus, a także Alfred Stearns. Kilkerman był wysokim, tęgim mężczyzną, który często wybuchał tubalnym śmiechem. Otyłym ludziom chętnie przypisuje się łagodny charakter, ale Kilkerman z pewnością do łagodnych nie należał. Alfred Stearns, najstarszy z dziewięciu członków Sanktuarium, kierował przeprowadzoną przez templariuszy akcją pod kryptonimem „Wielka Czystka”, która na przełomie wieków doprowadziła do niemal zupełnego wyeliminowania zagrożenia ze strony Bractwa Asasynów. Jakiś czas po tamtym sukcesie przeszedł na emeryturę, przekazawszy zarządzanie działem operacyjnym Laetitii England; w dalszym ciągu pozostawał jednak członkiem Wewnętrznego Sanktuarium. Simon wymienił z nim uprzejmy uścisk dłoni. Stearns był łysiejącym mężczyzną po osiemdziesiątce, z krótko przyciętą białą brodą, ale Simon odniósł wrażenie, że jest to jeden z najmniejbezpiecznych ludzi, z jakimi kiedykolwiek się zetknął.

Agneta Reider pełniła funkcję dyrektora Grupy Finansowej Abstergo. Podobnie jak Stearnsa, ją także Simon spotkał osobiście po raz pierwszy. Wydała mu się spokojna i uprzejma – dokładnie taka, jaka powinna być osoba stojąca na czele tak ważnej gałęzi korporacji Abstergo.

Rzecz jasna, w ceremonii wziął udział również Alan Rikkin, dyrektor generalny Abstergo Industries i najważniejszy ze wszystkich znanych Simonowi templariuszy. A przynajmniej tak się Simonowi wydawało. Jeśli chodziło o członków Zakonu, nigdy nie było się do końca pewnym, z kim tak naprawdę ma się do czynienia.

Rikkin był nie tylko szefem, ale także twarzą Abstergo Industries. Simon nie potrafił wskazać nikogo, kto lepiej od niego nadawałby się do tej roli. Za każdym razem gdy nieprzeciętnie inteligentny i zawsze opanowany Rikkin zabierał głos, cały świat słuchał go z uwagą.

Drzwi otworzyły się i do sali wjechały dwa wózki z zastawą. Członkowie Wewnętrznego Sanktuarium zasiedli do obfitego angielskiego śniadania. Nastrój tajemniczości i atmosfera zamierzchłych czasów ustąpiły miejsca towarzyskim pogawędkom, którym towarzyszył brzęk filiżanek, talerzyków i sztućców. Można było odnieść wrażenie, że hołdująca dawnym tradycjom ceremonia odbyła się wiele

wieków temu, a nie przed kilkoma chwilami.

– Jak ci się podoba twoje nowe biuro, Hathaway? – zagadnęła Mitsuko Nakamura.

– Jeszcze się w nim nie urządziłem – odparł Simon. Sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął z niej okulary w złotych oprawkach, po czym umieścił je na swoim orlim nosie. – Pomyślałem, że rozsądniej będzie poczekać i upewnić się, czy zostaną przyjęte do Sanktuarium. Nie chciałem dwa razy się pakować.

Zebrani parsknęli śmiechem.

– Jesteś bardzo praktyczny – stwierdził Alvaro Gramatica.

Simon spojrzał na jego przesadnie wesołą twarz widoczną na ekranie. Isabelle nie znosiła Gramatiki i Simon musiał przyznać jej rację; on także czuł do niego wyjątkową antypatię. Teraz, kiedy został kierownikiem Działu Badań Historycznych, będzie zmuszony znacznie częściej oglądać zadowolony, niemal szyderczy uśmiezek Gramatiki. Cóż za radość.

– Praktyczność to cecha, na którą chciałbym położyć nacisk w moim departamencie – stwierdził grzecznie, maczając kawałek perfekcyjnie wypieczonej grzanki w żółtku jajka.

– Przeglądaliśmy notatki Isabelle i zauważyliśmy, że wielokrotnie pojawia się w nich twoje nazwisko – powiedział Rikkin. – Najwyraźniej zrobiłeś na niej spore wrażenie, a to mało komu się udawało.

– Dziękuję panu. Pochlebia mi to. Isabelle była świetna w tym, co robiła. Ale ja postaram się służyć Zakonowi na swój własny sposób.

– Zabrzmiało to tak, jakbyś nie pochwalał stylu, w jaki Isabelle kierowała swoim działem.

Jak przystało na tradycyjne angielskie śniadanie, niemal wszyscy, nie wyłączając gości z Ameryki, popijali herbatę; Simon zauważył jednak, że Rikkin jako jedyny napełnił swoją filiżankę kawą. Teraz mieszał ją srebrną łyżeczką, nie spuszczać przy tym wzroku z Hathaway.

Simon z cichym brzękiem odstawił filiżankę na spodek.

– Szanuję dokonania Isabelle – zapewnił Rikkina. – Ale chciałbym wnieść własne, świeże spojrzenie.

– Mów dalej.

No to zaczynamy – pomyślał Simon.

– Po pierwsze... jestem historykiem. Moją mocną stroną jest historia, to na niej znam się najlepiej. Zadaniem działu, którym mam pokierować, powinno być badanie i analizowanie historii.

– Te badania mają swój cel. Mają służyć realizacji celów Zakonu – wtrąciła Laetitia.

– Słuszna uwaga. Jestem przekonany, że powrót mojego działu do korzeni przyniesie Zakonowi same korzyści. Już wam to wyjaśniam.

Simon odsunął krzesło, po czym podszedł do jednej ze ścian i nacisnął umieszczony na niej przycisk. Ściana rozsunęła się i oczom zebranych ukazała się biała tablica oraz kilka kolorowych flamastrów.

– Simonie, jesteś jedyną znaną mi osobą, która podczas prezentacji wciąż korzysta

z białej tablicy – jęknął Kilkerman.

– Bądź cicho, Davidzie, bo inaczej poproszę o tablicę szkolną, a tobie przypadnie w udziale moczenie gąbki – odparował Hathaway.

Jego dowcipna riposta nagrodzona została stłumionymi chichotami słuchaczy. Najgłośniej roześmiał się Kilkerman. Simon napisał na tablicy DZIAŁ BADAŃ HISTORYCZNYCH, po czym cofnął się o krok i przyjrzawszy się napisowi krytycznym wzrokiem, poprawił literę T w ostatnim wyrazie.

– No dobrze, zaczynajmy. Naszym najlepszym narzędziem jest Animus. – Simon skinął głową w kierunku Kilkermana. Aktualny szef projektu Animus zajęty był smarowaniem grzanki marmoladą. – Wszyscy wiemy, do czego służy; umożliwia dostęp do genetycznych wspomnień obiektu, pozwala namierzyć konkretnych przodków i tak dalej, i tak dalej. O ile mi wiadomo, gotowy jest już zupełnie nowy model Animusa. Mam rację, Davidzie?

– Tak jest. – Wywołany do odpowiedzi Kilkerman wyprostował się. – Model 4.35. Zdołaliśmy niemal całkowicie wyeliminować skutki uboczne w rodzaju nudności i bólów głowy. Poza tym udało nam się sprawić, by sesja w Animusie stała się dla obiektu jeszcze bardziej integralnym doświadczeniem.

– To bardzo ekscytująca wiadomość, także dla mnie osobiście – powiedział Simon. – Za moment sami zrozumiecie dlaczego.

Odwrócił się do tablicy i jaskrawoczerwonym flamastrem napisał na niej: ANIMUS. Pod spodem narysował dwie ukośne strzałki; pierwsza skierowana była w lewo, druga w prawo.

– Dotychczas wykorzystywaliśmy Animusa przede wszystkim do zbierania informacji na temat miejsca ukrycia Fragmentów Edenu.

Templariusze mieli jeden zasadniczy cel – pragnęli kierować rozwojem ludzkości. Aby go osiągnąć, korzystali z rozmaitych narzędzi. Do najważniejszych należały Fragmenty Edenu: relikty dawnej cywilizacji, znanej jako Isu, Prekursorzy lub też po prostu jako Pierwsza Cywilizacja. Była ona znacznie starsza od cywilizacji ludzkiej, co więcej, to właśnie przedstawiciele Pierwszej Cywilizacji stworzyli rasę ludzką i przez pewien czas wykorzystywali ludzi w charakterze niewolników. Relikty technologii Prekursorów mogły obdarzyć swoich posiadaczy różnymi wyjątkowymi zdolnościami, pozwalając im kontrolować innych. Wartość tych przedmiotów wykraczała poza tradycyjne kryteria w rodzaju wartości „historycznej” czy „ekonomicznej”. Templariusze mogli poszczycić się największą na świecie kolekcją Fragmentów Edenu, jednak nawet oni posiadali ich stosunkowo niewiele. W dodatku niektóre z reliktyw pozostających w rękach Zakonu były uszkodzone lub też z jakichś innych powodów nie nadawały się do użytku.

– Kiedy dowiadaliśmy się o istnieniu jakiegoś Fragmentu Edenu, na przykład ze wzmianki w starym manuskrypcie – ciągnął dalej Simon – albo kiedy docierały do nas informacje o osobie mającej związek z reliktem, natychmiast rozpoczynaliśmy poszukiwania.

Simon pod strzałką skierowaną w lewo napisał: INFORMACJA. Pod spodem dopisał: 1. FRAGMENTY EDENU, a jeszcze niżej: a) LOKALIZACJA.

– Jedną z metod tych poszukiwań była analiza materiału genetycznego, pozyskiwanego od klientów oraz lojalnych pracowników Abstergo Industries.

Na samym dole Simon dopisał: i. KLIENCI I PRACOWNICY.

– Drugim obszarem naszego zainteresowania było gromadzenie informacji na temat naszych odwiecznych wrogów, asasyków. Zależało nam na tym samym, co w przypadku Fragmentów Edenu, czyli na wytropieniu miejsca ich pobytu.

Simon zapisał na tablicy: 2. ASASYNI, a pod spodem, tak jak poprzednio, dopisał: a) LOKALIZACJA oraz: i. KLIENCI I PRACOWNICY.

– Wszystko to pięknie. Zdobyte przez nas informacje pozwoliły poszerzyć wpływ Zakonu oraz poprawić wyniki finansowe naszej firmy.

– Czuję, że zaraz usłyszymy jakieś „ale” – stwierdziła Reider.

– Mam nadzieję, że Hathaway nie zamierza zasugerować, żebyśmy zrezygnowali ze zabierania tych informacji? – Ton głosu, jakim Laetita England zadała to pytanie, był zwodniczo spokojny.

– W żadnym wypadku – zapewnił ją Simon. – Jestem jednak przekonany, że Animus może stać się dla Zakonu jeszcze bardziej użyteczny. Możemy wykorzystać go w sposób, w jaki dotąd nie próbowaliśmy. Moim zdaniem to nowe podejście przyniesie nam z czasem równie wielkie korzyści jak zdobywanie Fragmentów Edenu.

Simon ponownie odwrócił się w stronę tablicy i pod drugą ze strzałek napisał: WIEDZA.

– Może wam się wydawać, że informacja jest wiedzą. Ale żeby dane stały się użyteczne, potrzebna jest znajomość kontekstu. Na przykład ktoś mógłby powiedzieć, że istnieje pewne miejsce, w którym znajdują się ziemia, kamienie, woda oraz drewno. Jednak dopiero kiedy uświadomimy sobie, że ta woda to ocean, ziemia i kamienie to skaliste wybrzeże, a drewno to elementy omasztowania statku, informacja zostanie osadzona w odpowiednim kontekście. Surowe dane staną się dla nas użyteczne i na ich podstawie wywnioskujemy, że prawdopodobnie mowa jest o miejscu, w którym spoczywają wyrzucone przez morze szczątki statku.

– Jestem bardzo zapracowanym człowiekiem, Simonie – odezwał się Rikkin. – Jeśli nie przejdziesz szybko do rzeczy, to twój statek prawdopodobnie pójdzie na dno, zanim zdąży wyruszyć w dziewiczy rejs.

Simon poczuł, że jego uszy robią się gorące; musiał przyznać, że użyta przez Rikkina metafora była całkiem zgrabna.

– Chodzi mi o to, że potrafimy wykorzystywać nowoczesne technologie i dysponujemy komputerami, które są w stanie rozwiązywać podobne zagadki. Ale powinniśmy docenić także znaczenie czynnika ludzkiego. Za chwilę do tego wrócę. Kiedy już zaczniemy wykorzystywać Animusa nie tylko do zbierania danych i gromadzenia informacji, ale także do zdobywania wiedzy, ze wszystkimi jej subtelnościami, to otworzą się przed nami zupełnie nowe możliwości.

Kolejny raz podszedł do tablicy i pod słowem WIEDZA napisał: FRAGMENTY EDENU.

– Dzięki informacjom wiemy co, i wiemy gdzie. Możemy zidentyfikować

i odszukać artefakt. Ale dopiero wiedza na temat artefaktu pozwoli nam zrozumieć, jakie są jego właściwości, jak wykorzystywano go w przeszłości oraz... jak go naprawić.

Simon pogrubiał litery w trzech ostatnich słowach. Pozostali członkowie Wewnętrznego Sanktuarium wpatrywali się w tablicę – niektórzy z powątpiewaniem, inni z entuzjazmem, jeszcze inni z nieskrywaną niechęcią. Simonowi udało się przykuć uwagę słuchaczy i zamierzał to wykorzystać.

– Zastanówmy się teraz, w jaki sposób wiedza może nam pomóc w walce z asasynami. Dzięki niej poznamy nie tylko odpowiedź na pytanie o to, kto należał do Bractwa w określonym czasie oraz gdzie dzisiaj szukać jego członków. Dowiemy się także, kim oni są. Zrozumiemy, co sobą reprezentują. Dowiemy się, co jest ważne dla nich i dla ich Bractwa. Prześledzimy, jak zmieniały się ich systemy wartości na przestrzeni wieków. Nauczymy się nimi manipulować. Poznamy najskuteczniejsze sposoby na to, by ich złamać. Kiedy wreszcie zaczniemy doceniać wiedzę, a nie tylko surowe dane i suche informacje, to kto wie, co uda nam się odkryć. Tak naprawdę sami nie wiemy, czego jeszcze nie wiemy. Jak widzicie, możliwości są nieograniczone.

Simon cofnął się o krok i przyjrzał się zapiskom na tablicy.

– Oczywiście te cele pozostaną dla nas pierwszoplanowe – powiedział i zakreślił flamastrem słowo INFORMACJA oraz widniejące pod nim dopiski. – Ale kiedy już zrobimy pierwszy krok i zmienimy nasze podejście do zastosowania Animusa, będziemy mogli wykorzystać go do rozpoznawania ukrytych prawidłowości. Będziemy w stanie dostrzec powtarzające się wzorce. Odkryjemy na nowo dawno zapomniane teorie, idee i wynalazki. Raz na zawsze rozwikłamy wielowiekowe tajemnice. Poznamy prawdy ukryte za mitami, legendami i ludowymi podaniami. To wszystko, a nawet jeszcze więcej, stanie się możliwe, jeśli tylko poszerzymy zastosowanie Animusa i otworzymy nasze umysły.

– Nasze umysły są już wystarczająco otwarte – odezwał się Kilkerman, który siedział z dłońmi splecionymi na pękатыm brzuchu. Z jego oczu zniknęły wesołe iskielki. – Analizujemy uważnie wszystkie informacje, które udaje nam się zdobyć. Możesz mi wierzyć.

– Wierzę. Chodzi o to, że nieznacznie większym kosztem możemy osiągnąć znacznie lepsze rezultaty.

– Piętnaście lat temu prawie unicestwiliśmy naszych wrogów. I nie było nam do tego potrzebne twoje romantyczne, sentymentalne podejście – oznajmił Stearns.

Pobrzmiwiająca w jego głosie pogarda sprawiła, że w całej sali powiało nagle chłodem.

– To prawda. Ale od tamtej pory o wiele trudniej jest nam wpaść na trop asasynów. Nasi wrogowie stali się sprytniejsi, bardziej kreatywni. My również musimy tacy być, jeśli chcemy ich powstrzymać.

– To, o czym mówisz, może wymagać czasu. A czas jest cenny – stwierdził z naciskiem Berg.

– Masz rację – przytaknął Simon. – I właśnie dlatego powinniśmy rozsądnie nim

gospodarować. Obecnie trwonimy go na poszukiwanie kolejnych Fragmentów Edenu, chociaż mamy już w swoich zbiorach kilka artefaktów, które są uszkodzone, a także kilka takich, których działania nie rozumiemy. Musimy zacząć korzystać z Animusa bardziej precyzyjnie i zarazem w szerszym zakresie. Powinniśmy skoncentrować się na poszukiwaniu osób, których genotyp składa się w znacznej części z DNA Prekursorów i...

– Przecież to właśnie robimy – przerwał mu Alvaro Gramatica.

– Owszem, za pośrednictwem Abstergo Entertainment i działu kierowanego przez doktor Nakamurę – dodał Simon. – Zdajemy się na ludzi, którzy nie są templariuszami i sami nie wiedzą, czego dokładnie szukają. O ile bardziej efektywna byłaby godzina pracy Animusa, gdyby w sesji wzięło udział któreś z nas? Nasze DNA zawiera ogromne pokłady wiedzy, które wciąż pozostają niewykorzystane.

– Jedna godzina spędzona przez kogoś z nas w Animusie mogłaby przynieść rozwiązanie problemów, z których istnienia nie zdajemy sobie nawet sprawy – kontynuował Simon. – Prócz praktycznych korzyści zdobylibyśmy wiedzę, która jest bezcenna sama w sobie.

– Mówisz jak rasowy historyk. – W ustach Berga zabrzmiało to jak obelga.

Simon zachnął się mimowolnie.

– Udowodnię wam, że mam słuszość – powiedział i natychmiast pożałował swoich słów, które zawisły w powietrzu niczym zerwane z uwięzi balony.

Skoro powiedziało się A, to trzeba powiedzieć i B – pomyślał i wziął głęboki oddech.

– Tak jak każdy z nas znam dobrze swój rodowód i wiem, że jeden z moich przodków walczył w armii Joanny d'Arc. Uważa się, że w posiadaniu Joanny znajdował się jeden z Mieczów Edenu... W naszym spisie figuruje on jako Fragment Edenu numer 25. Jestem zdania, że mógł to być ten sam miecz, który wcześniej należał do Jakuba de Molay.

– I który teraz znajduje się w moim gabinecie – dodał cichym, niskim głosem Rikkin. – Z historią tego miecza wiąże się wiele niewiadomych. Pewne jest tylko to, że należał do de Molaya. W czasie Wielkiej Rewolucji Francuskiej odnalazł go Wielki Mistrz naszego Zakonu François-Thomas Germain. Następnie miecz wpadł w ręce zabójcy Germaina, asasyna nazwiskiem Arno Dorian.

Simon skinął głową.

– Chciałbym spędzić nieco czasu w Animusie. Zamierzam uzyskać potwierdzenie mojej tezy, że jest to ten sam miecz, który został skatalogowany jako Fragment Edenu numer 25.

Rikkin pochylił się i oparł łokcie na stole. Jedną dłonią podpierał brodę, w drugiej trzymał filiżankę ze stygnącą kawą.

– Miecz de Molaya uległ uszkodzeniu, kiedy znajdował się w posiadaniu Germaina – przypomniał. – Nie wiemy, jakie właściwości posiadał, ale wszystko wskazuje na to, że bezpowrotnie je utracił.

– Powtórzę raz jeszcze: uważam, że z moją wiedzą historyczną będę w stanie ustalić, jak można go naprawić, pod warunkiem że będę mógł usiąść w fotelu

Animusa i zobaczyć na własne oczy, w jaki sposób używano miecza.

Na ustach Rikkina pojawił się cień uśmiechu.

– W porządku, Hathaway – powiedział. – Przeprowadzimy test. Zgadzam się, żebyś poszedł tym tropem i przekonał się, dokąd cię doprowadzi. Jeśli za tydzień przedstawiś mi konkretne rezultaty eksperymentu, zaakceptuję nowy kierunek badań twojego działu i przyznam wam odpowiednie fundusze.

Simon poczuł, że zamiera w nim serce. *Za tydzień?* Rikkin uśmiechnął się nieco szerzej, tak jakby potrafił czytać w myślach świeżo upieczonego członka Wewnętrznego Sanktuarium.

– Zgoda – oświadczył po chwili Simon i wyprostował ramiona.

– Doskonale. – Rikkin odłożył na stół serwetkę, którą trzymał na kolanach, po czym wstał. – W takim razie lepiej zabieraj się do roboty.

Być może istniały bardziej obcesowe sposoby na zakończenie spotkania, ale w tym momencie żaden z nich nie przychodził Simonowi do głowy.

– I jeszcze jedno.

– Tak, proszę pana?

Rikkin i Kilkerman wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– To już nie jest „fotel” – powiedział Rikkin.

– Słucham?

– Wkrótce się przekonasz.

Simon znał dobrze gabinet Isabelle, ale teraz, gdy sam został jego gospodarzem, czuł się tu inaczej niż wcześniej.

Trzymając oburącz ogromne pudło z książkami, przystanął na progu i rozejrzał się po swoim nowym biurze. Większą część ściany po lewej zajmowało okazałych rozmiarów okno, za którym rozciągał się widok na London Eye, Big Bena oraz Pałac Westminsterski, gdzie obradował brytyjski parlament. Drugie duże okno znajdowało się po prawej, bliżej biurka Isabelle, które teraz było biurkiem Simona. Przez okna wlewało się jasne światło, które wypełniało całe pomieszczenie. Na wyposażenie gabinetu składały się między innymi przepastne skórzane fotele, w których można było wygodnie umościć się z książką, oraz masywne regały z setkami grubych tomów. W powietrzu unosiła się intensywna woń starego papieru i skórzanych okładek; odurzający zapach przeszłości.

Simon minął fotele i podszedł do biurka; gruby dywan w kolorze głębokiej czerwieni tłumił odgłosy kroków. Simon postawił pudło na blacie. Isabelle nie poczyniła zbyt wielu wysiłków, by nadać gabinetowi osobisty charakter; Simon zauważył jednak na półkach kilka pustych miejsc, z których najwyraźniej usunięto przedmioty pozostawione przez jego poprzedniczkę. Gramatica miał żonę i dzieci, chociaż nigdy o nich nie wspominał – prawdopodobnie nawet ich nie widywał, zważywszy na to, ile godzin spędzał w laboratorium. Rikkin miał córkę Sofię, ale była ona dorosła i zdążyła już zostać pełnoprawną członkinią Zakonu. Jedynym znanym Simonowi wysokiej rangi templariuszem, który miał małe dziecko, był zimnokrwisty zabójca Berg – ojciec dziewczynki cierpiącej na mukowiscydozę. Simon wiedział o jej chorobie, ponieważ obietnica pomocy w leczeniu córki była główną przynętą, którą posłużyli się templariusze, by nakłonić Berga do wstąpienia w szeregi Zakonu.

Simon Hathaway nie miał dzieci, żony, dziewczyny ani nawet kota – i taki stan rzeczy najzupełniej mu odpowiadał.

Kursując w tę i z powrotem po korytarzu i przenosząc do gabinetu swoje rzeczy, Simon rozmyślał o terminie, jaki wyznaczył mu Rikkin. Na szczęście, zanim jeszcze przedstawił swoje plany członkom Wewnętrznego Sanktuarium, zdążył przeprowadzić solidną kwerendę. Życie Joanny d'Arc było dobrze udokumentowane i istniał cały szereg dotyczących jej osoby materiałów źródłowych – badanie takich tekstów stanowiło chleb powszedni dla każdego historyka. Simon miał nadzieję, że to pozwoli mu optymalnie wykorzystać przysługujący mu tydzień.

Joanna d'Arc.

To fascynujące, że jeden z jego przodków był towarzyszem broni Joanny. Simon nigdy nie miał bezpośredniej styczności z Animusem, nigdy też nie był działającym w terenie agentem Zakonu ani nie przeszedł treningu w ramach Programu Szkoleniowego Animi. Miał świadomość, że autorzy źródeł podstawowych rzadko bywali bezstronni w swoich opiniach. Wierzył jednak, że on, jako historyk, osoba zdystansowana wobec odległych zdarzeń, będzie w stanie zachować znacznie większy obiektywizm.

Włączył komputer i zalogował się do systemu. Na dużym, zawieszonym na ścianie ekranie pojawiło się logo Abstergo.

– Sala Animusa – powiedział głośno.

Simon stał przy biurku i wypakowywał z jednego z pudeł szklaną gablotkę, zawierającą rzadkie dwunastowieczne wydanie *Żywotów równoległych* Plutarcha, kiedy na ekranie pojawiła się twarz kobiety – głównego technika Animusa. Miała ciemne oczy i przyjazny uśmiech, a jej długie, lśniące włosy upięte były w schludny kok.

– Dzień dobry, profesorze Hathaway. Jestem Amanda Sekibo. W czym mogę panu pomóc?

– Witam, panno Sekibo. Nie mieliśmy jeszcze okazji bliżej się poznać, jestem nowym...

– Kierownikiem Działu Badań Historycznych – dokończyła za niego. – Doktor Kilkerman wiele nam o panu opowiadał. Nie możemy się doczekać, kiedy będziemy mogli zaprezentować panu nowy model Animusa. Co mogę dla pana zrobić?

– Przed godziną spotkałem się z panem Rikkinem – wyjaśnił. – Dostałem zgodę na wykorzystanie Animusa w moim dość pilnym projekcie. Sądziłem, że zostaliście o tym uprzedzeni. Jeśli to możliwe, chciałbym od razu umówić się na pierwszą sesję.

Sekibo zmarszczyła lekko brwi.

– Proszę chwileczkę poczekać... Ach tak, rzeczywiście, otrzymał pan autoryzację na korzystanie z Animusa. Ale najpierw musi się z panem spotkać doktor Bibeau.

– Czym konkretnie zajmuje się pan doktor?

– Doktor Bibeau jest kobietą, panie profesorze. To jedna z naszych najlepszych psychiatrów.

Simon zjeżył się.

– Przeszedłem już cały szereg badań. Z pewnością nie ma potrzeby, żeby szanowna pani doktor marnowała swój cenny czas na...

– Przykro mi, profesorze, ale pan Rikkin wyraził się jasno. – Przepraszający wyraz twarzy Amandy Sekibo sugerował, że bez względu na to, co Hathaway powie, i tak nic nie wskóra.

Simon zdawał sobie oczywiście sprawę z tego, że korzystanie z Animusa wiązało się z ryzykiem. Sesje w Animusie w niczym nie przypominały doświadczeń znanych z tworzonych przez Abstergo Entertainment i wielokrotnie nagradzanych gier wideo, których masowa sprzedaż od lat przynosiła templariuszom ogromne zyski, a także wiele cennych informacji. Każda sesja w Animusie musiała być monitorowana, a w przypadku nowego modelu samo podłączenie użytkownika do urządzenia

wymagało wykwalifikowanego personelu. Simon zdjął okulary i przycisnął kciuk oraz palec wskazujący do nasady nosa, po chwili westchnął i skinął głową.

– No cóż, naturalnie, szanuję decyzję pana Rikkina. Zaraz umówię się na spotkanie z doktor Bibeau.

Sekibo uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

– Niestety, pani doktor przyleci ze Stanów dopiero dziś wieczorem. Podejrzewam, że będzie mogła spotkać się z panem jutro z samego rana.

– Rozumiem – powiedział Simon. Jakże by inaczej. – Jeszcze jedno. Chciałem się upewnić, czy pan Rikkin poinformował panią, że powinienem ukończyć mój projekt przed upływem tygodnia?

– Tak jest, panie profesorze. Kiedy tylko załatwi pan niezbędne formalności z doktor Bibeau, będzie mógł pan zaczynać.

– Świetnie – powiedział Simon i zakończył połączenie, po czym mruknął pod nosem: – Zostało mi sześć dni.

Opadł na wygodny skórzany fotel, w którym tyle razy widywał Isabelle Ardant. Odszukał nazwisko Bibeau w firmowej bazie danych, a następnie napisał do niej e-mail z prośbą, by punktualnie o siódmej trzydziści rano zjadła z nim śniadanie w Temp's.

Niech Bóg ma cię w swojej opiece, jeśli stracę przez ciebie choćby jeszcze jedną minutę w Animusie – pomyślał kwaśno, po czym kliknął „wyślij”.

DZIEŃ 2

Niewiele brakowało, by to Simon spóźnił się na spotkanie. Jego organizm, po przebytym ubiegłej nocy rytuale inicjacyjnym, postanowił nadrobić brak snu. Kiedy o godzinie siódmej dwadzieścia sześć Simon dotarł na umówione spotkanie, Victoria Bibeau czekała już na niego przed restauracją.

Nie był pewien, czego się spodziewać, ale z pewnością nie oczekiwał, że doktor Bibeau okaże się szczupłą kobietą z chłopcęią fryzurą i szerokim, ale szczerym uśmiechem. Zastanowiło go, jak to możliwe, że zupełnie nie wyglądała na zmęczoną po długiej podróży samolotem. Kiedy podali sobie ręce na powitanie, uścisk jej dłoni był zdecydowany, ale nie przesadnie mocny.

– Miło mi pana poznać, profesorze Hathaway – powiedziała z lekkim francuskim akcentem.

– Mam nadzieję, że lot był przyjemny.

– Owszem, dziękuję. Dobrze znowu być w Londynie. W Anglii herbata zawsze smakuje mi lepiej.

– Ma pani absolutną rację – odpowiedział.

Po tej wymianie uprzejmości oboje weszli do środka. W londyńskim kompleksie biurowym Abstergo znajdowały się trzy lokale gastronomiczne: bar Snack Shack, w którym można było szybko coś przekąsić, a także wypić filiżankę kawy lub herbaty; elegancka restauracja Bella Cibo, w której podejmowano wystawnie ważnych gości; a także restauracyjka Tempest in a Teapot, której nazwę skracano

najczęściej do Temp's. Serwowano tam jedynie lekkie śniadania, drugie śniadania oraz podwieczorki.

Temp's było ulubionym lokalem Simona, przede wszystkim dlatego, że w porze lunchu i obiadu zajęty był zazwyczaj pracą.

– Dzień dobry, profesorze Hathaway – powitał ich kelner, trzymający tacę z dzbankiem herbaty, dwiema filiżankami, a także naczyniami z mlekiem, cytryną i miodem. Ustawił to wszystko na stoliku pomiędzy Simonem i Victorią. – Czy podać to co zwykle?

– Oczywiście – odparł Simon. – Poole, przedstawiam ci doktor Victorię Bibeau z Aerie w Stanach Zjednoczonych. Doktor Bibeau spędzi u nas najbliższy tydzień.

W oczach kelnera zamigotały wesołe iskierki.

– Bardzo mi miło, pani doktor. Skoro pracuje pani z profesorem Hathawayem, z pewnością będzie pani częstym gościem w Temp's.

– Też mam takie wrażenie.

– Czy zamierza pani wyjeżdżać poza Londyn? O tej porze roku drzewa wyglądają naprawdę pięknie.

– Niestety, nie. Obawiam się, że obowiązki zatrzymają mnie w mieście.

– Wielka szkoda. Proszę koniecznie wpaść do nas na podwieczorek; w jesiennym menu mamy dyniowe ciasteczka i korzenną szarlotkę.

– Mam nadzieję, że uda nam się tu później zajrzeć – powiedziała z uśmiechem Victoria. – A na razie poproszę to samo co profesor Hathaway.

– Czyli dwa koszyki tostów i porcja bekonu – powiedział Poole, po czym skinął głową i oddalił się w stronę kuchni.

Bibeau dołała do herbaty mleka, a Simon uznał, że pora przejść do rzeczy.

– A zatem, pani doktor... dlaczego akurat pani?

Zanim Bibeau odpowiedziała na pytanie, upiła łyk herbaty.

– Mam duże doświadczenie w pomaganiu osobom, które po raz pierwszy wchodzą do Animusa – odparła w końcu.

– Rzeczywiście, czytałem o pani pracy w Abstergo Entertainment i w Aerie – przyznał Simon. Aerie było jedyną w swoim rodzaju placówką Abstergo, w której szkolono niewielką, doborową grupę młodych, dopiero wchodzących w dorosłość ludzi. Ich wyjątkowość polegała na tym, że ich genetyczne wspomnienia stawały się ważniejsze (i cenniejsze) wtedy, gdy przeżywali je razem, a nie osobno. – Ale ja przestałem być nastolatkiem już dość dawno temu, pani doktor.

– Zdaję sobie z tego sprawę. I proszę, mów mi Victoria – zaproponowała. – W Abstergo Entertainment miało miejsce pewne zdarzenie, które... no cóż, pod wieloma względami zmieniło moje życie. Miało to swoje dobre i złe strony. Ale najważniejsze jest to, że w całym Zakonie niewiele jest osób, które mają większą niż ja wiedzę na temat wpływu, jaki może wywierać Animus na ludzki mózg. Nie wiem, czy rozmawiałeś już o tym z doktorem Kilkermanem, ale Animus, z którego będziesz korzystał, to zupełnie nowy model. Na dobrą sprawę to wciąż jeszcze prototyp.

– Oczywiście, że rozmawiałem z Kilkermanem – zachnął się Simon. – I o ile wiem, Animus został ulepszony.

– Mimo to jesteś zupełnym nowicjuszem, a w dodatku masz tylko tydzień na to, by dowieść, że proponowane przez ciebie nowe podejście jest słuszne. A to oznacza, że będziesz musiał spędzić w Animusie sporo czasu. Postawmy sprawę jasno, Simonie, jestem ci potrzebna.

Do stolika zbliżył się Poole, niosący zamówione tosty oraz bekon. Simon przez chwilę sączył herbatę w milczeniu, po czym powiedział:

– Najwyraźniej czytałaś co nieco o mnie i o tym, czym się zajmuję.

– Och tak – przyznała Vicotria. – I kiedy będziemy razem pracować, chętnie dowiem się więcej o twoich koncepcjach. A teraz, zanim o to zapytasz, tak, przeczytałam również dokumentację twoich badań psychologicznych i mogę śmiało stwierdzić, że jesteś wyjątkowo zrównoważoną osobą. Nie spodziewam się zbyt wielu problemów.

– Ja nie spodziewam się żadnych.

Białe zęby Victorii błysnęły w uśmiechu.

– Cóż, w takim razie *commençons*.

– Niestety, nie znam francuskiego.

– Niewykluczone, że za dwa tygodnie to się zmieni. O ile w piętnastowiecznej Francji mówiło się po francusku – uzupełniła Victoria.

– W tamtym okresie posługiwano się średniofrancuskim... Ale jaki to ma związek ze mną?

– Czy słyszałaś o Efekcie Krwi?

– Och... oczywiście.

Efekt Krwi był jednym z możliwych efektów ubocznych przebywania w Animusie. Zdarzało się, że obiekt badań przejmował cechy osobowości, myśli, emocje, a czasem nawet zdolności fizyczne jednego ze swoich przodków.

– Mówię biegle po rosyjsku, hiszpańsku i arabsku, ale do czego mogłaby mi się przydać znajomość średniofrancuskiego?

– Mógłbyś bryłować na przyjęciach – zażartowała Victoria, uśmiechając się szeroko, ale zaraz dodała poważnym tonem: – Tak naprawdę przyswojenie nowego języka nie nastąpiłoby od razu. Nie sądzę też, żebyś opanował go w sposób biegły. Czasami Efekt Krwi bywa korzystny. Obiekt zyskuje nowe umiejętności, na przykład znajomość sztuk walki albo obcego języka. Ale muszę cię uprzedzić, że Efekt Krwi może być też wyjątkowo niebezpieczny. Na pewno słyszałaś o Obiekcie Czwartym i Obiekcie Czternastym i o tym, jak straszne były konsekwencje Efektu Krwi w obu tych przypadkach. Ja miałam niestety okazję zobaczyć coś podobnego na własne oczy.

Victoria spochmurniała i ściszyła głos.

– Pewien analityk pracujący dla Abstergo Entertainment zaczął przejawiać niezdrowe zainteresowanie przedmiotem swoich badań. W końcu nabrał przekonania, że jest reinkarnacją Arna Doriana, asasyna żyjącego w czasach rewolucji francuskiej.

– Nie był to najprzyjemniejszy okres w dziejach świata – stwierdził Simon. – Co się z nim stało?

– Postanowił dokonać sabotażu. Zniszczył bezcenne wyniki badań: wykasował

pliki, zniszczył twarde dyski, spalił swoje notatki. Zakon próbował go powstrzymać, ale on stawiał opór. – Victoria zacisnęła wargi.

Simon pojął, co to oznacza.

– Rozumiem. Przykra sprawa. Utrata tyłu danych... Czy udało się wam odtworzyć przynajmniej część z nich?

Victoria posłała mu spojrzenie, którego znaczenia nie potrafił odgadnąć.

– W pewnym stopniu – odparła. – Tak czy inaczej, według mojej wiedzy większość problemów, jakie sprawiał nam Animus, została już rozwiązana. Przynajmniej taki był nasz cel. A to oznacza, że naszym głównym zmartwieniem pozostaje Efekt Krwi. Dopóki ludzie są tylko ludźmi, nie sądzę, by udało się całkowicie go wyeliminować.

Kiedy kończyli powoli śniadanie, Victoria zapytała Simona o jego hobby.

– Jestem templariuszem, a templariusze nie mają hobby – odparł niechętnie.

Victoria nie dała się zbyć. Wyznała, że sama w wolnych chwilach zajmuje się garncarstwem i bierze udział w maratonach.

– Ale nie jednocześnie – dodała ze swoim charakterystycznym, szerokim uśmiechem. – Hobby pomaga mi oczyścić umysł ze zbędnych myśli i skupić się na ciele. Ty też musisz mieć coś, co sprawia ci przyjemność.

Simon przyznał w końcu, że ma słabość do wypraw na ocean.

– Żeglujesz? – zapytała Victoria.

– Nurkuje. Lubię penetrować wraki. – Simon umilkł na chwilę. – Lubię też odnajdywać ukryte przejścia. W Londynie jest ich całe mnóstwo.

Victoria popatrzyła na niego z szacunkiem.

– Zyskujesz przy bliższym poznaniu, Simonie Hathawayu.

Simon zastanowił się nad tym przez moment, po czym westchnął.

– Prawdę mówiąc, nie sądzę. Myślę, że jestem dokładnie takim nudziarzem, na jakiego wyglądam – powiedział, a następnie skierował rozmowę na czekające ich zadanie; opowiedział szczegółowo o tym, co chciałby osiągnąć i streścił historię miecza, który stanowił główny przedmiot ich zainteresowania. – Jeśli wasz analityk zajmował się Arnem Dorianem, to całkiem możliwe, że już ten miecz widziałaś. Przez pewien czas należał do François-Thomasa Germaina. Dopóki Germain nie został... hm, zlikwidowany przez Dorianą.

Simon wyciągnął z teczki tablet i przesłał Victorii niektóre ze swoich notatek, w tym listę wydarzeń z życia Joanny d'Arc, które uważał za szczególnie warte odtworzenia na podstawie wspomnień swojego przodka.

Victoria zauważyła, że w oparciu o listy powinni opracować algorytm, który pozwoli im najefektywniej wykorzystać dostęp do Animusa.

– Co właściwie wiesz na temat tamtego okresu? – zapytał Simon, machając jednocześnie do Poole'a i dając mu znać wymownym gestem, że przydałby im się kolejny dzbanek herbaty.

– Obawiam się, że niewiele. Przydzielono mnie do tego projektu niecałe dwadzieścia cztery godziny temu. Ale już miałam okazję się przekonać, że wcale nie muszę być biegła z historii, by skutecznie pomagać analitykom. Znajomość podstawowych faktów na pewno by mi jednak nie zaszkodziła.

Simon postarał się ukryć irytację. Co prawda, posiadał tytuł profesora, ale uczenie innych zawsze było dla niego jedynie źródłem frustracji. Nie uśmiechało mu się udzielanie Victorii korepetycji z historii piętnastowiecznej Francji.

– Cóż – powiedział, uśmiechając się nieszczercze – mamy pełen dzbanek herbaty, więc spróbujemy krok po kroku omówić najważniejsze sprawy. W roku 1428, w którym Joanna d’Arc po raz pierwszy pojawiła się na scenie historii, o tym, kto jest „prawowitym królem” Francji, decydowały polityczne rozgrywki, silna armia, dynastyczne mariaże oraz nieoczekiwane zgony. Wojna stuletnia (która w rzeczywistości ciągnęła się przez sto szesnaście lat) trwała wówczas już dziewiątą dekadę. Król Henryk V, którego imię rozślawił Szekspir, dokonał żywota sześć lat wcześniej, w wieku trzydziestu pięciu lat. Nie dane mu było zginąć chwalebną śmiercią na bitewnym polu, został powalony przez dyzenterię, zbierającą śmiertelne żniwo zarówno wśród koronowanych głów, jak i wśród ludzi z gminu. Król Francji Karol VI, który przeszedł do historii pod dwoma różnymi przydomkami, jako „Umiłowany” (na ten przydomek prawdopodobnie faktycznie sobie zasłużył), a także jako „Szalony” (na ten przydomek zasłużył sobie w stu procentach), przeżył swojego angielskiego rywala o zaledwie dwa miesiące.

Delfin Karol, czyli przyszły król Karol VII, którego Joanna pragnęła osadzić na francuskim tronie, początkowo był tak naprawdę dopiero czwartym w kolejności kandydatem do dziedziczenia korony po swoim ojcu. Nie spodziewał się, że kiedykolwiek zostanie królem, i czuł się wyjątkowo niepewnie w roli delfina. Nie pomagały mu plotki rozpowszechniane przez Anglików i Burgundczyków. Burgundzcy byli francuskimi zwolennikami księcia Burgundii Filipa, którzy sprzymierzyli się z Anglikami...

– *Oui* – przerwała mu Victoria, spoglądając na niego z rozbawieniem. – Myślę, że wiem, kim byli Burgundzcy.

– Ach tak, oczywiście, masz rację. Przepraszam. Wróćmy do naszej historii. Matkę Karola, Izabelę Bawarską, oskarżano o rozwiązłość i posiadanie licznych kochanków. Jednym z nich miał być jej własny szwagier. Karolowi zarzucano, że jest nieślubnym dzieckiem, podważając tym samym jego prawa do tronu...

– Czy Karol Szalony był naprawdę jego ojcem?

– Tak się obecnie uważa. W ówczesnych kronikach są wyraźne wzmianki o tym, że miał charakterystyczny nos Walezjuszy.

Potem Simon zaczął mówić o zaproponowanych przez niego zmianach w funkcjonowaniu jego działu. Większość z tego, o czym opowiedział Victorii, stanowiła streszczenie prezentacji, jaką poprzedniego dnia przeprowadził przed Wewnętrznym Sanktuarium. Tym razem wspominał jednak o czymś, co wcześniej przemilczał.

– Joanna d’Arc miała co najmniej trzy miecze – powiedział. – Nasze zadanie nie będzie zatem takie proste, jak moglibyśmy sobie tego życzyć.

– A więc przedstawiłeś Rikkinowi podkoloryzowaną wersję tej historii?

– Tylko odrobinę – stwierdził z naciskiem. – Mam przecucie, który z tych mieczy jest tym właściwym. Poza tym jestem bardzo ciekaw, czego jeszcze się dowiemy.

Miecz jest dla mnie tylko jednym z powodów.

Zanim skończyli posiłek, Simon zdążył pogodzić się z myślą, że Victoria będzie mu towarzyszyć w poszukiwaniach. Skoro już koniecznie musiał mieć przy sobie niańkę, która będzie trzymać go za rękę podczas jego wyprawy w przeszłość, to Victoria wydawała się całkiem znośną kandydatką do tej roli.

Winda, którą można się było dostać do podziemnej części londyńskiej siedziby Abstergo – w tym do pomieszczeń, w których Simon został przyjęty w szeregi Zakonu, a ostatnio do Wewnętrznego Sanktuarium – zatrzymywała się jedynie na niektórych piętrach budynku. To, na którym się aktualnie znajdowali, do nich nie należało. Musieli więc skorzystać z innej windy i wjechać na górę, do tej części biurowca, którą zajmował Dział Badań Historycznych, a następnie przesiąść się do windy kursującej do podziemi. Wyszli z Temp's i w nieco niezręcznym milczeniu oczekiwali na przyjazd windy. Kiedy drzwi w końcu się rozsunęły, Simon stanął twarzą w twarz z drobną kobietą o sięgających do ramion włosach; były one zupełnie czarne, za wyjątkiem jednego pasemka, pofarbowanego buntowniczo na wiśniowy kolor.

Na widok Simona brązowe oczy kobiety rozszerzyły się nieco.

– Simon – powiedziała. – Co za miła niespodzianka. Dawno cię nie widziałam.

– Tak, to prawda. Pozwól, że ci kogoś przedstawię. To doktor Victoria Bibeau. Przyjechała tu na kilka tygodni, żeby pomóc mi pozatławić pewne sprawy w moim dziale. Victorio, to Anaya Chodary. W przeszłości była agentką terenową, ale teraz jest jednym z naszych najlepszych „białych kapeluszy”.

W pierwszej chwili Victoria wyglądała na zdezorientowaną, ale szybko zrozumiała, co kryje się pod tym dziwnym określeniem.

– Etyczni hakerzy.

– Niektórzy uważają to za oksymoron, ale lubię, kiedy nas tak nazywają – powiedziała Anaya i ucisnęła dłoń Victorii.

– Wasz wkład w funkcjonowanie Abstergo jest nieoceniony. Jestem przekonana, że uchroniłaś nas od niejednej katastrofy.

– Dziękuję – odparła Anaya. – Robię, co w mojej mocy. Wiem, że Simon zawsze się spieszy, więc nie będę was dłużej zatrzymywać. – Ponownie spojrzała na Simona.

– Cieszę się, że na ciebie wpadłam. Kilka dni temu znalazłam twój sweter. Ten niebieski, o którym myślałeś, że go zgubiłeś.

Simon przez moment nie wiedział, o czym mowa, aż nagle sobie przypomniał.

– Och! Racja.

– Chcesz, żebym ci go odesłała? – zapytała.

– Nie, nie kłopotz się. Zanieś go do Armii Zbawienia albo w inne podobne miejsce. I tak mam za dużo ubrań. – Wszedł do windy i zanim drzwi się zamknęły, skinął Anayi głową. – Cześć!

Simon wcisnął przycisk i winda zaczęła się wznosić, szumiąc przy tym cicho. Victoria milczała przez chwilę, a potem zapytała:

– Co między wami zaszło?

Simon spojrzał na nią z ukosa.

– Skoro już musisz wiedzieć, nic szczególnie ekscytującego. Zwyczajne rzeczy. Praca, obowiązki i tak dalej. Nie muszę ci chyba mówić, ile wyrzeczeń wymaga bycie templariuszem.

– Zwłaszcza takim, który ma rangę Mistrza i jest członkiem Wewnętrznego Sanktuarium.

– Wiesz o wszystkim, co? – bąknął wyraźnie zbity z tropu Simon.

– Uznano... że powinnam o tym wiedzieć. Swoją drogą, niektórym templariuszom udaje się mieć partnerów i rodziny.

– Mnie nie. I o ile dobrze pamiętam, ty również nie należysz do tych nielicznych szczęśliwców.

Spodziewał się, że Victoria poczuje się urażona, ale ona tylko się roześmiała.

– Celna uwaga, Simonie.

Sala Animusa znajdowała się kilka pięter pod ziemią. W Abstergo bezpieczeństwu zawsze nadawano najwyższą rangę. Korporacja stosowała rozmaite środki ostrożności, począwszy od tak oczywistych, jak wyposażenie pracowników w elektroniczne klucze, aż po utrzymywanie niewidzialnej armii hakerów, dowodzonej przez błyskotliwą Anayę Chodary – wszystko to miało służyć zapewnieniu Abstergo bezpieczeństwa pod każdym względem.

Kiedy drzwi windy się rozsunęły, oczom Simona ukazała się przestronna, wysoka na dwie kondygnacje sala. Pod wszystkimi czterema ścianami rozmieszczone były projektory wyświetlające trójwymiarowe obrazy, przed którymi siedzieli ubrani w białe kitle technicy. Simon zerknął w ich kierunku i zobaczył mnóstwo małych, trójwymiarowych postaci, odgrywających swoje przeszłe losy przed oczami techników, którzy rejestrowali i analizowali obserwowane wydarzenia. W sali znajdowała się także imponująca kolekcja bezcennych antyków, które łagodziły surowość ścian z szarego betonu i chromowanej stali. W eleganckich przeszklonych gablotach wyeksponowano zabytkowe miecze, posążki egipskich, greckich i rzymskich bóstw, a także sztandary, tarcze, kielichy oraz naczynia w kształcie rogów.

Uwagę Hathawaya przykuł jednak przede wszystkim Animus. Na sam jego widok jasnoniebieskie, przesłonięte okularami oczy Simona zrobiły się okrągłe z wrażenia.

Zrozumiał, co miał na myśli Rikkin, kiedy mówił, że Animus to już nie jest fotel. Nowy model Animusa, lśniący i doskonały – Simon nie miał wątpliwości, że taki właśnie się okaże – nie został wyposażony w żaden rodzaj siedziska. Skonstruowano go w taki sposób, by obejmował ciało swojego użytkownika.

W rezultacie powstało niezwykle połączenie nowoczesnej technologii z niepokojącym dziełem sztuki. Podwieszona do sufitu, składająca się z ruchomych segmentów konstrukcja przypominała wykonany z metalu ludzki szkielet, z kręgosłupem, ramionami, nogami – krótko mówiąc, było tam wszystko, oprócz głowy. Simon podejrzewał, że całość dopełnia jakiś hełm. Masywna metalowa obręcz służyła utrzymywaniu użytkownika w pozycji wyprostowanej, a liczne, solidnie wyglądające pasy miały zagwarantować, że jego ciało przez cały czas pozostawać będzie w kontakcie z metalowym szkieletem.

Amanda Sekibo zauważyła Simona oraz Victorię i podeszła, by się z nimi przywitać.

– Profesorze Hathaway, doktor Bibeau, witamy w Sali Animusa – powiedziała. –

Co pan sądzi o naszym nowym modelu?

– Przypomina trochę przyrządy, którymi w swoim czasie posługiwali się inkwizytorzy, nieprawdaż?

Na widok miny, jaką zrobiła Amanda Sekibo, Victoria wtrąciła pospiesznie:

– To znacznie bardziej zaawansowany model od tego, którym dysponujemy w Aerie. Bóle głowy powinny występować stosunkowo rzadko, a może nawet wcale. Prawdopodobnie nie grożą ci też wymioty.

– Cudownie – mruknął Simon.

– Chciałabym, żeby dzieciaki w Aerie również mogły korzystać z takiego Animusa. Mam nadzieję, że już niedługo będę w stanie im to obiecać – powiedziała Victoria, po czym zwróciła się do Sekibo: – Jeśli to możliwe, chciałabym dowiedzieć się nieco więcej na temat sterowania.

– Oczywiście, pani doktor.

– Proszę, mów mi Victoria.

Simon zaczął się zastanawiać, czy jest ktoś, komu doktor Bibeau pozwala zwracać się do siebie inaczej jak po imieniu. Dreptał za Victorią i Amandą, puszczając mimo uszu te fragmenty dyskusji obu kobiet, kiedy posługiwały się technicznym żargonem, i przysłuchując się uprzejmie, kiedy omawiały znane mu kwestie. Gdyby rozmowa toczyła się przy stole, Simon zapewne bębniłby palcami po blacie. Wydawało mu się, że upłynęła cała wieczność, zanim Victoria w końcu podziękowała Amandzie za wyjaśnienia. Sekibo podeszła następnie do członków swojego zespołu i delikatnie poklepała ich po ramionach, dając im znak, by wyłączyli monitory. Miniaturowe awatary zniknęły, a cały personel po cichu udał się do windy.

Simon i Victoria zostali sami.

– Jesteś gotowy? – zapytała Victoria.

– Aby oddać się żelaznej dziewczycy w objęcia?

– Nie nazwałabym tak Animusa. Myślę, że nie doceniasz postępu, jaki udało nam się osiągnąć w porównaniu z wcześniejszymi modelami. To, co tutaj widzisz, to Animus 4.35. Stanowi rozwinięcie technologii zastosowanych w modelu 4.3, z którego korzysta nasza placówka w Madrycie. Wprawdzie Animus 4.3 umożliwia użytkownikowi głębszą immersję, ale samo przygotowanie do sesji wymaga znacznie bardziej inwazyjnych procedur. W modelu 4.35 nie muszę na przykład wykonywać nakłucia rdzeniowego.

– Och. Rozumiem. – Simon odetchnął głęboko. – No dobrze, zaczynamy... lepiej zrobić to dziś niż jutro, jak mawiała Joanna d'Arc.

Podeszli do Animusa. Simon umieścił stopy na podnóżkach, po czym wsunął ciało w specjalną uprząż, która wydawała się wytrzymała, a przy tym zaskakująco lekka. Victoria zapięła metalową obręcz, która objęła Simona w pasie. Simon ostrożnie przeniósł ciężar ciała najpierw na jedną, a potem na drugą nogę. Nacisk sprawił, że podnóżki poruszyły się płynnie, zupełnie tak, jakby pod stopami Simona znajdowały się pedały zaawansowanego technicznie steppera albo trenażera eliptycznego.

– Mam wrażenie, że ta machina sprawdziłaby się w charakterze sprzętu do ćwiczeń – powiedział z udawaną powagą Simon.

Victoria zaśmiała się.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak intensywne będą twoje ćwiczenia. Powinnam chyba założyć ci krokomierz – stwierdziła, zaciskając pasy i zapinając klamry uprząży. – Podczas sesji będziesz miał całkowitą swobodę ruchów. Twoje ciało, wspomagane przez uprzęż i egzoszkielec, będzie wiernie naśladowało ruchy twego przodka. Ale podczas sesji nie będziemy odtwarzali jego poczynań minuta po minucie. Przedział czasu, który nas interesuje, wynosi od trzech do czterech lat, a my mamy do dyspozycji zaledwie tydzień.

My. Victoria, jak gdyby nigdy nic, weszła w rolę uczestnika jego projektu badawczego. Simon postarał się odegnać ogarniającą go irytację. Victoria miała monitorować przebieg sesji, a także omawiać z nim ich rezultaty. Simonowi potrzebny był asystent, co do tego nie miał wątpliwości. Victoria jednak zaczynała się zachowywać nie jak asystentka, tylko jak pełnoprawny partner.

Simon nie przepadał za pracą zespołową, ale zdawał sobie sprawę, że tym razem będzie potrzebował pomocy. Victoria raz jeszcze upewniła się, czy wszystkie pasy są należycie zapięte, po czym kiwnęła z zadowoleniem głową. Simon uświadomił sobie, jak bardzo jest teraz bezradny. Może to i lepiej, że nie będzie pracował w pojedynkę.

– Hmm – mruknął, szarpiąc lekko jeden z krępujących go pasów. – Zastanawiam się, jaka jest procedura na wypadek, gdybyś w trakcie sesji dostała zawału.

Victoria ponownie się roześmiała; jej śmiech był pogodny i szczery.

– Rozlegnie się alarm, drzwi zostaną odblokowane i po kilku sekundach zjawi się na miejscu personel medyczny. Prędzej czy później ktoś powinien cię uwolnić.

– Wspaniale.

– W Abstergo obowiązuje zasada, że osoba przebywająca w Animusie powinna być przez cały czas nadzorowana. Oczywiście, jeśli byłbyś gotowy zaryzykować poważne obrażenia, mógłbyś nie zapinać ostatniego pasa na plecach i przeprowadzić symulację bez niczyjej pomocy. – Szeroki uśmiech zniknął z twarzy Victorii. – Odradzałabym jednak takie eksperymenty. Uwierz, że wiem, o czym mówię. Jeden z dzieciaków, z którymi pracuję w Aerie, jest częściowo sparaliżowany.

– Ha. Rozumiem. No cóż, wszystko gotowe?

– Jeszcze tylko hełm – odparła Victoria. – Za jego pośrednictwem będziemy mogli komunikować się podczas sesji.

Stała za Simonem i założyła mu hełm na głowę. Poczuł się tak, jakby znalazł się w komorze deprivacyjnej. Pogrążył się w całkowitej ciemności; nie docierały też do niego żadne dźwięki. Było to dość osobliwe doznanie. Nagle Simon drgnął – usłyszał głos Victorii, który wydawał się dobiegać z wnętrza jego głowy.

Wygodnie ci?

Simon poruszył się ostrożnie i ku własnemu zaskoczeniu stwierdził, że czuje się całkiem komfortowo. Powiedział o tym Victorii.

W tej chwili powinna otaczać cię kompletna ciemność – ciągnęła Victoria. – Pierwsze, co zobaczysz, to Korytarz Pamięci. Dzięki niemu oswoisz się z symulacją. Na razie możemy rozmawiać zupełnie swobodnie, ale kiedy symulacja się rozpocznie, komunikacja będzie znacznie utrudniona. Za każdym razem będziemy zaczynać od

Korytarza Pamięci, ale podczas pierwszej sesji ten etap jest szczególnie ważny. Nie martw się. W porównaniu z poprzednimi modelami synchronizacja powinna przebiegać całkiem gładko.

Ciemność zaczęła stopniowo się rozpraszać; atramentowa czerń ustąpiła miejsca mglistej szarości. Simon przypomniał sobie, jak przed kilku laty wybrał się na wycieczkę w góry Szkocji. Kiedy wspinał się na szczyt Ben Nevis, mgła zaczęła gęstnieć wokół niego w zawrotnym tempie. Zarówno wtedy, jak i teraz Simon miał wrażenie, że otacza go chmura, która osiada na ziemi. Nagle to wrażenie spaceru w chmurach pogłębiło się za sprawą oślepiających błysków, przypominających błyskawice. Chmura zaczęła falować i pulsować. Simon przyglądał się zafascynowany, jak obłok zmienia kształt, tak jakby próbował upodobnić się do budynku albo do pnia drzewa, a może do góry Ben Nevis.

Wyciągnął przed siebie rękę i spojrzął na swoją dłoń. Simon miał smukłe dłonie o długich palcach; jedyną pracą, jaką wykonywały, było pisanie na maszynie i wertowanie starych ksiąg. Od czasu do czasu zdarzało mu się co najwyżej poplamieć palce atramentem. Teraz jednak miał przed oczami dłonie, które były krzepkie, zgrubiałe i poznaczone wieloma bliznami. Paznokcie były nadłamane, a ogorzała od słońca skóra była znacznie ciemniejsza od bladej niczym mleko skóry na dłoniach Simona. Opuścił wzrok i poddał się dalszym oględzinom. Miał na sobie beżową wełnianą tunikę, upstrzoną licznymi łatanami i jeszcze liczniejszymi plamami. Jego nogi obleczone były w niebieskie rajtuzy, a stopy obute w proste skórzane trzewiki. Na głowę naciągnięty miał kaptur z krótką, okrywającą ramiona pelerynką.

Potańczał palcami prawej dłoni skrawek szorstkiej tkaniny, z jakiej uszyto pelerynkę. Lewą dłonią dotknął twarzy i poczuł pod opuszkami kępki rzadkiego młodzieńczego meszku. Jego wargi rozciągnęły się w niezbyt mądrym uśmiechu.

– *Bonjour, Gabrieliu Laxarcie* – powiedział.

Bardzo wyraźne podobieństwo – zabrzmiał głos Victorii. – *Gdybym zobaczyła was obu w jednym pomieszczeniu, od razu bym się zorientowała, że jesteście spokrewnieni.*

– *To takie niezwykle?*

Nie, ale ludzie często bywają zaskoczeni tym, jak bardzo są niepodobni do swoich przodków – odparła. – *Masz około siedemnastu lat. Pomagasz swojemu ojcu, Durandowi Laxartowi, w...*

– *Tak, wiem, w prowadzeniu gospodarstwa. Jaką mamy datę?*

Jest czwartek, pierwszy dzień maja, rok 1428. Pomyślałam, że zaczniemy od samego początku. Idź i poruszaj się trochę. Przez ten czas symulacja zdąży się załadować.

Simon czuł się dziwnie, nosząc cudze ciało tak, jak nosi się ubranie. Gabriel był szczupły – no dobrze, to Simon był szczupły, a Gabriel był po prostu chudy – ale silny, a jego ruchy były lekkie i zwinne. Simon chwycił długą drewnianą pałkę. Bez trudu udawało mu się młócić nią powietrze niczym cepem, kiedy jednak spróbował zadawać nią ciosy w taki sposób, w jaki zadaje się je włócznią albo mieczem, kij wypadł mu z ręki.

Najwyraźniej Gabriel nie jest jeszcze templariuszem – skomentowała ironicznie Victoria. – *Posłuchaj uważnie, bo to bardzo ważne. Jesteś tylko pasażerem. Nie*

opieraj się wspomnieniom ani nie próbuj ich zmieniać. Nie zmuszaj Gabriela, by robił lub mówił rzeczy, które nie leżą w jego naturze. W przeciwnym razie dojdzie do desynchronizacji, a to coś bardzo nieprzyjemnego.

– Jak to? Chcesz powiedzieć, że ten jaguar wśród animusów nie potrafi sobie z tym poradzić?

Animus nie jest wehikułem czasu, Simonie. Nie możesz zmienić przeszłości, a jeśli spróbujesz to zrobić, urządzenie przypomni ci o swoich ograniczeniach w bardzo dosadny sposób. Można powiedzieć, że każda brutalna ingerencja w przeszłość wywoła równie brutalną reakcję. Wspominałeś o tym, że Gabriel był nieślubnym dzieckiem i dopiero niedawno zamieszkał ze swoim biologicznym ojcem. To powinno ci pomóc. Niewiele osób miało okazję go poznać, więc nawet jeśli zaczniesz zachowywać się w nietypowy dla niego sposób, nikt nie powinien zwrócić na to uwagi.

Simon skinął głową. Stygmatyzacja bękartów była wówczas stosunkowo nowym zjawiskiem; nie było więc nic zaskakującego w tym, że parający się rolnictwem Laxartowie przyjęli pod swój dach krzepkiego młodzieńca. To, że Gabriel pochodził z nieprawego łóża, wyjaśniało zarazem, dlaczego Simonowi nie udało się znaleźć w materiałach źródłowych żadnych wzmianek na jego temat. Nieślubne dzieci, o ile nie wyróżniły się czymś szczególnym, rzadko bywały uwzględniane w historycznych przekazach. Drzewa genealogiczne nie lubią przypadkowych gałęzi.

W czasie gdy Victoria tłumaczyła Simonowi zasady obowiązujące w Animusie, falująca mgła zaczęła nabierać konkretnych kształtów, a jednolitą szarość zaczęły zastępować błękity i zielenie. Przed oczami Simona rozciągały się teraz szmaragdowozielone łąki, na których pasły się krowy i owce. Za jego plecami biegła wyboista droga i stały drewniane chaty. Znajdował się na obrzeżach niedużej wioski.

Domrémy. Miejsce, w którym przyszła na świat Joanna. Szum drzew, śpiew ptaków i porykiwanie bydła były jedynymi dźwiękami, jakie docierały do uszu Simona. Ten spokój wydał mu się denerwujący. Brakowało mu znajomego hałasu samochodów, samolotów, klimatyzatorów, komputerów i telefonów komórkowych. Nie spodziewał się, że będzie tu aż tak cicho.

Próbował przyzwyczać się do myśli, że przeżywa wspomnienia młodego człowieka, który od dawna już nie żyje. Wszystko wokół było takie realne, lekki powiew wiatru na twarzy, zapachy, ziemia pod stopami. *Jeśli gry Abstergo Entertainment oferują choćby ułamek tego realizmu – pomyślał Simon – to nic dziwnego, że zebrały tyle nagród.*

Ponownie spojrzął na dłonie Gabriela. Trzymał w nich teraz zawiniątko z bochenkiem chleba i kawałkiem sera. Victoria powiedziała, że był pierwszy dzień maja... dzień świąteczny. Ach tak... nagle wszystko stało się jasne. Podczas swoich badań Simon natknął się na wzmiankę o pewnej starej tradycji, zgodnie z którą młodzi mieszkańcy Domrémy spotykali się w dni świąteczne przy bijącym nieopodal wioski źródle. Spotkania te były w gruncie rzeczy piknikami, urządzanymi w cieniu drzewa zwanego Drzewem Panien lub Drzewem Wrózek. Zwyczaj ten nazywano odwiedzaniem źródeł. Simon zdał sobie sprawę, że Gabriel zamierzał właśnie wziąć w udział w jednym z takich spotkań.

Ruszył naprzód, pozwalając Gabrielowi odnaleźć właściwą drogę. Chłopak był wysoki, tyczkowaty. Simon w jego wieku wyglądał podobnie i zapewne dlatego bez trudu dostosował się do rażącego tempa, w jakim Gabriel przebiegał swoimi długimi nogami. Chłopak był najwyraźniej wprawnym piechurzem.

Wiatr przyniósł radosny śmiech, chóralne śpiewy (niektóre głosy brzmiały okropnie fałszywie), a także skoczne dźwięki piszczałek. Po chwili na tle błękitnego nieba Simon dostrzegł ogromne drzewo, u stóp którego poruszały się sylwetki ludzi. Simon nie znał się na botanice, nie był też szczególnym miłośnikiem przyrody. Musiał jednak przyznać, że to drzewo było wspaniałe. Jego bujne konary pokrywało zielone listowie, poprzetykane kwiatami o białych płatkach. Niższe, masywne gałęzie udekorowane były barwnymi girlandami splecionymi z różowych, czerwonych i niebieskich kwiatów.

Pod drzewem siedziała grupka dziewcząt w różnym wieku, bawiących się kwiatami i co rusz wybuchających przy tym śmiechem. Pozostałe dziewczęta uformowały niewielki krąg i wirowały w tańcu wokół drzewa tak szybko, że przypominało to już raczej bieg. Chłopcy z kolei wspinali się na gałęzie albo leżeli wyciągnięci na trawie, odrywając kawałki z bochenków ciemnego, gruboziarnistego chleba. Starsi spośród nich częstowali chlebem dziewczęta, młodsi zaś woleli rzucać w koleżanki okruszkami.

To nie jest moje miejsce. Simon nie był pewien, czyja to była myśl: jego własna czy może Gabriela.

Przez moment Gabriel stał nieruchomo, tak jakby jego długie nogi wrosły w ziemię. Jeden ze starszych chłopców zeskoczył lekko z gałęzi i podszedł do niego szybkim krokiem. Miał ciemne włosy, smagłą cerę i przyjazny uśmiech.

– To pewnie ty jesteś naszym kuzynem Gabrielem – zagaił pogodnym tonem. – Nazywam się Pierre. A tamten prostak to mój brat Jean.

Wspomniany przełknął właśnie ostatni kęs chleba i był teraz zajęty strzepywaniem okruszków ze swojej koszuli. Był starszy i większy od Pierre'a, miał krępa budowę ciała, podczas gdy jego młodszy brat był gibki i zwinny.

– Witaj, Pierre – przywitał się Gabriel. – T-twoja mama kazała mi wam to przynieść.

– Ha! – zawołał Pierre. – Hej, Jean, wygląda na to, że możesz dalej się obżerać.

Na dźwięk swojego imienia Jean podniósł głowę, po czym wstał i niespiesznie ruszył w ich stronę.

W czasie gdy Gabriel gawędził z kuzynami, Simon zastanawiał się, gdzie podziewa się Joanna.

– Słyszałem, że wasz ojciec ocalił wieś, kiedy zjawili się bryganci – powiedział Gabriel.

Jacques d'Arc był wójtem Domrémy, odpowiedzialnym za zbieranie podatków i organizowanie obrony wioski.

– Burgundzycy – poprawił go posępnym tonem Pierre.

– To jedno i to samo – stwierdził Jean. Oderwał kawałek chleba, po czym oddał bochenek Gabrielowi. Chleb zrobiony był wprawdzie z gruboziarnistej mąki, ale

smakował przepysznie, podobnie jak ser: kremowy, tłusty i smakowicie pikantny. – Ty mieszkasz w Burey-en-Vaux, a stamtąd blisko jest do Vaucouleurs. Możecie liczyć na ochronę żołnierzy króla.

– Przecież królewscy powinni chronić także i was – powiedział Gabriel.

Pierre wzruszył tylko ramionami. Najwyraźniej w Domrémy był to drażliwy temat.

– Czy to znaczy, że sami walczyliście z brygantami? – Gabriel nie dawał za wygraną. Sam nigdy nie był świadkiem zbrojnego najazdu i wydawało mu się to strasznie ekscytujące.

– O nie. Zawczasu zeszliśmy im z oczu. Nasz papa wynajął starą warownię na wyspie na rzece. W razie potrzeby wszyscy mieszkańcy wioski mogą się tam schronić razem z inwentarzem. Czasami, jeśli najeźdźcy odetną nam drogę na wyspę, uchodzimy do Neufchâteau. – Pogodna twarz Pierre'a stężała. – Nasza rodzina mieszka w domu z kamienia, ale nie wszyscy mają tyle szczęścia.

Jego ostatnie słowa zmroziły Gabriela.

– Czy... czy ktoś zginął?

– Ostatnio nikt. Zazwyczaj ostrzeżenie przychodzi na tyle wcześnie, że wszyscy mają czas uciec w bezpieczne miejsce.

Pierre poczęstował brata kopniakiem. Z wypełnionych po brzegi serem ust Jeana wyrwał się bolesny jęk.

– Gabrielu, zanieś trochę jedzenia Jeanette, zanim ten gnojek sam wszystko pożre. Jeanette przez cały dzień tańczyła albo chodziła nad rzekę. Stała na brzegu i wpatrywała się w wodę, zupełnie jakby rzeka coś do niej mówiła. Na pewno jest głodna.

– Która z nich to Jeanette?

Simon poczuł, jak ogarnia go radosne podniecenie.

– Ta dziarska, w czerwonej sukience – odparł Pierre, wskazując palcem jedną z dziewcząt.

Joanna rzeczywiście sprawiała takie wrażenie: jej ruchy były energiczne, a ciało wydawało się silne i gibkie. Na proste plecy opadały jej długie, niesforne czarne włosy, w które wpięte były kwiaty.

Jestem największym szczęściarzem ze wszystkich historyków na świecie – pomyślał Simon. Niemal zakręciło mu się w głowie, kiedy Gabriel zbliżał się do Joanny.

– Jeanette? – Gabrielowi drżały ręce, w których ścisnął kurczowo chleb i ser.

Joanna z Arc, La Pucelle, Dziewica Orleańska, przyszła patronka Francji, odwróciła się i spojrzała na Gabriela.

Miała duże niebieskie oczy, które były jednocześnie spokojne i pełne żaru. Gabriel miał wrażenie, że przeszywają jego ciało oraz kości i zagłębują w głąb jego duszy. Zaparło mu dech. Jedyne, co był w stanie zrobić, to odwzajemnić to spojrzenie. Krew zaczęła pędzić w jego żyłach, napływając gwałtownie do twarzy i...

Nagle cały świat zapadł się w sobie niczym zgnieciona w garści kartka papieru, wszystkie obrazy, kolory i formy zaczęły znikać w zawrotnym tempie, a wraz z nimi zniknęła także niemożliwa do opisanego, niesamowita twarz Joanny.

Simon Hathaway pograżył się w nieprzeniknionej ciemności, w której towarzyszył

mu jedynie jego własny krzyk.

Simon, co...

Fala nudności uderzyła z siłą tsunami, zupełnie jakby jakiś wściekły olbrzym wymierzył Simonowi potężny cios w brzuch. Czuł, że ma zdarte gardło, zdał sobie sprawę, że krzyczał i że wciąż krzyczy, choć nie słyszy dźwięku wydobywającego się z jego krtani. Unieruchomione, złane potem ciało dygotało, a wewnątrz ust miał suche jak pieprz. W końcu ktoś zdjął mu z głowy hełm i chłodne powietrze owionęło jego wilgotną twarz. Przestał krzyczeć i zaczął łapczywie wciągać do płuc tlen, wpatrując się przy tym w twarz kobiety, której nie rozpoznawał.

Wiedział tylko, że to nie ona.

– Bardzo mi przykro, Simonie.

Głos wydał mu się znajomy i po chwili imię kobiety przedarło się przez falę ogarniającej go paniki i dotarło do jego świadomości. *Victoria*.

– Nie spodziewałam się, że ta symulacja może wywołać aż tak gwałtowną reakcję. Podać ci wiadro?

Myśl o wymiotowaniu do wiadra wydała się Simonowi tak odrażająca, że siłą woli powstrzymał podchodzącą do gardła żółć i wymamrotał coś, co *Victoria* zinterpretowała jako „nie”. Uwalniała Simona, odpinając niezliczone klamry i przyczepione do jego ciała elektrody. Simon miał wrażenie, że pełzają one po nim niczym robactwo. Jego skóra zatęskniła nagle za dotykiem szorstkiej wełny.

– Co to było? – zapytał chrapliwym głosem.

– Doszło do desynchronizacji – odparła, przyglądając mu się zatroskanym wzrokiem. – Reakcje takie jak twoja towarzyszą zwykle wspomnieniom z pola bitwy. Co się z tobą stało?

– Sam nie wiem. – Simon podziękował Victorii skinieniem głowy i wyszedł z Animusa. Poruszał się nieco chwiejnie i kiedy *Victoria* ujęła go pod ramię, przyjął jej pomoc.

Victoria zaprowadziła go do krzesła i podała mu szklankę wody.

– Miałaś rację, desynchronizacja to faktycznie nic przyjemnego. Czuję się tak, jakby koń kopnął mnie w klatkę piersiową.

Victoria uśmiechnęła się lekko. Najwyraźniej odczuła ulgę, widząc, że Simon szybko dochodzi do siebie.

– Zabrzmiało to tak, jakbyś doświadczył tego na własnej skórze. Zostałeś kiedyś kopnięty przez konia?

– Ja nie – odparł Simon. – Ale Gabriel tak. Możesz mi wierzyć, to dokładnie takie

samo uczucie. Potrafisz wyjaśnić, jak do tego doszło?

– Nie jestem pewna – odparła. – Przyczyny mogły być różne. Jedno nie ulega wątpliwości, ty sam celowo wycofałeś się z symulacji. Dlaczego to zrobiłeś?

– Wcale się nie wycofałem.

– A właśnie, że tak – upierała się Victoria. – Gabriel nie zamierzał się stamtąd ruszać.

– Nonsens. Jestem historykiem, miałem okazję spotkać Joannę d'Arc. Dlaczego, na miłość boską, miałbym próbować uniknąć tego spotkania?

– Ty mi to powiedz. – Victoria, widząc, że Simon zamierza protestować, uniosła dłoń. – Zajmuję się tym już od dłuższego czasu i potrafię rozpoznać przyczynę nagłej desynchronizacji. Simon... ty uciekłeś – dodała łagodnie.

Twarz Hathaway'a poczerwieniała.

– Nie mogę ze spokojnym sumieniem kontynuować współpracy z tobą, dopóki nie poznam powodów tej ucieczki. To byłoby zbyt niebezpieczne.

– Powiem ci, na czym polega niebezpieczeństwo. Na tym, że pożegniam się z posadą, jeśli nie dam Rikkinowi tego, na czym mu zależy – warknęła gniewnie Simon, przeczesaując ręką włosy. Jego dłoń zrobiła się wilgotna od potu.

– Jeśli twoja desynchronizacja ma coś wspólnego z Efektem Krwi, to utrata pracy będzie najmniejszym z twoich problemów – ciągnęła nieustępliwie Victoria. – Simon, podczas tej sesji twoje wskaźniki osiągnęły niebotyczny poziom. Zaczęłeś się pocić, twoje tętno drastycznie przyspieszyło, a twój mózg zaczął produkować kolosalne ilości substancji chemicznych. Gdybyś brał udział w bitwie, byłoby to zrozumiałe, ale...

Bibeau umilkła i pokręciła głową.

– Mówiłam ci – odezwała się po chwili spokojniejszym już tonem – że byłam świadkiem, jak pewien człowiek do tego stopnia zatracił się w przeszłości, że uwierzył w to, że sam jest asasynem, którego wspomnienia badał. Ten człowiek rozstał się ze swoją narzeczoną, bo pokochał nieżyjącą od dwustu lat dziewczynę. Zaczęły mu się przydarzać chwilowe utraty pamięci, a kiedy dochodził do siebie, znajdował listy napisane do niego przez Arna Dorian'a. Po francusku. On sam nie znał ani słowa w tym języku. To wszystko w końcu go zabiło. Nie mogłam się z tym pogodzić i do dziś mam wyrzuty sumienia. Powinnałam być odsunąć go od badań nad Dorianem, zanim sprawy przybrały fatalny obrót. Nigdy więcej nie popełnię takiego błędu. Więc powiedz mi, dlaczego się zdesynchronizowałeś?

Simon westchnął i przymknął oczy.

– W tej dziewczynie było coś, co go zelektryzowało. A jednocześnie przeraziło.

– Jego, ale nie ciebie?

Simon zawahał się.

– Teraz nic takiego nie czuję – odparł i to akurat było zgodne z prawdą.

Victoria przekrzywiła głowę i spojrzała na niego z dziwnym wyrazem twarzy. Skonsternowany Hathaway zauważył, że jego współpracowniczka z trudem powstrzymuje cisnący się na jej wargi uśmiech.

– Poczekaj chwilę – powiedziała, po czym podeszła do komputera, żeby sprawdzić

wyniki Simona. – Podczas sesji wzrósł u ciebie przede wszystkim poziom serotoniny, dopaminy i noradrenaliny. Wiesz, co to oznacza?

– Nie jestem chemikiem.

Victoria uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że zapomniałeś, jak intensywnym przeżyciem potrafi być pierwsza miłość.

Simon spojrział na nią zaskoczony.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Z ust Simona wyrwało się głośne westchnienie.

– Co za cholerny traf. Będę siedział w ciele zadurzonego po raz pierwszy w życiu nastolatka. Mam nadzieję, że szybko przydarzy się jakaś bitwa i cały ten testosteron znajdzie sobie ujście.

– Nie przesadzaj, mogło być gorzej.

– Nie – zaprzeczył przygnębionym głosem Simon. – Nie mogło.

– Nie wiem, czy cię to pocieszy – powiedziała Victoria – ale chciałam ci przypomnieć, że Joanna d’Arc podobno była niezwykle charyzmatyczna. Nastoletni chłopiec oglądający się za dziewczętami prawdopodobnie nie miałby u niej szans.

Simon, nieco już spokojniejszy, przypomniał sobie to, co zobaczył podczas symulacji. Przywołał w myślach postać kobiety, która miała stać się w przyszłości patronką Francji. Teraz chciał spojrzeć na nią własnymi oczami, a nie oczami targanego burzą hormonów nastolatka.

– Mogę chyba przyjąć tę hipotezę. Ale odniosłem wrażenie, że... tam wydarzyło się coś więcej. Coś, co nam umknęło. – Simon spojrział na Victorię. – Chcę wrócić do Animusa.

Po krótkim namyśle Bibeau skinęła głową.

– W porządku. Ale nie zaczniemy w tym samym miejscu, w którym skończyliśmy – powiedziała.

Simon odetchnął w duchu z ulgą, a Victoria rzuciła okiem na swoje notatki.

– Wiemy, że Joanna wybrała się do Burey-en-Vaux i przez tydzień gościła u Laxartów. Być może chciała spędzić nieco więcej czasu z Gabrielem – dodała, starając się ukryć uśmiech.

– Och, cudownie – jęknął Simon.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Victoria, chociaż jej ton głosu sugerował coś zupełnie innego. – Ustawię początek symulacji na noc z dwunastego na trzynastego maja. Jesteś gotowy?

– Oczywiście – zapewnił Simon, chociaż wcale nie był tego pewien.

Tym razem wiedział już, czego się spodziewać, więc powtórne wejście w rzeczywistość Animusa było dla niego nieco mniej stresujące. Korytarz Pamięci wciąż jednak wydawał mu się obcy, poza tym Simon nie miał pojęcia, jak znieśie powrót do symulacji.

Szare chmury zaczęły stopniowo przybierać konkretne kształty.

Powiedz mi: co sądzisz o Joannie? – spytała nagle Victoria.

– No cóż, sądzę, że to fascynująca postać – odpowiedział. – I jeśli faktycznie posiadała Miecz Edenu, to wiele z pogłosek na jej temat należałoby uznać za znacznie bardziej wiarygodne. Joanna żyła w czasach, w których ludzie podchodzili o wiele mniej sceptycznie do deklaracji, że ktoś usłyszał głos Boga. Nie zadawali sobie pytania, czy taka osoba faktycznie coś słyszała. Nurtowało ich tylko to, czy ten głos pochodził od Boga, czy może od szatana.

Chodziło mi raczej o to, co ty o niej myślisz.

– Ja... właściwie to w ogóle się nad tym nie zastanawiałem – odparł Simon, podczas gdy wznawianie symulacji dobiegało końca. – Jestem historykiem. W tym zawodzie nie ma miejsca na sympatię czy niechęć. Moim zadaniem jest po prostu obserwować.

Z takim podejściem powinno ci być łatwiej oprzeć się Efektowi Krwi – stwierdziła z aprobatą Victoria.

Mgła zasnuwająca Korytarz Pamięci ustąpiła tymczasem miejsca aksamitnej ciemności nocy, rozświetlanej jedynie przez gwiazdy i cienki sierp ubywającego księżyca.

Gabriel obudził się około północy. Od przyjazdu Joanny był podenerwowany, rozkojarzony i budził się ze snu o dziwnych, nieregularnych porach. Nie był w stanie przespać spokojnie całej nocy, i to pomimo zmęczenia po całodziennej harówce przy oporządzaniu zwierząt w gospodarstwie ojca. Zanim zamieszkał z ojcem, terminował u swojego ojczyma, który trudnił się handlem, praca w gospodarstwie stanowiła więc dla Gabriela zupełnie nowe doświadczenie. Zazwyczaj, kiedy nie mógł spać, wyruszał na przechadzki wąskimi uliczkami Burey-en-Vaux. Mieścina była jednak tak mała, że te nocne spacery nigdy nie trwały zbyt długo. Gabriel wracał pod dom i opierając się o bramę, tak jak robił to teraz, wpatrywał się w niebo. Po jakimś czasie ponownie kładł się do łóżka i zapadał w niespokojny, przerywany sen.

Simon, jak się czujesz?

– W porządku – zapewnił Simon, chociaż Gabrielowi dokuczwała nieprzyjemna suchość w ustach.

Co takiego miała w sobie Joanna? Jej twarz nie była piękna w konwencjonalny sposób: miała lekko kwadratową szczękę i odrobinę za wysokie czoło. Ale kiedy spojrzała na Gabriela, Simon pomyślał, że Joanna ma najbardziej niebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widział – i nie była to żadna stylistyczna hiperbola, tylko szczerą prawdą. Te niezwykle oczy oraz burza włosów, czarnych niczym skrzydła kruka (no dobrze, w tym przypadku można już było mówić o hiperboli), a także energia, która zdawała się rozpierać Joannę, wszystko to razem tworzyło oszałamiające połączenie.

– Wstałeś na nocne oficjum – rozległ się cichy, melodyjny głos.

Gabriel drgnął zaskoczony. O kilka kroków od niego stała Joanna, mimo późnej pory ona również była ubrana. Otulała się szczelnie peleryną, chroniąc się przed wilgotnym nocnym powietrzem. Noc była tak ciemna, że wydawało się niemożliwe, by Gabriel zdołał przyjrzeć się Joannie, a jednak widział wyraźnie każdy szczegół jej policzków i ust, a także silne, jasne dłonie, którymi przytrzymywała poły peleryny. W jej oczach odbijały się gwiazdy, a Gabrielowi wydało się, że bije od niej poświata,

jakby postać dziewczyny utkana była z gwiazdznego blasku.

– Co takiego? – wydukał.

Joanna podeszła bliżej.

– Tak mnisi nazywają jutrznię. Niektórzy mówią na nią vigiliae albo nokturn. Znasz przecież liturgię godzin.

Oczywiście, że znał. Wszyscy ją znali – bicie dzwonów wzywających do kościoła rozlegało się osiem razy na dobę. Ale Gabriel nigdy nie słyszał, by ktokolwiek nazywał nocne nabożeństwo inaczej niż jutrznię.

– Kiedy jestem w domu i słyszę bicie dzwonów, rzucam wszystko i pędzę do kościoła – powiedziała i zaśmiała się cicho. – Zdarzało mi się nawet zbesztać naszego dzwonnika za spóźnienie. Ale w nocy, żeby pójść na jutrznię... musiałam po kryjomu wymykać się z domu.

Kąciki ust Joanny uniosły się w szelmowskim uśmieszku, na widok którego Gabrielowi zaparło dech. Joanna odwróciła głowę i spojrzała w rozgwieżdżone niebo, a uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Wiesz, oni często mi dokuczają.

– Kto taki?

– Głównie chłopcy. Moi bracia, a nawet moi przyjaciele. Kochają mnie, ale uważają, że to dziwne, że tak bardzo lubię chodzić do kościoła.

Gabriel słyszał, co inni mówili o Joannie, i wtedy jemu również wydało się to dziwne. Ale to było, zanim jeszcze zdążył ją poznać. Pod wieloma względami Joanna była zwyczajną młodą dziewczyną – często się śmiała, wypełniała swoje codzienne domowe obowiązki i sprawiała wrażenie, jakby uszczypliwe uwagi rówieśników nie sprawiały jej przykrości. Prawdę mówiąc, czasami odpłacała im nawet pięknym za nadobne. Dlatego to wyznanie zaskoczyło Gabriela.

Joanna obróciła się ku niemu, jej oczy lśniły w mroku.

– Czy ty też uważasz, że jestem dziwna?

Gabriel chciał zaprzeczyć, ale słowa uwięzły mu w gardle. Nie potrafił jej okłamać.

– Tak mi się wydawało, ale tylko na początku. Potem cię poznałem i... teraz widzę, jak bardzo uszczęśliwia cię to, co robisz. Jak dzięki temu promieniejesz. Myślę, że to piękne.

Niewiele brakowało, a dodałby: Myślę, że jesteś piękna, ale w porę ugryzł się w swój zbyt długi język. Twarz Joanny rozpozodziła się w uśmiechu.

Gabriel poczuł się nagle tak, jakby zaczął tonąć. Jego serce galopowało jak szalone.

– Gabrielu... czy wydaje ci się czasem, że jesteś inny niż reszta ludzi?

Słowa Joanny ukłuły go boleśnie. Niemal się wzdrygnął.

– Wiem, że jestem inny. Jestem przecież bękartem.

– Martwisz się z tego powodu? – Joanna spojrzała na niego ze współczuciem.

Skinął głową.

– Nie martwiłem się, kiedy mieszkałem z mamą i z papą. To znaczy z moim ojczymem – poprawił się. – Oboje byli jedynymi rodzicami, jakich znałem. Ojczym był kupcem w Nancy. Nie wiedziałem, że nie jest moim prawdziwym ojcem, dopóki... dopóki nie umarł. Jakiś czas temu zachorował i powaliła go gorączka.

Joanna cicho westchnęła i wzięła go za rękę. Gabriel zeszywniał, spodziewając się tego dziwaczego, niemalże bolesnego doznania, jakie ogarniało go w najmniej stosownych momentach. Ale dłoń Joanny była chłodna, a jej dotyk, zamiast pobudzać, kołował i uspokajał. Napięcie go opuściło, a słowa popłynęły swobodnie.

– Mama przez miesiąc próbowała go leczyć. Ale kiedy zrozumiała, że zbliża się koniec, kazała mi napisać list do Duranda. Miałem go zapytać, czy zechce się mną zaopiekować. Nie sądziłem, by się na to zgodził, a nawet gdyby, to obawiałem się, jak przyjmie mnie jego żona.

Joanna przechyliła lekko głowę. Gabriel wciąż miał wrażenie, że dziewczynę otacza niesamowita poświata. *Czy to przez światło gwiazd?* – zastanawiał się. – *A może to tylko moja wyobraźnia?*

– Twoja rodzina w Burey-en-Vaux, Laxartowie... to dobrzy ludzie. Dlatego... – Joanna urwała nagle, a potem mocno uściśnęła dłoń Gabriela. – Jeanne chyba dobrze cię traktuje.

No tak... kolejna Jeanne – pomyślał Simon. „Jeanne” to francuski odpowiednik imienia „Joanna” i jak się właśnie okazało, nosiła je także macocha Gabriela. Najwyraźniej imię to było dość pospolite i Simona czekało niełatwe zadanie, polegające na połapaniu się, kto jest kim w tłumie tych wszystkich Jeanne (i Jeanów).

– To prawda – zapewnił pośpiesznie Gabriel. – Masz rację. Jeanne jest dobrą osobą. Tak jak jej kuzynka. – Tym razem to on ścisnął mocniej rękę Joanny. – Ale jestem tu dopiero od niedawna. Nancy było o wiele większym miastem. Kiedy tam mieszkałem, zajmowałem się liczeniem monet, wypisywaniem pokwitowań i magazynem. Praca w gospodarstwie... to coś zupełnie innego. Wciąż nie jestem pewien, gdzie tak naprawdę jest moje miejsce.

– Też jestem inna niż wszyscy – powiedziała Joanna. – Ale wiem, że muszę robić w tym życiu to, co do mnie należy.

Dziewczyna cofnęła rękę i Gabriel poczuł dotkliwą pustkę, a nocne powietrze wydało mu się wyjątkowo zimne.

– Jesteśmy przyjaciółmi, prawda? – spytała Joanna.

Gabrielowi wydało się, że jego serce zatrzymało się raptownie i dopiero po chwili ponownie ruszyło. Z każdym jego uderzeniem czuł w piersi bolesny skurcz.

– Tak – powiedział cicho.

Jeśli nie może łączyć nas nic więcej, to nawet przyjaźń z tobą będzie dla mnie najdroższym skarbem.

– Muszę więc poprosić cię o pomoc. Nie jest mi łatwo zwracać się o taką przysługę.

– Zrobię, co zechcesz – oznajmił nieco zbyt gorliwie. – Cokolwiek sobie życzysz, Joanno.

– Jutro poproszę twojego ojca, żeby coś dla mnie zrobił. Zabrzmi to dziwnie i będziesz zaskoczony, kiedy to usłyszysz. Ale musisz mi pomóc go przekonać.

– Nie możesz teraz mi powiedzieć, co to za prośba?

Joanna odwróciła wzrok. Jej twarz zdradzała, że myśli nad czymś intensywnie.

Gabrielowi wydało się, że wpatruje się w coś ponad jego ramieniem, ale kiedy się odwrócił, nie zobaczył tam niczego poza siedzącym na murze kotem, liżącym

w skupieniu swoją łapkę.

– Nie – odparła w końcu Joanna. – Jeszcze nie teraz. Musisz mi zaufać. Możesz to dla mnie zrobić?

Wpatrywała się w niego intensywnie, a jej szczupłe, gibkie ciało zastygło w napięciu. Dziwna poświata wydawała się jeszcze jaśniejsza.

Odpowiedź mogła być tylko jedna.

– Oczywiście, Jeanette. O cokolwiek poprosisz mojego ojca, dopilnuję, żeby twojemu życzeniu stało się zadość.

Poważna twarz Joanny rozplynęła się w promiennym uśmiechu, a Gabriel mógłby przysiąc, że poczuł, jak pęka mu serce.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Gabrielu. Dobranoc.

Joanna odeszła, a Gabriel jeszcze przez dłuższy czas stał bez ruchu, zastanawiając się, czy to nocne spotkanie nie wydarzyło się przypadkiem jedynie w jego wyobraźni.

Simon nie był pewien, co myśleć o tym, co widział Gabriel, kiedy patrzył na twarz Joanny. Tymczasem obraz przed jego oczami zaczął blednąć, stał się szary i zamglony, a w końcu oczy zasnuła mu czerń.

Wyciągam cię stamtąd – rozległ się głos Victorii.

Po chwili Simon poczuł na ramieniu jej lekki dotyk. Kiedy ściągnęła mu z głowy hełm, jego twarz omiótł chłodny powiew, zdał sobie sprawę, że i tym razem spocił się podczas sesji.

– Victorio – odezwał się z wahaniem, podczas gdy Bibeau odpinała kolejne klamry uprząży. – Czy ty... czy zauważyłaś, co się tam działo? Z twarzą Joanny?

Rzuciła mu krótkie, zaciekawione spojrzenie.

– Co masz na myśli?

– Ona... ona... – Simon próbował znaleźć odpowiednie słowa. – Nie jestem pewien, być może to było tylko światło gwiazd i skutek zauroczenia, jakie czuł Gabriel... ale Joanna wyglądała tak, jakby... jakby lśniła.

Na twarzy Victorii odmalowała się wystudiowana obojętność. Nie ulegało wątpliwości, że zamierza podejść do tej kwestii tak, jak przystało na psychiatrę i terapeutę.

– Obserwowałam to, co się tam działo, z twojej perspektywy. I widziałam, że to Gabrielowi wydawało się, że Joanna lśni – stwierdziła wymijająco.

– Spodziewałem się, że zobaczymy coś podobnego, kiedy w końcu natrafimy na miecz, ale... tam przecież nie było miecza. To była ona. I Gabriel to widział.

Victoria skończyła odpinać pasy krępujące prawą rękę Simona i obróciła się, by uwolnić jego drugą rękę. Simon położył jej dłoń na ramieniu.

– Victorio... Myślę, że znaleźliśmy nie jedną, ale dwie osoby będące nosicielami DNA Prekursorów.

Victoria stwierdziła, że nie będzie omawiać przebiegu sesji, dopóki Simon czegoś nie zje.

– Jedzenie to podstawa – oświadczyła. – Pomoże ci wyjść z ciała Gabriela i zakotwiczyć się w twoim własnym. Jedz – nakazała i rzuciła mu batonika Lion.

Simon przezwyciężył ogarniającą go irytację i podporządkował się poleceniu.

– W porządku. Przestrzegam zaleceń lekarza. A teraz, pani doktor, zechce pani podzielić się ze mną swoimi przemyśleniami.

– Przyznaję, że byłam odrobinę zaniepokojona, kiedy za pierwszym razem wyszedłeś z symulacji.

Simona również to zaniepokoiło, ale postanowił zachować to dla siebie.

– Biorąc jednak pod uwagę uczucia, jakie żywił Gabriel do Joanny, niezwykłą charyzmę, jaką jej przypisywano, a także fakt, że była to twoja pierwsza sesja w Animusie, nie widzę większych powodów do obaw. Nawiasem mówiąc, już samo to, że udało ci się doprowadzić do desynchronizacji, świadczy o wyjątkowej sile twojej woli. Nie sądzę, by zagrażały ci konsekwencje Efektu Krwi. W każdym razie nie na tym etapie.

– Co za ulga – powiedział Simon. – Ale wracając do Gabriela i Joanny... Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– Ja również – przyznała Victoria.

– Joanna wywiera taki sam rodzaj... – Simon szukał odpowiedniego słowa. – Przymusu? Nie, to nie to. Z kolei „charyzma” to słowo zbyt wyświechtane. Chodzi mi o to, że Gabriel reaguje na obecność Joanny w taki sam sposób, w jaki ludzie zazwyczaj reagują na jedno z Jabłek Edenu. Kiedy patrzę na Joannę jego oczami, widzę to jak na dłoni, widzę bijący od niej blask. W całej karierze Joanny, a już na pewno w początkowym jej okresie, roi się od przykładów tego, jak wielki wpływ wywierała na ludzi i jak skutecznie przekonywała ich do swoich racji.

– Być może, ale nie zapominaj o tym, że na Gabriela wpływały także najzwyklejsze w świecie hormony, oddziałujące na jego mózg. Poza tym nie było przecież tak, że Joanna wywierała przemożny wpływ na każdego człowieka. Nie można stwierdzić, że była Fragmentem Edenu w ludzkiej postaci.

Victoria nie chciała, by zabrzmiało to okrutnie, ale Simon i tak lekko się skrzywił. Starał się nie myśleć o tym, jaki będzie nieunikniony finał całej tej historii. Victoria miała rację. Gdyby Joanna była Fragmentem Edenu w ludzkim ciele, nie spotkałby jej tak smutny koniec. Żaden sędzia nie skazałby jej na śmierć.

– To prawda, nie była. I całe szczęście. Fragmenty Edenu są wystarczająco potężne jako nieożywione przedmioty. Sama myśl o tym, że mogłyby przybrać postać żywych ludzi, choćby nawet walczących o słuszną sprawę, jest po prostu przerażająca.

– Niemniej w jednym muszę się z tobą zgodzić, wiele wskazuje na to, że i Joanna, i Gabriel mieli w swoim kodzie genetycznym znaczny fragment DNA Prekursorów. Musimy to ustalić ponad wszelką wątpliwość. DNA Prekursorów spotyka się dziś niezwykle rzadko i z każdym pokoleniem coraz rzadziej.

Simon był tego świadomy. Wiedział też, że Zakon prowadzi właśnie poszukiwania niejkiej Charlotte de la Cruz, domniemanej nosicielki jedynie maleńkiej cząstki cennego DNA.

– Joanna d’Arc zawsze uchodziła za postać niezwykłą – stwierdził Simon. – Wygląda na to, że będziemy mieli okazję się przekonać, jak bardzo. Wiem, o co zamierzała poprosić Duranda i Gabriela. Chciała, by zabrali ją do Vancouleurs.

– Co tam się wydarzyło?

– Joanna zabiegała o spotkanie z kapitanem miejscowego garnizonu hrabią Robertem de Baudricourtem. Chciała go nakłonić, by udał się wraz z nią do Chinon, gdzie rezydował wówczas delfin.

– Dopięła swego?

– Nie. W każdym razie jeszcze nie wtedy. Przypuszczam, że powinniśmy przeskoczyć w czasie do kolejnego istotnego zdarzenia. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jak trudno jest historykowi zrezygnować z szansy przeżycia najważniejszych historycznych wydarzeń. Skóra mi cierpnie na samą myśl o tym, że miałbym pominąć choćby jedno z nich. Po bezowocnej wyprawie do Vancouleurs Joanna powróciła do Domrémy. Wkrótce potem wraz z pozostałymi mieszkańcami wioski musiała uciekać na południe, do miasteczka Neufchâteau. Kiedy wrócili do wsi, zastali w niej spalony kościół. Kilka miesięcy później Joanna została uwikłana w proces sądowy z powodu zerwania umowy. Jak mógłbym oprzeć się pokusie zobaczenia tego na własne oczy?

– Co to była za umowa? – Victoria nieudolnie próbowała ukryć zainteresowanie pod obojętnym wyrazem twarzy.

– W sprawie małżeństwa. Rodzice Joanny zaręczyli ją z pewnym mężczyzną. Joanna odmówiła jednak poślubienia narzeczonego, który pozwał ją za to do sądu. Podczas procesu Joanna broniła się, twierdząc, że nigdy nie wyrażała zgody na to małżeństwo. Nie zachowały się żadne informacje na temat tożsamości jej niedoszłego męża. Nie mogę się doczekać, kiedy się dowiem, kim był ten człowiek. Nie powiesz mi chyba, że sama nie jesteś tego ciekawa.

– Nie powiem. Ale przypomnę ci, że mamy tylko tydzień... przepraszam, pięć dni na zbadanie wspomnień Gabriela. Kiedy już udowodnisz Rikkinowi słusność twojej koncepcji, prawdopodobnie będziesz miał więcej czasu na zaspokojenie swojej ciekawości.

Simon zmierzył ją surowym spojrzeniem.

– Zawodowej ciekawości. Nie musisz się obawiać, że któregoś dnia obudzę się i znajdę listy, które napisałem sam do siebie w przebraniu Gabriela.

– Wcale się tego nie obawiam – zapewniła Victoria.

Simon po jej minie poznał jednak, że coś ją niepokoi. Zastanawiał się, jakie kolejne „ważne wydarzenie” szykowała dla niego Victoria na podstawie opracowanego przez siebie algorytmu.

Czwartek 12 lutego 1429 roku

Gabriel trzymał w ramionach Joannę, która szlochała, wtuliwszy twarz w jego pierś. *Co tu się, do diabła, dzieje?* – pomyślał Simon.

– Musi się tak stać, przecież to takie oczywiste! – załkała Joanna. Jej głos tłumiała koszula Gabriela, wilgotna od potoku wylanych przez dziewczynę łez. – Dlaczego ten człowiek nie chce się ze mną spotkać? Co robię nie tak?

Zaniepokojony Simon sięgnął do zasobów pamięci Gabriela, by zorientować się w sytuacji. Okazało się, że Durand Laxart posłuchał rady swojego syna i wrócił do Burey-en-Vaux, by zająć się żoną i nowo narodzonym dzieckiem. Joanna i Gabriel pozostali natomiast w Vancouleurs, gdzie zatrzymali się w domu należącym do Catherine Royer i jej męża Henriego. Joanna dzieliła pokój z Catherine, natomiast Gabriel zamieszkał w drugim pokoju z Henrim. W tej chwili Henri przebywał w swoim sklepie, a Catherine krzątała się we frontowej izbie, która pełniła funkcję kuchni oraz jadalni. Można się tam było także ogrzać przy kominku.

Jeszcze całkiem niedawno Joanna stała przed zamkniętymi drzwiami komnaty, w której przyjmował petentów hrabia de Baudricourt. W końcu zemdłała z zimna i zmęczenia, a Gabriel zaniósł ją do domu Royerów. Kiedy Catherine wysłała go do pokoju Joanny z miską zupy, Gabriel spodziewał się, że zastanie swoją przyjaciółkę wyczerpaną, ale i rozsierdzoną, gotową natychmiast wrócić do zamku de Baudricourta. Ku jego zaskoczeniu, dziewczyna powitała go z twarzą zalaną łzami.

Gabriel przytulił ją tak, jak tuli się dziecko. Pocieszał ją, a zarazem czuł, jak jego samego ogarnia błogi spokój. Joanna przywarła do niego kurczowo i płakała rzewnie, dając upust swojej złości na zbywającego ją ciągle de Baudricourta oraz frustracji wywołanej przedłużającą się beczynnością.

– Dobrzy mieszkańcy Orleanu od października oblegani są przez Anglików. Dzisiaj uderzyli na nieprzyjaciela, próbując zdobyć żywność, ale ponieśli kolejną klęskę. W oblężonym Orleanie głodują dzieci, a ten głupiec, kapitan, nie chce ze mną rozmawiać!

12 lutego 1429 roku, bitwa o śledzie – przypomniał sobie Simon. Tego dnia Francuzi podjęli katastrofalną w skutkach próbę zaatakowania angielskiego konwoju z zaopatrzeniem, dowodzonego przez sir Johna Fastolfa, którego Szekspir sportretował później złośliwie jako wiecznie podpitego birbanta, sir Johna Falstaffa. Bitwa o śledzie wzięła swoją nazwę od znacznych zapasów solonych ryb, które Anglicy przywieźli dla swoich żołnierzy z okazji zbliżającego się Wielkiego Postu. W bitwie tej ciężko ranny został Jean de Dunois, zwany też Orleańskim Bastardem. Joanna już wkrótce miała go poznać.

Simon nie potrafił znaleźć odpowiedzi na pytanie, skąd Joanna wiedziała o tej bitwie.

Gabriela również zaskoczyły jej słowa, ale Joanna wypowiedziała je tak pewnym siebie tonem, że po prostu jej uwierzył.

Po chwili Joanna przestała płakać i wypuściła Gabriela z objęć. Miała opuchniętą od płaczu twarz i zaczerwienione, podkrążone oczy, ale znowu promieniała swoim światłem. Na jego widok Gabriel poczuł, jakby kamień spadł mu z serca. Światło Joanny było mu droższe i bardziej potrzebne niż słońce.

– Czy zechcesz teraz coś zjeść? Zrobisz to dla mnie, Jeanette? To znaczy, Jeanne? – zapytał.

Joanna zerknęła na miskę z zupą i skrzywiła usta.

Od czasu pierwszej wizyty w Vancouleurs dziewczyna porzuciła zdrobnienie Jeanette, pragnęła, by nazywano ją Jeanne Dziewica.

Joanna westchnęła.

– Dla ciebie – powiedziała z ociąganiem.

– Dziękuję. – Gabriel uśmiechnął się z ulgą. – Przyniosę ci trochę chleba i wina.

Wstał z łóżka, na którym siedzieli oboje, po czym podszedł do drzwi i zamarł.

Z frontowej izby dobiegał męski głos... a przecież Henri wciąż jeszcze był w sklepie. Joanna przerwała jedzenie i przez chwilę nasłuchiwała z przechyloną na bok głową. Następnie odstawiała miskę i ruszyła ku drzwiom, jej ruchy były płynne i zdecydowane. Delikatnie odsunęła na bok Gabriela, po czym otworzyła drzwi i przestąpiła próg z taką werwą, jakby nagle odzyskała całą swoją siłę.

W izbie stał jeden z ludzi de Baudricourta, zajęty uprzejmą rozmową z Catherine. Był tak wysoki, że w małym pomieszczeniu sprawiał wrażenie prawdziwego olbrzyma. Kiedy Joanna i Gabriel weszli do izby, odwrócił się w ich stronę. Wyglądał na dziesięć lat starszego od Gabriela, był gładko ogolony, a w jego oczach błyszczały wesołe iskierki. Patrząc na jego twarz, miało się wrażenie, że często gości na niej uśmiech.

– A oto i ta mała jędra, którą przyszedłem odwiedzić – zawołał pogodnie. – Słynna La Pucelle, nękająca mojego pana, kapitana de Baudricourta.

Zanim Joanna zdążyła się zrewanżować jakąś kąśliwą uwagą, odezwała się Catherine:

– Jeanne, Gabrielu, to jeden z giermków hrabiego de Baudricourta, Jean de Metz. Przyszedł z tobą porozmawiać.

Catherine poprosiła de Metza, by zechciał usiąść. Joanna wyprostowała się dumnie, splotła ramiona na piersiach i w milczeniu przyglądała się młodemu mężczyźnie gniewnym wzrokiem.

De Metz wydawał się rozbawiony jej zachowaniem. Odchylił się na oparcie krzesła i wyciągnął nogi w kierunku ognia, a błakający się na jego wargach lekki uśmiech zamienił się w szeroki. Po chwili de Metz wydał z siebie nieco teatralne westchnienie.

– Moje drogie dziewczę... co ty tu właściwie robisz? Nie sądzisz, że nasz król zmuszony będzie niedługo uchronić ze swojego królestwa, a my wszyscy będziemy już wkrótce rozmawiać ze sobą po angielsku?

Gabriel usłyszał cichy pomruk, jaki wyrwał się z ust Joanny, i powściągnął uśmiech cisnący mu się na usta. Jean de Metz nie zdaje sobie sprawy, z kim ma do czynienia.

– Przybyłam do Vancouleurs, gdzie rzekomo miłuje się naszego delfina, żeby rozmówić się z panem Robertem de Baudricourtem. Zamierzałam go prosić, by udał się ze mną do króla albo żeby dał mi eskortę na czas mojej podróży do Chinon. Ale pan de Baudricourt mnie lekceważy i nie zwraca uwagi na moje słowa. – Joanna mówiła powoli i wyraźnie, tak jakby przemawiała do dziecka. – A jednak, zanim minie połowa Wielkiego Postu, muszę stanąć u boku króla i uczynię to, choćbym nawet miała zedrzeć nogi aż do samych kolan!

– Droga do Chinon jest długa – odezwał się ponownie de Metz. – Dwanaście dni, a może i dwa tygodnie. Za dnia mogliby cię napaść Anglicy albo ich burgundzcy sojusznicy. Z kolei nocami grasują po gościach różni niegodziwcy, którzy szukają pieniędzy. Albo dziewczic, takich jak ty.

De Metz powiódł powoli wzrokiem po ciele Joanny. Gabriela na ten widok ogarnął gniew, ale Joanna zachowała kamienną twarz. Szybkim krokiem podeszła do giermka de Baudricourta, który wstał z krzesła i patrzył teraz na nią z góry.

Joanna zadarła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie boję się. Jeśli na mojej drodze staną żołdacy albo bandyci, Bóg mnie ochroni.

– Och, jesteś bardzo pewna siebie, co?

– Słyszałeś, co mówią prorocтва – odparła Joanna. – Francję zgubi kobieta, a ocali ją dziewica z Lotaryngii. Niegodziwa królowa Izabela podpisała traktat w Troyes i oddała Francję w ręce chłopca, który zasiada na angielskim tronie. – Oczy Joanny miały płomień. – A ja pochodzę z Lotaryngii.

– Nie jesteś pierwszą, która mieni się Dziewicą z Lotaryngii – zaczął de Metz.

Joanna nie zamierzała tego słuchać.

– Urodziłam się po to, by wypełnić te prorocтва. Na całym bożym świecie nie ma nikogo, ani króla, ani księcia, ani żadnego innego człowieka, który mógłby odzyskać francuskie królestwo. Jeśli ja nie pomogę Francji, to nikt jej nie pomoże!

Jej melodyjny głos rozbrzmiewał teraz wyjątkowo donośnie. De Metz wciąż jednak spoglądał na nią z góry z nieznośnie szyderczym uśmiechem na ustach.

– Czy to twoi bracia nabili tę śliczną główkę marzeniami o bitwach i wojnach?

Joanna zaśmiała się gorzko.

– Wolałabym zostać z moją biedną matką w Domrémy i prząść na kołowrotku. Wojna to nie moja dziedzina. Ale muszę iść i zrobić to, czego chce ode mnie Bóg.

Jej słowa były równie mocne jak głos, którym je wypowiedziała, a bijące od niej światło, ten cudowny blask, na widok którego Gabrielowi zawsze rosło serce, jaśniało teraz intensywniej niż kiedykolwiek. Z przystojnej twarzy de Metz zniknął nagle niefrasobliwy uśmieszek, przejęła go radość, a także inne niezwykle głębokie uczucie. Ku zaskoczeniu Catherine, Gabriela, a nawet samej Dziewicy, de Metz uklęknął przed Joanną na jedno kolano.

– La Pucelle – powiedział z powagą w głosie. – Ofiarowuję ci moje ręce na znak wiary, jaką w tobie pokładam. Zaprowadzę cię przed oblicze mojego pana hrabiego de Baudricourta i przysięgam na honor, że dopilnuję, byś bezpiecznie dotarła na dwór delfina.

De Metz złożył dłonie niczym do modlitwy i wyciągnął je ku Joannie, której twarz

rozgorzała takim blaskiem, że Gabriel z trudem powstrzymał się przed odwróceniem od niej wzroku. Joanna objęła swoimi dłońmi dłonie de Metza. Był to tradycyjny gest, jakim senior przyjmował przysięgę wierności składaną przez wasala. Zarówno Gabriel, jak i Simon poczuli, jak jeżą im się włoski na rękach.

W przypadku Gabriela była to reakcja na hołd, jaki złożył Joannie Jean de Metz. W przypadku Simona chodziło o coś zupełnie innego.

Blask bił jednak nie tylko od pięknej twarzy Joanny. W rękawie szaty de Metza, widoczne jedynie dla oczu tych nielicznych, którzy potrafili dostrzegać więcej niż zwykli ludzie, ukryte było coś, co połyskiwało.

Coś ostrego. Coś śmiertelnie niebezpiecznego.

Klinga ukrytego ostrza.

Jean de Metz był asasynem.

6

– Czy ty to widzisz? – wykrzyknął Simon, zanim zdążył się powstrzymać. I w tej samej chwili gorzko tego pożałował, bo obraz zaczął wykrzywiać się i falować, a kolory wyblakły i przeszły w szarości. Jednocześnie głowę Simona przeszły ostry ból, zupełnie jakby ostrze de Metza przebiło mu skroń.

Chwilę później był już poza symulacją. Zlany potem, z szeroko otwartymi oczami i z tłukącym się w piersi sercem. Victoria zdjęła mu z głowy hełm i cmoknęła z dezaprobatą.

– Jesteś gorszy od moich najmłodszych podopiecznych. Czasami za bardzo dajesz się ponieść emocjom.

Simon, który uważał się za bardzo opanowanego, w pierwszej chwili poczuł się dotknięty. Ale szybko pojął, że Victoria ma rację.

Już w dzieciństwie lubił historię, czy też raczej prawdziwe „historie”, które pociągały go bardziej niż bajki. Historia towarzyszyła mu także w dorosłym życiu. Teraz uświadomił sobie, że jego zamiłowanie do historii wynikało po części z tego, że była ona czymś odległym. Historyczne wydarzenia można było badać, analizować, ale nie można było ich doświadczać. W każdym razie nie w taki sposób, w jaki doświadczał ich obecnie. Simon powoli zaczynał zdawać sobie sprawę, jak przemożny wpływ wywierają na niego symulacje w Animusie.

To wina Gabriela – pomyślał.

– No więc, co tak bardzo cię podekscytowało, że musiałeś doprowadzić do desynchronizacji? – zapytała Victoria, unosząc ramiona Simona i uwalniając go z objęć Animusa.

– Jean de Metz miał ukryte ostrze – odparł ze spokojem.

Victoria gwałtownie uniosła głowę. Otworzyła szeroko oczy, a na jej twarzy odmalowała się autentyczna radość.

– Asasyn! Och, Simonie, to naprawdę wspaniała wiadomość!

– Pluję sobie w brodę, że wcześniej o tym nie pomyślałem – wyznał. – Joanna była fascynującą postacią. To oczywiste, że musiała wzbudzić zainteresowanie zarówno asasynów, jak i templariuszy. Prawdopodobnie i jedni, i drudzy przyglądali się uważnie każdemu, kogo działania nosiły znamiona wypełniania prorocत्व. Wygląda na to, że mamy szansę nie tylko dowiedzieć się czegoś więcej na temat dwudziestego piątego Fragmentu Edenu i przyjrzeć się bliżej dwojgu z DNA Prekursorów, ale także poszerzyć naszą wiedzę o działaniach asasynów w piętnastym wieku.

– Czyli zyskujesz dodatkowy argument, którym będziesz mógł przekonać Rikkina

do twojego podejścia do pracy – podsumowała Victoria, odpinając ostatnią klamrę. Odsunęła się na bok, by Simon mógł wyjść z Animusa.

Wciąż jeszcze był roztrzęsiony, a jego serce biło przyspieszonym rytmem. Pozwolił Victorii zaprowadzić się do krzesła i przyjął podaną mu szklanke wody.

Victoria sięgnęła tymczasem po laptop i zaczęła przeglądać zapisane na dysku dane.

– Wyglądasz na zadowoloną. Może nawet bardziej ode mnie – zauważył Simon.

– Dlaczego miałabym nie być zadowolona? – odparła z uśmiechem i przysunęła swoje krzesło bliżej Simona.

– Masz jakieś przypuszczenia odnośnie do tego, kto jeszcze mógł być asasynem albo templariuszem w tamtych czasach? – zapytał, wyciągając szyję i zerkając na ekran laptopa. – Jeśli tak, to powinniśmy uwzględnić to w naszych badaniach.

– Cóż – Victoria wodziła palcami po panelu dotykowym laptopa – to były niespokojne czasy. Upłynęło zaledwie nieco ponad sto lat od egzekucji Jakuba de Molaya. Po jego śmierci Zakon ogarnął zamęt.

Zamęt. Trafne określenie. Zakon Templariuszy, w przeszłości tak potężny, pogrążył się w chaosie – zwłaszcza we Francji. Francuscy templariusze musieli ratować się ucieczką, a asasyni wykorzystali sytuację, tropiąc swoich odwiecznych wrogów i eliminując ich, jednego po drugim. Ale nic nie mogło powstrzymać odrodzenia Zakonu, który stopniowo odzyskiwał utracone wpływy i powracał do Europy z Wysp Brytyjskich, gdzie templariusze znaleźli bezpieczną przystań w okresie najgorszych prześladowań.

– Francja była cenną zdobyczą i templariusze za wszelką cenę chcieli ją dla siebie. Asasynom bardzo zależało na tym, by im to uniemożliwić – wtrącił Simon.

– Niestety, nie dysponujemy zbyt wieloma nazwiskami z tamtego okresu – ciągnęła Victoria. – Bardzo wiele informacji przepadło. Jedno nie ulega wątpliwości: upadek potęgi Zakonu i spalenie de Molaya na stosie jako heretyka uradowało asasynów. Nie zamierzali dopuścić, by Francja stała się dla templariuszy przyczółkiem do dalszej ekspansji i odbudowy silnej pozycji w Europie. Z punktu widzenia Bractwa Francja musiała pozostać francuska. Dla templariuszy, którzy posiadali spore wpływy w Anglii, byłoby znacznie korzystniej, gdyby francuskie ziemie znalazły się pod kontrolą Anglików. Anglicy i Burgundczycy gotowi byli zrobić wszystko, by zdyskredytować delfina. I wszystkich, którzy mu sprzyjali.

– Na przykład naszą Joannę.

Bibeau kiwnęła głową.

– No dobrze... Jeśli chodzi o ówczesnych templariuszy, jest jeden, którego tożsamości jesteśmy absolutnie pewni. – Wskazała na portret mężczyzny, na widok którego entuzjazm Simona nieco osłabł.

– Ach, on. Uroczy gość.

Simon miał już wcześniej sposobność zapoznać się z faktami z życia mężczyzny z portretu. Nieżyjący, i niespecjalnie przez Simona opłakiwany, Warren Vidic, wyjątkowo inteligentny i równie bezwzględny twórca Animusa, podczas prac nad technologią odczytywania genetycznych wspomnień zbadał swoje własne wspomnienia. Okazało się, że jego przodkiem był człowiek niemal równie

odpychający jak on sam: Geoffroy Thérage, jeden z katów Joanny d'Arc.

– Jedna z bardziej upiornych pogłosek na temat Joanny głosiła, że jej serce nie chciało się spalić – przypomniała Hathawayowi Victoria. – Niektórzy świadkowie kaźni twierdzili, że widzieli je nienaruszone pośród popiołu i prochów, jakie pozostały po spaleniu Joanny na stosie. Thérage zebrał prochy przyszłej świętej, a wraz z nim także owo na pozór magiczne, ognioodporne serce, po czym wrzucił wszystko do Sekwany. Dzięki temu wrogowie Joanny zyskali pewność, że żadne relikwie męczenniczki nie staną się dla nich w przyszłości źródłem problemów. Cóż za ironia losu. Potomek Therage'a, a właściwie to każdy templariusz dałby dziś wiele za możliwość zbadania DNA Joanny. Myśl o tym, że jego własny przodek wyrzucił serce męczennicy do rzeki, musiała doprowadzać Vidica do szału.

Simon był Anglikiem, podobnie jak Therage. Ogarnęło go teraz nieprzyjemne poczucie, że jako brytyjski templariusz znajduje się w tym przypadku po niewłaściwej stronie historycznej barykady. Victoria wyrwała go z zamyślenia, dotykając lekko jego ramienia.

– Robi się późno.

– Nie tak bardzo.

– Wykonałeś dziś kawał dobrej roboty, ale twój mózg potrzebuje teraz czasu, by przetrawić to, czego się dowiedziałeś. Pierwsze dni w Animusie zawsze są wyczerpujące.

Simon zamierzał protestować, ale ostatecznie westchnął i dał za wygraną.

– Domyślałem się, że to polecenie lekarza, a nie tylko przyjacielska sugestia?

– Obawiam się, że tak. Dzisiejszej nocy możesz mieć bardzo interesujące sny. Postaraj się zapamiętać jak najwięcej i zanotuj wszystko, kiedy się obudzisz. Czasami sen pobudza pamięć wtórną.

Simon bezskutecznie spróbował powstrzymać ziewnięcie.

– Moje własne ciało mnie zdradziło – poskarżył się. – W porządku, jak sobie życzysz. Zamówię w Temp's zestaw Hard@Work i poproszę, żeby dostarczyli go jutro do mojego biura. Spotkajmy się tam z samego rana, dobrze?

– Z samego rana.

Alan Rikkin zamknął drzwi swojego gabinetu i nalał do kieliszka małą porcję brandy. Chciał podać go Bibeau, ona jednak grzecznie odmówiła.

– Poczyniliśmy już spore postępy – zaczęła, ale Rikkin przerwał jej, unosząc dłoń.

– Wszystko w swoim czasie – powiedział. – Wpierw chciałbym się dowiedzieć, co pani sądzi o Hathawayu. Jest pani moimi oczami i uszami, jeśli chodzi o naszego nowego szefa Działu Badań Historycznych oraz świeżo upieczonego członka Wewnętrznego Sanktuarium. Jak z pewnością zdążyła już pani zauważyć, Hathaway jest, że się tak wyrażę, pełen entuzjazmu.

– Pańskie zaufanie bardzo mi pochlebia – zapewniła Bibeau. – To dla mnie zaszczyt, że mogę panu pomóc. I jeśli mam być szczerą, wolę nadmiar entuzjazmu niż jego brak.

Rikkin przyglądał się jej przez chwilę, poruszając delikatnie kieliszkiem, by w pełni wydobyć bukiet bursztynowego trunku, po czym upił niewielki łyk. Doktor Victoria

Bibeau siedziała na krześle przed jego biurkiem i cierpliwie czekała. W końcu Rikkin wrócił na swój fotel, stuknął palcem w klawiaturę, a następnie odwrócił ekran monitora w stronę Bibeau. Kobieta zbladła i spuściła oczy, utkwivszy wzrok w swoich splecionych dłoniach.

Na ekranie widniała fotografia przedstawiająca mężczyznę, który mógł mieć kiedyś całkiem przyjemną aparycję, ale w chwili, w której wykonano zdjęcie, wyglądał przerażająco. Jego ciało podziurawione było kulami, otwarte oczy i usta zastygły w grymasie przerażenia lub wściekłości, a może jednego i drugiego. W zaciśniętych kurczowo dłoniach trzymał podarte kawałki papieru.

– Czy jest pani tego absolutnie pewna, pani doktor?

Bibeau wzięła głęboki oddech i zmusiła się, by ponownie spojrzeć na pełne grozy zdjęcie.

– Robert Fraser był całkiem normalnym człowiekiem – kontynuował Rikkin. – Uzdolnionym artystą amatorem, wnikliwym obserwatorem, lojalnym pracownikiem. On także podchodził do swojej pracy z ogromnym entuzjazmem.

– Pan Fraser nie był templariuszem ani tym bardziej członkiem Wewnętrznego Sanktuarium – odparła Bibeau. – Profesor Hathaway jest znacznie bardziej zrównoważony psychicznie.

– A jednak muszę powtórzyć moje pytanie... czy jest pani tego pewna? Fraser uległ zbyt silnej fascynacji ekscytującym życiem asasy na Arna Doriana. Do tego doszła jeszcze obsesja związana z niefortunnym romansiem Doriana. A teraz do Animusa wszedł Hathaway, żarliwy pasjonat historii, który bada losy Joanny d'Arc, wcielając się w zadurzonego w niej nastolatka. To... budzi obawy.

Bibeau, słysząc to, cała zeszywniała.

– Zdaję sobie sprawę z tego, w jakim stopniu przyczyniłam się do tragedii Roberta Fräsera. Bardziej niż komukolwiek zależy mi na tym, by coś podobnego już nigdy się nie powtórzyło. Zwłaszcza w przypadku tak cennej dla Zakonu osoby, jaką jest Simon Hathaway.

Rikkin uśmiechnął się życzliwie, a z jego głosu zniknął zimny, konfrontacyjny ton.

– Pani również jest cenna dla Zakonu, doktor Bibeau. Zależy mi na tym, by żadne z was nie ucierpiało. I właśnie dlatego poleciłem, by informowała mnie pani o przebiegu waszych prac. Dzięki temu, jeśli tylko pojawią się jakieś problemy, będziemy mogli szybko i skutecznie zdusić je w zarodku.

Bibeau podniosła wzrok i spojrzała Rikkinowi w oczy.

– Oczywiście. Jeśli tylko nabiorę jakichkolwiek podejrzeń, niezwłocznie pana o tym poinformuję.

Rikkin nie przestawał się uśmiechać.

– Zważywszy na to, o jak wysoką stawkę idzie gra, czujność jest... wysoce wskazana. A teraz do rzeczy. Zdaje się, że wspomniała pani o sporych postępach?

– Tak jest, proszę pana. I to na kilku obszarach. Po pierwsze, wygląda na to, że Joanna d'Arc posiadała wyjątkowo duży procent DNA Prekursorów. – Bibeau opisała charyzmę Joanny oraz to, w jaki sposób dziewczyna potrafiła wpływać na innych.

Rikkin słuchał uważnie.

– To bardzo ciekawe – stwierdził w końcu. – Szkoda, że nie zostawiła po sobie potomków.

– Po drugie – podjęła Bibeau – jeden z popleczników Joanny okazał się asasynem.

– Tylko jeden? – Rikkin uniósł lekko brwi. – Biorąc pod uwagę ówczesny klimat polityczny, spodziewałem się, że będzie ich znacznie więcej.

– W przypadku tego jednego mamy stuprocentową pewność. Ale zgadzam się, że prawdopodobnie natkniemy się na kolejnych. Kiedy to sobie uświadomiłam, porównałam dostępne informacje na temat sytuacji politycznej we Francji w roku 1429 z informacjami uzyskanymi podczas poprzednich badań prowadzonych w Animusie. Jeśli moje przewidywania są trafne, istnieje ponadosiemdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że Joanna i Gabriel zetkną się z Mentorem.

Rikkin odchylił się na oparcie fotela i spojrzał na swoją rozmówczynię z uznaniem.

– To może dla nas nadzwyczaj ważne – przyznał. – Wiemy, że na początku dwunastego wieku Mentorem Bractwa był Thomas de Carneillon. Nie dysponujemy żadnymi informacjami na temat kolejnych Mentorów, aż do czasów Ezia Auditore, ponad dwieście lat później. Nie byłbym zaskoczony, gdyby jakiś Mentor ujawnił się właśnie podczas wojny stuletniej.

– Potwierdzałyby to słuszność tezy profesora Hathawaya o potrzebie prowadzenia szerzej zakrojonych badań – zauważyła Bibeau. – Przystępując do pracy nad projektem, wiedzieliśmy tylko tyle, że Joanna była przez pewien czas w posiadaniu Miecza Edenu, który został jej później odebrany. Nie wiedzieliśmy ani o jej powiązaniach z asasynami, ani o wyjątkowości jej DNA.

– Rozumiem i przyjmuję to do wiadomości. Ale... wciąż nie odnaleźliście miecza.

– Usta Rikkina ponownie rozciągnęły się w uśmiechu. – Zostało wam jeszcze pięć dni, pani doktor. Wykorzystajcie je dobrze.

*

Rodrigo Lima, bezpośredni przełożony Anayi, zajrzał do biura, które dzieliła z dwoma współpracownikami.

– Zdaje się, że na twoim stanowisku nie przysługuje ci jeszcze własny gabinet – stwierdził, spoglądając wymownie na dwa puste biurka. – Nie płacimy ci za nadgodziny.

– I kto to mówi – odparła z uśmiechem Anaya. – Ty też siedzisz tu po godzinach.

– Tak, ale ja właśnie wychodzę. A ty najwyraźniej nie.

– Nie martw się, nie dybię na twoją posadę. Zbyt dobrze sprawdzasz się w roli szefa.

Rodrigo wyszczerzył zęby w uśmiechu, opierając się o futrynę.

– To dobrze, bo lubię swoją posadę. A częścią moich obowiązków jest dbanie o moich ludzi. – Uśmiech na jego twarzy przygasł nieco. – Ta praca potrafi dać w kość, a ja nie chciałbym, żebyś się wypaliła. Abstergo cię potrzebuje. Więc nie siedź tu zbyt długo, dobrze?

Anaya skinęła głową

– Dobrze, mamó.

Rodrigo przewrócił oczami i zamknął za sobą drzwi.

Anaya mówiła poważnie: Rodrigo to najlepszy szef, jakiego można sobie wyobrazić. Był wymagający, ale sam pracował równie ciężko jak jego podwładni; łączył brazylijską serdeczność z doświadczeniem i talentem do motywowania członków swojego zespołu. Abstergo potrzebowało Rodriga.

Ale... czy Abstergo potrzebowało tu jej?

Wielokrotnie już zadawała sobie to pytanie. Po raz kolejny weszła na oficjalną stronę internetową Abstergo i kliknęła na zakładkę „kariera”, a następnie wprowadziła swój indywidualny kod dostępu. Na ekranie wyświetliła się lista posad dostępnych wyłącznie dla członków Zakonu. Anaya zaczęła przewijać listę, aż w końcu znalazła to, czego szukała. Ogłoszenie wisiało na stronie już od trzech tygodni.

„Dyrektor, Bezpieczeństwo Informacji: Montreal”.

Wszyscy byli zgodni, że Abstergo Entertainment to przyjemne miejsce do pracy. Jednocześnie obiegowa opinia głosiła, że z punktu widzenia kariery korzystniej jest zajmować niższe stanowisko w Londynie, Madrycie albo w Tokio niż wysokie stanowisko w AE-Montreal – oddziale firmy, o którym nie było nawet wzmianki na głównej stronie Abstergo... Mimo to Anaya poważnie się nad tym zastanawiała. W londyńskim biurze nie miała już właściwie żadnej realnej możliwości awansu, zaszła tak wysoko, jak było to możliwe bez konieczności zdezonizowania Rodriga. A na przejęcie jego posady nie miała najmniejszej ochoty.

Anaya wzięła głęboki oddech. Nie chciała być staroświecka, ale przypadkowe spotkanie z Simonem wytrąciło ją z równowagi bardziej, niż mogła się tego spodziewać. Zważywszy na ścisłe powiązania między działem Bezpieczeństwa a departamentem Animusa, takie spotkania z pewnością będą się teraz zdarzać znacznie częściej. Nie rozstali się w gniewie. Anaya sądziła, że byłoby jej łatwiej, gdyby tak właśnie się stało. Ale nie, ich związek po prostu... umarł. Nie można nawet powiedzieć, że się wypalił – od początku nie było w nim żaru. W każdym razie nie po stronie Simona.

Ale w niej iskra namiętności tliła się jeszcze na tyle mocno, że na widok twarzy Simona poczuła nieprzyjemne ukłucie w sercu.

Poza tym w Montrealu mogłaby znowu rozmawiać po francusku. Zanim przeniosła się do Londynu, pracowała w paryskim oddziale firmy i teraz brakowało jej brzmienia tego języka.

Anaya uśmiechnęła się do siebie. Cała jej dotychczasowa kariera zawodowa opierała się na podejmowaniu śmiałych decyzji, za to poza pracą zawsze obawiała się zmian. Jak to się mówi?

– Fortuna sprzyja odważnym – wymamrotała pod nosem i kliknęła „aplikuj online”.

DZIEŃ 3

Zestaw na wynos pod nazwą Hard@Work wymyśliły kilka lat wcześniej tęższe od Simona głowy i teraz cieszył się ogromną popularnością wśród klientów Temp's. Simon podziękował dziewczynie, która dostarczyła koszyk z prowiantem do jego gabinetu, i wręczył jej sowity napiwek. Pomyślał przy tym, że prawdopodobnie spałaszuje wszystko do ostatniego okruszka jeszcze przed przyjściem Victorii.

Victoria poleciła mu zwrócić szczególną uwagę na sny. Wszystko wskazywało na to, że Simon miał za sobą pracowitą noc, bo obudził się wyczerpany. Nie zapamiętał wprawdzie żadnych szczegółów, ale czuł się niespokojny i podenerwowany. Postanowił udać się do biura wcześniej niż zwykle i zająć pracą w oczekiwaniu na przybycie Victorii. Wysłał do niej SMS na wypadek, gdyby ona także wcześniej wstała.

Posiłając się przy biurku, wertował kolejne tomy w poszukiwaniu wszelkich przydatnych informacji, musiał przy tym uważać, by zawartość koszyka Hard@Work nie wylądowała na delikatnych kartach starodruków.

Co jakiś czas niedbale notował nasuwające mu się pytania: *Co z delfinem? Gdzie templariusze? Który cholerny miecz???*

Victoria zjawiła się punktualnie o dziewiątej.

– Jeśli masz ochotę coś przekąsić, to pomimo moich wysiłków została chyba jeszcze jakaś muffinka i trochę herbaty – poinformował, wskazując koszyk.

Victoria rozsiadła się wygodnie na skórzanej sofie.

– Dziękuję, przyniosłam sobie kawę – powiedziała, unosząc duży papierowy kubek.

– Kawa to diabelski wynalazek.

– Ale też diabelnie skuteczny. – Victoria wzruszyła ramionami i uważnie przyjrzała się Simonowi. – Wyglądasz na zmęczonego.

– Miałem męczące sny – wyjaśnił. – Ale kiedy wrócimy do Animusa, poczuję się jak nowo narodzony.

Usiadł na sofie obok Victorii i wręczył jej swoje notatki, by mogli wspólnie je przejrzeć.

– No dobrze. Oto, co czeka naszą Joannę. De Metz zorganizował jej spotkanie z de Baudricourtem. Ten de Baudricourt to całkiem cwany gość. Odesłał Joannę do swojego seniora księcia Lotaryngii Karola. Księżę chętnie zgodził się ją przyjąć.

– Myślisz, że mógł być asasynem?

– To bardzo wątpliwe – wywodził Simon, podczas gdy Victoria sięgnęła po swój tablet i zaczęła wpisywać dane. – Przyjrzałem mu się dokładnie przez ostatnią godzinę. W 1429 roku miał sześćdziesiąt pięć lat i był dość poważnie chory. Nawiasem mówiąc, to mógł być główny powód, dla którego zgodził się spotkać z Joanną. Krążyły wówczas liczne pogłoski na temat prorocstwa i Karol mógł liczyć na to, że Joanna w cudowny sposób go uzdrowi. Niestety dla księcia Joanna ograniczyła się do przedstawienia żądania, by zięć Karola René wraz z grupą innych rycerzy towarzyszył jej w podróży do Chinon. Na koniec zrugła jeszcze księcia za niemoralne prowadzenie się, kazała mu odprawić kochankę i wrócić do żony.

– Ha! Posłuchał jej?

– Nie, ale zgodził się na jej wyjazd do Chinon i dał eskortę. Szczerze mówiąc, gdybym to ja był na jego miejscu i gdyby ta mała złośnica ośmieliła się palnąć mi taką przemowę, zachowałbym się dokładnie tak samo jak Karol. Spotkanie z Joanną było prawdopodobnie najlepszą rozrywką, jakiej staruszek zaznał od wielu lat.

– A zatem kolejny etap to wyjazd Joanny i jej świty do Chinon?

– Niezupełnie. Zanim wyruszą... będziemy mieli okazję zobaczyć pierwszy miecz Joanny.

Wtorek 22 lutego 1429 roku

Wieści o Dziewicy z Lotaryngii szerzyły się w Vaucouleurs od pierwszej wizyty Joanny w tym mieście, w maju 1428 roku. Czarnowłosa dziewczyna o niesamowitych oczach czekała wtedy uparcie na spotkanie z de Baudricourtem. Jednocześnie chętnie rozmawiała z każdym, kto tylko zechciał słuchać o jej powołaniu i o sprawie, za którą zamierzała walczyć. Rezultat był taki, że kiedy Joanna rok później powróciła z Nancy, mieszkańcy Vaucouleurs zorganizowali zbiórkę odzieży i żywności, by Dziewica z Lotaryngii mogła kontynuować swoją misję.

Joanna, Jean de Metz oraz drugi giermek, Bertrand de Poulengy, od dłuższego już czasu byli na audiencji u hrabiego de Baudricourta. W końcu drzwi prowadzące do sali audiencyjnej otworzyły się i stanęła w nich Joanna ubrana w męską tunikę i rajtuzy, z włosami ściętymi krótko na żołnierską modłę. Na jej widok serce Simona na moment zamarło.

To Jean de Metz zasugerował, by Joanna przywdziała męski strój. Początkowo wydało się to Gabrielowi dziwne, ale po namyśle musiał przyznać, że takie rozwiązanie miało sens. Czekala ich podróż przez niebezpieczne okolice. Joanna na pierwszy rzut oka przypominająca mężczyznę zwracała na siebie mniejszą uwagę. Poza tym suknia utrudniałaby jej jazdę na koniu. Joanna stała teraz z zaczerwienionymi policzkami, wyraźnie skrępowana wiwatami, jakie wznosił na jej cześć zgromadzony na dziedzińcu tłum. Gabriel przecisnął się przez ciżbę i zbliżył do Joanny, prowadząc za ude zadbanego, łagodnego gniadosza. Zauważył, że jego przyjaciółka z trudem powstrzymuje napływające do oczu łzy.

– To od mojego papy – powiedział, wskazując na konia, a Simon poczuł, jak dumny jest chłopiec ze swojego ojca.

Joanna odszukała w tłumie twarz Duranda i w przypływie wzruszenia uniosła dłoń do ust.

– Gabrielu, twoja rodzina... ci wszyscy dobrzy ludzie... nie możecie sobie pozwolić...

– Dziewico – odezwał się de Baudricourt – nie kłopotz się szczodrością swego kuzyna i zacnych mieszkańców Vaucouleurs. Pokryję wszystkie koszty, jakie ponieśli, powodowani miłością do ciebie oraz wiarą w twoją misję.

Piękne słowa – stwierdziła Victoria – *ale zdaje się, że pan hrabia nie podziela tych uczuć.* Istotnie, de Baudricourt nie wyglądał na zachwyconego. Simon przypomniał sobie, że Joanna nazwała kiedyś hrabiego Skwaszoną Gębą – teraz to określenie wydało mu się wyjątkowo trafne. Z kolei Jean de Metz sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego. Na znak swojego pana postąpił kilka kroków naprzód. W wyciągniętych rękach trzymał przedmiot owinięty w tkaninę w czarno-złoty barwach rodu de Baudricourtów.

– Powierzam cię w dobre i troskliwe ręce, Dziewico – oświadczył de Baudricourt – i modłę się, abyś bezpiecznie dotarła przed oblicze naszego króla. Ofiarowuję ci też twój pierwszy oręż. Obyś nigdy nie musiała go dobywać, ale jeśli już to uczynisz, niechaj dobrze ci służy.

Ciało Simona napięło się niczym struna. Miecz, który spoczywał obecnie w gabinecie Rikkina, był bezcennym, idealnie zachowanym antykiem, ale też niczym więcej. Nie posiadał żadnej mocy, która wyróżniałaby go spośród wszystkich innych mieczy. Jeśli to właśnie ten miecz trzymał teraz w dłoniach de Metz, to czy będzie wyglądał inaczej niż w gablocie Rikkina? Czy Simon będzie w stanie dostrzec jego wyjątkowość już na pierwszy rzut oka, czy też może Miecz Edenu ujawniał swoje niezwykle właściwości dopiero wtedy, gdy ktoś się nim posłużył?

Opadł ostatni skrawek tkaniny okrywającej broń.

Joanna ujęła rękojeść miecza i uniosła go w górę, a tłum zaczął ekstatycznie wiwatować.

Simon nie miał żadnych wątpliwości, to nie był Fragment Edenu numer 25. *Cholera.*

– Jedźcie więc! – zawołał de Baudricourt do Joanny i towarzyszących jej mężczyzn, którzy dosiedli koni i skierowali się w stronę zamkowej bramy. – Niech stanie się to, co ma się stać!

Faktycznie, niech się stanie – pomyślał ponuro Simon. – *Moja degradacja, a może i coś gorszego.*

Z asasynem Jeanem de Metzem po swojej lewej stronie i z wiernym Gabrielem po prawej Joanna przejechała przez bramę zwaną Bramą Francji, wkracząc tym samym na karty historii. Doznany zawód popsuł jednak Simonowi całą radość z bycia świadkiem tego szczególnego momentu. Za to Gabriel był szczęśliwy. Przynajmniej na razie.

Przykro mi, Simonie – zabrzmiał głos Victorii.

Widok zasnęła mgła i Simon odetchnął z ulgą. Raził go przesadnie optymistyczny nastrój towarzyszący wyjazdowi Joanny z Vaucouleurs, wiedział, że radosne

oczekiwanie przerodzi się niedługo w gorycz rozczarowania – już wkrótce te dwie niewinne istoty miały doświadczyć koszmaru wojny i poczuć ból zdrady.

Po chwili obłoki mgły zaczęły przybierać konkretne kształty. W chłodnym świetle przybywającego księżyca widoczna była pokryta śniegiem ziemia, a na tle nocnego nieba rysowała się niewyraźna jeszcze sylwetka jakiegoś budynku. Mgliste kształty stawały się stopniowo coraz bardziej czytelne i szczegółowe. Simon wiedział już, że ma przed sobą kościół, świadczyły o tym kolorowe witraże w niewielkich oknach, oświetlone od wewnątrz blaskiem świec. Wkrótce po mgle nie było już śladu. Jedynie z ust Joanny i Gabriela przy każdym ich oddechu wydobywały się obłoczki pary. Nie była to godzina jutrzni, a mimo to oboje obudzili się ze snu jednocześnie, jakby na wezwanie, a teraz szli po śniegu w stronę kościoła.

Podróż z Vaucouleurs do Chinon zabrała Joannie i jej towarzyszącej jedenasty dzień. Chociaż przebyli ponad czterysta mil i po drodze musieli omijać wiele miast zajętych przez nieprzyjaciela, to zgodnie z zapowiedziami Joanny udało im się bezpiecznie dotrzeć do celu.

Tę noc mogli bez obaw spędzić w wygodnej kwaterze, gdyż leżące nieopodal Chinon miasteczko Sainte-Catherine-de-Fierbois znajdowało się pod kontrolą wojsk króla Francji. Poprzednie noce musieli jednak spędzać pod gołym niebem, obozując na polach albo w lasach. Czasami, gdy Joanny nie było w pobliżu, zbrojni z eskorty wymieniali sprośne uwagi na jej temat i przechwalali się, co by z nią zrobili, gdyby nie przysięgli jej strzec. Kiedy Gabriel po raz pierwszy usłyszał ich przechwałki, ogarnął go gniew. Zerwał się na równe nogi, ale Jean de Metz pohamował go i uspokoił.

– Czekaj i obserwuj – powiedział cicho do swojego młodszego towarzysza. – Przysięgam na moje życie, że odetnę rękę każdemu, kto ośmieli się ją tknąć w nieprzyzwoity sposób.

Joanna tymczasem podeszła bliżej i usiadła pomiędzy ludźmi z eskorty. Sprawiała wrażenie beztroskiej i spokojnej, tak jakby znalazła się w otoczeniu swoich najbliższych, a nie pośród gromady młodych, silnych mężczyzn, którzy zaledwie parę chwil wcześniej omiatali łakomym wzrokiem krągłości jej ciała, jakich nie było w stanie ukryć jej męskie przebranie. Bliskość Joanny wywołała w żołnierzach nagłą przemianę, przestali patrzeć na nią z pożądaniem, a lubieżne grymasy ustąpiły miejsca szczerym i serdecznym uśmiechom. Nawet ich język, dotąd grubiański, stał się uprzejmy i obyczajny. Gabriel przyglądał się temu w zdumieniu, a potem spojrzął na de Metz, unosząc pytająco brwi.

– Wiedziałem, że tak będzie, bo ze mną dzieje się to samo – powiedział uśmiechnięty de Metz. – Joanna jest piękna i zgrabna, ale... kiedy jesteś blisko niej, nie pragniesz już niczego więcej.

Gabriel skinął głową, po czym ponownie zaczął przyglądać się Joannie, uśmiechającej się z ufnością do otaczających ją mężczyzn. I chociaż Gabrielowi trudno było w to uwierzyć, wyglądało na to, że jest pośród nich całkowicie bezpieczna. Sama Joanna uznawała to najwyraźniej za coś zupełnie oczywistego.

Drzwi kościoła w Sainte-Catherine-de-Fierbois były otwarte i Joanna z Gabrielem

weszli do środka. Za dnia odprawiono tam mszę świętą – dla Joanny i jej towarzyszy była to dopiero druga msza, w jakiej mieli okazję uczestniczyć od wyjazdu z Vaucouleurs. Po nabożeństwie Joanna podyktowała list do przyszłego króla Francji, którego konsekwentnie tytułowała delfinem. Upierała się, że zacznie tytułować go królem dopiero wtedy, gdy młody władca uda się wraz z nią do Reims. Jeszcze tego samego dnia wyprawiła posłańca, by dostarczył list do Chinon, gdzie rezydował delfin.

Teraz, późną nocą, Joanna i Gabriel mieli cały kościół dla siebie. Gabriel spojrzął na Joannę, która wpatrywała się w figurę świętej Katarzyny, i przyszło mu na myśl, że pogrążona w nabożnym skupieniu twarz dziewczyny porusza jego duszę o wiele bardziej niż rzeźbiony wizerunek świętej. Oboje milczeli przez całą drogę do kościoła i teraz również nie odzywali się ani słowem. Kiedy podeszli do ołtarza, zmęczenie opadło z Simona niczym zrzucony z ramion płaszcz. Przyglądał się Joannie, która promieniowała swoim niezwykłym blaskiem i czuł, jak jego serce wypełnia radość. Joanna uklękła przed figurą świętej i zatopiła się w cichej modlitwie, a Gabriel poszedł za jej przykładem.

Po chwili panującą w kościele ciszę nieoczekiwanie przerwał głos Joanny.

– Myślę, że powinieneś o czymś wiedzieć – powiedziała.

Gabriel otworzył oczy i zmieszał się, napotkawszy spojrzenie Joanny. Ich twarze dzieliło nie więcej niż kilkanaście centymetrów. W oczach dziewczyny odbijały się płomienie świateł.

– Pozostawili mi wybór. Mogłam sama zdecydować, czy powiem moim bliskim o tym, że wkrótce ich opuszczę. Mogłam też zdecydować, czy powiem o tym tobie. Tamtej majowej nocy, kiedy spotkaliśmy się w porze jutrzni, chciałam ci wszystko wyznać. Ale bałam się to zrobić. Zniosłabym niewiarę, a nawet pogardę ze strony każdego. Z wyjątkiem ciebie.

Gabriel miał przeczucie, że to, co za chwilę usłyszy, odmieni go na zawsze. Ale z drugiej strony, czyż nie było tak, że Joanna już go odmieniła?

Dziewczyna odetchnęła głęboko.

– Słyszałaś, jak mówiłam, że wiem, czego chce Bóg. Nigdy nie spytałaś, skąd to wiem. Po prostu w to uwierzyłaś. Tak jak ja.

Blask bijący od Joanny stał się jeszcze bardziej intensywny. Gabriel i Simon wpatrywali się w nią jak urzeczeni, obaj byli poruszeni bardziej, niż mogliby to wyrazić słowami, choć każdy z własnych powodów. Simon wiedział, co zamierzała wyznać Joanna, i drżał z emocji, czekając, aż to nastąpi.

– Miałam trzynaście lat, gdy to zdarzyło się po raz pierwszy – podjęła Joanna cichym głosem. – Byłam wtedy w ogrodzie mojego ojca.

Opuściła oczy i spojrzała na prosty pierścionek, który nosiła na małym palcu prawej dłoni. Gabriel wiedział, że był to prezent od jej rodziców. Jakiś czas temu Joanna poprosiła go, by pomógł jej napisać do nich list, błagała, by zechcieli jej wybaczyć, że zrobiła to, co musiała zrobić. Nie doczekała się odpowiedzi. Teraz delikatnie gładziła pierścionek i kontynuowała swoją opowieść.

– Było lato. Usłyszałam głos i zrozumiałam, że pochodzi od Boga. Dobiegał

z prawej strony, z miejsca, w którym stał kościół. Ujrzałam niesamowite, oślepiające światło. Ogarnęło mnie przerażenie, ale tamten głos był taki łagodny...

– Co mówił ten głos? – zapytał Gabriel. Jego oddech był płytki i przyspieszony.

– Początkowo przykazał mi po prostu, żebym była posłusznym dzieckiem i żebym postępowała w sposób, który jest miły Bogu. Powiedział też, żebym się nie lękała, bo On będzie mi pomagał. Potem dowiedziałam się, że przemawiał do mnie wtedy święty Michał. Ja... zobaczyłam go na własne oczy. – Na samo wspomnienie oczy Joanny rozbliły, a na jej wargach pojawił się uśmiech. – Upadłam na kolana i podjęłam go pod nogi, tak jak dziecko rzuca się do nóg rodzicowi. Powiedział mi, że wkrótce odwiedzi mnie także święta Katarzyna oraz święta Małgorzata i dodał, że Bóg wyznaczył mi zadanie.

Joanna odwróciła głowę i spojrzała na figurę świętej Katarzyny, patronki kościoła, w którym przebywali.

– Jeanne...

– Święty Michał opowiedział mi o tragicznym położeniu, w jakim znajduje się królestwo Francji. Powiedział też, że mam pomóc naszemu prawowitemu królowi. Żeby tego dokonać, musiałam opuścić mój rodzinny dom. Nie chciałam tego robić, bałam się, ale Głosy nalegały. Kazały mi udać się do kapitana de Baudricourta, on miał dać mi ludzi, którzy wyruszą wraz ze mną na pomoc królowi. Miałam się nie poddawać, jeśli de Baudricourt za pierwszym razem odprawi mnie z niczym. Gdyby tak się stało, miałam tam wrócić i nie przyjmować odmowy. Głosy obiecały, że Bóg sprawi, że kapitan w końcu wysłucha mnie życzliwie.

Gabriel czuł bolesną suchość w gardle i z trudem zdołał przełknąć ślinę. Na usta cisnęło mu się pewne pytanie i choć obawiał się je zadać w tym świętym przybytku, to ostatecznie nie zdołał się powstrzymać.

– Skąd wiesz, że to naprawdę byli aniołowie?

Przez usta Joanny przemknął uśmiech.

– Czułam to tutaj – odparła, kładąc dłoń na jego sercu. – Żaden diabeł nie zdołałby sprawić, bym poczuła się tak... tak spokojna. I tak kochana.

Delikatny dotyk sprawił, że Gabriel zadrżał, a słowa popłynęły z jego ust niepohamowanym strumieniem:

– Widzę w tobie światło, Jeanne. Z pewnością napełniają cię nim twoje anioły, kiedy do ciebie mówią. Czy... czy one przemawiają także do innych?

Blask bijący od Joanny rozgorzał jeszcze jaśniej.

– Och, tak. – Jej głos wydawał się teraz najcichszym, najdelikatniejszym szeptem. – Ale inni nie zawsze potrafią je usłyszeć.

Joanna nie była pierwszą dziewczyną, która zwróciła uwagę Gabriela. Ale odkąd tylko ją ujrzał, wiedział z niezachwianą pewnością, że w jej głosie, w jej oczach i w jej duszy jest coś wyjątkowego, coś słodkiego i dziwnego zarazem – coś, bez czego nie będzie już mógł żyć. Zastanawiał się teraz gorączkowo, czy idzie za podszeptem własnego serca, czy za podszeptem anioła. A może oba te głosy były tak naprawdę jednym i tym samym?

– Nie każ mi cię opuszczać. Nigdy. Proszę. – Słowa płynęły z głębi jego serca.

Joanna spojrzała na niego, a w jej błękitnych oczach krył się smutek.

– Nie mogę ci obiecać, że nic nas nie rozdzieli. O tym, czy tak się stanie, wie tylko Bóg. Są też inne rzeczy, których nie jestem w stanie ci obiecać. – Joanna łagodnym gestem oparła dłoń na ramieniu Gabriela. – Jakże mogłabym być Jeanne, żoną, skoro przysięgam być Jeanne, Dziewicą z Lotaryngii, i pozostać nią dopóty, dopóki taka będzie wola boża? Złożyłam tę przysięgę trzy lata temu. Moje ciało, moje serce... moje Głosy potrzebują teraz mnie całej.

Tylko beznadziejnie zadurzony głupiec mógł z desperacką nadzieją uchwycić się słowa „teraz”. Gabriel jednak już dawno pogodził się z myślą, że jest takim właśnie beznadziejnie zadurzonym głupcem.

– Pozwól mi więc przynajmniej towarzyszyć ci w twojej podróży tak długo, jak będzie to możliwe.

Joanna, pchnięta nagłym impulsem, pochyliła się ku niemu i uścisnęła serdecznie jego dłoń.

– Mój drogi Gabrieliu, to... to mogę ci obiecać z czystym sumieniem i z wielką radością. Moje Głosy cieszą się, że o wszystkim ci opowiedziałam. Mówią, że będziesz moim świadkiem, moim cieniem. I pozostaniesz nim, dopóki będzie to konieczne.

Oczy Gabriela napełniły się łzami. Simon poczuł, jak serce kraje mu się na myśl o tym, co czeka tę niebieskooką dziewczynę, tak pogodną i tak bardzo ludzką, a zarazem tak głęboko przekonaną o tym, że prowadzi ją ręka opatrności.

To... nie będzie łatwe – pomyślał Simon. – *Obserwowanie końca tej historii.*

Animus nie był maszyną do podróży w czasie, a on był tu jedynie chwilowo. Podobnie jak Gabriel, musiał zadowolić się rolą świadka.

Dłonie Joanny i Gabriela splotły się w uścisku. Gabriel podniósł wzrok ku figurze świętej i poczuł ogarniający go spokój. Zapragnął znaleźć się bliżej rzeźbionego wizerunku, miał ochotę wstać i podejść do ołtarza, by...

Nagle, niczym grom z jasnego nieba, spadło na Simona olśnienie: wiedział już, gdzie znajduje się Miecz Edenu.

Rikkin skrzywił się z irytacją, kiedy Victoria Bibeau przysłała mu SMS z prośbą o pilne spotkanie. „Nie mam zwyczaju stawiać się na wezwanie” – odpisał.

„To ważne. Nie będzie pan żałował”.

„Za kwadrans u mnie”.

Piętnaście minut później Bibeau była już na miejscu i Rikkin gestem ręki zaprosił ją do swojego gabinetu. Szykował się do wyjścia na umówiony lunch i nie zamierzał poświęcać Bibeau zbyt wiele czasu. Kiedy jednak wysłuchał tego, co miała mu do powiedzenia, doszedł do wniosku, że lunch w Hibiscusie będzie musiał trochę zaczekać.

– A zatem wiecie już, gdzie jest miecz?

– To jeszcze nic pewnego, ale Simon zaczął się dziwnie zachowywać. Powiedział, że jest kilka rzeczy, które musi sprawdzić, zanim omówi je ze mną.

– Zrobił się tajemniczy. To ciekawe.

– Nie sądzę, żeby kryło się za tym coś podejrzanego. Chce po prostu zebrać dodatkowe informacje, zanim przedstawi swoją hipotezę. Ale moim zdaniem przeczuwa, gdzie może znajdować się miecz. I jeszcze jedno – dodała. – Wydaje mi się, że Joanna d’Arc mogła kontaktować się z Consusem.

Wzmianka o Consusie przykuła uwagę Rikkina. Consus był jednym z Prekursorów, którzy najpierw stworzyli gatunek ludzki, a następnie uczynili z ludzi swoich niewolników. W odróżnieniu od pozostałych Prekursorów, Consus darzył jednak ludzi sympatią i sprzyjał ich próbom uwolnienia się spod tyranii Isu. Był też twórcą tak zwanych Całunów Edenu, opracowana przez niego technologia pozwoliła mu stworzyć tkaninę, która uzdrawiała i leczyła rany. Nikomu nie udało się odkryć tajników owej technologii, wiadomo było tylko tyle, że chociaż Consus już dawno przestał istnieć w swojej cielesnej formie, to pewna część jego istoty – niektórzy mogliby określić ją romantycznym mianem „ducha” – przetrwała dzięki temu, że została wpleciona w Całuny Edenu. Niezwykłe właściwości tych artefaktów dały początek opowieściom o złotym runie, a także o wielobarwnym płaszczu Józefa, z tkaniny Consusa wykonywano szaty, peleryny, a nawet pogrzebowe zawoje. Najsłynniejszym z nich był Całun Turyński, który znalazł się w posiadaniu Alvara Gramatiki. Podczas swoich badań nad tym artefaktem Gramatica wielokrotnie okaleczał siebie oraz innych, a następnie leczył obrażenia za pomocą Całunu, by w ten sposób nawiązywać kontakt z jaźnią Consusa. Całunom Edenu, podobnie jak pozostałym artefaktom stworzonym przez Prekursorów, często przypisywano

mistyczny, nadprzyrodzony charakter – wynikało to z niezrozumienia ich prawdziwej, technologicznej natury.

Rikkin zastanawiał się przez moment, czy w tej sytuacji nie należałoby przerwać działań, jakie wcześniej nakazał podjąć. Być może Hathaway naprawdę wpadł na jakiś interesujący trop. Niewykluczone, że podążając nim, odkryje przydatne informacje na temat Consusa. Ale przy okazji może odkryć... pewne sprawy. Takie, które powinny pozostać tajemnicą. Do tego nie można dopuścić.

– Obserwowanie Joanny było fascynującym doświadczeniem – stwierdziła tymczasem Bibeau.

– To nie jest gra komputerowa, pani doktor. Wasze zadanie nie polega na zbieraniu ciekawych doświadczeń. Simon ma przekonać mnie oraz Zakon, że warto przeznaczyć fundusze na sfinansowanie jego projektu szeroko zakrojonych badań. Na razie wciąż nie wiemy, gdzie jest miecz, nie mówiąc już o tym, w jaki sposób można by go naprawić.

Oczy Bibeau rozbłysły gniewnie przez ułamek sekundy.

– Wydaje mi się, że nie do końca zdaje pan sobie sprawę, jak ogromne znaczenie mogą mieć Głosy, które słyszała Joanna. Poza tym asasyn...

– Na razie ten asasyn nie wykonał żadnego ruchu. Mentor, którego mi pani obiecywała, w ogóle nie raczył się pojawić, a Joanna... Cóż, równie dobrze mogła mówić sama do siebie.

– Może tak, a może nie. W każdym razie wszystko wskazuje na to, że była nosicielką DNA Prekursorów. Jeśli chodzi o Mentora i innych asasynów, to będziemy próbowali ustalić ich tożsamość. Pierwsza okazja nadarzy się już niedługo, kiedy będziemy towarzyszyć Joannie podczas jej pobytu w Chinon.

– W Chinon, gdzie spotkała się z delfinem – uzupełnił Rikkin. – Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale czy nie było przypadkiem tak, że miecz trafił w ręce Joanny dopiero jakiś czas po tamtym spotkaniu? Ściśle mówiąc, dłuższy czas po tamtym spotkaniu?

– To zależy – odparła z wahaniem. – Tak naprawdę nie wiemy jeszcze, który miecz okaże się Mieczem Edenu.

Rikkin przyglądał jej się przez chwilę w milczeniu.

– No proszę – odezwał się w końcu. – Pierwsze słyszę o tym drobnym szczególe.

Bibeau wzięła głęboki oddech.

– Bierzemy pod uwagę rozmaite możliwości. Chciałam tylko przypomnieć, że zostało nam zaledwie pięć dni, a teraz mamy dodatkowe zadanie, czyli poszukiwanie Mentora. Proszę wziąć pod uwagę, że sporo już osiągnęliśmy. Jesteśmy na dobrej drodze do ustalenia tożsamości Mentora, pierwszego, jakiego udało się nam zidentyfikować na przestrzeni dwóch stuleci. Natrafiliśmy też na przesłanki wskazujące na ingerencję Consusa. Nie sądzi pan, że Dział Badań Historycznych zasłużył sobie na nieco więcej czasu?

– Doktor Bibeau, wkrótce wybieram się do Hiszpanii i przed wyjazdem chcę doprowadzić tę sprawę do końca. Nie uśmiecha mi się opuszczanie naszej londyńskiej centrali w sytuacji, gdy przyszłość całego działu stoi pod znakiem zapytania. Na

pewno mnie pani zrozumie. – Uśmiechnął się zdawkowo, po czym zerknął na zegarek. – Jestem umówiony na lunch. Liczę, że będzie mnie pani na bieżąco informować o rozwoju sytuacji. Czekam na pani SMS-y. Proszę się jednak nie spodziewać, że na każdy będę natychmiast odpowiadał.

– Oczywiście, proszę pana.

Po wyjściu Bibeau na ekranie wyciszonego telefonu Rikkina pojawił się SMS, w polu nadawcy widniał numer składający się z samych zer.

„Faza 1 procedury Omega-104 rozpoczęta. Oczekujemy na instrukcje”.

„Przystąpić do Fazy 2. Rozpocząć przygotowania do procedury Omega-105. Pozostać w gotowości”.

Kiedy zbliżała się przerwa na lunch, Victoria uprzedziła Simona, że coś jej wypadło i nie będzie mogła dotrzymać mu towarzystwa podczas posiłku.

– To coś związanego z Aerie?

– W pewnym sensie – odparła pochłonięta pisaniem wiadomości na klawiaturze swojego telefonu. – Dobrze by było, gdybyś po lunchu zdołał się trochę zdrzemnąć. Spotkamy się o czternastej.

Simon chętnie na to przystał. Nie zamierzał jednak ucinąć sobie drzemki, tylko zająć się szukaniem informacji, które pozwoliłyby mu zweryfikować pewną nową hipotezę. Kiedy znalazł się w swoim gabinecie, odebrał SMS i uniósł ze zdziwienia brwi – nadawcą wiadomości była Anaya:

„Zjemy razem lunch?”

Simon miał rozmaite powody, by wymówić się od spotkania z Anayą. Po pierwsze, w dostarczonym mu rano koszyku pozostało dość wiktuałów, by mógł zjeść posiłek w biurze. Po drugie, podczas przerwy na lunch planował zająć się pracą. Po trzecie zaś... wiedział, że w towarzystwie Anayi będzie się czuł niezręcznie. Nie miał sobie nic do zarzucenia. Kiedy byli razem, bardzo się starał, by ich związek był udany. Po prostu im nie wyszło.

Westchnął i odpisał: „Mam koszyk”. Anaya powinna zrozumieć, co to oznacza, w przeszłości nieraz widywała Simona jedzącego lunch przy biurku, na którym stał koszyk z Temp’s. „Ale dzięki za zaproszenie” – dodał. Wydawało mu się, że taka odpowiedź załatwi sprawę. Zanim jednak zdążył odłożyć telefon, nadeszła kolejna wiadomości.

„Chcę z tobą porozmawiać. To dość ważne”.

Zaniepokojony Simon zmarszczył brwi. Jego niepokój był zrozumiały – w przeszłości Anaya wiele dla niego znaczyła. Zaangażował się w ten związek tak bardzo, że rozważał nawet kupno zaręczynowego pierścionka. Poza tym Anaya nie była osobą, która ni z tego, ni z owego pisałaby do niego bez jakiejś ważnej przyczyny. Minęło wiele długich miesięcy, odkąd ostatnio spędzali razem czas, od tamtej pory nawet przypadkowe spotkania zdarzały im się niezwykle rzadko. Przedwczorajsze spotkanie w windzie było pierwszym od kilku tygodni.

„Jasne” – napisał bez wahania.

„Masz teraz czas?”

„Tak. Temp’s?”

„Oczywiście”.

„OK. Dozo”.

Przeczytawszy tę ostatnią wiadomość, Simon mimowolnie wzdrygnął się zdegustowany. Przypomnił sobie, że Anaya i jej koledzy używali SMS-owych skrótów i internetowego żargonu na długo przed tym, zanim zaczęły się nimi posługiwać przysłowiowe „dzisiejsze dzieciaki”. Westchnął ponownie, wsunął telefon do kieszeni i udał się do windy.

Anaya czekała na niego przed herbaciarnią, ubrana w gustowny granatowy żakiet. Kremowa jedwabna bluzka podkreślała ciemną karnację jej skóry, a całości dopełniały skromne kolczyki. Stonowany strój, zgodny z wszelkimi kanonami biurowej elegancji, kontrastował z prowokacyjnym wiśniowym pasemkiem jej włosów.

Simon zauważył, że Anaya uśmiechnęła się na jego widok. Podszedł bliżej, nie mając pewności, czy oczekuje od niego uścisku ręki, pocałunku w policzek, czy też może żadnej z tych rzeczy. W rezultacie powitanie wypadło dość nieporadnie. Simon wymamrotał przeprosiny, a Anaya oblała się rumieńcem, ale już po chwili wybuchnęła śmiechem.

– Chodźmy – powiedziała, śmiejąc się.

Simon poczuł, jak opada z niego nerwowe napięcie. Anaya nigdy nie traciła pogody ducha. Odetchnął z ulgą, słysząc jej śmiech, najwyraźniej wieści, jakie chciała mu przekazać, wcale nie były niepomysłne.

– Weźmiemy coś na wynos i pójdziemy na dach – zaproponowała.

– Na dach? Przecież jest październik.

– Przez te twoje wycieczki na plażę zrobiłeś się strasznie wrażliwy na chłód – stwierdziła żartobliwie.

Abstergo przekształciło betonowy dach swojej londyńskiej siedziby w urokliwy ogród, w którym pracownicy firmy mogli zjeść lunch na świeżym powietrzu i podziwiać przy okazji wspaniałe widoki. Ogród wyglądał naprawdę pięknie, i to nie tylko latem czy wiosną, ale także jesienią, gdy liście na drzewach zdążyły już pożółknąć. Tego dnia niebo było bezchmurne, ale Simonowi szybko zaczął dokuczać chłód. Pożałował, że zostawił w biurze swój płaszcz. Na szczęście zabrał przynajmniej marynarkę.

Czuł, że zaczyna dygotać z zimna, i postanowił od razu przejść do rzeczy.

– A zatem o czym chciałaś porozmawiać? Mam nadzieję, że wszystko u ciebie w porządku? – zapytał, ściskając w zziębniętych dłoniach ciepły papierowy kubek.

Anaya przez chwilę wpatrywała się w swój kubek, po czym uniosła głowę i spojrzała na Simona.

– Tak, tak sędzę – odparła i odetchnęła głęboko. – W Abstergo Entertainment zwolniło się kierownicze stanowisko. Wczoraj wieczorem wysłałam im moje podanie, a dziś dostałam odpowiedź. Po południu mam odbyć rozmowę kwalifikacyjną przez czat wideo. Gdyby mi się udało, byłoby to dla mnie spory awans. Myślę, że spodobałaby mi się ta praca.

– Och. Rozumiem. – Simon poprawił okulary. Odpowiedź z Abstergo

Entertainment nadeszła zaskakująco szybko, ale chodziło przecież o Anayę, a nie o jakiegoś pierwszego lepszego kandydata z ulicy. Uśmiechnęła się do niej serdecznie.

– Jesteś świetna w tym, co robisz. Z pewnością doskonale poradzisz sobie w Montrealu. Poza tym na pewno się cieszysz, że będziesz mogła znowu rozmawiać po francusku.

– Tak, to prawda. – Twarz Anayi rozpromieniła się. – Nie sądziłam, że wciąż o tym pamiętasz.

– Zawsze chciałem, żebyś była szczęśliwa – powiedział szczerze.

– Wiem o tym. Ale jeszcze nie dostałam tej posady.

– Na pewno ją dostaniesz. Musieliby mieć źle w głowie, żeby cię nie zatrudnić. Wiesz już, kiedy miałybyś zacząć?

– Natychmiast. A przynajmniej jak tylko uda mi się uporać z przeprowadzką. Powinno mi to pójść całkiem sprawnie. W końcu wyjeżdżam tam sama.

Anaya nie zaakcentowała tego ostatniego słowa, ale Simon i tak poczuł nieprzyjemne ukłucie w sercu. A było to przecież zwykłe stwierdzenie faktu. Anaya wyjeżdżała sama. Simon również wyjeżdżałby sam, gdyby to on znalazł się na jej miejscu.

Skinął lekko głową.

– Kiedy już tam będziesz, musisz koniecznie spróbować tych okropnych frytek. – Simon, widząc pytające spojrzenie Anayi, wyjaśnił. – No wiesz, te kanadyjskie frytki... Polane pieczeniowym sosem i posypane serem.

– Ach... masz na myśli poutine?

– Właśnie.

Było wiele rzeczy, które mógł teraz powiedzieć. Będzie mi ciebie brakowało, na przykład. A jednak przez tyle miesięcy nie znalazł czasu na to, by wysłać jej zwykły SMS albo umówić się na herbatę. Rzeczywiście, było mu przykro... ale to, co się między nimi wydarzyło, nie stało się z jego winy. Ani też z winy Anayi.

Nie potrafił znaleźć właściwych słów, więc po prostu ujął jej dłoń i mocno ją uściśnął.

– Powodzenia.

– Dziękuję.

Zerwał się wiatr i Simon poczuł, jak fala zimnego powietrza złośliwie wdziera się pod jego marynarkę. Tym razem nawet Anaya zadrżała.

– Powinienem już wracać – powiedział, unosząc kubek w geście pozdrowienia.

Przez moment stał jeszcze w milczeniu, po czym kiwnął głową i ruszył do wyjścia. Anaya nie poszła za nim, stała samotnie na tle jasnego nieba, smagana chłodnym wiatrem. Simon odwrócił się, by raz jeszcze na nią spojrzeć, i ogarnęła go dziwna melancholia.

– Mam pewną teorię na temat Głosów, które słyszała Joanna – powiedział Simon, kiedy po lunchu wsiadł z Victorią do windy, która miała ich zawieźć do Sali Animusa.

Victoria przyjrzała mu się badawczo.

– Zanim do tego przejdziemy... Czy aby na pewno dobrze się czujesz?

Simon pomyślał, że Victoria wygląda gorzej od niego. Przez chwilę zastanawiał się,

czy powiedzieć jej o Anayi, ale szczerze mówiąc, nie bardzo wiedział, jak miałby się do tego zabrać. Moja była dziewczyna, z którą do czasu naszego przypadkowego spotkania w windzie nie zamieniłem przez kilka miesięcy ani jednego słowa, zmienia pracę i przeprowadza się za ocean? Nonsens.

– Wszystko gra – zapewnił i podjął przerwany wątek. – Współcześnie większość ludzi uważa, że Głosy, o których opowiadała Joanna, można wyjaśnić na jeden z trzech sposobów: albo były to wizje zsyłane jej przez Boga, albo wymyślone przez Joannę kłamstwa, albo objawy zaburzeń psychicznych czy też jakiejś fizycznej dolegliwości, która sprawiała, że Joannie zdawało się, że słyszy głosy. To mogła być na przykład schizofrenia albo epilepsja.

– Dla kogoś, kto nie wie tego co my, to ostatnie wyjaśnienie może brzmieć całkiem rozsądnie. Ale jako psychiatra mogę cię zapewnić, że teoria o chorobie Joanny ma poważne luki – stwierdziła Victoria.

– Nie ulega wątpliwości, że Joanna zobaczyła coś, co umysł osoby żyjącej w piętnastym wieku zinterpretował jako obecność aniołów. Widywaliśmy już w przeszłości przypadki zarówno templariuszy, jak i asasynów, którzy mieli do czynienia z artefaktami stworzonymi przez Prekursorów. Wiemy również, że osoby takie jak Charlotte de la Cruz, posiadające w swoim genomie znaczny udział DNA Prekursorów, odbierały skierowane specjalnie do nich wiadomości, które wysyłał Prekursorzy.

Victoria nie wyglądała na specjalnie zaskoczoną. Nie było w tym zresztą nic dziwnego, była inteligentną kobietą i musiała dojść do podobnych wniosków.

– Miałam okazję zapoznać się z przypadkiem de la Cruz. Rozumiem, że twoim zdaniem Consus znalazł sposób na to, by skontaktować się z Joanną? I miało to coś wspólnego z faktem, że była ona nosicielką DNA Prekursorów?

– Jeśli przyjmiemy, że do Joanny naprawdę przemawiał jakiś głos, to Consus, jeden z najbardziej życzliwie nastawionych do ludzi Prekursorów, wydaje się najbardziej prawdopodobnym kandydatem – odparł Simon. – Spróbujmy się nad tym zastanowić. Wszystko wskazuje na to, że Joanna pozostawała w kontakcie z jakimś przedstawicielem albo przedstawicielką Pierwszej Cywilizacji. Nazwijmy to Głosami. Kontakty te zaczęły się, kiedy Joanna miała trzynaście lat i trwały aż do ostatniego dnia jej życia, a zatem nie miały nic wspólnego z poszukiwanym przez nas mieczem. Widziałem, a właściwie to Gabriel wyraźnie widział blask bijący od Joanny. Podejrzewam, że dostrzegął go również Durand. A także de Metz. Ta wiedza może nam pomóc odpowiednio ukierunkować naszą uwagę, zwłaszcza teraz, gdy zaczniemy obserwować naprawdę ważne wydarzenia z życia Joanny. Mam nadzieję, że podczas dzisiejszej sesji uda się nam zdobyć jakieś konkretne informacje, które będziemy mogli przedstawić Rikkinowi. Być może zgodzi się dać nam trochę więcej czasu.

Simon ze zdziwieniem zdał sobie sprawę z tego, jak naturalnie przychodzi mu teraz posługiwanie się określeniami „my” czy też „nam”. Początkowo był niechętnie nastawiony do pracy pod czyjąś kuratelą, teraz jednak nie potrafił sobie wyobrazić dalszych badań bez udziału Victorii. Odchrząknął zakłopotany.

– Aha, jeszcze jedno... Okazałaś się niezwykle pomocna. Dziękuję.

Victoria zerknęła na niego zaskoczona.

– Nie ma za co – odparła.

Na szczęście w tej samej chwili drzwi windy otworzyły się, wybawiając Simona z krępującej dla niego sytuacji.

Victoria pomogła mu podłączyć się do Animusa. Powoli zaczynał się do tego przyzwyczajać. Początkowo czuł się w Animusie niczym więzień w objęciach Żelaznej Dziewicy, teraz jednak poczuł się bardziej jak lotniarz, bezpiecznie przypięty uprzężą do swojego skrzydła. Simon zmarszczył brwi, zaskoczony wymyślną metaforą, jaka nieoczekiwanie przyszła mu do głowy. Najwyraźniej zaczynały mu się udzielać niektóre skłonności Gabriela, nie było to jednak coś, czego nie byłby w stanie kontrolować.

– No dobrze – powiedział z werwą. – Joanna dotarła do Chinon i doczekała się w końcu wezwania na królewski dwór.

– Zamierzasz zacząć od jej prywatnej audiencji u delfina?

– Nie. Chciałbym być świadkiem ich pierwszego spotkania.

– To spotkanie nie ma chyba większego związku z naszym projektem – zauważyła Victoria.

– Nie wiąże się z nim bezpośrednio, ale zależy mi na tym, by Gabriel miał okazję przyjrzeć się ludziom z otoczenia delfina. Być może pozwoli nam to rozpoznać kolejnych asasinów.

Victoria skinęła głową, po czym założyła Simonowi na głowę hełm. Po chwili otaczające Simona ciemności zaczęły się rozpraszać i stopniowo przekształciły się w znajomą mgłę, a potem w rozświetloną pochodniami noc.

Niedziela 6 marca 1429 roku

Chinon

Simon wiedział, że oprócz Joanny d’Arc z Chinon związanych było wiele innych słynnych postaci, chociażby angielski król Henryk II z dynastii Plantagenetów, jego żona królowa Eleonora Akwitańska, ich dwaj synowie, Ryszard Lwie Serce i Jan bez Ziemi, a także znany z kart Trzech muszkieterów kardynał Richelieu.

W podziemiach baszty Coudray, w której zatrzymała się Joanna, więziony był w przeszłości Jakub de Molay oraz wielu innych templariuszy. Wielki Mistrz wrył na ścianie swojej celi rysunki i Simon zastanawiał się teraz, czy Gabriel będzie miał okazję rzucić na nie okiem.

Gabriel i Joanna mieli wcześniej aż nadto czasu, by przyjrzeć się twierdzy z perspektywy miasta położonego u stóp zamku. Delfin otrzymał od Joanny list, w którym zapowiedziała swój przyjazd do Chinon, a mimo to nie zaprosił jej. Ograniczył się do wysłania do miasta dwóch duchownych, którzy mieli porozmawiać z przebywającą tam Joanną. Zapytana, w jakim celu pragnie spotkać się z królem, Joanna odparła:

– Bóg, który czuwał nade mną przez całą, liczącą trzysta mil drogę, powierzył mi dwa zadania. Mam położyć kres oblężeniu Orleanu, które przysparza tak wiele

cierpień mieszkańcom tego miasta, a także doprowadzić delfina do Reims, by został tam namaszczone i koronowany na króla Francji.

Ostatecznie jednak Karol, pod wpływem duchownych, a także listu, jaki napisał do niego w tej sprawie Robert de Baudricourt, zdecydował się udzielić Joannie audiencji.

Zapadał już zmierzch, kiedy Joanna, Jean de Metz, de Poulengy oraz Gabriel wjechali konno na wąską, krętą ścieżkę, która pięła się w górę ku bramie królewskiego zamku. Eskortujący ich ludzie nieśli pochodnie, by oświetlać im drogę. Słońce chyliło się ku zachodowi i cienie stawały się coraz dłuższe.

Gdy dotarli do bramy, opuszczono zwodzony most, a de Metz i de Poulengy zeskoczyli z siodeł. Z bramy wyjechali dwaj konni i zbliżywszy się do Gabriela i Joanny, chwycili ich wierzchowce za uzdy. Gabriel skinieniem głowy pozdrowił pierwszego strażnika. Drugi, przytrzymujący za uzdę konia Joanny, obrzucił dziewczynę pożądlivym spojrzeniem, po czym oblizał wargi, które zalśniły w świetle pochodni. Mężczyzna był wysoki i zwalisty, a jego dolna szczęka niknęła w fałdach skóry na tłustej szyi.

– A więc to jest ta sławna Dziewica z Vancouleurs? – zagadnął i uśmiechnął się lubieżnie, mierząc Joannę wzrokiem od stóp do głów. – Zostań ze mną na noc, a o poranku nie będziesz już dziewczicą!

Wybuchnął śmiechem i obejrzał się na swojego kompana, który jednak nie wyglądał na rozbawionego.

Gabriel zatrzęsł się z oburzenia, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Joanna podniosła rękę, nakazując milczenie zarówno jemu, jak i pozostałym towarzyszom. Na jej twarzy malował się łagodny smutek.

– Jak się nazywasz? – zapytała cicho.

Zbity na chwilę z tropu mężczyzna szybko odzyskał rezon.

– Antoine Moreau – odparł chełpliwie i mrugnawszy porozumiewawczo okiem, dodał: – Mówią na mnie Olbrzym.

– Antoine Moreau – powiedziała Joanna, zsiadając z konia – twoje słowa obrażają Boga. Pojednaj się z nim... i zrób to szybko.

Nawet w słabym, migotliwym świetle pochodni Gabriel dostrzegł wyraźnie, że mężczyzna pobladł i wybałuszył oczy. Zawrócił swojego konia i mamrocząc coś pod nosem, odjechał w stronę bramy, wiodąc za sobą wierzchowca Joanny. Zapadła cisza, a służący w milczeniu odprowadzili pozostałe konie do stajni.

– Racz wybaczyć niegodne zachowanie mojego towarzysza, Dziewico – odezwał się po chwili drugi ze strażników.

Joanna uśmiechnęła się smutno.

– Bóg wszystko wybacza. Ja zaś współczuję temu człowiekowi.

De Metz spojrzał pytająco na Gabriela, który wzruszył lekko ramionami. Nie miał pojęcia, co właściwie wydarzyło się pomiędzy Joanną a grubasem – i wcale nie był pewien, czy chciałyby to wiedzieć.

Joanna i jej towarzysze przeszli przez otoczony niskimi budynkami dziedziniec pierwszej części zamku, zwanej du Courday. Na tle czarnego jak atrament nieba rysowały się sylwetki czterech baszt, oświetlanych srebrzystą poświatą przez wiszący

w górze sierp księżyca. Na prawo znajdował się kolejny most, rozpięty nad suchą fosą. Pokonali go ostrożnie – fosa była bowiem tak głęboka, że w słabym świetle księżyca nie dało się dostrzec jej dna.

Dziedziniec drugiej, górnej części Château de Milieu był tak rozległy, że przypominał Simonowi małe miasteczko. Część jego powierzchni zajmował ogród, pełen drzew oraz rzeźb. Wzdłuż murów obronnych po lewej stronie ciągnęły się niskie zabudowania, mogły to być kuźnie albo kwatery załogi – w półmroku trudno było to stwierdzić. Drzwi i okiennice zamknięte były na głucho, jedynie tu i ówdzie pełgało światło pojedynczych pochodni.

Po prawej stronie dziedzińca wznosił się kompleks bardziej okazałych budynków, które niechybnie stanowiły rezydencję króla. Okna jaśniały ciepłym światłem, a z wnętrza dobiegała muzyka, gwar licznych głosów oraz śmiechy. Gabriel stanął jak wryty, uświadomiwszy sobie nagle, co za chwilę go czeka.

Do tej pory był do tego stopnia urzeczony Joanną, jej niebiańskim pięknem oraz pięknem jej pragnień, że bardziej przyziemne sprawy przestały mieć dla niego znaczenie. Ale teraz... teraz miał znaleźć się na królewskim dworze. On, Gabriel Laxart, nieślubny syn prostego rolnika.

Poczuł, jak drobna dłoń ujmuje go za rękę. Kiedy odwrócił głowę, napotkał spojrzenie Joanny, która uśmiechała się do niego łagodnie.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła. – Bóg jest przy nas.

W głębi serca czuł, że Joanna ma rację. Widział to w niej wyraźnie, bijący od niej blask wydawał mu się jaśniejszy od światła pochodni. Ale czy inni będą w stanie dostrzec to samo? Gabriel słyszał, co mówiono o Karolu – o jego niezdecydowaniu i o tym, że za bardzo ulegał wpływom niektórych swych dworzan.

Joanna była wysłanniczką Boga, co do tego Gabriel nie miał żadnych wątpliwości. Ale teraz musiała wywrzeć wrażenie nie na aniołach, tylko na królu.

Wziął głęboki oddech i wkroczył na dwór Karola, delfina Francji i, daj Boże, przyszłego władcy tego kraju.

Kiedy Gabriel po raz pierwszy ujrzał Vancouleurs, był nim absolutnie zachwycony, a swoje rodzinne Nancy uważał za miasto tętniące życiem. Teraz jednak zdał sobie sprawę, że wszystko, co dotąd widział, było jedynie nędznym zaściankiem w porównaniu z królewskim zamkiem i dworem.

– Ilu ludzi jest w tej sali? – zapytał de Metza.

– Hm, moim zdaniem... około trzystu.

– Trzystu... i wszyscy przybyli tu po to, by zobaczyć Jeanne?

– Niektórzy na pewno, ale wielu dworzan po prostu lubi dobrze się zabawić. Gustują w kosztownych przyjemnościach, a delfin robi wszystko, by ich zadowolić. – De Metz powiedział to obojętnym tonem i Gabriel nie był pewien, czy giermek hrabiego de Baudricourta odnosi się do tego z dezaprobatą, czy po prostu niewiele go to obchodzi.

Wszystko wokół przyciągało uwagę Gabriela: głośne wybuchy śmiechu, podniesione głosy i grająca w tle muzyka; zapach jedzenia i woskowych świec; mieniące się wszystkimi możliwymi kolorami arrasów na ścianach i barwne stroje dworzan. Przytłoczony feerią wrażeń, zerknął na starszych, bardziej obytych towarzyszy. Zarówno de Metz, jak i de Poulengy najwyraźniej czuli się tu jak w domu, kakofonia dźwięków i tłum strojnych arystokratów nie robiły na nich najmniejszego wrażenia.

Joanna także wydawała się nieporuszona. Po raz pierwszy znalazła się w takim miejscu, a mimo to nie widać było po niej żadnych emocji. Tymczasem obecni na sali ludzie zwrócili w końcu uwagę na ubraną po męsku dziewczynę, której towarzyszyło trzech młodych mężczyzn w sfatygowanych podróżnych strojach. Rozmowy stopniowo cichły i kolejne grupki dworzan zaczynały przyglądać się Joannie.

Gabriel potrząsnął głową, tak jakby chciał otrząsnąć się z oszołomienia, po czym rozejrzał się uważnie po sali. Jej sufit był tak wysoki, że podpierające go drewniane dźwigary niknęły w półmroku. Z niższych belek zwieszały się chorągwie, na których widniały herby rozmaitych rodów szlacheckich. Stoły ugięły się pod stosami jedzenia, okazałymi zapasami wina i mocnego piwa, którym obficie raczył się tłum biesiadników: wysoko urodzonych mężczyzn oraz ich żon... lub kochanek. W sali stało wiele ław, ale Gabriel dostrzegł w niej tylko jedno krzesło – duże, bogato zdobione i ustawione na podium w przeciwległym końcu sali.

Był to królewski tron. I był pusty.

Twarz Gabriela pobladła, a następnie oblała się gniewnym rumieńcem. Chłopak

odwrócił się do de Metza.

– Gdzie jest król? – zapytał natarczywie. – Co tu się dzieje?

De Metz nie odpowiedział, a z jego twarzy trudno było cokolwiek wyczytać. Joanna obrzuciła giermka krótkim spojrzeniem, po czym skinęła głową.

– Domyślam się, że Jego Wysokość zamierza poddać mnie jeszcze jednej próbie – wyjaśniła Gabrielowi.

Och, Joanno – pomyślał Simon – to dopiero początek twoich prób.

Joanna wygładziła tunikę, a następnie uniosła głowę i ruszyła naprzód. Zdezorientowany Gabriel raz jeszcze zerknął na de Metza, a następnie szybkim krokiem podążył za Joanną, starając się nie stracić jej z oczu. Dziewczyna co jakiś czas przypatrywała się badawczo niektórym z arystokratów.

W końcu przystanęła i zamknęła oczy. Wszyscy wokół wpatrywali się w nią intensywnie, a Gabriel uświadomił sobie, że muzyka przestała grać. Po chwili Joanna odwróciła się, nie otwierając powiek. Uśmiechnęła się nieznacznie i otworzywszy oczy, skierowała się prosto do jednego ze stojących w tłumie mężczyzn, niewyróżniającego się strojem spośród pozostałych dworzan.

Na głowie miał okazałą perukę, która opadała mu na ramiona. Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że pod peruką jest zupełnie łyсы, ale Gabriel podejrzewał, że jego skóra została wygolona jedynie nad uszami i na karku, a pozostałe włosy, zgodnie z obowiązującą wówczas modą, tworzyły fryzurę przypominającą nałożoną na głowę miskę. Mężczyzna wyglądał na rówieśnika de Metza – był nieco starszy od Gabriela, ale nie osiągnął jeszcze wieku średniego. W przeciwieństwie do większości zgromadzonych, nie przejawiał hałaśliwej wesołości. Uwagę Gabriela zwrócił charakterystyczny nos mężczyzny: wydatny, haczykowany i nieco przekrzywiony. Jego właściciel obserwował teraz Joannę z pewną dozą nieufności.

Joanna precyzyjnie się przez tłum, a kiedy znalazła się przy młodym mężczyźnie, podniosła oczy, by spojrzeć mu w twarz, a potem upadła przed nim na kolana.

Szmery i szepty ucichły niemal zupełnie. Zaskoczony mężczyzna spojrzął na klęczącą Joannę, która objęła go za nogi. Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– Delfinie – odezwała się Joanna, a jej głos rozbrzmiał donośnie w ciszy, jaka zapanowała teraz w całej sali. – Nie zdołasz ukryć przede mną swojej chwały. Przybywam do ciebie, by udzielić pomocy tobie i twemu królestwu!

A więc to był przyszły król Francji? Gabriel zamrugał powiekami. Karol wyglądał bardziej zwyczajnie niż wiele z obecnych na sali osób. Teraz delikatnie podźwignął Joannę z podłogi i uśmiechnął się do niej, a wszyscy wokół wydawali się zachwyceni tym, że dziewczyna bezbłędnie wskazała delfina w tłumie. A jednak nie – kiedy Gabriel przyjrzał się dokładniej, zauważył, że nie wszyscy wyglądali na zadowolonych. Byli tacy, którzy skrzywili się i odwrócili plecami do Joanny i delfina. Najwyraźniej tylko niektórym ucieszyło pojawienie się Dziewicy na królewskim dworze.

Po twarzy Joanny spływały łzy, ale bijący od niej blask wydawał się Gabrielowi jaśniejszy od oświetlających salę pochodni. Zaciśnęła kurczowo palce na ramieniu delfina i rozchyliła usta w radosnym uniesieniu. Karol delikatnie wyswobodził rękę

z jej uścisku.

– No, no – powiedział miłym, uprzejmym głosem. – Wygląda na to, że Dziewica potrafi odnaleźć prawdziwego króla, nawet kiedy nie siedzi on na tronie. Nie wszyscy wierzyli, że uda ci się ta sztuka.

– Napisałam w moim liście, że zostałam posłana przez Boga – odparła Joanna. – A jednak widzę, panie, że nie do końca mi wierzysz – dodała z poważnym wyrazem twarzy.

– Nie ty pierwsza mienisz się Dziewicą z Lotaryngii i twierdzisz, że przybyłaś tu, by wypełnić proroctwo – rozległ się szorstki głos. Należał do mężczyzny ubranego we wspaniałą żółto-czerwoną szatę, która wydawała się trzeszczeć w szwach, z trudem mieszcząc tłusty, wydatny brzuch. Włosy mężczyzny przyprószone były siwizną, a rumianą, skrzywioną w podejrzliwym grymasie twarz okalała krótko przystrzyżona broda. Oczy, ledwo widoczne spomiędzy fałdów skóry, spoglądały surowo. W udekorowanej pierścieniami dłoni ścisnął nóżkę bogato zdobionego kielicha. – Jego Wysokość spotkał już wiele takich jak ty.

– Nie – zaprzeczył bez wahania Gabriel, ściągając na siebie liczne spojrzenia. – Nie spotkał nikogo podobnego.

– Spokojnie – napomniała go łagodnie Joanna, dotykając lekko jego ramienia.

– To Georges de La Trémoille, hrabia Guînes, nasz przyjaciel i wielki szambelan na naszym dworze – powiedział Delfin. – Nie do końca przekonały go relacje księży, którzy spotkali się z tobą w naszym imieniu. W swoim liście wspomniałaś, że masz nam coś do powiedzenia.

Joanna skinęła głową i powiodła wzrokiem po twarzach zaciekawionych dworzan, którzy przysunęli się bliżej, by usłyszeć, co powie Karolowi. Policzki dziewczyny oblał rumieniec.

– To prawda, ale moje słowa przeznaczone są wyłącznie dla twoich uszu, panie. Zaprowadź mnie gdzieś, gdzie będziemy mogli pomówić na osobności, a powiem ci wszystko, co polecił mi przekazać ci Bóg.

– Wasza Wysokość – wtrącił się Trémoille – dziewczyna próbuje odegrać przedstawienie, a ja, tak jak każdy, lubię dobre przedstawienia. Lecz jeśli rzeczywiście jest wysłanniczką Boga, to Wszechmogący na pewno nie ma nic przeciwko temu, żeby podzieliła się swoimi sekretami z nami wszystkimi.

– Każdy ma swoje sekrety – odrzekła Joanna – ale ja nie staram się odkryć twoich, mości hrabio. To, co mam do przekazania, przeznaczone jest tylko dla uszu delfina. Z pewnością każdy władca wie o sprawach, o których nie muszą wiedzieć jego dworzanie.

Trémoille zrobił się jeszcze bardziej czerwony, za to na twarzy Karola pojawił się uśmiech.

– Dziewica ma rację, przynajmniej w tej kwestii – stwierdził. – Pójdźmy więc. Znajdziemy miejsce, w którym będziesz mogła bez przeszkód wyjawić nam słowa naszego Pana.

Nie ulegało wątpliwości, że hrabia nie był zachwycony takim obrotem sprawy, ale nie nalegał dłużej. Wzruszył tylko ramionami.

– Idę o zakład, Wasza Wysokość, że odgadnę wszystko, co powie ci ta dziewczyna. Wszyscy wiemy, co mają do powiedzenia święte dziewice. Przecież nieraz już to słyszeliśmy, nieprawdaż? – Roześmiał się i spojrzął na stojących obok dworzan. Część z nich zawtórowała mu śmiechem, ale delfin zachował powagę.

Joanna zmarszczyła swoje czarne brwi.

– Hazard jest grzechem – powiedziała surowo. – Delfin nie przyjmuje zakładów.

– Chyba że jest pewny wygranej – zażartował Karol, starając się rozładować atmosferę. Następnie gestem dał znak Joannie, by poszła za nim. Sam ruszył przodem, a tłum posłusznie się rozstał.

Joanna jednak, zamiast od razu podążyć za Karolem, odwróciła się w stronę Gabriela i posłała mu uśmiech pełen słodyczy.

– Chodź ze mną, mój świadku – powiedziała.

Gabriel bez słowa ruszył za nią, przejęty do tego stopnia, że ledwo ośmielał się oddychać. Delfin obejrzał się, zmierzył Gabriela spojrzeniem swoich jasnych oczu, po czym wzruszył ramionami. Od tej chwili nie zwracał już na chłopca uwagi, tak jakby Gabriel był niczym więcej jak tylko cieniem Joanny.

On naprawdę był tylko cieniem – pomyślał Simon. Historia zapomniała o Gabrielu Laxarcie. Zachowały się jedynie wzmianki o jego ojcu Durandzie, który zeznawał na procesie rehabilitacyjnym Joanny. Simona zawsze bawiło to, że niemal każdy, kto wierzył w reinkarnację, był święcie przekonany, że w poprzednich wcieleniach był królem Arturem, królową Elżbietą albo inną równie sławną personą. A tak naprawdę olbrzymia większość z nich byłaby jedynie zwykłymi chłopami, wiodącymi biedne, surowe i krótkie życie, z dala od istotnych wydarzeń. Na każdego feudała przypadły całe zastępy sług, nie wspominając już o bękartach takich jak Gabriel.

W tym, że Gabriel został zapomniany, nie było nic niezwykłego. Niezwykłe było to, że ktoś taki jak on znalazł się w centrum tych wszystkich doniosłych wydarzeń.

Joanna i Gabriel weszli w ślad za delfinem do niewielkiej bocznej komnaty. Jej wystrój był mniej wyszukany i okazały niż sali tronowej, niemniej robił wrażenie swoją wytwornością: na ścianach wisiały gobeliny, a na niedużym stole, przy którym stały drewniane krzesła, ustawiono misy z owocami oraz dzban z winem. Sufit był tutaj równie wysoki jak w głównej sali, jednak ledwo widoczne belki stropowe nie były przyozdobione chorągwiami. Nie ulegało wątpliwości, że pomieszczenie to zaprojektowano z myślą o tym, by zapewnić dogodne warunki do poufnych rozmów w wąskim gronie.

W komnacie żarzyło się w kominku i zapalono świece. Mimo to, gdy tylko Gabriel przekroczył próg i spoconą dłonią zamknął za sobą drzwi, poczuł chłód. Sala tronowa była wprawdzie znacznie większa, ale dzięki temu, że przebywało w niej kilkaset osób oraz płonęło pół setki pochodni, było w niej znacznie cieplej. Gabriel starał się opanować drżenie ciała, świadomy tego, że dygocze nie tylko z zimna, ale także z podniecenia.

Joanna z kolei była uosobieniem spokoju. Stała w milczeniu z dłońmi splecionymi za plecami, podczas gdy Karol usiadł na krześle, napełnił kielich ciemnoczerwonym winem i sięgnął po pomarańczę. Nie zaoferował gościom poczęstunku, nie

zapropował też, by usiedli. Obierał niespiesznie pomarańczę, wpatrując się wyczekująco w Joannę.

– Możesz mówić, moje dziecko – odezwał się po chwili. – Co takiego kazał ci przekazać nam Bóg?

Joanna przekrzywiła lekko głowę, wydawało się, że myślami jest gdzieś daleko poza komnatą.

– Nie lękaj się – powiedziała miękko. Zamknęła oczy, po czym odchyliła głowę do tyłu, tak jakby wystawiała twarz ku promieniom słońca. – Jestem tu, by ci powiedzieć, że jesteś rodzonym synem swego ojca Ludwika i prawowitym dziedzicem francuskiego tronu. Nie rozpaczaj już dłużej, szlachetny delfinie. Bóg cię wysłuchał i posłał mnie, bym otarła twe łzy.

Pomarańcza wypadła z zeszywniałych palców Karola i potoczyła się po macie z sitowia, którą wyścielona była podłoga komnaty. Delfin zacisnął dłonie na podłokietnikach krzesła.

– Modliłem się – wyszeptał, bardziej do siebie niż do Joanny. – Modliłem się...

– Bądź odważny, a przy tym miłosierny – ciągnęła Joanna – bo masz po swojej stronie Boga oraz jego aniołów. Nie krzywdź tych, którzy nie wyrządzili ci krzywdy. Trzymaj swe ostrze z dala od ciała niewinnych.

Simon osłupiał.

Joanna otworzyła oczy. Łagodny uśmiech zniknął z jej warg i gwałtownie wciągnęła do płuc powietrze. Bijący od niej blask przybrał na sile i dziewczyna opadła na kolana, ze wzrokiem utkwionym ponad głową króla. Kiedy Gabriel spojrział w to miejsce, otworzył ze zdumienia usta i poczuł, jak uginają się pod nim nogi.

W półmroku zobaczył anioła promieniującego złotym światłem, z twarzą osłoniętą kapturem.

– Widzę to – szepnął Gabriel. – Jeanne, ja też to widzę!

Delfin wykręcił szyję, ale jego mina zdradzała, że niczego nie dostrzegł. Świetlista postać wyciągnęła tymczasem obie ręce przed siebie, a następnie złączyła ze sobą kciuki i małe palce obu rąk w taki sposób, że utworzyły kształt koła. Pozostałe palce wyprostowane były ku górze. Otoczone złocistą poświatą dłonie wyglądały zupełnie jak...

– Korona! – zawołała Joanna.

Zakapturzona postać pochyliła głowę, po czym uniosła nad nią złączone dłonie.

– Bóg zesłał anioła ze złotą koroną, mój delfinie! Powierzone ci zostaną skarby nieba i ziemi!

– Oto jest znak – wyszeptał anioł. – Dziewica uczyni cię królem.

Z ust delfina wyrwał się stłumiony okrzyk. Wprawdzie nie widział anioła, ale usłyszał jego głos. Wyciągnął ręce w górę, w kierunku drewnianych krokwi, ale w tej samej chwili anioł odwrócił się i zniknął w mroku, a jego blask nagle zgasł.

W komnacie zapadła cisza, w której słychać było jedynie przyspieszone oddechy. Gabriel odwrócił się ku Joannie, której twarz, podobnie jak twarz delfina, wyrażała bezbrzeżny zachwyt.

Karol nie zobaczył nic. Gabriel zobaczył anioła. Kto wie, co zobaczyła Joanna?

Simon Hathaway ujrzał Mentora asasynów.

Simon pokręcił głową, tak jakby nie wierzył w to, co widział. Nie mógł oderwać wzroku od emanującej złotym blaskiem ludzkiej sylwetki. Wygłosivszy skierowane do Karola słowa, świetlista postać odwróciła się i przemknęła zwinnie po drewnianych belkach, by w chwilę później zniknąć Simonowi z oczu.

– Odszedł – wyszeptał.

Gabrielowi mogło się wydawać, że anioł powrócił do Nieba, ale Simon starał się wypatrzeć w ciemnościach ukryte przejście. Historycy odkryli w zamku w Chinon wiele takich przejść, a Simon był pewien, że był to jedynie wierzchołek góry lodowej. Nie miałyby nic przeciwko temu, by odkryć kolejne.

Delfin roześmiał się radośnie i pomógł Joannie wstać z kolan, po czym wziął ją pod ramię i poprowadził ku drzwiom. Otworzył je energicznie i zawołał do zgromadzonego w sali tronowej tłumu:

– Bóg jest z nami, przyjaciele! Zesłał nam Dziewicę, tak jak głosiło proroctwo!

Joanna odwróciła głowę i spojrzała na Gabriela, w jej oczach lśniły łzy szczęścia. Simon chciał ująć wyciągniętą ku niemu rękę dziewczyny, ale kiedy zacisnął palce, jego dłoń spowiła jedynie szara mgła. Świat wokół niego zaczął się zmieniać. Simon poczuł nagłe ukłucie w sercu, ale nie zwrócił na to uwagi. Zbyt wiele myśli zaprzętało jego głowę – teraz, w Korytarzu Pamięci, mógł swobodnie porozmawiać z Victorią.

– Domyślam się, że ty też to widziałaś? – zapytał.

Widziałam. I słyszałam. To musiał być asasyn.

– Bez wątpienia, nikt inny nie poruszałby się z taką zręcznością. Do tego jeszcze ta przemowa...

Trzymaj swe ostrze z dala od ciała niewinnych – zacytowała Victoria. – *Pierwsza reguła Creda asasynów.*

– Jestem skłonny zaryzykować stwierdzenie, że był to Mentor we własnej osobie. Komu bardziej mogłoby zależeć na tym, by usłyszeć, co Dziewica powie na osobności delfinowi? Poza tym przeprowadzenie tej operacji wymagało nie lada umiejętności. Wszystko układa się w logiczną całość, Victorio! Ta... ta wizja, ten anioł z koroną... Podczas swojego procesu Joanna opisywała spotkanie z aniołem inaczej niż pozostałe wizje. Tak jakby nie uważała go za jeden ze swoich Głosów. Badacze spierają się, czy Joanna nie wymyśliła tej historii wyłącznie po to, by udobruchać swoich oskarżycieli. Jeśli jednak ujrzała wtedy człowieka z krwi i kości, a nie anioła, to nic dziwnego, że spotkanie z nim nie przypominało jej kontaktów z Głosami. Wygląda na to, że asasyni, a być może również templariusze, zdołali

dostrzec, że Joanna jest kimś wyjątkowym. Kimś, komu warto pomóc lub kogo należy powstrzymać, w zależności od punktu widzenia. Możliwe, że zawdzięczali to umiejętności, którą asasyni nazywają Wzrokiem Orła. Moim zdaniem powinniśmy bacznie przyglądać się de Metzowi. To asasyn, a w dodatku sprawia wrażenie autentycznie oddanego Joannie. Czy możesz odszukać kolejne wspomnienie z jego udziałem?

Chwileczkę... tak, już mam. To zdarzenie miało miejsce niedługo po tym, jak Joanna wprowadziła się do baszty Coudray.

Poniedziałek 7 marca 1429 roku

Mgła zafalowała i po chwili wyłonił się z niej dziedziniec twierdzy Château de Milieu. Za dnia wyglądał zupełnie inaczej, był równie imponujący, ale znacznie mniej tajemniczy, niż wydawał się Gabrielowi, Joannie i ich towarzyszą, kiedy minionej nocy znaleźli się tu po raz pierwszy. W tej chwili jednak cała uwaga Gabriela skupiona była nie na otoczeniu, tylko na Jeanie de Metz, który nacierał na niego z bojowym okrzykiem i wzniesionym w górę mieczem. Przed ciosem mógł uchronić Gabriela jedynie jego własny miecz, tarcza i wykonany ze skóry pancerz.

Stalowa klinga błysnęła w promieniach zimowego słońca. Gabriel w ostatniej chwili zdołał zasłonić się skórzaną tarczą. Ręka, w której ją trzymał, ugięła się pod siłą ciosu i Gabriel poczuł, jak jego dłoń przyciska się do ramienia. Uniósł miecz i zaatakował. Klingi zwarły się ze sobą i wykrzywiona twarz de Metza znalazła się tuż przy twarzy Gabriela. Chłopak stęknął z wysiłku, bezskutecznie próbując obrócić miecz tak, jak go tego uczono. De Metz odskoczył do tyłu, po czym natarł ponownie. Zamarkował cios w nogi Gabriela, który opuścił tarczę, desperacko starając się osłonić kolana. Jego przeciwnik wykorzystał to i sprytnym uderzeniem wytrącił mu z ręki broń. Miecz poszybował w powietrzu, a Gabriel zarumienił się ze wstydu.

De Metz roześmiał się dobroduszenie.

– Nie przejmuj się. To tylko kwestia czasu. Skoro ona potrafiła się tego nauczyć, to tobie również się uda.

Gestem wskazał Joannę, która nieco dalej ćwiczyła z de Poulengym. Długo szukali zbroi, która pasowałaby do wzrostu i postury dziewczyny. Ta, którą udało im się znaleźć, i tak była na Joannę o wiele za duża, a hełm komicznie spadał jej na oczy. Joanna musiała też wkładać o wiele więcej wysiłku niż Gabriel, by unieść ciężki miecz – a mimo to była w stanie skutecznie parować uderzenia de Poulengy'ego, a nawet zmuszała go, by cofał się pod naporem jej ciosów.

– Cóż – stwierdził Gabriel – najwyraźniej Bóg pragnie, by szybko się uczyła.

Jeden z paziów podał mu kubek rozcieńczonego wodą wina. Gabriel upił spory łyk i spostrzegł, że chłopiec rzuca ukradkowe spojrzenia na Joannę.

– Wiem, że niewiasta z mieczem to niezwykły widok – powiedział. – Ale Jeanne jest niezwykła.

Chłopiec pokiwał głową.

– To dobrze, że została przysłana przez Boga – powiedział. – W przeciwnym razie

po tym, co stało się wczoraj, niektórzy mogliby nazwać ją czarownicą.

Gabriel poczuł, jak z oburzenia krew ścina mu się w żyłach.

– Nigdy nie mów w ten sposób o Dziewicy! – warknął gniewnie i natychmiast pożałował swojego wybuchu, bo chłopiec skulił się i cofnął przestraszony. – Co może być złego w zachęcaniu prawowitego władcy, by odzyskał należny mu tron?

Paź pobladł i spojrzął zaskoczony na de Metza, a potem na Gabriela.

– Jak to, więc o niczym nie wiecie? – zapytał.

Obaj pokręcili przecząco głowami.

– Zeszłej nocy znaleziono ciało Antoine’a Moreau. Utopił się.

W pierwszej chwili Gabriel nie wiedział, o kim mowa. Za to de Metz od razu skojarzył znajome nazwisko.

– Moreau Olbrzym? Ten, który rozmawiał z Jeanne?

Chłopiec skinął głową i mimowolnie zerknął w stronę Joanny, która w dalszym ciągu ćwiczyła się we władaniu mieczem.

– Mówią, że przepowiedziała mu śmierć. I godzinę po tym, jak się tu zjawiła... wyłowiono go martwego z rzeki Vienne.

Simona przeszły ciarki. Czytał relacje na temat tego wydarzenia, ale wydały mu się przesadzone, a może nawet całkowicie wysane z palca. Wyglądało jednak na to, że niewiele pogłosek na temat Dziewicy było kompletną fikcją.

– Ogromnie mi przykro – rozległ się cichy głos.

Gabriel nie miał pojęcia, jakim cudem Joanna zdołała zbliżyć się tak niepostrzeżenie. Stała teraz obok nich, trzymając w ręce hełm, a na jej zaczerwienionej z wysiłku twarzy malował się smutek.

– Nie ja sprowadziłam na niego śmierć, mój młody przyjacielu. Dostrzegłam jednak jej cień na jego twarzy. Mam szczerą nadzieję, że Moreau zdążył pojednać się z Bogiem, zanim wybiła jego godzina.

Paź spuścił wzrok, pokiwał głową i odszedł, by przynieść wino pozostałym ćwiczącym na dziedzińcu szermierzom. De Poulengy oraz inni giermkowie pomogli Gabrielowi i de Metzowi wyswobodzić się ze skórzanych pancerzy, po czym podali im grube, ciepłe peleryny.

– Przejdźmy się, Gabrielu – zaproponował nieoczekiwanie de Metz.

Gabriel przystał na tę propozycję i kilka chwil później znaleźli się w zamkowym ogrodzie, z dala od niosącego się po dziedzińcu szczęku broni.

– Opowiedz mi o wydarzeniach wczorajszej nocy – poprosił cichym głosem giermek.

Zaskoczony Gabriel rozejrzał się niespokojnie. Omiótł spojrzeniem drzewa, których pnie i gałęzie niczym parawan odgradziły ich od dziedzińca.

– To, co zdarzyło się w tamtej komnacie, to sprawa tych z nas, którzy to usłyszeli – odparł. I momentalnie pożałował, że nie ugryzł się w język. Przez moment łudził się jeszcze, że de Metz nie zwrócił uwagi na nieopatrznie wypowiedziane słowo, ale nadzieja okazała się złudna.

– Co takiego usłyszeliście? – Młody szlachcic postąpił o krok bliżej. – Gabrielu... Czy usłyszałeś Głosy, które mówiły do Joanny?

De Metz zawsze wydawał się spokojny i powściągliwy, ale teraz sprawiał wrażenie podekscytowanego.

– I tak powiedziałem już zbyt wiele.

– A ja myślę, że wciąż za mało. Powiedz mi, co usłyszałeś.

– Jean, zrozum...

– To pomoże mi ją chronić, Gabrieliu – powiedział de Metz, w którego głosie zaczynało pobrzmiwać nietypowe dla niego zniecierpliwienie. – Wiem, co do niej czujesz, i wiem, że zrobiłbyś wszystko, by nie stała jej się krzywda. Dlatego muszę się dowiedzieć, co tam usłyszałeś. I co... zobaczyłeś.

Gabriel otworzył szerzej oczy.

Nie wspominał przecież ani słowem o tamtej wizji – wizji, której doświadczyli tylko on i Joanna.

– Przysięgałeś jej wierność – przypomniał de Metzowi. – A teraz twierdzisz, że dzięki temu będziesz mógł skuteczniej ją chronić. Wierzę, że mówisz prawdę. Ale ja złożyłem jej obietnicę, Jean. Wiem, że to zrozumiesz.

De Metz westchnął i pokiwał głową.

– Tak. Rozumiem. – Nagle jego wzrok padł gdzieś ponad ramieniem Gabriela. – Jeanne! – zawołał i uśmiechnął się szeroko.

Na dźwięk imienia Joanny serce Gabriela jak zwykle zabiło mocniej. Odwrócił się pospiesznie, ale nie dostrzegł niczego poza gałęziami i pniami drzew. Zanim zdążył zareagować, zrobiło mu się czarno przed oczami.

Ten sukinsyn mnie ogłuszył! – pomyślał zdumiony Simon.

Po kilku sekundach coś zaczęło się dziać. Simon w dalszym ciągu widział jednie nieprzeniknioną ciemność, ale kiedy Gabriel zamrugał powiekami, poczuł, że jego rzęsy ocierają się o kawałek jakiejś tkaniny. Leżał na zimnym kamieniu i okropnie bolała go głowa. Kiedy chciał dotknąć najbardziej obolałego miejsca, zdał sobie sprawę, że ma związane zarówno ręce, jak i nogi. Powietrze pachniało inaczej niż na dworze – było zatęchłe, z lekko wyczuwalną wonią wyprawionej skóry i potu.

– Obudził się – oznajmił męski głos.

Simon i Gabriel rozpoznali go bez trudu.

– Niech cię diabli, de Metz! – wrzasnął Gabriel, szarpiąc się gwałtownie i usiłując wyzwolić się z krępujących go więzów. – Co ty wyprawiasz?

– Ciszej, Gabrieliu – napomniął go de Metz.

Sądząc po tonie, jakim to powiedział, był bardziej rozbawiony niż zaniepokojony wrzaskami Gabriela. To tylko pogłębiło irytację chłopca. Gabriel czuł, jak serce tłucze się w jego piersi; przepelniała go wściekłość, a zarazem strach.

– Przysięgałeś jej wierność! – zasyczał.

– Doprawdy?

Wypowiedziane szeptem pytanie nie zostało zadane przez de Metza, głos należał do kogoś innego i było w nim coś eleganckiego.

– Ja... tak – przyznał wyraźnie zmieszany de Metz, po czym szybko dodał: – Pomówimy o tym później. Posłuchaj, Gabrieliu. Bardzo mi przykro, ale wyższa konieczność zmusiła mnie do podjęcia takich kroków.

– Do diabła z tobą i twoimi krokami. Coście za jedni? Jesteście zabójcami?

Zapadła cisza. A potem rozległ się stłumiony śmiech.

– Z czego się śmiejecie? Jeśli zamierzacie zabić Jeanne...

– Nie, mój chłopcze. – Towarzysz de Metza wciąż mówił szeptem. Simon zdał sobie sprawę, że stara się ukryć w ten sposób swoją tożsamość. Temu samemu celowi miała służyć opaska na oczach Gabriela. – Śmierć Dziewicy to ostatnia rzecz, jakiej byśmy chcieli.

– W porządku, więc możecie mnie wypuścić – stwierdził Gabriel i ponownie zaczął siłować się z więzami.

– Uspokój się i posłuchaj, a być może to zrobimy – wyszeptał nieznajomy.

Simon starał się wywnioskować jak najwięcej na jego temat. Prawdopodobnie był to człowiek szlachetnie urodzony, wyższy rangą od Jeana de Metza. Rycerz.

Czyżby Mentor?

– Są rzeczy, z których nie zdawałeś sobie dotąd sprawy, Gabrielu Laxarcie – ciągnął tajemniczy głos. – Rzeczy, o których musisz wiedzieć, jeśli zależy ci na bezpieczeństwie Dziewicy.

– Dobrze wiecie, że niczego nie pragnę bardziej – oświadczył Gabriel. – Chyba tylko tego, by udało jej się wypełnić zadania powierzone przez Boga.

– Ach tak – szepnęła mężczyzna – przez Boga.

– Gabrielu – odezwał się de Metz – kiedy patrzysz na Jeanne, czy zdarza się, że dostrzegasz... poświatę, która ją otacza?

Gabriel zwilżył językiem wyschnięte wargi.

– T-tak – odparł z wahaniem. – Czasami bije od niej taki blask i... i przypomina mi wtedy anioła. Ale nigdy wcześniej nie widziałem...

Urwał i przygryzł mocno dolną wargę.

– Nigdy wcześniej nie widziałeś anioła. Aż do zeszłej nocy – dokończył za niego towarzysz de Metza. – Wiemy, co usłyszałeś podczas waszej rozmowy z delfinem. Wiemy, co tam zobaczyłeś. Kogo zobaczyłeś. Wiemy też, co Jeanne powiedziała delfinowi. Tamte słowa wiele dla nas znaczą. I nigdy im się nie sprzeniewierzimy.

– Nie jesteś winien żadnego występkę, Gabrielu Laxarcie. A my trzymamy nasze ostrza z dala od ciał niewinnych.

To Mentor! – pomyślał Simon i ogarnęła go fala entuzjazmu.

Gabrielowi cisnęło się na usta mnóstwo pytań, próśb i żądań. W rezultacie przez dłuższą chwilę nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

– Słucham – powiedział w końcu. To było wszystko, co zdołał z siebie wydusić.

– Obecna wojna, wojna pomiędzy Anglią i Francją, ciągnie się już od niemal stu lat – przypomniał de Metz. – Ale jednocześnie toczy się inna wojna, która trwa od zarania czasu. Wojna, w której nie walczy się o ziemię ani o królestwa, ani nawet o wiarę. Wojna, w której stawką nie są losy poszczególnych ludzi, tylko los całej ludzkości. To, czy pozostanie ona wolna i będzie mogła sama decydować o swoim przeznaczeniu, czy też zostanie poddana dyktatowi tych, którzy pragną ją kontrolować i zmusić, by służyła ich celom.

To niezbyt trafny opis – pomyślał Simon, ale przezornie zachował milczenie.

Gabriel także milczał i słuchał.

– Wojna, o której mówię, wpływa na wszystkich ludzi, lecz tylko nieliczni zdają sobie sprawę z tego, że się toczy – wyszeptał Mentor. – My bierzemy w niej czynny udział, broniąc ludzkiej wolności. Działamy w ciemnościach, aby służyć światłu. Pytałeś, czy jesteśmy zabójcami. W pewnym sensie tak, ale w innym, niż myślisz. Obserwujemy, zdobywamy informacje, wybieramy cel ataku... i eliminujemy zagrożenia.

– Co takiego? Przecież to nic innego jak mordowanie z zimną krwią!

– Tak nazwaliby to nasi wrogowie. Ale nawet oni rozumieją, że starannie zaplanowana śmierć jednostki może czasem ocalić tysiące, a nawet dziesiątki tysięcy niewinnych istnień.

– Kim są ci wrogowie? Ci, którzy niby chcą... jak to było? Kontrolować ludzkość i wykorzystywać ją do własnych celów? – Gabriel nie rozumiał, co miałyby to oznaczać. Słowa tego człowieka brzmiały w najlepszym razie jak majaczenie szaleńca, a w najgorszym jak przechwałki wyrachowanego mordercy. A jednak Gabrielowi wydawało się, że w jakiejś części go rozumie. Przynajmniej na tyle, by zadawać pytania.

– Zwą się templariuszami – odpowiedział de Metz. – Walczymy z nimi w imieniu tych, którzy sami nie są w stanie się obronić. Bronimy tych, którzy nie odziedziczyli władzy ani zaszczytów. Bezsilnych. Niewolników, biedaków, kalek, dzieci, starców.

– I bękartów – mruknął pod nosem Gabriel.

– Tak – potwierdził łagodnie de Metz. – W naszych szeregach znajdziesz mężczyzn i kobiety, ludzi nisko i wysoko urodzonych, o ciemnej i o jasnej skórze. Wszyscy jesteście członkami jednego Bractwa. Wszyscy noszący Ukryte Ostrze są równi.

– A ci... Templariusze? Macie na myśli Rycerzy Świątyni? Takich jak Jakub de Molay? Przecież ich zakon został rozwiązany. Uznano ich za heretyków. Z pewnością wszyscy od dawna już nie żyją.

– Zakon rzeczywiście został rozwiązany... i świat uwierzył, że templariusze przestali istnieć – odparł Mentor. – Jednak niektórzy z nich przetrwali. Usunęli się w cień i potajemnie kontynuowali działalność Zakonu. Teraz zaś starają się odbudować jego potęgę. Zakon nie działa dziś otwarcie, ale rośnie w siłę, templariusze jak zawsze głodni są władzy.

– I właśnie dlatego wojna wciąż trwa – dodał de Metz. – A kiedy tylko dowiadujemy się o istnieniu osób, które mogłyby, świadomie lub nieświadomie, pomóc nam w walce, staramy się do nich dotrzeć. Ty, Gabrielu, widzisz blask bijący od Jeanne. My również go widzimy. Ale nie każdy to potrafi. Ci, którzy są w stanie go dostrzec, to ludzie wyjątkowi. Musisz wiedzieć, że nasze Bractwo popiera misję Jeanne, ponieważ Francja, zjednoczona pod berłem francuskiego króla, będzie w stanie przeciwstawić się angielskim templariuszom, którzy próbują odzyskać swoje dawne wpływy w tym kraju.

– Jeanne nigdy się do was nie przyłączy – oświadczył bez namysłu Gabriel. – Ona jest posłuszna jedynie Bogu.

– Zdajemy sobie z tego sprawę – przyznał szeptem Mentor. – Jesteśmy tu po to, by

ją wspierać i być może nauczyć pewnych umiejętności, które mogą okazać się przydatne w wypełnianiu jej misji. Ale to nie o Jeanne nam chodzi. Chodzi nam o ciebie.

Jego słowa ścięły Gabrielowi krew w żyłach.

– O mnie? Jestem przecież tylko...

– Bękartem? Jeana Dunois wszyscy znają jako Orleańskiego Bastarda, a przecież to właśnie on dowodzi teraz obroną oblężonego Orleanu. Być może twoje uszy są pełne wosku i przez to nie słyszałeś, co mówiłem? Potrafisz dostrzec światło Jeanne, Gabrielu! Nabierasz wprawy we władaniu mieczem szybciej niż jakikolwiek znany mi człowiek. Masz to we krwi. Takie rzeczy dziedziczy się po przodkach tak jak kolor oczu po ojcu albo kolor włosów po matce. To twoje przeznaczenie, po to się urodziłeś.

Po to się urodziłam. Tak właśnie powiedziała Joanna o sobie i swojej misji. Urodziła się, by opuścić rodzinny dom i wyruszyć w niebezpieczną podróż do Chinon. Gabrielowi przyszło teraz na myśl, że on urodził się po to, by... być nikim. Zdał sobie sprawę, że drży, ale nie z zimna, które było od kamiennej podłogi i przenikało przez jego skórę. Poczł coś, co do tej pory czuł jedynie na widok Joanny, jej niebieskich oczu i jej blasku, tego cudownego światła, które emanowało z jej wnętrza.

– Chcecie, żebym wstąpił do waszego... Bractwa?

– Nie – odparł szeptem Mentor. – W nasze szeregi przyjmujemy jedynie tych, którzy okażą się tego godni i dowiodą swojej lojalności. Ty jesteś jeszcze jedną wielką niewiadomą. Na razie oferujemy ci trening. Wyostrzysz swoje zmysły. Wzmocnisz ciało. Nauczysz swoje oczy patrzeć inaczej i widzieć więcej, a także wyciągać wnioski z tego, co zobaczysz. Zgódź się, a uczynisz zadość swojemu dziedzictwu i będziesz mógł skuteczniej chronić Dziewicę. Ją także spróbujemy nauczyć różnych rzeczy. W końcu nie zawsze będziesz mógł być przy niej.

Najwyraźniej znali go na tyle dobrze, by wiedzieć dokładnie, czego pragnie. Braterstwa. Przynależności. Poczucia, że jest kimś wyjątkowym, kimś wartościowym. Ale przede wszystkim wiedzieli, że Gabriel Laxart gotów jest zrobić wszystko, by chronić Joannę Dziewicę.

– A jeśli odmówię?

– Cóż, mamy nadzieję, że tego nie zrobisz – odparł de Metz. – Nawet jeśli odmówisz, puścimy cię wolno, pod warunkiem że będziesz trzymał język za zębami. Ale będziemy cię obserwować i jeśli nas zdradzisz... cóż. Zamki kryją wiele tajemnic, wiele dawno zapomnianych zakamarków. Całkiem możliwe, że nikt nie odnalazłby twojego ciała.

– Chyba... chyba żartujesz. Żartujesz, prawda? A co z trzymaniem ostrza z dala od ciała niewinnych?

Odpowiedziało mu milczenie, a po chwili gromki śmiech. De Metz i jego towarzysze szepotali coś do siebie przez chwilę, a potem rozległ się odgłos kroków na kamiennej posadzce. Gabriel poczuł, jak kurczy mu się żołądek.

– Powinieneś zapomnieć o bitwach i zostać członkiem królewskiej rady –

powiedział rozbawiony de Metz. – Daj spokój, Gabrielu. Jesteś zbyt małą rybką, żeby warto było cię zabijać. Usłyszałeś, co mieliśmy ci do powiedzenia. Czy zdecydujesz się do nas przyłączyć?

Gabriel poczuł ulgę.

Gabriel zastanawiał się przez chwilę. Czuł niepokój na myśl o celach tych ludzi i o propozycji, jaką mu złożyli. Przez całe życie nie opuszczało go jednak poczucie, że jest inny niż wszyscy. Być może więc to uczucie niepokoju nie wynikało wcale ze strachu, tylko z ekscytacji?

– Dobrze – powiedział. – Będę uczył się tego, czego chcecie mnie nauczyć. Ale jeśli zdradzicie Jeanne, zabiję was własnymi rękami.

Simonowi zrobiło się niedobrze. Gabriel Laxart, jego własny przodek, był asasynem? Przecież to niemożliwe! Simon był Mistrzem Templariuszy, członkiem Wewnętrznego Sanktuarium. Co więcej, zaliczał się do wąskiego grona osób, które określano w Zakonie mianem spadkobierców. Templariuszami byli bowiem oboje jego rodzice, a także jego babka, która podczas wojny pracowała w sztabie Winstona Churchilla. Członkami Zakonu było również kilkoro innych, dalszych przodków Simona. Teraz, będąc świadkiem tego, jak Gabriel sprzymierza się z odwiecznym wrogiem, poczuł się tak, jakby pluł na groby swoich krewnych.

– Na nic innego bym nie zasługiwał – zgodził się de Metz, w którego głosie nie było już śladu poprzedniej wesołości.

Gabriel usłyszał specyficzne szczyknięcie, a potem poczuł, jak ktoś przecina krępujące go sznury. Gdy tylko oswobodzono mu ręce, zerwał z oczu opaskę i natychmiast zmrzył powieki, oślepiiony promieniami słonecznego światła, które wpadały przez wąskie, pionowe otwory w kamiennych ścianach. Sklepiony sufit zdobiły kamienne łuki, a ściany pokryte były osobliwymi rycinami. Spiralne schody prowadziły do jedyne go wyjścia z komnaty. Rozejrzawszy się dookoła, Gabriel odwrócił głowę w stronę de Metza. Jego wzrok przykuło błyszczące ostrze, wystające spod prawego nadgarstka młodego szlachcica. Usta de Metza rozciągnęły się w uśmiechu. Najwyraźniej czekał, aż Gabriel zauważy ostrze, gdy to się stało, poruszył nieznacznie dłonią i klinga zniknęła w rękawie jego szaty.

– To nasza tradycyjna broń, czyli ukryte ostrze – wyjaśnił cicho, po czym wykonał delikatny ruch nadgarstkiem. Rozległ się cichy szczyk i stalowa klinga ponownie się wysunęła. – Zawsze mamy je pod ręką. I to dosłownie. Dzięki temu możemy wykonywać nasze zadania jeszcze dyskretniej, zgodnie z drugą zasadą naszego Creda: ukrywaj się w widocznym miejscu.

Z łatwością mógłby mnie zabić, wyciągając rękę w pozornie przyjaznym geście – zdał sobie sprawę Gabriel. Pomyślał, że on także chciałby nosić tę elegancką, wyrefinowaną, a zarazem śmiertelnie niebezpieczną broń. Był pewien, że nie

zawahały się jej użyć przeciwko każdemu, kto próbowałby skrzywdzić Joannę.

Z trudem oderwał wzrok od ostrza.

– Co to za miejsce? – zapytał.

– Lochy pod basztą Coudray – odpowiedział asasyn.

– W takim razie ktoś na pewno by mnie tu odnalazł – rzucił kpiąco Gabriel. – Mógłbym wzywać pomocy przez okno.

– Cóż... Nie mógłbyś, gdybym wbił ci to ostrze w gardło – zauważył de Metz szokująco beztroskim tonem. – I z pewnością nikt by cię nie odnalazł, gdybyśmy zamknęli cię w sekretnym przejściu, które prowadzi stąd do Młyńskiej Wieży.

Gabriel pobladł.

A zatem to, co usłyszał wcześniej, nie było tylko czczymi pogroźkami.

– Kim był ten drugi? – zapytał, starając się nie okazywać zdenerwowania.

– Dowiesz się... w swoim czasie. Im mniej o nas wiesz, tym mniejsze ryzyko, że mógłbyś nas zdradzić.

– Nie zdradzę was, dopóki chronicie Jeanne.

– Nie masz pojęcia, jak subtelne metody perswazji potrafią stosować nasi wrogowie – stwierdził ponuro de Metz. – Nawiasem mówiąc, niektórzy z nich kiedyś tu przebywali.

– Templariusze? W Chinon?

– W Chinon, a mówiąc dokładniej, w tym właśnie lochu. Przez kilka miesięcy przetrzymywano tu Wielkiego Mistrza Jakuba de Molaya, a także trzech innych wysokich rangą członków Zakonu. – De Metz wskazał na wyryte na ścianach obrazy. – To dzieła de Molaya. Ciekaw jestem, czy zdołasz dostrzec lub wyczuć w nich coś szczególnego. Niektórzy asasyni są w stanie widzieć rzeczy niewidoczne dla innych. Być może ty również to potrafisz. W Bractwie nazywamy tę umiejętność Wzrokiem Orła. W tych rysunkach musi być ukryty jakiś przekaz. Templariusze nie marnowaliby energii dla zabawy.

Gabriel przyjrzał się wyrytym w kamieniu literom i symbolom. Miał wrażenie, że patrzy na pozbawione sensu bazgroły. Ściany pokryte były dziwną mieszaniną łacińskich inskrypcji. Gabriel potrafił rozpoznać język, z którego pochodziły słowa, ale nie miał pojęcia, co oznaczają, podobnie jak pozbawione logicznego ciągu obrazy. Były wśród nich krzyże, wyciągnięte dłonie, a także słońce, dość koślawe i przypominające raczej odwróconą łzę lub kroplę krwi niż kulę, którego promienie padały na ukazaną z profilu ludzką twarz. Gabriel dostrzegł także inne postaci, niektóre z nich wydawały się zakapturzone, inne przypominały anioły.

– Prawdziwi artyści nie muszą się obawiać konkurencji ze strony templariuszy – skomentował żartobliwie.

– Wśród członków Zakonu było wielu znakomitych artystów – powiedział de Metz.

– Ale to prawda, że de Molay raczej się do nich nie zaliczał. Czy coś z tego wydaje ci się zrozumiałe? Może coś przykuło twoją uwagę?

Gabriel bardzo chciał odkryć w rycinach de Molaya jakąś ważną informację lub wskazówkę i sprawić, by Metz poczuł się usatysfakcjonowany, że Gabriel został jego uczniem. Wpatrywał się więc intensywnie w pokrywające ścianę obrazy. Po chwili

westchnął głęboko. W kamieniu wyryto między innymi ciąg liter i symboli, który niechybnie stanowił jakiś rodzaj szyfru, ale Gabriel nie łudził się, że zdoła go złamać. Widniały tam dwie sześcioramienne gwiazdy. Trzy okręgi poprzecinane krzyżującymi się liniami. Lilie herbowe. Coś, co przypominało serce przebite strzałą. Nieco dalej drugie serce, a obok niego wyciągnięta ręka.

– Cokolwiek?

Gabriel westchnął po raz kolejny.

– No cóż, to tutaj wygląda jak kaczka.

De Metz zmarszczył brwi, po czym spojrzał na ścianę i wybuchnął śmiechem. Po chwili Gabriel również się roześmiał i poczuł, jak opada z niego nerwowe napięcie.

Gabriel był zafrasowany i nieco zawstydzony, za to Simon nieco się rozpogodził. Odkrycie, że w jego żyłach płynie krew asasynów, było dla niego bardzo nieprzyjemną niespodzianką, ale teraz poczuł, że ma powody do zadowolenia. Zdołał dokładnie przyjrzeć się symbolom wydrapanym na ścianach celi i był pewien, że zainteresują one Zachary'ego Morgensterna z Działu Kryptologii. Miał w rękę kolejny dowód na to, że jego podejście do badań przynosiło wymierne rezultaty. Oczywiście, nie przybliżyło go to do celu, którym było odnalezienie Miecza Edenu i zdobycie wiedzy pozwalającej go naprawić. Ryciny wykonane przez de Molaya były jednak równie cenne i gdyby nie Simon, Zakonowi nigdy nie udałoby się ich zdobyć.

– Przykro mi – powiedział Gabriel – ale nic z tego nie rozumiem.

– No cóż, przynajmniej się starałeś – pocieszył go de Metz. – Na przyszłość muszę jednak pamiętać, żeby nie zostawiać ci żadnych zaszyfrowanych wiadomości. A teraz zajmijmy się bardziej użytecznymi ćwiczeniami.

Gabriel skinął głową i ruszył w kierunku schodów, ale de Metz go zatrzymał.

– Nie wracam na dziedziniec. To, czego zamierzam cię nauczyć, nie jest przeznaczone dla niepowołanych oczu. Do tego sekretu dopuszczamy zazwyczaj tylko pełnoprawnych członków Bractwa, ale... przejawiasz pewne interesujące zdolności i dlatego zrobimy dla ciebie wyjątek. – De Metz wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Mam nadzieję, że potrafisz to docenić.

Następnie podciągnął rękaw, odsłaniając przypięte do przedramienia ukryte ostrze. Zręcznie odpiął kłamy i wręczył broń Gabrielowi, który wziął ją do rąk z nabożnym niemal szacunkiem.

Gabriel nigdy nie widział czegoś podobnego. Broń była wyjątkowa nie tylko pod względem konstrukcji, ale także urody. Stalową klingę, zabójczo ostrą i pokrytą kunsztownymi grawerunkami, zamontowano na szerokim skórzanym pasie, który ciasno opinał przedramię, dzięki temu broń pozostawała niewidoczna pod rękawem tuniki. Misterne tłoczenia na skórzanym karwaszu stanowiły prawdziwe arcydzieło kaletniczej roboty, a przemyślny mechanizm ostrza zapewniał bezlitosną skuteczność.

De Metz założył ostrze na prawe przedramię Gabriela i wprawnie pozapinał kłamy.

– Najważniejsza rzecz, o której musisz pamiętać: zawsze trzymaj dłoń z dala od wysuwającej się klingi. Nawiasem mówiąc, w minionych wiekach asasyni odcinali sobie serdeczny palec na znak całkowitego oddania Bractwu.

– Człowiek z odciętym palcem musiał łatwo rzucać się w oczy – zauważył Gabriel.

– Zbyt łatwo, by mógł skutecznie ukrywać się w widocznym miejscu.

De Metz zmierzył go uważnym spojrzeniem.

– Sprawiasz wrażenie jagniątka, które podąża za Jeanne, ale to tylko pozory, prawda?

Jagniątko, które podąża za Jeanne. Przyjacielski docinek de Metza dał Gabrielowi do myślenia. Rzecz w tym, że... wcale nie czuł się przy Joannie jak jagniątko. Jagnięta są bezbronne i wymagają opieki. Tymczasem Joanna sprawiała, że Gabriel czuł się niczym lew. Miał wrażenie, że jest naprawdę kimś i że może pomóc Joannie zmienić świat. Miał poczucie, że to, co robił, miało głęboki sens.

– Podążam za Jeanne, ale nie jestem jagniątkiem. A teraz – dodał z uśmiechem – pokaż mi wreszcie, jak się tego używa.

Dwaj jeźdźcy w ciężkich skórzanych zbrojach zajęli pozycje po przeciwnych stronach dziedzińca. Uzbrojeni byli w prawdziwe tarcze oraz tępe turniejowe kopie. Gabriel, który dopiero co powrócił na dziedziniec w towarzystwie de Metza, przyjrzał się jeźdźcom i w niższym z nich rozpoznał Joannę. Ubrana w niedopasowaną zbroję dziewczyna trąciła piętami boki swojego wierzchowca. To samo uczynił drugi jeździec i oboje ruszyli na siebie galopem. Kopia przeciwnika ugodziła z impetem w środek tarczy Joanny. Siła uderzenia była tak wielka, że dziewczyna odchyliła się do tyłu, wypuszczając z ręki kopię.

Jej koń szarpnął się spłoszony i stopa Joanny wypadła ze strzemienia. Dziewczyna zachwiała się w siodle i rozpaczliwie machnęła rękami, próbując odzyskać równowagę. Przez krótki, mrozący krew w żyłach moment wydawało się, że Joanna runie na ziemię i pod końskie kopyta. Ostatecznie jednak zdołała się wyprostować i chwyciła za uzdę, a potem, ku zaskoczeniu Gabriela, okiełznała szalejącego konia. Następnie zaś podjechała do giermków, którzy podali jej upuszczoną kopię.

Przeciwnik Joanny, który nie wypuścił swojej broni, zdążył w tym czasie ponownie zająć pozycję na skraju dziedzińca. Dziewczyna poprawiła się w siodle i zawróciła wierzchowca, szykując się do kolejnego starcia.

Ogromny wierzchowiec Joanny zerwał się do galopu, a jej kopia zakołysała się w powietrzu. Gabriel z zapiętym tchem patrzył na falujący w rytm końskiego galopu grot, który nagle znieruchomiał. Wymierzona w najeżdżającego przeciwnika kopia wydawała się nieodłącznym atrybutem Joanny, tak jak ukryte ostrze było nieodłącznym atrybutem asasyna. Joannie udało się trafić niemal w sam środek tarczy i z ust Gabriela wyrwał się radosny okrzyk. Jednocześnie rozległ się głośny trzask i drzewce kopii pękło na dwie części. Rycerz wypuścił tarczę i z najwyższym trudem utrzymał się w siodle. Jego kopia trafiła w próżnię.

– Jak długo już tak ćwiczą? – zapytał osłupiały Gabriel.

– Zaczęli po porannej mszy. Jeanne udała się na nią w towarzystwie delfina. Trenować zaczęła nie wcześniej niż godzinę temu – odparł de Metz, po czym mrugnął do Gabriela porozumiewawczo. – Mówiłem ci, że oboje jesteście niezwykle pojętymi uczniami.

Obserwatorzy starcia przyjęli jego rezultat głośnymi wiwatami. Joanna tymczasem zdjęła z głowy hełm i potrząsnęła krótkimi, wilgotnymi od potu włosami. Była

zaczerwieniona i zdyszana, ale zmęczenie nie osłabiło bijącego od niej blasku.

– Mamy wrażenie, jakby królewska korona spoczywała już na naszej głowie – rozległ się głos delfina.

Gabriel i de Metz skłonili się z szacunkiem przed nadchodzącym Karolem. Towarzyszył mu mniej więcej dwudziestoletni mężczyzna, ciemnowłosy, smukły i elegancki. Pomimo wyrazistych rysów jego twarz miała w sobie coś subtelnego. Ta delikatność, a także swoboda, z jaką kroczył u boku króla, zdradzały jego arystokratyczne pochodzenie. Gabrielowi przyszło do głowy, że ciemnowłosy mężczyzna porusza się niczym półdziki kot: jego ruchy wydawały się płynne i lekkie, a zarazem było w nich ledwo dostrzegalne napięcie, tak jakby w każdej chwili gotów był do skoku.

– Witam cię ponownie, mój delfinie. I ciebie także, mój dobry księżę – zawołała Joanna. Dźgnęła lekko kolanami boki swego konia i podjechała do Karola oraz jego towarzysza.

Na jej widok księżę uśmiechnął się szczerze i szeroko, a z jego przystojnej twarzy zniknęło wszelkie napięcie. Joanna odszukała wzrokiem Gabriela i przywołała go skinieniem dłoni. Gabriel zbliżył się pospieszenie, po czym pokłonił się stojącym obok Joanny mężczyznom.

– To mój kuzyn Gabriel, który towarzyszy mi wiernie od samego początku. A to Jean, księżę Alençon. Poznaliśmy się dziś rano na mszy. Powiedziałam mu, że zjawił się tu w samą porę. Im więcej tych, w których żyłach płynie królewska krew, stanie w obronie Francji, tym lepiej dla naszej sprawy!

Księżę roześmiał się głośno.

– Przybyłem tak szybko, jak tylko pozwolili mi na to Anglicy – wyjaśnił Gabrielowi. – Przez pięć ostatnich lat byłem bardzo niechętnie ich gościem. Odzyskałem wolność zaledwie kilka dni temu i już musiałem się stawić na wezwanie mojego króla! Ale cieszę się, że tu jestem.

To powiedziawszy, spojrział na Joannę, a ona obdarzyła go niewymuszonym, pełnym ufności uśmiechem.

– Nigdy bym nie przypuszczał, że młoda kobieta może tak sprawnie poczynać sobie z kopią – dodał Alençon. – Ale ten stary gospodarski koń, którego sprezentował ci mój drogi przyjaciel Karol, nie przyda ci się na wiele podczas bitwy, Jeanne.

Wspomniany koń – który tak naprawdę wcale nie był koniem gospodarskim, tylko wierzchowcem wykorzystywanym do nauki władania kopią – zastrzygł gwałtownie uszami, tak jakby poczuł się dotknięty słowami księcia.

– Pozwól, że kupię ci wierzchowca, który słyszał już bitewny zgiełk i nie przestraszy się szczęku oręza. Z takiego konia będziesz mieć więcej pożytku.

Na twarzy Joanny pojawił się wyraz bezgranicznego szczęścia, ale Karol szybko podniósł rękę w geście pełnym rezerwy.

– Nie zdecydowaliśmy jeszcze, czy pozwolimy Dziewicy na udział w bitwie – oświadczył, zerkając z przyganą na księcia – choć to bardzo uprzejmie ze strony naszego przyjaciela, że zechciał zdobyć się na taki dar. Musimy jednak pamiętać, że na naszym dworze nie brakuje osób, które mają do ciebie wiele pytań, Dziewico.

Mina Joanny zdradzała rozczarowanie, ale kiedy spojrzała na księcia, Gabriel wyraźnie dostrzegł bijące od niej jasne światło.

– Będę księciu ogromnie wdzięczna za nowego wierzchowca, kiedy wyruszę na nim do Orleanu – oświadczyła pogodnym, niemal wesołym tonem.

Karol sprawiał wrażenie zakłopotanego. Spoglądał to na Joannę, to na Alençon, marszcząc brwi i obracając nerwowo pierścienie na palcach swojej dłoni.

– Cóż – odezwał się po chwili – wprawdzie musimy mieć na względzie zdanie czcigodnych i uczonych duchownych, ale być może my także moglibyśmy ofiarować ci coś, co przydałoby ci się na polu bitwy... na wszelki wypadek. Na przykład piękny miecz, wykonany specjalnie dla ciebie. Taki dar ucieszyłby cię z pewnością bardziej niż koń, nieprawdaz?

Słyszając to, Alençon tylko się uśmiechnął. Najwyraźniej nie był zaskoczony tym, że jego senior próbuje rywalizować z nim o uznanie Joanny.

– Moje Głosy, te same, które kazały mi zaprowadzić cię do Reims, zapewniły mnie, że istnieje miecz, który już na mnie czeka. Nie ma potrzeby, byś kłopotał swoich kowali i kazał im wykuwać nowy oręż.

Karol zamrugnął i zaczął jeszcze bardziej nerwowo przebierać palcami po swoich pierścieniach.

– Och, doprawdy?

– Tak! – zapewniła go żarliwie Joanna. – Musisz jedynie zwrócić się do księżki z Sainte-Catherine-de-Fierbois, by zgodzili się mi go wydać. Wiem dokładnie, gdzie znajduje się ów miecz. Mogę podyktować list z instrukcjami, gdzie mają szukać. – Na jej ustach pojawił się szelmowski uśmieszek. – Przekonasz się, że mam rację.

– Pojadę tam – wypalił bez namysłu Gabriel i natychmiast się zaczerwienił, bo oczy wszystkich zwróciły się na niego. – Pojadę i przywiozę ten miecz.

Pamiętał doskonale, co czuł, kiedy modlił się w tamtym kościele u boku Joanny: dziwne uczucie przyciągania do ołtarza. Bardzo pragnął doświadczyć tego raz jeszcze. Poza tym nie mógł znieść myśli, że jakiś inny, pozbawiony skrupułów posłaniec mógłby przywłaszczyć sobie miecz Joanny, a następnie z nim uciec.

– Będę mu towarzyszył – zaoferował się de Metz. – Za twoim pozwoleniem, rzecz jasna.

Joanna zmierzyła go uważnym spojrzeniem błękitnych oczu.

– Mam nadzieję, że ty i de Poulengy nie zamierzacie skorzystać z okazji, by mnie opuścić i wrócić do Vaucouleurs?

– Oczywiście, że nie, moja pani. Dotrzymałem danego ci słowa, ale nie przestanę ci służyć, dopóki nie otrzymam takiego rozkazu.

Joanna skinęła głową.

– Dobrze. Wobec tego mam dla ciebie zadanie. Czuwaj nad Gabrielem, moim Cieniem, w drodze do Sainte-Catherine-de-Fierbois.

– Daję ci słowo, że będzie bezpieczny – odparł de Metz. – I jestem pewien, że zostawiam cię w dobrych rękach.

Młody asasyn popatrzył tęsknie na Joannę, w jego oczach nie malowała się jednak chuć, tylko smutek wywołany rychłym rozstaniem. Gabriel doskonale to rozumiał.

Kiedy ktoś był w stanie dostrzec światło Joanny, oddalenie się od źródła tego światła wymagało olbrzymiego wysiłku woli. *Lgnjemy do niej niczym ćmy do ognia, choć nie na własną zgubę* – pomyślał.

Gabriel odwrócił głowę i spojrzał na Alençona. Wyraz twarzy księcia przypominał wyraz twarzy de Metza, a także, z pewnością wyraz twarzy samego Gabriela.

On też to w niej widzi – uświadomił sobie nagle Gabriel. – *Tak jak ja i jak de Metz. Jak asasyn.*

Wokół Simona zaczęła gęstnieć mgła.

– Victorio, nie! – krzyknął, ale przerwał mu jej stanowczy głos.

Tak, Simonie. Przebywałeś dziś w Animusie przez wiele godzin, odbyłeś kilka intensywnych sesji. Wróćmy do pracy jutro rano. Połóż się wcześniej spać i porządnie wypocznij.

– Zaczekaj, czy ty nic nie rozumiesz? Gabriel lada moment odnajdzie miecz! Przecież właśnie o to nam chodziło!

Na chwilę zapadła cisza.

Masz rację. Ale sprawdziłam twoje wyniki i nie podoba mi się to, co widzę. Masz podwyższony poziom kortyzolu, zbyt wysokie ciśnienie krwi, a do tego jesteś wyraźnie odwodniony.

– Och, daj spokój. Miałbym takie same wyniki po obejrzeniu meczu w pubie i wypiciu paru piw. Nic mi nie jest. – Odruchowo podniósł rękę, by przeczesać włosy, ale jego dłoń uderzyła w hełm. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak głęboko ten gest zakorzeniony był w jego podświadomości.

Wcześniej zdarzało się już, że Victoria go irytowała, ale tym razem był na nią naprawdę wściekły.

– Posłuchaj – powiedział, starając się, by jego głos nie zdradzał targających nim emocji. – Jutro mija czwarty dzień. Moglibyśmy z samego rana pójść do Rikkina i oznajmić mu, że znaleźliśmy miecz. Jestem pewien, że przyznałby nam dodatkowy czas na dokończenie badań.

Sam mówiłeś, że Joanna miała trzy miecze. Jeśli to nie ten...

– To ten. Ja... ja to po prostu wiem.

Tylko spokojnie – napomniął się w duchu. – *Nie gorączkuj się, bo inaczej ona zakończy sesję.*

– Jeszcze tylko jedna symulacja, Victorio. Chcę zobaczyć moment odnalezienia miecza. Muszę się upewnić, że jesteśmy na właściwym tropie.

Wydawało mu się, że upłynęła cała wieczność, zanim Victoria odezwała się ponownie.

W porządku. Ale jeśli uznam, że coś, choćby w najmniejszym stopniu zagraża twojemu zdrowiu, to natychmiast przerwę symulację.

Simon odetchnął z ulgą. Otaczająca go mgła zaczęła przybierać konkretne kształty i po chwili jego oczom ukazały się znajome zabudowania Saint Catherine.

Wyruszyli z Chinon 7 marca w południe i na godzinę przed zachodem słońca dotarli

do celu. Gabriel zsiadł z konia i rozejrzał się dookoła. Za dnia Saint Catherine wydawało się znacznie mniejsze. W drzwiach plebanii powitała ich korpulentna starsza kobieta, była to wdowa, która pełniła obowiązki księżowskiej gospodyni, zajmując się gotowaniem i sprzątaniami. Zaprosiła ich do środka, by mogli się ogrzać i odpocząć po podróży. Kiedy wręczyli jej list i wyjaśnili, że przybywają w imieniu samego delfina, oczy kobiety zrobiły się okrągłe z wrażenia, a jej twarz spoważniała.

– Proszę, oto chleb, dzbanek piwa i nieco sera. Posilcie się, a ja zaniosę list księdzu Michelowi.

De Metz podziękował, po czym usiadł przy stole i oderwał z bochenka sporą pajdę. Poczęstował Gabriela, a potem zaczął niespiesznie przeżuwać ciemny, gruboziarnisty chleb.

– Skoro już jesteśmy na miejscu – odezwał się, kiedy gospodyni opuściła refektarz – to powiem ci, dlaczego moim zdaniem byłeś taki podekscytowany podczas naszej podróży.

Gabriel skrzywił się w duchu, maczając czerstwy chleb w piwie i odgryzając spory kęs. Oczywiście, że de Metz zauważył jego zdenerwowanie. Próbował wypytywać o jego przyczynę, ale Gabriel przez całą drogę uchylał się od odpowiedzi.

– Jakiś czas temu byliśmy razem w tutejszej świątyni. Zgaduję, że potem odwiedziłeś ją ponownie. Zapewne chciałeś się pomodlić, być może w samotności, a może w towarzystwie Jeanne. I pewnie to wtedy poczułeś coś niezwykłego. Coś, co pozwala ci przypuszczać, że wiesz, gdzie znajduje się miecz.

Gabriel pokiwał głową.

– Wiem, to niedorzeczne. Bóg nie przemawia przecież do mnie, tylko do Jeanne.

– Pamiętasz, co ci powiedziałem w lochu? – zapytał de Metz. – O tym, że potrafisz dostrzec światło Jeanne, ponieważ masz to we krwi? Tak jak ja. I tak jak Jeanne. Jej blask to również coś, z czym się urodziła. Posiadamy takie zdolności, ponieważ wywodzimy się od istot, które żyły na świecie, zanim pojawił się na nim pierwszy człowiek. Potężnych istot o cudownych zdolnościach i umiejętnościach.

Gabriel popatrzył na niego skonsternowany, a potem obejrzał się przez ramię, upewniając się, czy gospodyni przypadkiem nie wraca.

– Mówisz takie rzeczy pod księżowskim dachem? Przecież to herezja!

Tym razem to de Metz skinął głową.

– Dla zwykłych ludzi, owszem. Ale nie dla nas... My wiemy, że to prawda. Czy czułbyś się spokojniejszy, myśląc o tych istotach jako o aniołach? Nie były to bóstwa, tego możesz być pewien. Widziałeś już wystarczająco wiele, by nie obawiać się tej wiedzy, Gabrielu. Widzisz to u Jeanne, a nawet w sobie samym. Idę o zakład, że poczułeś coś w tym kościele. Pewien rodzaj przyciągania, które kazało ci podążać w określonym kierunku. Tamte istoty... Ci, Którzy Istnieli Przed Nami... pozostawili po sobie niezwykle potężne artefakty. Nazywamy je Fragmentami Edenu. Zarówno asasyni, jak i templariusze poszukują ich od zarania czasu. Z pewnością słyszałeś legendy o magicznych mieczach, eliksirach, czarodziejskich różdżkach i berłach? Inspiracją dla tych opowieści były właśnie owe artefakty. Nie są to przedmioty magiczne, ale ich właściwości mogą się takie wydawać.

Gabriel opuścił oczy i spojrzał na swój kubek z piwem. Wpatrywał się przez chwilę w unoszące się na powierzchni okruszki chleba.

– Wspomniałeś o przyciąganiu. Masz rację, poczułem coś takiego. Coś ciągnęło mnie za ołtarz, tam gdzie stoi figura świętej Katarzyny.

– Grzeczny chłopiec – pochwalił go de Metz. – Czy uwierzysz mi, jeśli treść listu Jeanne to potwierdzi?

– Przypuszczam, że nie będę miał innego wyjścia – odparł Gabriel.

Usłyszeli zbliżające się kroki i powstali, by powitać księdza Michela. Pleban był niskim mężczyzną o pomarszczonej, cienkiej i bladej niczym pergamin skórze. Kiedy wszedł do refektarza, przyjrzał się życzliwie swoim gościom.

– Przeczytałem list od delfina – oznajmił. – I muszę powiedzieć, że zawarte w nim instrukcje nie były dla mnie wielkim zaskoczeniem.

– Zdradź nam więc, ojczy, o co poprosił cię delfin – powiedział de Metz.

Ksiądz skierował swoje jasne oczy na asasyna, musiał zadrzeć głowę, by spojrzeć mu w twarz.

– Mamy przekopać miejsce za ołtarzem naszego kościoła. Powinniśmy tam znaleźć ukryty miecz.

– I nie wydaje się to ojcu dziwne? – wyrwało się Gabrielowi.

Ksiądz Michel zaśmiał się cicho.

– Odkąd zaczęto wznosić kościoły, nigdy nie brakowało w nich żołnierzy modlących się o zwycięstwo. Czasem, w podzięce za łaskę okazaną im przez Boga, składają w świątyni dziękczynne wotum: tarczę, fragment zbroi albo – kapłan uśmiechnął się pod nosem – miecz. Nie słyszałem, by takie wota znajdowały się także u nas, ale wcale by mnie to nie zdziwiło. Będziemy jednak musieli poczekać z tym do jutra. W kościele nie ma odpowiednich narzędzi. Jutro poprosimy o pomoc kamieniarzy. A na razie raczcie przyjąć moją skromną gościnę.

We wtorek, ósmego dnia marca, Gabriel i de Metz wstali o świcie i udali się na mszę. Po nabożeństwie zebrani w kościele wierni uprzątnęli przestrzeń za ołtarzem i do pracy przystąpili kamieniarze. Sainte-Catherine-de-Fierbois było niewielkim miasteczkiem i jego mieszkańcy musieli się zadowolić skromną świątynią; jej podłoga nie była wykonana z kamienia. Było to zwyczajne gliniane klepisko. Miało tę zaletę, że zniszczenia powstałe podczas poszukiwania miecza można było stosunkowo łatwo naprawić. Przy ołtarzu zebrał się spory tłumek gapiów, z zaciekawianiem przyglądających się robotnikom, którzy za pomocą łomów oraz oskardów rozkopywali wskazany im przez księdza Michela fragment podłogi.

Gabriela kusiło, by przyłączyć się do kamieniarzy, ale zdawał sobie sprawę, że jego pomoc nie byłaby przez nich mile widziana. Był w stanie... trudno było znaleźć na to lepsze słowo... wyczuć jego obecność. Obecność Miecza Edenu, jak nazywał go de Metz. Z każdą usuniętą warstwą ziemi robotnicy coraz bardziej zbliżali się do artefaktu. De Metz zauważył, że Gabriel nerwowo przygryza paznokcie.

– Co się dzieje? – zapytał szeptem.

– Boję się, że te narzędzia mogą go uszkodzić – odparł cicho Gabriel.

– Bądź spokojny, chłopcze. Fragmenty Edenu przetrwały tysiące lat. Narzędzie

kamieniarza nie zrobi mu krzywdy.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz. Bo jeśli miecz zostanie uszkodzony, to ty powiesz o tym Jeanne.

De Metz parsknął śmiechem, ściągając na siebie pełne dezaprobaty spojrzenie księdza Michela.

Nagle jeden z robotników przerwał pracę. Poprosił o dłuto, mniejsze i ostrzejsze, po czym zaczął ostrożnie dłużyć nim w ziemi. Obserwatorzy zauważyli tę zmianę i w kościele zrobiło się cicho niczym makiem zasiał. Oddech Gabriela przyspieszył i przez moment zakręciło mu się w głowie. De Metz musiał to zauważyć, bo położył chłopcu dłoń na ramieniu i lekko ją zacisnął, dodając mu w ten sposób otuchy, a zarazem przestrzegając, by nie dał się ponieść emocjom. Gabriel kiwnął głową na znak, że zrozumiał.

W końcu na dnie wykopu pojawił się zarys miecza. Ziemia wokół niego była twarda i zbita, co wskazywało na to, że broń spoczywała tam od dawna, przynajmniej od stu lat, a może i dłużej. Kamieniarze ostrożnie wydobyli miecz i przywołali jednego z miejscowych kowali. Mężczyzna trzymał w dłoniach kawałek płótna, na którym złożono broń pokrytą skorupą zaschniętej ziemi. Ale gdy tylko to uczyniono, twarda skorupa rozsypała się, ukazując miecz w całej jego okazałości. Kowal odwrócił się ku zebrany przed ołtarzem ludziom i wznosił broń wysoko, tak aby każdy mógł ją zobaczyć. Przez tłum przeszedł szmer podziwu. Wszystkie oczy utkwione były w mieczu odnalezionym dokładnie w tym miejscu, które wskazała dziewczyna z Domrémy, mieczu tak świętym, że nawet długoletnie przebywanie w ziemi nie uczyniło na nim nawet jednej rysy.

Jak to możliwe, że nikt z nich nie czuje tego, co ja – pomyślał Gabriel, wpatrując się w miecz szeroko otwartymi oczami.

Simon również wpatrywał się w niego łakomym wzrokiem. Nie potrafił jednoznacznie stwierdzić, czy była to ta sama broń, którą widział wcześniej w przeszklonej gablocie w eleganckim, a zarazem ascetycznym gabinecie Rikkina. Wyglądało na to, że wydobyty z ziemi miecz miał mniej więcej tę samą długość – siedemdziesiąt pięć, może osiemdziesiąt centymetrów – oraz ten sam kształt co miecz będący w posiadaniu Rikkina. Simon nie widział dokładnie głowicy, ale prosty jelec wydał się mu się znajomy.

Tak, teraz był już już pewien: to Fragment Edenu numer 25.

Udało im się odnaleźć miecz, który należał do Jakuba de Molaya, Thomasa François Germaina, Arna Doriana...

...i do Joanny d'Arc.

– Mamy go – zdążył wyszeptać Simon, zanim wszystko spowiała czerń.

– Simon? Simon, słyszysz mnie?

Powoli podniósł powieki i zobaczył lekko rozmyte twarze Victorii, Amandy i dwóch nieznanym mu z imienia techników. Cała czwórka przyglądała mu się badawczo. Zamrugał i spróbował się podnieść.

– Co...

Victoria oparła mu rękę na piersi i delikatnie pchnęła go z powrotem na łóżko.

– Straciłeś przytomność.

Jej słowa zmroziły go do szpiku kości. To była bardzo, ale to bardzo zła wiadomość. Gdyby wieści o jego zasłabnięciu dotarły do Rikkina, Simon mógł zostać odsunięty od dalszej pracy nad projektem.

– Och. Dziękuję wam – zwrócił się do Amandy i jej podwładnych. – Myślę, że Victoria i ja poradzimy sobie już dalej sami.

Victoria nie zaprotestowała. Pozostała trójka wymieniła między sobą zatroskane spojrzenia, po czym chwilę później zniknęła za drzwiami.

– Nie miałem pojęcia, że mają tu składane łóżko – wymamrotał Simon.

– To przecież Abstergo – odparła Victoria. – Tutaj zawsze znajdzie się ktoś, kto zasiedzi się w biurze do późna. Dlatego wszystkie działy mają na wyposażeniu składane łóżka. W większości są także pryszniczce.

– Co dokładnie się wydarzyło?

– Poziom cukru we krwi za bardzo się u ciebie obniżył i doszło do hiperwentylacji – wyjaśniła. – Na szczęście to nic poważnego.

– Myślisz, że to mógł być skutek przebywania w Animusie?

Victoria zaprzeczyła ruchem głowy i wręczyła Simonowi jego okulary. Gdy założył je na nos, od razu poczuł się pewniej, świat wokół wreszcie stał się wyraźny.

– To po prostu stres i zmęczenie dały o sobie znać – uspokoiła go Victoria, po czym wskazała na papierowy kubek na stoliku obok łóżka. – Musisz to wypić. To roztwór elektrolitów.

Chciała mu pomóc w podźwignięciu się z łóżka, ale powstrzymała ją gestem ręki i natychmiast tego pożałował. W końcu udało mu się usiąść o własnych siłach. Posłusznie opróżnił podany mu kubek.

– A więc nic nie wskazuje na to, że mogło to mieć coś wspólnego z Animusem?

Victoria pokręciła przecząco głową. Odchyliła się na oparcie fotela i skrzyżowała ramiona na piersi.

– Nie. Ale ostrzegałam cię, że to może się tak skończyć. Powinieneś być pozwolić mi zakończyć sesję wtedy, kiedy to proponowałam.

Simon przypomniał sobie nagle, co wydarzyło się podczas symulacji.

– Victorio, znaleźliśmy go! Udało nam się!

– Tak, udało nam się. A właściwie tobie.

– Wyczuwam, że jest jakieś „ale”. Mam rację?

Victoria westchnęła ciężko.

– Martwię się o ciebie. Z twoim zdrowiem na szczęście wszystko jest w porządku, ale nie jesteś przygotowany do tak intensywnych sesji. To cię wyczerpuje. Moim zdaniem powinieneś zrobić sobie dzień przerwy.

– Wykluczone.

– Simon...

– On musi dać nam więcej czasu. – Oddech Simona był teraz płytki i przyspieszony, a ręka, w której trzymał kubek, zaczęła wyraźnie drżeć. – Odnaleźliśmy ten cholerny miecz i teraz możemy...

Victoria ujęła drżącą dłoń Simona.

– Simon. Przestań. I posłuchaj, co mam do powiedzenia. Jutro, kiedy będziesz miał jaśniejszy umysł, napiszemy do Rikkina i wyjaśnimy mu, jak przedstawia się sytuacja. Ale nie powinieneś robić sobie zbyt wielkich nadziei. Moim zdaniem to wszystko dzieje się zbyt szybko.

Jej spokojny, rzeczowy głos doprowadzał Simona na skraj rozpacz. A potem Simon usłyszał słowa, których obawiał się już od jakiegoś czasu.

– Niewykluczone, że będziemy musieli pogodzić się z tym, że nie zdołamy towarzyszyć Joannie aż do końca. Zresztą, zważywszy na to, jak bardzo się w to wszystko angażujesz... może tak byłoby nawet lepiej.

Simon milczał.

– Dam ci coś, co pozwoli ci szybko zasnąć – ciągnęła tymczasem Victoria. W jej głosie dał się wyczuć żal. – Zamów dziś sobie coś na wynos i wezwij firmowy samochód z szoferem. Nie chcę, żebyś w takim stanie siadał za kierownicą. Jak tylko wrócisz do domu, zjedz kolację i od razu kładź się spać. Spotkamy się w biurze jutro o dziewiątej rano i wspólnie przygotujemy raport dla Rikkina. A teraz obiecaj mi, że nie wyślesz do niego niczego, żadnego SMS-a, żadnego listu, po prostu niczego, dopóki jutro się tu nie spotkamy.

Jej słowa nie poprawiły nastroju Simonowi.

– W porządku.

Obiecał, że nie wyśle Rikkinowi żadnej wiadomości. Ale to wcale nie oznaczało, że nie może spędzić wieczoru na układaniu jej treści.

Przez chwilę patrzyli na siebie.

– Przykro mi – powiedziała w końcu Victoria.

– Niepotrzebnie. To przecież nie twoja wina. Wszystko przez Rikkina i jego cholerny termin, to przez niego musimy się tak śpieszyć.

Słowa Simona nie podniosły jej na duchu. Prawdę powiedziawszy, wyglądała teraz na jeszcze bardziej przygnębioną.

Simon wyciągnął rękę i poklepał ją po ramieniu.

– Głowa do góry. Jutro będę w świetnej formie. Weźmiemy Rikkina z zaskoczenia.

– No proszę, szybko poszło – stwierdził Rodrigo. Stał w drzwiach ze skrzyżowanymi na piersi ramionami i oparł się o futrynę. Starał się wyglądać na niezadowolonego i rozczarowanego, ale tak naprawdę sprawiał wrażenie odrobinę smutnego.

Andrew Davies i Max Dittmar, którzy na widok szefa zdjęli z głów słuchawki, spojrzeli teraz jednocześnie na Anayę. Kobieta wzruszyła ramionami.

– Cóż mogę powiedzieć? Brakuje mi francuskiego.

– Co takiego? – zapytał z niedowierzaniem Andrew. – To znaczy, że wracasz do filii w Paryżu, Ny?

– Nie. Anaya przenosi się na północnoamerykańskie pustkowia, do Montrealu – odparł Rodrigo. – Patrzycie na nową dyrektora do spraw bezpieczeństwa informacji w Abstergo Entertainment. Lepiej bądźcie dla niej mili. A także dla jej następcy.

– Nie sądziłam, że to wszystko potoczy się tak szybko. – Anaya ledwo zdążyła zajrzeć do gabinetu Rodriga i powiedzieć mu, że właśnie wybiera się na rozmowę w sprawie nowej pracy. Nie miała czasu, by z odpowiednim wyprzedzeniem poinformować go o swoim odejściu. – Mam nadzieję, że nie narobiłam ci kłopotów.

– Nawet nie zdążymy się za tobą stęsknić. Rozmawiałem już z działem kadr. Jutro przyślą nam twojego następcę.

Tym razem to Anaya poczuła się zaskoczona. Spodziewała się, że upłynie przynajmniej kilka dni, zanim Abstergo znajdzie odpowiedniego kandydata na jej stanowisko. Praca w londyńskiej centrali firmy była jednak marzeniem wielu osób i do każdego wolnego etatu natychmiast ustawiała się kolejka kandydatów.

Anaya wróciła myślami do swoich rozmów kwalifikacyjnych, które nawiasem mówiąc, przebiegły wyjątkowo pomyślnie. W Abstergo, inaczej niż w większości dużych korporacji, bardzo wiele kierowniczych stanowisk zajmowały kobiety. Dwie z nich przeprowadziły rozmowy rekrutacyjne z ubiegającą się o posadę w Montrealu Anayą. Melanie Lemay, dyrektor kreatywna w Abstergo Entertainment, okazała się przemiłą osobą, czego nie można było powiedzieć o znanej z onieśmielającego sposobu bycia Laetiti England. Anaya nie miała z nią wcześniej do czynienia, w przeciwieństwie do Simona, któremu często zdarzało się współpracować z Laetitią w Dziale Badań Historycznych. Jedną z cech Simona była wstrzemięźliwość w wypowiedaniu swojego zdania. W związku dwojga ludzi taka powściągliwość często utrudniała komunikację, ale w życiu zawodowym stanowiła bez wątpienia wielką zaletę. Simon i Anaya byli parą przez rok i przez cały ten czas Anaya usłyszała

z ust Simona tylko jeden uszczypliwy komentarz na temat Laetitii. Rozmowy z wpływowymi osobami z kierownictwa firmy kosztowały Anayę sporo nerwów. Kiedy godzinę później odebrała telefon od Melanii i dowiedziała się, że dostała pracę, wciąż była zbyt przejęta, by zastosować się do rady z wojennych plakatów, czyli zachować spokój i dalej robić swoje. Postanowiła podzielić się dobrą nowiną z Simonem i wysłała mu SMS.

– No, to nici z mojego planu, żeby objąć się w pracy aż do dnia wyjazdu – zażartowała, wracając do rzeczywistości. – Kim jest ten szczęśliwiec?

– Nazywa się Benjamin Clarke. Jutro rano przyleci z Nowego Jorku. Z tego, co słyszałem, uchodzi za cudowne dziecko i podobno przymierzał się do objęcia jakiejś ważnej posady w nowojorskim oddziale. Ale najwyraźniej postanowił skorzystać z okazji i przenosi się tutaj.

– Ach, ci Amerykanie – westchnął Max. – Czasami mam wrażenie, że po cichu żałują swojej wojny o niepodległość.

– Po cichu? – roześmiała się Anaya. – Pogadaj z ludźmi z BBC, a przekonasz się, że to żaden sekret.

Powoli zaczynało do niej docierać, że to wszystko dzieje się naprawdę. Rozmowa o jej następcy, którego musiała przeszkolić i przekazać mu swoje obowiązki, uświadomiła jej to skuteczniej niż telefon od Melanie. Zerknęła ukradkiem na komórkę, Simon wciąż nie odpowiedział na jej wiadomość. Cóż, pewnie był zajęty, w końcu musiał się wdrożyć do obowiązków na swoim nowym stanowisku. Anaya pomyślała, że to trochę dziwne. Oboje awansowali niemal jednocześnie, a przecież kiedy byli razem, nie przytrafiały im się takie zbiegi okoliczności.

– Co wy na to, żebyśmy urwali się dziś nieco wcześniej? Moglibyśmy wybrać się razem na drinka i obiad, żeby uczcić awans Anayi. Pożegnalne przyjęcie-niespodziankę urządzimy ostatniego dnia przed twoim wyjazdem.

– Będzie mi was brakowało – roześmiała się Anaya. – A drink bardzo by mi się teraz przydał.

– Mamy środek tygodnia, w dodatku jest jeszcze całkiem wcześnie... Spróbuję pociągnąć za odpowiednie sznurki i załatwić nam stolik w Bella Cibo.

Zrobienie rezerwacji w Bella Cibo graniczyło z cudem, ponieważ niemal codziennie odbywały się tam prywatne bankiety lub przyjęcia na cześć wizytujących siedzibę Abstergo prezesów albo polityków. Mimo to, ku zaskoczeniu Anayi, Rodrigowi udało się zarezerwować stolik dla czterech osób, i to tuż przy oknie. W ciepłe letnie dni największym wzięciem cieszyły się stoliki na tarasie, z którego rozciągał się wspaniały widok na London Eye oraz Pałac Westminsterski. Przed słońcem i deszczem chroniła gości ogromna markiza w czerwono-białe pasy. O tej porze roku taras był jednak zamknięty. Kiedy usiedli przy stoliku, zapadał już zmierzch i w oddali widać było podświetlone na biało i niebiesko London Eye.

Wnętrze restauracji było niemal równie atrakcyjne jak widok za oknem. Ciemne, lakierowane drewno, przemyślane rozmieszczenie stolików, małe fontanny oraz oplecione bluszczem filary sprawiały, że sala, choć przestronna, wydawała się przytulna. Krzesła były proste, eleganckie, a jednocześnie wygodne, a wykonane

z czarnego kamienia blaty stolików nakryto czerwono-białymi obrusami.

– Dziś ja stawiam – oświadczył Rodrigo. – Zamawiajcie wszystko, na co tylko macie ochotę. No, może poza Barolo z rocznika 1970.

Anaya znalazła je na dwudziestej którejś stronie karty win i jej oczy zrobiły się okrągłe z wrażenia. Tysiąc funtów za butelkę? To właśnie dlatego nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, by przestąpić próg Bella Cibo.

– Kieliszek czerwonego stołowego w zupełności mi wystarczy – zapewniła, starając się, by jej głos nie zabrzmiał zbyt piskliwie.

– No, no – odezwał się Andrew – będziemy biesiadować w znakomitym towarzystwie. Zgadnijcie, kto właśnie wszedł do środka?

Zaciekawiona Anaya podniosła wzrok i zobaczyła Alana Rikkina. Do tej pory spotkała go tylko jeden jedyny raz, było to wtedy, gdy odwiedził ich biuro, by „skontrolować” wyniki kierowanego przez Rodriga zespołu. Uśmiechając się uprzejmie, uściśnął każdemu dłoń, po czym grzecznie wysłuchał sprawozdania Rodriga i swoim aksamitnym głosem życzył wszystkim, by nadal pracowali tak dobrze jak dotąd. Następnie zaś udał się wraz z Rodrigiem do jego gabinetu.

Kiedy godzinę później ich spotkanie dobiegło końca, Rodrigo wyglądał tak, jakby postarzał się o dziesięć lat. Jeszcze tego samego dnia kilku kolegów Anayi otrzymało wymówienia. Rodrigo nigdy nie zdradził, co wydarzyło się za zamkniętymi drzwiami jego gabinetu. Rikkin zrobił na Anayi wrażenie człowieka szarmanckiego, ale zimnego niczym lód. Była wdzięczna losowi, że ich drogi nigdy więcej się nie zeszły.

Szef Abstergo Industries, ubrany w szykowny garnitur uszyty przy Savile Row, rozmawiał z maître d’hôtel. Chwilę później ten usłużnie poprowadził Rikkina oraz jego towarzyszkę w kierunku sali dla VIP-ów.

Anaya zmarszczyła brwi.

– Co się stało? – zapytał Max.

– Nic takiego. Po prostu... nigdy bym nie pomyślała, że znajdę się z nim w jednej restauracji – odparła pospieszenie. Dyskretnie odprowadziła wzrokiem Rikkina oraz towarzyszącą mu kobietę o wysportowanej sylwetce i chłopięcej fryzurze. Zauważyła, że towarzyszka Rikkina nie wyglądała na specjalnie zadowoloną.

Anaya wróciła uwagą do toczącej się przy stoliku rozmowy i żartobliwie skomentowała zalety spaghetti z puszki. Wkrótce potem kelner przyniósł wino i wszyscy zapomnieli o Rikkinie.

Wszyscy, z wyjątkiem Anayi, która wciąż zachodziła w głowę, dlaczego, u diabła, Victoria Bibeau je kolację z Alanem Rikkinem za zamkniętymi drzwiami.

Simon rozparł się w wygodnym skórzanym fotelu firmowej limuzyny. Nie żałował, że dał się namówić Victorii na skorzystanie z samochodu z szoferem. Wyciągnął z kieszeni telefon. Miał tylko jedną nieodebraną wiadomość – od Anayi.

„DOSTAŁAM TĘ PRACĘ!!!! :)”

Uśmiechnął się bezwiednie. Cieszył się, że znalazła coś, co ją uszczęśliwiło. Z nim nie udało jej się znaleźć szczęścia. Wiedział, że powinien coś odpisać, ale ogarnęła go fala zmęczenia. Odpiszę rano – obiecał sobie w duchu, po czym zamknął oczy i pozwolił zawieźć się do swojego mieszkania w Kensington.

Sny, które go nawiedziły, były niepokojące, sugestywne i wyjątkowo barwne. W pewnej chwili ocknął się, a przynajmniej tak mu się zdawało, i usłyszał, jak szofer rozmawia z kimś przez telefon w języku, który brzmiał jak łacina. Przed oczami stanęły mu nagle wszystkie symbole i łacińskie słowa, które Gabriel ujrzał wyryte na ścianie w podziemiach zamku Chinon. Uśmiechnął się lekko pod nosem i ponownie osunął się w objęcia snu, zanim zdążył na dobre się rozbudzić.

– Proszę pana?

Simon wyprostował się gwałtownie. Serce waliło mu jak młotem, dłonie miał zaciśnięte w pięści. Zdał sobie sprawę, że siedzący za kierownicą mężczyzna przygląda mu się z niepokojem.

– Przepraszam – wymamrotał, z trudem rozprostowując palce. – Zły sen.

– Być może już czas na urlop – zażartował szofer.

– Być może – odparł Simon i wyobraził sobie, jak wspaniale byłoby teraz nurkować w ciepłym karaibskim morzu. – Przypuszczam, że nie zna pan łaciny? – zagadnął po chwili lekko zażenowany tonem.

– Ja, proszę pana? – Mężczyzna był wyraźnie rozbawiony jego pytaniem. – Mój ojciec mawiał: „Łacina jest martwym językiem, martwym jak Richelieu...”

– „...najpierw zabiła Rzymian, a teraz wykańcza mnie” – Simon dokończył wierszyk, który od niepamiętnych czasów powtarzali sobie uczniowie zmuszani do nauki łaciny. – Słusznie. Ja też nie znam tego przeklętego języka. To musiało być coś we śnie.

– Zdecydowanie czas na urlop.

Roześmiali się obaj.

– Proszę się nie obrazić, ale wygląda pan dość blado – zauważył kierowca. – Może powinienem odprowadzić pana do mieszkania?

– Nie, nie. To nie będzie konieczne.

Czyżby rzeczywiście wyglądał aż tak marnie? Postanowił, że najpierw coś przekąsi, potem weźmie długi, gorący prysznic, po którym powędruje prosto do łóżka. Miał nadzieję, że tym razem nie usłyszy już we śnie ani słowa po łacinie. Wręczył szoferowi suty napiwek i podziękował mu za okazaną troskę, po czym wysiadł z samochodu i wszedł do budynku.

Przy wejściu ukłonił mu się grzecznie pełniący dyżur portier. Simon odniósł wrażenie, że widzi go po raz pierwszy w życiu. Ale przecież nie powinno go to dziwić – ostatecznie jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się wrócić do domu o tak wczesnej porze. Ta myśl wydała mu się dość przygnębiająca. Skinął portierowi głową i skierował się do windy.

Simon był posiadaczem wspaniałego apartamentu, jednak rzadko miewał okazję oglądać go w świetle dnia. Mieszkanie pełne było przedmiotów, które kochał, książek, rzeźb oraz zabytkowych mebli, a zarazem wyposażone we wszystkie udogodnienia. Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, zadzwonił do ulubionej hinduskiej restauracji i złożył zamówienie, miało zostać dostarczone za pół godziny. Miał więc dość czasu, by skorzystać ze swojego ulubionego udogodnienia, to znaczy wziąć piekielnie gorący prysznic.

Odkręcił wodę i zmył z siebie pot oraz napięcie, jakie nagromadziło się w nim w ciągu dnia. Zamknął oczy i pozwolił, by gorący strumień bombardował jego głowę i plecy. Nagle uświadomił sobie, że już niewiele czasu zostało mu do wyznaczonego przez Rikkina terminu. Starał się nie popaść w panikę. Zaczął układać w myśli treść e-maila, który zamierzał wysłać do Rikkina nazajutrz rano.

Musi dać nam więcej czasu – pomyślał. – Musi zrozumieć, jakie to ważne. Zbyt ważne, żebym gnał w pośpiechu przed siebie.

Kiedy wyszedł spod prysznic, łazienkę wypełniały kłęby pary. Owinął biodra ręcznikiem i sięgnął po przybory do golenia, a następnie przetaił dłonią zaparowane lustro.

Ze szklanej tafli spoglądała na niego twarz Gabriela Laxarta.

Simon zacisnął mocno powieki i policzył do dziesięciu. Kiedy otworzył oczy, ujrzał w lustrze swoją własną, dobrze znaną twarz. Była mocno zaczerwieniona od gorąca, z daleka mogłoby się wydawać, że to zdrowe rumieńce. Jego wydatne kości policzkowe wyglądały teraz tak, jakby lada moment miały przebić się przez skórę. Jasnoniebieskie oczy były przekrwione i zapadnięte. Nic dziwnego, że wcześniej stracił przytomność, nic też dziwnego, że przyśnił mu się nedorzeczny sen o gawędzącym po łacinie szoferze.

Długo tak nie pociągniesz – ostrzegł go wewnętrzny głos. Ale inny głos – głos Simona Hathawaya historyka, głos Simona Hathawaya templariusza, a także głos tego, co pozostało z Gabriela Laxarta – miał na to brutalnie szczerą odpowiedź.

Nie mam wyboru.

DZIEŃ 4

Chociaż Anaya przyszła do pracy kwadrans wcześniej niż zwykle, Benjamin Clarke już na nią czekał. Przyjrzała mu się i pokręciła w myślach głową. *Są coraz młodszy*. Tak naprawdę jednak Benjamin może i wyglądał na dwunastolatka, ale zdążył już przepracować dwa lata w Abstergo, a wcześniej przez cztery lata studiował matematykę na MIT, uzyskując tytuły licencjata i magistra. Nie był zatem aż tak młody, jak mogło się wydawać na pierwszy rzut oka.

Był średniego wzrostu szatynem o prostych włosach i szczerej, pełnej entuzjazmu twarzy. Kiedy dostrzegł Anayę i wyciągnął do niej rękę na powitanie, przypominał podekscytowanego szczeniaczka

– Dzień dobry! Pani Chodary, mam rację? Nazywam się Benjamin Clarke, ale proszę mówić mi Ben. Chyba że tutaj nie ma zwyczaju mówić sobie po imieniu?

Amerykański akcent zawsze wydawał się Anayi uroczy. Sprawiał, że Amerykanie wydawali jej się niewinni i bezbronni, co zapewne wcale by im się nie spodobało, ponieważ sami uważali się najczęściej za przebojowych i zaradnych. Do Bena jednak amerykański akcent pasował, w każdym razie bardziej niż jego krawat, przy którym nieustannie manipulował.

– Cześć, Ben, miło mi cię poznać. – Chłopak miał pewny, ale nie przesadnie mocny uścisk dłoni. Odrobinę pocily mu się ręce. – Tak, zwracamy się do siebie po imieniu. Oczywiście nie wtedy gdy rozmawiamy z kimś ze ścisłego kierownictwa. Mów mi Anaya.

– Mów jej Ny, ona tego nie znosi – podpowiedział Andrew. – Witaj, Ben. Jestem Andrew.

– Och, cześć – przywitał się Ben, który ani przez moment nie przestawał się uśmiechać. Energicznie potrząsnął podaną mu rękę.

– Wejdźmy do środka – zaproponowała Anaya. – Masz świetne rekomendacje. Słyszałam, że na studiach byłeś prymusem. Podobno otwierałeś nawet uroczystość wręczenia dyplomów na MIT? Dobra robota!

– Powiedz to mojej mamie – odparł Ben, przewracając oczami. – Kiedy przyjeżdżam do domu na Święto Dziękczynienia, ona wciąż narzeka, że to nie mnie przypaść wtedy zaszczyt wygłoszenia mowy końcowej.

– No cóż, czasem trudno jest dogodzić naszym mamom – pocieszyła go Anaya. – Chodź, zostawisz swoje rzeczy i oprowadzę cię po biurze.

Simon opadł ciężko na krzesło przy jednym ze stolików w Temp's. Brwi siedzącej po drugiej stronie stolika Victorii uniosły się tak wysoko, że niemal dotknęły linii włosów. Przyglądała się, jak Simon sięga po zamówiony przez nią wcześniej dzbanek herbaty, po czym drżącą ręką napełnia filiżankę.

– Zdawało mi się, że kazałam ci odpocząć.

– Odpocząłem. Kiedy już zrobiłem, co miałem do zrobienia.

– Simon...

Hathaway spojrzał na nią z rozdrażnieniem.

– Przestań. Po prostu... przestań. Do domu odwiózł mnie szofer. Wziąłem prysznic, zjadłem kolację, napisałem e-maila, a potem poszedłem do łóżka. I jak już pewnie zauważyłaś, zasnęłam.

Victoria pobladała.

– Chyba nie wysłałaś...

– Nie, nie wysłałem tego cholernego e-maila. Ściśle przestrzegałem wszystkich zaleceń lekarza.

Dolał do filiżanki nieco mleka i wypił nieduży łyk. Herbata zdążyła już nieco wystygnąć, ale jej znajomy, lekko metaliczny smak jak zwykle w cudowny sposób poprawił mu samopoczucie. Poczęstował się grzanką. Victoria obserwowała go w milczeniu.

Do stolika podeszła wysoka blondynka.

– Czy herbata nie jest za chłodna, proszę pana? – zapytała uprzejmie.

– Nie, jest w sam raz – odparł z roztargnieniem. – Dziękuję.

Kelnerka skinęła głową i oddaliła się, a Simon zerknął na Victorię.

– Przepraszam, że na ciebie naskoczyłem – powiedział cicho.

– Nic się nie stało. Po prostu się o ciebie martwię.

– Niepotrzebnie. Jak tylko rozmówimy się z Rikkinem, od razu poczuję się lepiej.

Victoria utkwiała wzrok w stojącym przed nią talerzu. Simon powoli opuścił dłoń, w której trzymał grzankę.

– Co znowu?

– Zadzwoiłam do jego sekretarki. Niestety, pan Rikkin nie będzie miał dziś dla nas czasu. Przygotowuje się do wyjazdu do Hiszpanii i cały dzień wypełnią mu ważne spotkania.

Zirytowany Simon rzucił nóż na talerz. Głośny brzęk ściągnął uwagę klientów siedzących przy sąsiednich stolikach. Kilka par oczu zwróciło się w stronę Simona i Victorii.

– Cudownie, po prostu cudownie.

– Zawsze możemy wysłać mu wiadomość. Być może przeczyta w przerwie między spotkaniami.

Simon zdjął okulary i ścisnął dwoma palcami nasadę nosa.

– W porządku – odezwał się po dłuższej chwili, zakładając ponownie okulary. – Zjedzmy szybko i bierzmy się do pracy.

– Jakie dokładnie właściwości ma ten miecz? – zapytał Gabriel, odgryzając kęs posmarowanego masłem chleba. Zamierzał wyjechać z Sainte-Catherine-de-Fierbois

od razu po odnalezieniu miecza, ale mieszkańcy miasteczka nalegali, by Gabriel i de Metz poczekał z wyjazdem do czasu, aż broń zostanie wyczyszczona, a lokalny rzemieślnik dorobi do niej pochwę.

– Każdy artefakt jest inny. Jedyny w swoim rodzaju. Oczywiście, Mieczy Edenu można używać do walki. Każdy może zadawać nimi ciosy tak samo skutecznie jak zwykłym mieczem. Ale we właściwych... – De Metz pokręcił głową, odkrawając kawałek sera. – W rękach Jeanne... kto wie?

Jego słowa poruszyły wyobraźnię Gabriela.

– To zupełnie jak magia – szepnął.

– Artefakty jedynie wydają się magiczne – przypomniał de Metz. – Owszem, zwykli ludzie doszukują się w nich magii albo jakiegoś boskiego pierwiastka. Ale tak naprawdę artefakty mają tyle samo wspólnego z magią co astrolabium, grecki ogień czy proch strzelniczy.

Kiedy Jean de Metz przyjął w kościele miecz wręczony mu przez księdza Michela, wznosił go w górę, wzbudzając aplauz wszystkich, którzy byli świadkami wydobywania broni z ziemi. Gabriel, który widział wyraźnie otaczającą miecz poświatę, zauważył, że nie zmieniła się ona ani o jotę, gdy broń trafiła w ręce de Metz. Następnie asasyn podał miecz Gabrielowi. Chłopak po chwili wahania zacisnął palce na rękojeści.

Nie poczuł nic szczególnego. *On nie jest przeznaczony dla mnie* – pomyślał. – *To nie w moje ręce miał trafić. Ani też w ręce de Metz.*

– Skoro już tu utknęliśmy, wykorzystamy ten czas na twoje szkolenie – powiedział de Metz.

– Zgoda. Ale najpierw wyjaśnij mi, co miałeś na myśli, kiedy powiedziałeś, że będziesz służyć Jeanne, dopóki nie otrzymasz innego rozkazu. Przecież miałeś otaczać ją opieką. Miałeś otaczać nią nas oboje.

To, co powiedział de Metz, wydawało się Gabrielowi trudne do pojęcia. Nie rozumiał, jak można było choćby tylko pomyśleć o porzuceniu Joanny.

Asasyn przez chwilę myślał nad odpowiedzią.

– Nasze Bractwo różni się od Zakonu Templariuszy. Ceniśmy indywidualność i potrafimy myśleć samodzielnie. Mimo to w Bractwie obowiązuje hierarchia i rozkazy, a za ich nieprzestrzeganie ponosi się konsekwencje. Nasz przywódca jest naszym Mentorem. To właśnie Mentor nakazał mi wypatrywać kogoś takiego jak Jeanne. Gdyby taka osoba się pojawiła, miałem dopilnować, by trafiła przed oblicze delfina.

– Chcesz powiedzieć, że wasz Mentor spodziewał się Jeanne?

– Spodziewał się kogoś takiego jak ona – wyjaśnił de Metz. – Tak jak naprawdę istnieją miecze, o których opowiadane są legendy, tak i proroctwa często okazują się prawdziwe. Nie chcieliśmy przegapić pojawienia się Dziewicy, więc rozsiani po całym kraju asasyni musieli mieć szeroko otwarte oczy. Los chciał, że Jeanne zapukała do drzwi de Baudricourta i dlatego to mnie udało się ją odnaleźć. Jeśli zaś chodzi o ciebie – de Metz wyszczerzył zęby w uśmiechu – to byłeś dla nas niespodziewaną zdobyczą. Dodatkową nagrodą.

– Ale... Jeśli zostaniesz odwołany albo jeśli coś ci się stanie...

- Są inni, którzy zajmą się twoim szkoleniem.
- Kim są ci inni?
- Nie bój się, jeśli zajdzie taka potrzeba, oni sami cię znajdą. – De Metz ponownie się zawahał. – Jeanne... jest ważna nie tylko z powodów politycznych. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę. Jej los leży mi głęboko na sercu. I jestem pewien, że przy tobie będzie bezpieczna.
- Jeanne ma Boga – wymamrotał Gabriel i poczuł, jak jego policzki oblewają się rumieńcem. – Ja nie jestem jej potrzebny.
- Wszyscy kogoś potrzebujemy – odparł de Metz. – Nawet jeśli mamy Boga. A może zwłaszcza wtedy.

De Metz nie zamierzał tracić czasu i postanowił jak najszybciej zabrać się za obiecany trening. Gdy tylko skończyli się posiłki, polecił Gabrielowi, by przywdział zbroję i przyniósł swój miecz. Tym razem Gabriel radził sobie lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Pod koniec dnia to ręce de Metza drżały ze zmęczenia i to asasyn z trudem unosił miecz oraz tarczę.

Simon pogratulował sobie w duchu, że nigdy nie zaniedbywał ćwiczeń fizycznych. Jednocześnie z przyjemnością pomyślał o tym, że w mieszkaniu czekała na niego wanna i długa kąpiel. Wiedział, że po wyjściu z Animusa będzie cały obolały – nowy model tego urządzenia zmuszał bowiem użytkownika do wykonywania dokładnie tych samych ruchów, jakie wykonywała osoba, której wspomnienia były przedmiotem symulacji.

Kiedy symulacja dobiegła końca, Simon ponownie znalazł się w spowitym mgłą Korytarzu Pamięci.

– Po tych wszystkich ćwiczeniach będę miał sylwetkę Adonisa – stwierdził z przekąsem. – Ale mówiąc poważnie, dlaczego odtwarzaliśmy akurat to wspomnienie?

Sam wiesz, jak działa Animus – odparła Victoria. – *Tym razem wprowadziłam do systemu algorytm, który wyszukuje wszystkie istotne wspomnienia związane z twoim asasyńskim szkoleniem.*

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie obrzydzenie wywołują we mnie te trzy ostatnie słowa.

No cóż... mogę cię tylko zapewnić, że to wszystko nie jest tak jednoznaczne, jak ci się wydaje. Asasyni dokonali swego czasu kilku godnych podziwu rzeczy.

– To herezja – mruknął pod nosem Simon, jednak w jego głosie nie słychać było zaciętrzewienia. Mgła ponownie zaczęła przybierać wyraźne kształty i po chwili Simon znalazł się wraz z Jeanem de Metzem w niewielkim sosnowym zagajniku, w którym rósł także okazały, wiekowy dąb. De Metz owinął cugle swojego konia wokół pnia jednego z drzew i ruchem głowy polecił Gabrielowi, by zrobił to samo. Następnie z sakwy przy siodle wyjął nieduży toporek i wręczył go Gabrielowi.

- Naścinaj sosnowych gałęzi – nakazał. – I to dużo. Mają być młode i gęste od igieł.
- Ale...
- Niedługo zrozumiesz, po co. Nie podawaj w wątpliwość przebiegu szkolenia. – De Metz uśmiechnął się szeroko, najwyraźniej tworzenie nastroju tajemnicy sprawiało

mu przyjemność.

Gabriel wzruszył ramionami i zabrał się do pracy. Za każdym razem gdy wydawało mu się, że naścił już dość gałęzi, de Metz kręcił głową i powtarzał:

– Więcej. Zaufaj mi, jeszcze mi za to podziękujesz.

W końcu u stóp dębu urosła naprawdę spora sterta iglastych gałęzi. De Metz przyjrzał się jej krytycznym okiem, poprawił ułożenie i skinął z zadowoleniem głową.

Następnie, ku zaskoczeniu Gabriela, błyskawicznie wskoczył na jeden z niższych konarów dębu i zaczął wspinać się po drzewie niczym wiewiórka. Gabrielowi opadła z wrażenia szczeka. De Metz był szybki! I odważny, zdarzyło mu się opierać cały ciężar ciała na gałęziach, które wydawały się nie grubsze niż jego palec.

Wspinał się coraz to wyżej i wyżej, aż w końcu niemal zniknął Gabrielowi z oczu.

– A teraz – krzyknął – patrz uważnie i ucz się.

A potem skoczył.

Gabriel nie był pewien, ale wydawało mu się, że z jego ust wyrwał się okrzyk przerażenia. De Metz rozpostarł szeroko ramiona, niczym rozciągnięty na krzyżu Pan i Zbawca, i lekko wygiął plecy w łuk. Potem pochylił głowę i obrócił się w powietrzu, dzięki czemu wylądował na plecach. Szybko wstał ze sterty gałęzi i podszedł do Gabriela, uśmiechnięty od ucha do ucha i pachnący igliwem.

– Jesteś szaleńcem – wyjąkał Gabriel.

– Nie – zaprzeczył z uśmiechem de Metz. – Jestem asasynem. Każdy z nas to potrafi, wystarczy odrobina praktyki. Nazywamy to Skokiem Wiary. Przydaje się, kiedy znajdujesz się na dachu wysokiego budynku. Zwłaszcza wtedy gdy próbujesz umknąć przed pościgiem. To najszybszy sposób na to, by znaleźć się na ziemi. No dobrze, twoja kolej.

– O nie.

– Daj spokój, to drzewo ma ledwie dwadzieścia metrów. Skakałem już z budynków dwukrotnie, a nawet trzykrotnie wyższych.

– Pewnie zaraz mi powiesz, że łatwo się tego nauczyć.

– Nie. Ty po prostu masz już to we krwi. Poza tym powinienś być zadowolony. Bardzo rzadko zdradzamy ten sekret komuś, kto nie jest pełnoprawnym członkiem Bractwa. Ale skoro taki z ciebie tchórz, możesz zacząć od skoku z niższej gałęzi.

Gabriel zaczerwienił się.

– Nie, nie ma potrzeby, ja tylko tak... – wymamrotał cicho, po czym zaczął się wspinać.

– Dalej, nie zatrzymuj się! – zachęcał go z dołu de Metz.

Gabriela zaskoczyła łatwość, z jaką przychodziła mu wspinaczka.

Instykt nieomylnie podpowiadał mu, która gałąź udźwignie jego ciężar. Zaskakująco szybko udało mu się dotrzeć w to samo miejsce, z którego wcześniej skoczył de Metz. Chwyciwszy się obiema rękami gałęzi, spojrział niepewnie w dół. Sterta sosnowych gałęzi wydawała się z tej wysokości bardzo, bardzo mała. Przypomnił sobie słowa de Metz, który zapowiedział, że Gabriel będzie mu wdzięczny za każdą uciętą gałąź. Miał rację.

Gabriel wziął głęboki oddech i puścił gałęzie, których się trzymał, balansując

niczym kot na poziomym konarze. De Metz, którego przewidywania do tej pory zawsze się sprawdzały, nie pomylił się i tym razem: ciało Gabriela jakimś sposobem wiedziało, co należy robić. Stał nieruchomo, wyprostował się, po czym rozpostarł ramiona jak skrzydła i rzucił się w dół.

To było coś wspaniałego.

Jego serce, zamiast przyspieszyć, zaczęło bić wolniej i ogarnął go przedziwny spokój. Poczł też niezachwianą pewnością, że uda mu się bezpiecznie wylądować. Obrócił się w locie, bez trudu przyjmując odpowiednią pozycję, tak jakby robił to już wcześniej tysiące razy.

Zanim się obejrzał, leżał już na plecach na sosnowym posłaniu ze wzrokiem utkwionym w niebo.

– Dobra robota! – pochwalił go de Metz i wyciągnął rękę, by pomóc mu się podźwignąć. – Wiedziałem, że dasz sobie radę. Chcesz spróbować raz jeszcze?

– Och tak! – zawołał Gabriel, lecz nagle się zreflektował. – Ale... przecież nie możesz liczyć na to, że zawsze znajdzie się jakaś sterta gałęzi albo wóz pełen siana, które ochronią twoje kości.

De Metz roześmiał się i klepnął go w plecy.

– I właśnie dlatego nazywamy to Skokiem Wiary.

Wyciągam cię stamtąd. Pora przejść do następnej symulacji.

Simon poczuł się zawiedziony, gdy kolory wokół niego zaczęły blednąć i po chwili spowiły go szare chmury.

– To była całkiem niezła zabawa – stwierdził.

Oby tylko nie spodobała ci się za bardzo. Nie chciałabym, żebyś przeszedł na stronę wroga.

– Nawet tak nie żartuj.

Victoria się roześmiała.

Został nam jeszcze jeden dzień szkolenia... zaczekaj, niech no poszukam... jest.

Kiedy mgła nabrała realnych kształtów, Simon zorientował się, że do nadgarstka Gabriela przypięte jest ukryte ostrze.

Trening w posługiwaniu się tą bronią okazał się subtelny i wyrafinowany, w przeciwieństwie do intensywnego i brutalnego treningu walki mieczem. Po pewnym czasie de Metz zauważył, że Gabriel wpatruje się w swoje ostrze.

– Co się stało? – spytał.

– Myślę, jak to jest posługiwać się taką bronią – odpowiedział Gabriel. – W bitwie stajesz z wrogiem twarzą w twarz. Nie działasz potajemnie, nie kryjesz się w cieniu. Wydaje mi się, że gdybym podczas bitwy musiał kogoś zabić, byłbym w stanie to zrobić.

– To dobrze. Bo twój przeciwnik z pewnością zabije cię bez wahania.

– Ale to... – Gabriel podniósł zakłopotany wzrok. – Czy kiedyś musiałeś tego użyć? De Metz zmierzył go uważnym spojrzeniem.

– Tak.

– Jakie... jakie to uczucie?

– Nie potrafię powiedzieć, jak ty się poczujesz. Mnie nie spędzało to snu z powiek. Człowiek, któremu przebiłem gardło, zasługiwał na los gorszy niż śmierć. To prawda, odebrałem mu życie. Ale nie wątpię, że ocaliłem w ten sposób wiele innych istnień. – Posłał Gabrielowi wymuszony uśmiech. – Nie martw się. Otrzymasz swoje ostrze dopiero wtedy, gdy uznamy, że jesteś na to gotowy.

– Nie wiem, czy w ogóle będę gotowy.

– Myślę, że będziesz. Kiedy przyjdzie właściwa pora.

Gabriel miał nadzieję, że de Metz się nie myli. Na razie nie był pewien, czy podoba mu się łatwość, z jaką przychodziły mu ćwiczenia w posługiwaniu się tą śmiertelnie niebezpieczną bronią, a także to, jak szybko zaczęła mu się ona wydawać naturalnym

przedłużeniem jego ręki. Simon odczuwał podobne wątpliwości.

Kiedy po zakończonym treningu wrócili na plebanie, zastali tam królewskiego posłańca Coleta de Vienne'a, który wręczył im zaadresowane do nich listy.

– Ten list jest do ciebie, Gabrielu – oznajmił z uśmiechem de Vienne. – Twoja Dziewica podyktowała go osobiście.

Gabriela przeszedł radosny dreszcz i wszystkie niewesołe myśli, które nie dawały mu spokoju przez kilka ostatnich godzin, w jednej chwili pierzchnęły precz. Wyszedł na zewnątrz i dopiero wtedy przełamał woskową pieczęć, po czym drżącymi rękami rozłożył pergamin.

Mój Świadku!

Dotarły do mnie wspaniałe wieści o tym, że z Bożą pomocą udało Ci się odnaleźć mój miecz, który znajdował się we wskazanym przeze mnie miejscu. Jestem gotowa przyjąć go z Twych rąk, gdy tylko przybędziesz do Poitiers.

Czuję się coraz bardziej zmęczona coraz to nowymi przesłuchaniami. Po raz pierwszy poddano mnie im w Vaucouleurs, gdzie jak zapewne sobie przypominasz, ojciec Jean Fournier odprawił nade mną egzorcyzmy. Potem egzaminowano mnie w Chinon i to zarówno wtedy, gdy oczekiwałam na spotkanie z delfinem, jak i po jego zakończeniu. A teraz to samo powtarza się tutaj!

Gabriel uśmiechnął się pod nosem. Pamiętał doskonale irytację i zniecierpliwienie Joanny, jakie budziły w niej te wszystkie „środki ostrożności”.

Jest tutaj chyba tuzin prałatów, którzy nieustannie zasypują mnie pytaniami. A przecież każdy kolejny dzień zwłoki wydłuża cierpienia zacnych mieszkańców Orleanu, wołających codziennie do Boga, który posłał mnie po to, bym przysłała im z pomocą. Tutejsze damy powtarzają mi, że powinnam być uprzejma i cierpliwa, ale ja nie jestem świętą i nie potrafię pokornie znosić cierpienia.

Powiedziano mi również, że należy ponad wszelką wątpliwość ustalić, czy naprawdę jestem Dziewicą i dlatego sama Królowa Andegaweńska, matka żony delfina, wybiera się do Poitiers, by ze mną porozmawiać oraz upewnić się o moim dziewictwie. Mówi się bowiem, że gdybym skłamała w tej sprawie, to by oznaczało, że wszystko, co mówię, także musi być kłamstwem. Królowa Jolanta dowie się już wkrótce, że naprawdę jestem wysłanniczką Boga.

Książę Alençon przyjechał specjalnie po to, by dotrzymać mi towarzystwa. Książę bardzo przypadł mi do serca. On także mnie polubił i jestem pewna, że będzie niezłomnym sojusznikiem naszej sprawy. Dokucza mi jednak tęsknota za moim Cieniem. Niech Pan Bóg prostuje Twoje ścieżki w drodze do Poitiers, bo czuję, że wkrótce oszaleję, jeśli będę musiała dłużej znosić to wszystko bez Ciebie.

Napisano w środę 9 marca Roku Pańskiego 1429

Gabriel złożył list, po czym delikatnie ucałował pergamin. Przez chwilę zazdrościł przystojnemu księciu Alençon, ale ostatnie słowa Joanny upewniły go, że on także ma

pewne miejsce w jej sercu. Wiedział, że będzie trwał przy niej dopóty, dopóki Joanna sama go nie odprawi.

Ten chłopak zakochał się po same uszy – pomyślał Simon. Wokół niego ponownie zaczęła zbierać się mgła.

Chcesz odpocząć? – spytała Victoria.

– Nie. Umieram z ciekawości, co się stanie, kiedy Joanna dostanie wreszcie miecz w swoje ręce.

No dobrze – odezwała się Victoria po chwili wahania – *ale potem idziemy na lunch.*

– Umowa stoi.

Sobota 12 marca 1429 roku

W Poitiers Joanna zatrzymała się w domu Jeana Rabateau, radcy paryskiego parlamentu, który dwa lata wcześniej opuścił Paryż i dołączył do króla. Gdy tylko Gabriel i de Metz zajechali konno pod rezydencję Rabateau, usłyszeli znajomy głos, wołający Gabriela po imieniu.

Chłopak obrócił się w siodle i osłupiał na widok dziewczyny, która wybiegła mu na powitanie. Miała na sobie czerwoną wierzchnią suknię z futrzanymi lamówkami oraz długą niebieską spódnicę, którą podkasała teraz – być może odrobinę zbyt wysoko – by nie przeszkadzała jej w biegu. Czarne loki upięte były pod siateczką z czerwonego jedwabiu, odsłaniając wysokie czoło. Na jej smukłej szyi zawieszona była małeńka sakiewka wielkości włoskiego orzecha.

Twarz Joanny nie zmieniła się za to ani o jotę i nadal promieniała cudownym wewnętrznym blaskiem. Jej oczy, wciąż tak samo błękitne, były teraz szeroko otwarte z radości, a usta rozchyliły się w uśmiechu. Wyciągnęła ręce ku Gabrielowi, a on ujął je mocno w swoje dłonie.

– Ledwo cię poznałem – wyjąkał. – Wyglądasz...

Zabrakło mu słów. Chciał powiedzieć „pięknie”, ale słowo to wydało mu się żałośnie nieadekwatne. Joanna zrobiła zabawną minę i roześmiała się, a niesforny czarny kosmyk wymknął się spod jedwabnego pątlaka.

– Nie wyglądam jak ja.

– Zawsze pozostaniesz sobą – zapewnił Gabriel – bez względu na strój.

– Dziewica bardzo za tobą tęskniła.

Gabriel odwrócił się na dźwięk tych słów i ujrzał zbliżającego się ku nim księcia Alençon. On również ubrany był bardziej wykwintnie niż podczas ich ostatniego spotkania. Gabriel pokłonił się przed nim głęboko.

– Wasza Książęca Mość raczy mi wybaczyć, nie zauważyłem...

– Nie czuję się urażony. Blask naszej Dziewicy przyćmiewa przecież wszystko i wszystkich. Zdaje mi się jednak, że przywiozłeś nam coś równie lśniącego, nieprawdaż?

Choć trudno w to uwierzyć, Gabriel niemal zupełnie zapomniał o mieczu.

– W istocie! Nasz przyjazd opóźnił się, bo mieszkańcy miasteczka pragnęli wykonać dla ciebie pochwę. – Gabriel zeskoczył z konia, poklepał go po szyi, po

czym odpiął rzemienie, którymi przytroczony był do siodła cenny pakunek. Następnie podsunął Joannie owiniętą w płótno broń, a ona ostrożnie rozchyliła tkaninę. Sakiewka zawieszona na jej szyi zakołysała się lekko, gdy dziewczyna nachyliła się nad spoczywającym na rękach Gabriela mieczem.

Serce Gabriela zabiło nagle mocniej. Przypomniał sobie słowa de Metza: *W rękach Jeanne... kto wie?*

Klinga miecza spoczywała w pochwie obitej czerwonym aksamitem i ozdobionej złotymi królewskimi liliami. Wypolerowana stalowa głowica połyskiwała w słońcu. Dopóki jednak klinga pozostawała niewidoczna, nic nie wskazywało na to, by miecz był czymś więcej niż tylko piękną bronią.

Joanna przyjrzała mu się uważnie, a potem, nie dotykając rękojeści, zsunęła aksamitną pochwę i wydała stłumiony okrzyk na widok jasnego złotego blasku obnażonej klingi. Oczy stojącego u jej boku księcia zrobiły się okrągłe z wrażenia. Joanna powoli, z wahaniem wyciągnęła dłoń i objęła nią rękojeść. Miecz rozblęsnął nagle osłepiającym światłem, tak jakby dotyk Joanny obudził go do życia. Całą broń, od sztychu klingi, przez rękojeść, aż po głownię, pokrywały świetliste linie, układające się w osobliwe litery lub symbole. Symbole te wydawały się Gabrielowi dziwnie znajome.

– Jhesu Maria – wyszeptała Joanna i wzniosła miecz w górę.

W jednej chwili wszystko wydało się możliwe. Wszystko. Zwycięstwo, pokój i dobrobyt dla udręczonego wojną kraju. Nakarmienie głodnych. Przyodzianie ubranych w łachmany. Gabriel miał wrażenie, że stoi przed paleniskiem, którego blask przepędził wszystkie cienie, tak jak słoneczne promienie przeganiają poranne mgły. Zniknął strach, bo nie było już czego się bać. Nie istniało zimno, okrucieństwo, gniew ani zło. Gabriel, promieniejąca niczym słońce Joanna, oszołomiony i zachwycony księżę, a także delfin, Laxartowie, Francuzi, Burgundczycy i Anglicy – wszyscy ludzie byli bezpieczni i otoczeni miłością. Gabriel czuł, że wszystko się ułoży, wszystko będzie dobrze...

Kiedy Joanna wsunęła miecz do pochwy, blask powoli przygasł, ale nie zgasł do końca. Joanna milczała, lecz jej twarz wyrażała wszystko, czego nie były w stanie wyrazić słowa.

Gabriel wiedział już, co może zdziałać Miecz Edenu w rękach Joanny. I zrozumiał, że mają po swojej stronie nie tylko Boga. Joanna, wznosząc pełnym szacunku gestem swój miecz w górę, przywołała wszystko to, co dobre i czyste, to, co przynosi spokój i ukojenie.

Był pewien, że osiągną swój cel. Nie mogło być inaczej.

Po prostu nie mogło.

DO: arikkin@abstergo.com

TEMAT: Informacje dotyczące badań prowadzonych w Animusie

KOPIA DO: vbibeau@abstergo.com

Dr Bibeau i ja chcielibyśmy spotkać się z Panem w najbliższym dogodnym dla Pana terminie w celu omówienia postępów, jakie udało nam się poczynić w ciągu czterech ostatnich dni.

Poniżej pozwoliłem sobie wyliczyć kilka faktów, które moim zdaniem przemawiają za przesunięciem pierwotnego terminu zakończenia naszych badań. Jestem przekonany, że są to solidne dowody potwierdzające słuszność zaproponowanego przeze mnie podejścia badawczego.

1. Jak Panu wiadomo, w roku 1308 Jakub de Molay był przetrzymywany w baszcie Coudray. Podczas wczorajszej symulacji obiekt historyczny Gabriel Laxart miał możliwość przyjrzeć się rysunkom i napisom wyrytym na murze przez de Molaya oraz jego towarzyszy. Do tej pory znane nam były jedynie niektóre z nich – te, które odnaleziono w podziemiach baszty Coudray w drugiej połowie dwudziestego wieku. Wszystko wskazuje jednak na to, że Laxartowi udało się zobaczyć także te rysunki, które nie zachowały się do czasów obecnych. Nasi kryptolodzy je przeanalizują. Z pewnością pozwoli to poszerzyć naszą wiedzę na temat jednego z najwybitniejszych Wielkich Mistrzów w dziejach naszego Zakonu. Co więcej, być może naprowadzi nas to także na ślad kolejnych Fragmentów Edenu. Dr Bibeau przesłała już zgromadzone przez nas materiały do Działu Kryptologii.

Chciałbym podkreślić, że nie udałoby się nam dokonać tego odkrycia, gdybyśmy skupiali się wyłącznie na poszukiwaniu Miecza Edenu.

2. Zetknęliśmy się z Mentorem. Spodziewam się, że w najbliższym czasie uda mi się ustalić jego tożsamość. Podobnie jak w przypadku rysunków de Molaya, spotkanie z Mentorem było zupełnie nieoczekiwane i niemożliwe do przewidzenia w momencie rozpoczęcia naszych badań.

3. Mamy poważne dowody świadczące o tym, że Joanna d'Arc posiadała jeden z największych procentowych udziałów DNA Prekursorów, jaki kiedykolwiek udało się nam zarejestrować; istnieje też spore prawdopodobieństwo, że pozostawała pod bezpośrednim wpływem istoty znanej nam obecnie jako Consus.

4. Odnośnie do miecza Joanny: zapewne ucieszy Pana informacja, że udało nam się wstępnie potwierdzić, iż miecz, którym posługiwała się w walce Joanna, to Miecz Edenu, znajdujący się obecnie w pańskim gabinecie. W związku z tym zwracam się z prośbą o tymczasowe przeniesienie miecza do mojego biura; dzięki temu mógłbym poddać go dokładniejszym badaniom od razu po zakończeniu symulacji.

Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał Pan jak najszybciej ustosunkować się do tej prośby.

SH

Alan Rikkin, zamiast spędzać czas na służbowych spotkaniach, relaksował się w swoim ulubionym klubie Blake's ze szklaneczką whisky Aberfeldy Private Single Cask w dłoni. E-mail od Simona, wysłany kilka godzin wcześniej, odczytał na swoim telefonie. Upił łyk trunku o trawiastej, delikatnie cytrusowej nucie i przez chwilę trzymał go w ustach, spoglądając przez nierówne szyby oryginalnych okien z 1788 roku. Potem napisał krótkiego SMS-a.

Zgadzam się na wypożyczenie miecza. Nie zgadzam się na przesunięcie terminu. Radzę dopilnować, żeby skupił się na zadaniu.

Rikkin zaczynał żałować, że pozwolił Simonowi na jego idealistyczną krucjatę w poszukiwaniu „wiedzy”. Aczkolwiek gdyby Hathawayowi udało się doprowadzić do naprawienia miecza, gra mogłaby się okazać warta świeczki.

Cienki lód – pomyślał Rikkin. – W takim czy innym sensie, wszyscy po nim stąpamy.

Gdyby jednak lód załamał się pod Simonem Hathwayem, to biedak nie zdążyłby nawet utonąć.

Zostały pożarty żywcem przez to, co czało się pod lodem.

Twoje wyniki mocno przekroczyły normę – poinformowała Victoria. – *Wyciągam cię stamtąd.*

Simon próbował się opierać. Nie chciał opuszczać symulacji, jeszcze nie teraz. Pragnął dalej patrzeć na zachwycającą Joannę d'Arc, uradowaną i wpatrzoną w miecz, który w jego oczach...

...w oczach Gabriela...

...był niemal tak samo jasny i piękny jak ta dziewczyna.

Jego opór na nic się jednak nie zdał. Świat wokół niego zaczął rozplływać się we mgle. Jako ostatnia zniknęła twarz Joanny.

– To było coś wspaniałego – powiedział, kiedy Victoria pomogła mu zdjąć z głowy hełm. – Ten miecz. W rękach Joanny.

Victoria skinęła głową. Jej oczy wciąż były szeroko otwarte z wrażenia.

– Ja też nigdy czegoś podobnego nie widziałam – przyznała.

Kiedy Simon wyszedł z Animusa, był cały obolały, jego ciało wciąż odczuwało skutki ciężkiego treningu. Jednak ból był nie tylko fizyczny. Czuł także bolesną tęsknotę za widokiem miecza w rękach Joanny. Był spocony i spragniony. Zdawał sobie sprawę, że zrobiłby najlepiej, gdyby wziął wolne do końca dnia i jak najszybciej położył się spać. Ale nie mógł sobie na to pozwolić, nie tylko dlatego, że nieubłaganie zbliżał się termin wyznaczony mu przez Rikkina, ale przede wszystkim ze względu na to, jak niewiele dzieliło go już od odkrycia tajemnicy miecza.

A także dlatego, że to wszystko zaczęło cię po prostu fascynować – podpowiedział mu wewnętrzny głos, ale Simon natychmiast go uciszył.

– Muszę teraz wziąć prysznic – powiedział. – Spotkajmy się w Temp's za pół godziny.

Dotarł na miejsce pięć minut przed czasem. Czuł się już nieco lepiej, ale był głodny jak wilk, w ostatnich dniach wyjątkowo dopisywał mu apetyt. W restauracji przywitała go ta sama kelnerka, która obsługiwała ich rano. Simon rozejrzał się dookoła, szukając wzrokiem swojego starego znajomego Poole'a. Miał nadzieję, że Poole nie odszedł z Temp's, bez niego restauracja nie byłaby taka już sama.

– Czekam na kogoś jeszcze – odparł grzecznie, gdy kelnerka (Lyndsey, jak przeczytał na plakietce z imieniem) zapytała, czy wskazać mu wolny stolik.

Nagle usłyszał, że ktoś woła go po imieniu. Odwrócił się i zobaczył machającą do niego Anayę. Siedziała przy stoliku z jakimś młodym mężczyzną, który wyglądał na świeżo upieczonego absolwenta wyższej uczelni.

– Simon! Przysiądź się do nas!

Anaya i jej towarzysz zajmowali stolik dla czterech osób, więc Simon nie mógł wymówić się od zaproszenia tym, że jest umówiony z Victorią. Pomyślał z zalem, że straci okazję na to, by przy jedzeniu spokojnie z nią porozmawiać. Mimo to uśmiechnął się uprzejmie i dosiadł się do stolika.

– Poznaj Bena – przedstawiła swojego kolegę Anaya. – Za parę tygodni, kiedy już wyjadę, Ben obejmie moje stanowisko.

– Czeka cię spore wyzwanie, Ben – stwierdził Simon. – Anaya to filar Abstergo. Oczywiście, tylko w przenośni. Jak na filar, jest trochę za drobna.

– Ale jeśli trzeba, potrafię mocno przyłożyć – odparowała.

I oboje uśmiechnęli się do siebie, zapominając na moment o tym, jak bardzo się od siebie oddalili. Ale Simon wiedział, że dystans między nimi jest faktem, a już wkrótce miały ich dzielić także tysiące kilometrów.

Anaya najwyraźniej poczuła to samo, bo szybko odwróciła wzrok w stronę Bena.

– Simon jest prawdziwym ekspertem od herbaty – powiedziała. – Ty też będziesz musiał ją polubić, skoro zamierzasz zostać w Londynie na dłużej.

– Hej, bez przesady. Widziałem w okolicy niejednego Starbucksa – odparł Ben. – Przecież nawet tutaj macie własną kawiarnię. Nie nabierzesz mnie, Ny.

Simonowi przyszło do głowy, że chłopak ma szczęście, że Anaya wkrótce wyjeżdża, nie znosiła, gdy ktoś zwracał się niej „Ny”.

Opowiedział gościowi z Ameryki o subtelnych różnicach pomiędzy poszczególnymi gatunkami herbaty oraz zwrócił mu uwagę na kilka mieszanek, których nazwy wypisano kredą na tablicy nad barem. Chwilę po tym, jak zaczął opowiadać Benowi i Anayi o roli Działu Badań Historycznych w tworzeniu najnowszej gry komputerowej Abstergo Entertainment, w drzwiach restauracji stała Victoria. Wyglądała na zmęczoną.

Simon zmarszczył brwi i pomyślał, że jej również dało się we znaki nedorzeczne tempo narzucone przez Rikkina. Pomachał do niej, ale Victoria uniosła palec wskazujący, dając do zrozumienia, że potrzebuje jeszcze chwili. Napisała coś w telefonie, po czym wrzuciła go do torebki i dopiero wtedy ruszyła w stronę stolika.

Niemal w tym samym momencie telefon Simona zasygnalizował nadejście SMS-a. „Odezwał się R. Zgadza się w sprawie m., odmawia w sprawie deadline’u” – brzmiała wiadomość. Nadawcą wiadomości była Victoria.

Cholera. Simon zacisnął usta. Był Mistrzem Templariuszy i członkiem Wewnętrznego Sanktuarium – dlaczego więc Rikkin kontaktował się z Victorią, a nie z nim? Gdy tylko Victoria usiadła przy stoliku, wysłał jej odpowiedź: „Trzeba go poinformować o reakcji J”.

Ta ukradkowa wymiana SMS-ów przypominała zachowanie uczniów, przekazujących sobie liściki podczas lekcji. Simon uznał jednak, że lepsze to niż dyskusowanie o poufnych sprawach w obecności Anayi i Kapitana Ameryki. Zamówił zestaw Temp’s Big Breakfast i zabrał się za jedzenie. Przy stoliku toczyła się luźna rozmowa o restauracjach, o dodatkowych profitach, na jakie mogli liczyć pracownicy Abstergo – „Tutejsza siłownia jest po prostu rewelacyjna”, stwierdziła Anaya –

a także o tych wszystkich atrakcjach Londynu, które powinien zobaczyć każdy przybysz, ale w praktyce nikomu nie starcza do tego zapła.

– Victorio – zapytała wtem Anaya – czy Simon nie zmusza cię przypadkiem, żebyście stołowali się wyłącznie w Temp's?

– Niezupełnie – odparła z uśmiechem Victoria.

– Zanim wyjedziesz, powinnaś namówić go na kolację w Bella Cibo. Naprawdę warto się tam wybrać. Szkoda tylko, że nie przyjechałaś tutaj latem. W Bella Cibo mają przepiękny taras.

– Będę o tym pamiętać.

Simon zamierzał wtrącić, że zarabia zbyt mało, by mógł sobie pozwolić na takie ekstrawagancje. Zreflektował się jednak, że odkąd awansował na szefa działu, kolacja w Bella Cibo nie była już poza jego zasięgiem. Może faktycznie powinien zaprosić tam Victorię? Nagle wzdrygnął się, gdy zobaczył, jak Ben dodaje do herbaty cytrynę oraz mleko, najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że mleko się przez to zwarzy. Simon zastanawiał się, czy młody Amerykanin jest templariuszem. Prawdopodobnie tak, biorąc pod uwagę charakter pracy, jaką wykonywał w Abstergo. Wydawał się jednak taki... taki...

Jestem strasznym snobem – zganił się w myślach Simon. – *Gdybym spotkał Joannę lub Gabriela, na nich również patrzyłbym pewnie z wyższością.*

– Wiesz co, Ben – odezwał się pod wpływem impulsu – kiedy już się tutaj zdomowisz, chętnie oprowadzę cię po Londynie. Anaya ma rację. To cudowne miasto i szkoda by było, gdybyś nie poznał go bliżej.

Victoria i Anaya spojrzały na niego zaskoczone. Simon zaczerwienił się, ale na szczęście Ben wyratował go z niezręcznej sytuacji.

– To wspaniale! Tyle tutaj historii! Zwiedzanie Londynu z przewodnikiem w osobie samego szefa Działu Badań Historycznych Abstergo to supersprawa. Dzięki, Simon!

– Ben uśmiechnął się szeroko, a Simon poczuł się jeszcze bardziej zawstydzony tym, że nie docenił młodego Amerykanina.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Ale teraz obowiązki wzywają – powiedział Simon, po czym zwrócił się do Anayi: – Nie próbuj przypadkiem czmychnąć na Wielką Białą Północ bez pożegnania.

– Nie martw się. Ben potrzebuje jeszcze trochę czasu, zanim wręczymy mu Białą Kapelusz.

Simon oświadczył, że zapłaci rachunek za całą czwórkę. Zostawił kelnerce hojny napiwek i po raz kolejny zastanowił się nad powodem nieobecności Poole'a. Należność uregulował kartą kredytową. Kiedy podpisywał pokwitowanie zapłaty, jego telefon ponownie zawibrował. Tym razem nadawcą SMS-a okazała się Anaya.

„Musimy porozmawiać.”

„Wkrótce”, odpisał. To zrozumiałe, że zbliżający się wyjazd Anayi w jakimś stopniu ożywił w nich obojgu dawne uczucia. Ale uleganie im nie było według Simona dobrym pomysłem.

– Przepraszam za to zamieszanie. Rikkin napisał do mnie, kiedy byłam w drodze do Temp's – wyjaśniła Victoria, zmierzając wraz z Simonem w kierunku windy.

Simon nieco zbyt energicznie nacisnął przycisk na ścianie.

– Rikkin zachowuje się tak, jakby nie chciał, żeby nam się udało. Co on właściwie zamierza zrobić? Wyłączyć Animusa punktualnie o północy? – Simon westchnął zrezygowany. – Musimy powiedzieć mu o mieczu.

Sięgnął po telefon, ale Victoria dotknęła lekko jego przedramienia.

– Na razie się z tym wstrzymajmy. Wciąż masz jeszcze kilka dni. Może przez ten czas uda ci się odkryć coś naprawdę konkretnego, czym będziesz mógł go przekonać. Poza tym – dodała – Rikkin poszedł nam na rękę w kwestii miecza.

Simon skinął głową. Widział już wcześniej dwudziesty piąty Fragment Edenu, ale wtedy miecz nie wywołał w nim żadnej szczególnej reakcji. Zastanawiał się, czy tym razem będzie inaczej.

Gdy wysiedli z windy, ujrzeni czekającą na nich Amandę Sekibo.

– Dostarczono dla pana przesyłkę, panie profesorze. Poinstruowano mnie, żebym jej nie dotykała. Paczka czeka na pana w gablocie.

Templariusze nie mieli sekretnego uścisku dłoni, tajnego hasła ani żadnego innego tajemnego znaku rozpoznawczego, który mógłby pobudzić wyobraźnię hollywoodzkich scenarzystów. Członkowie Zakonu nosili wprawdzie wpiętą w ubranie ozdobną szpilę, ale replikę takiej szpili mógł nabyć każdy, kto odwiedził sklepik z pamiątkami w siedzibie Abstergo. Wprawne oko było co prawda w stanie odróżnić replikę od oryginału, jednak nie zmieniało to faktu, że w Abstergo nie można było mieć pewności, kto ze współpracowników jest templariuszem, o ile nie zostało się o tym poinformowanym. Simon nie miał pojęcia, czy Sekibo należy do Zakonu. Ograniczył się zatem do podziękowania jej skinieniem głowy, po czym wszedł do Sali Animusa.

Leżąca w gablocie paczka owinięta była w szary papier i wyglądała zupełnie zwyczajnie. Kiedy Simon zbliżył się do gabloty, doznał lekkiego rozczarowania: nie poczuł zupełnie nic. Powiedział o tym Victorii, która pokręciła głową – bliskość miecza na nią również nie wywarła żadnego wpływu.

Rozwinęli papier i ich oczom ukazała się metrowej długości drewniana skrzynka. Na wypolerowanym drewnie nie było żadnych oznaczeń ani inskrypcji; skrzynka wyglądała na współczesną, choć całkiem solidną robotę. Simon odetchnął głęboko, po czym otworzył zatrzaski i uniósł wieko.

Fragment Edenu numer 25 spoczywał na poduszce z niebieskiego gnieczonego weluru. Nie ulegało wątpliwości, że jest to dokładnie ten sam miecz, który został odnaleziony za ołtarzem kościoła w Sainte-Catherine-de-Fierbois, teraz jednak wydawał się jeszcze bardziej martwy niż tuż po wyciągnięciu go z ziemi. Simon wziął kolejny głęboki oddech i objął dłonią rękojeść, a następnie wyjął miecz ze skrzynki.

– I co? – zapytała Victoria.

– Nic. – Simon zdał sobie sprawę, że oboje mówią szeptem. Odchrząknął i normalnym tonem głosu dodał: – Z pewnością jest uszkodzony. Chcesz spróbować?

Policzki Victorii wyraźnie się zaróżowiły. Simon wyciągnął ku niej miecz leżący płasko na jego otwartych dłoniach. Victoria ostrożnie zacisnęła palce na rękojeści wiekowej broni.

– Nic – powiedziała po chwili.

Odprężyli się oboje, choć czuli też rozczarowanie.

– W porządku – stwierdził Simon i wyprostował plecy. – Przyjrzymy się, czy Joanna nie robi z mieczem czegoś, co moglibyśmy tu powtórzyć.

Poluzował krawat, zdjął marynarkę i pewnym krokiem wszedł na platformę Animusa. Pozapinał część klamer, a Victoria zajęła się pozostałymi, po czym założyła mu na głowę hełm.

– *Jest całkiem prawdopodobne, że Joanna już wkrótce spotka Mentora* – powiedziała Victoria.

– Niczym w klasycznej campbellowskiej „podróży Bohatera” – stwierdził Simon. – Bardzo dobrze, najwyższy czas zerwać mu z głowy kaptur.

22 marca 1429 roku

– Ty, królu Anglii – powiedziała ostrym tonem Joanna, jej niebieskie oczy płonęły gniewem, a ciało było dumnie wyprostowane. – I ty, książę Bedford, który mienisz się regentem królestwa Francji! Ty, Wilhelmie de la Pole, hrabio Suffolk, ty, Johnie, lordzie Talbot, i ty, Tomaszu, lordzie Scales. Oddajcie Dziewicy, posłanej przez Boga, Króla Niebieskiego, klucze do wszystkich znacznych miast, które zajęliście przemocą we Francji.

Gabriel przysłuchiwał się z zapartym tchem, jak Joanna zaczyna stawiać żądania władcy Anglii.

– Dziewica przybyła w imię Boże, by przywrócić na francuski tron królewską krew. Gotowa jestem pojednać się z wami, jeśli tylko wykażecie dobrą wolę, przyznacie się do zła wyrządzonego Francji i zapłacicie za wszystko, coście tu zagarnęli.

Joanna odetchnęła głęboko, po czym wznowiła swoją przemowę. W jej niskim głosie pobrzmiwała groźna nuta.

– Jeśli tego nie uczynicie... spodziewajcie się wieści o Dziewicy, która już wkrótce wyjdzie wam na spotkanie. Królu Anglii, jeśli nie uczynisz tego, czego żądam, to wiedz, że gdziekolwiek znajdę twoich ludzi, zmuszę ich do odwrotu. A jeśli nie odejdą dobrowolnie...

Joanna urwała w środku zdania i powiodła wzrokiem po twarzach Gabriela, Alençon a i de Metza. Potem przełknęła ślinę i drżącym od emocji głosem mówiła dalej.

– Zabiję ich wszystkich, co do jednego. Przybyłam bowiem od Boga, Króla Niebios, by przegnać was z tego kraju! Jeśli mnie posłuchacie, okażę wam miłosierdzie. Królu Anglii, Francja nigdy nie będzie twoja. Jeśli nie dasz wiary słowom Boga wypowiedzianym ustami Dziewicy, to będziemy was gromić wszędzie tam, gdzie was spotkamy, i wzniesiemy bojowy okrzyk, jakiego Francja nie słyszała od tysiąca lat! Kiedy dojdzie do bitwy, wtedy się przekonamy, kto z nas jest prawy i po czyjej stronie stoi Król Niebios. Odpowiedz na mój list, jeśli zgadzasz się zawrzeć pokój w Orleanie. Jeśli nie, to niebawem gorzko tego pożałujesz.

– Klnę się na Boga i aniołów! – wykrzyknął Alençon, zrywając się na równe nogi

i głośno bijąc brawo. – Gdybym to ja otrzymał taki list, poddałbym się natychmiast!

Joanna rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Nie bierz imienia Pana Boga nadaremno! – zgromiła go surowo, po czym łagodniejszym tonem dodała: – Modlę się z całego serca, by Anglicy poczuli to samo, mości książe.

Gabriel nie zazdrościł młodzieńcowi, którego obarczono zadaniem zapisywania przemowy Joanny i który z każdym jej słowem robił się coraz bledszy. On sam natomiast nie potrafił powstrzymać cisnącego mu się na usta uśmiechu. Gdyby tylko Joanna mogła stanąć przed królem Anglii i wygłosić swoje przemówienie osobiście – ciskająca z oczu błyskawice, ogarnięta pasją i dumnie wyprostowana, bijąca światłem tak cudownym, że Gabriel miał ochotę podążyć ku niemu niczym Ikar ku słońcu. Dlaczego tyle przypowieści przestrzegało przed zbliżaniem się do światła? Światło Joanny było przecież najpiękniejszą rzeczą, jaką można było sobie wyobrazić.

Jedna ze służących madame Rabateau uchyliła drzwi i zajrzała do izby, w której Joanna – pod czujnym okiem młodej damy, pełniącej rolę przyzwoitki – rzucała wyzwanie Anglikom.

– Moja pani? Madame pyta, czy już skończyłaś.

Joanna westchnęła.

– Na razie tak – odparła. Podeszła do pulpitu, przy którym siedział młody skryba. – Ufam, że dokładnie zapisujesz moje słowa – powiedziała z uśmiechem.

– Nie inaczej, Dziewico – zapewnił młodzieniec.

– Pokaż no. Mój Cień czegoś mnie nauczył. – Uśmiechnęła się do Gabriela, którego ten uśmiech ogrzał bardziej niż żar ogniska, a potem zaczęła ostrożnie kaligrafować na pergaminie swoje imię: JEHANNE.

– Gotowe! – zawołała. – Teraz król będzie wiedział, że ten list naprawdę jest ode mnie.

– Myślę, że będzie lepiej – odezwał się nagle książe, podchwytyjąc spojrzenie de Metza – jeśli giermek i ja oddalimy się. Nasza obecność tylko by niepokoiła czcigodne damy. Gabriel dotrzyma ci towarzystwa, Dziewico.

Gabriel mógł udać się wraz z nimi do gospody, żeby pić i grać w kości. Ale nie chciał oddalać się od Joanny, jeśli nie było to absolutnie konieczne. Zerknął na de Metza, opuszczającego izbę w ślad za Alençonem, i poruszając bezgłośnie ustami, powiedział: Powodzenia.

Dom Jeana Rabateau był tak okazały, że znajdował się w nim nawet osobny pokój przeznaczony wyłącznie do prowadzenia konwersacji. Właśnie tam czekała na nich madame Rabateau, a wraz z nią gromadka młodych kobiet, które od razu otoczyły Joannę niczym stadko rozszczebiotanych ptaszków. Jediną pociechą dla Gabriela było to, że Joanna wyglądała na jeszcze bardziej nieszczęśliwą z powodu ich towarzystwa niż on sam. W jej oczach dostrzegł z trudem tłumione rozbawienie. Kiedy jedna z dziewcząt przestała na chwilę trąkotać, Joanna rzuciła Gabrielowi spojrzenie, na widok którego omal nie udławił się winem, próbując powstrzymać się przed parsknięciem śmiechem.

Tak naprawdę jednak sytuacja wcale nie była taka zabawna. Joanna zwierzyła się

Gabrielowi, że zadaniem tych młodych kobiet było szpiegowanie jej i pilnowanie, by nie wywołała przypadkiem jakiegoś skandalu. Madame Rabateau popatrzyła krzywo na Gabriela, który udał, że się zakrztusił.

– Ach, ci prałaci! Czegóż oni chcą ode mnie! – jęknęła Joanna, starając się odciągnąć uwagę madame Rabateau od Gabriela. – Jeden z nich powiedział mi: „Twierdzisz, że twoje Głosy mówią, że to Bóg chce położyć kres cierpieniu mieszkańców Francji. Jeśli faktycznie taka jest wola Boża, to nie potrzeba do tego żołnierzy”. Odrzekłam mu: „To proste. Żołnierze będą walczyć, a Bóg da im zwycięstwo”. Czy tak trudno to zrozumieć?

Pokręciła z niedowierzaniem głową, po czym mówiła dalej.

– Moja odpowiedź chyba wytrąciła go z równowagi, bo powiedział: „Gdyby Bóg rzeczywiście chciał, abyśmy dali wiarę twoim słowom, kazałby ci uczynić coś, co by nas przekonało. Potrzebny nam jakiś znak”. I wtedy... cóż, wtedy to ja się nieco uniosłam. Powiedziałam mu: „Na Boga, nie przybyłam do Poitiers, by pokazywać znaki! Pozwólcie mi ruszyć do Orleanu, a ujrzycie swój znak i pojmiecie, po co mnie posłano”.

Nikt z obecnych w pokoju, a zwłaszcza Gabriel, nie był w stanie oderwać od Joanny oczu. Kiedy wspomniała o Orleanie, jej blask rozblysnął ponownie. *Bóg mi świadkiem, że mógłbym do końca moich dni nie robić nic, tylko na nią patrzeć. Sam jej widok wystarczyłby do tego, by utrzymać mnie przy życiu.*

W tej samej chwili madame Rabateau wydała z siebie cichy okrzyk, po czym zerwała się na nogi i złożyła głęboki ukłon. Pozostałe kobiety, nie wyłączając Joanny, natychmiast poszły w jej ślady. Gabriel odwrócił się i także się pokłonił, chociaż nie wiedział, kto taki wszedł do pokoju.

– A więc to ty jesteś Joanną, która zwie się Dziewicą – rozległ się ciepły, a zarazem mocny kobiecy głos. – Nie mogłam się doczekać, kiedy cię wreszcie poznam, moje dziecko.

– Ja także – odpowiedziała Joanna. – Księżę Alençon wygłasza peany na twą cześć, Wasza Wysokość. Wkrótce upewnisz się, że wszystkie moje słowa są prawdą.

Wasza Wysokość! Gabrielowi zakręciło się w głowie. A zatem ta kobieta musiała być matką żony delfina, królową Jolantą Aragońską, która przybyła do Poitiers, by zbadać, czy Joanna mówiła prawdę. Królowa! On, nieślubny syn prostego rolnika, pasierb zwykłego kupca, dostąpił zaszczytu ujrzenia na własne oczy nie tylko przyszłego króla, ale także samej królowej.

Powoli wyprostował się i ośmielił się spojrzeć na dostojnego gościa.

Z wrażenia zaparło mu dech.

Królowa Jolanta była wysoką kobietą o smukłej figurze, której kształty nie do końca maskowała suknia koloru czerwonego wina. Jej włosy ukryte były pod czepcem z dwoma rogami, ozdobionym powłóczystymi welonami. Twarz królowej, choć już niemłoda, wciąż była piękna, emanowała z niej wewnętrzna siła, której nie umniejszały zmarszczki rysujące się wokół szarozielonych oczu oraz na wysokim czole. Ale to nie uroda królowej przykuła uwagę Gabriela.

Jakimż głupcem się okazał.

Był tak pewny tego, że zdołał odgadnąć tożsamość Mentora asasynów. Człowieka, który pod postacią anioła przemówił do niego, Joanny i Karola. Ale teraz pojął, że owym Mentorem nie był wcale „szlachetny książę” Joanny.

W oczach Jolanty pojawił się błysk, kiedy zdała sobie sprawę, że Gabriel już wszystko wie. Ledwie dostrzegalnie pokręciła głowę. Ale Gabriel nie potrzebował tego ostrzeżenia. Nie byłby w stanie wykrztusić z siebie ani jednego słowa, choćby nawet zależało od tego jego życie.

Proszę, proszę – Simon usłyszał głos Victorii. – Królowa i Mentorka asasynów. To chyba pierwszy taki przypadek w historii.

Simon był na siebie wściekły. Był tak pewny, że to Alençon jest Mentorem, że nie dopuszczał do siebie myśli, że mógł nim być ktoś inny. Królowa tymczasem zwróciła się ku zgromadzonym w pokoju kobietom. Wyglądało na to, że nikt nie dostrzegł krótkiej wymiany spojrzeń między młodym bękartem a matką małżonki delfina.

– Rozumiem już, dlaczego wszyscy, którzy cię spotkali, są tobą tak zauroczeni – stwierdziła Jolanta, obdarzywszy Joannę ciepłym uśmiechem.

Zachowywała się tak, jakby zupełnie nic się nie wydarzyło, tak jakby chwilę wcześniej cały świat Gabriela nie został wywrócony do góry nogami. Teraz, kiedy Gabriel wiedział już, z kim ma do czynienia, zwrócił uwagę na sposób, w jaki poruszała się Jolanta. Jej ruchy były niezwykle płynne. Widać było, że jest silna i szybka i że w razie potrzeby natychmiast to wykorzystysta. Jean de Metz poruszał się w taki sam sposób, on sam, Gabriel, dopiero zaczynał się tego uczyć.

Jolanta ujęła podbródek Joanny w obie dłonie i spojrzała w jej oczy. Dziewczyna nie odwróciła wzroku. Gabriel zdał sobie sprawę, że jego przyjaciółka, w przeciwieństwie do niego, nie rozpoznała w królowej „anioła”. Po chwili Jolanta skinęła głową.

– Towarzyszą mi moje damy dworu – powiedziała, wskazując na dwie kobiety stojące kilka kroków za nią. Obie, podobnie jak królowa, ubrane były w strojne suknie oraz czepki. – Czy możemy udać się teraz do twojego pokoju, Jeanne?

– Proszę, Wasza Wysokość raczy pójść za mną – odezwała się madame Rabateau. – A wy, moje panie, zechciejcie zająć się sobą do czasu kolacji.

– A ja, eee, pójdę sprawdzić, gdzie podziewa się de Metz – bąknął nieśmiało Gabriel. Ukłonił się przed panią domu i rzucił jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie na kobietę, która była nie tylko królową, ale i Mentorką asasynów. Potem pospiesznie opuścił pokój, jednak tak aby nie wyglądało to na paniczną ucieczkę.

Tuż za progiem domu natknął się na czekającego na niego de Metza.

– Ach, więc jednak ją rozpoznałeś. – Asasynowi wystarczył jeden rzut oka na Gabriela, by zorientować się w sytuacji.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś... – zaczął z wyrzutem w głosie Gabriel, ale de Metz uciszył go syknięciem, po czym rozejrzał się czujnie dookoła i chwyciwszy chłopaka za ramię, pociągnął go za sobą kawałek dalej.

– Miałem nadzieję, że się nie zorientujesz – stwierdził, kiedy oddalili się już nieco od domu. – A co z Jeanne? Czy ona również się ją rozpoznała?

– Nie – zaprzeczył Gabriel. – Sam nie wiem dlaczego.

– Jeanne wierzy, że tamtego dnia ujrzała anioła – wyjaśnił de Metz. – Ty zaś wiedziałeś, jak było naprawdę. Nawet jeśli Jeanne dostrzegła w królowej coś znajomego, to po prostu nie przyjęła tego do wiadomości.

Wyjaśnienie de Metz wydało się Gabrielowi całkiem sensowne, a zarazem napełniło go smutkiem.

– Nie podoba mi się, że mam przed nią jakieś tajemnice. Czuję, że to nie jest w porządku.

– Być może za jakiś czas Jeanne będzie gotowa, by poznać prawdę. Ale ten czas jeszcze nie nadszedł.

Gabriel zaśmiał się pod nosem.

– Wcześniej sądziłem, że Mentorem jest książę Alençon – wyznał. – Nie spodziewałem się, że może nim być stara kobieta.

– Alençon? O nie. On jest niewiele bardziej zaawansowany w treningu od ciebie. A co do „starej kobiety”... Lepiej dla ciebie, żeby nigdy tego nie usłyszała!

Gabriel przypomniał sobie pokaz siły i zręczności, jaki dała Jolanta, przemykając tamtej nocy po krokwiach w komnacie zamku Chinon. Musiał przyznać de Metzowi rację.

– Jest jeszcze wiele rzeczy, których musisz się o nas nauczyć, Gabrielu – podjął de Metz. – Wiek, płeć, kolor skóry... to wszystko nie ma dla nas znaczenia. Ale na razie dość o tym. Jolanta postanowiła, że jeśli ją rozpoznasz, będziesz mógł ją spotkać.

– Ależ ja już ją spotkałem – przypomniał zdziwiony Gabriel.

– Spotkałeś królową Jolantę, matkę żony króla Karola – sprostował de Metz. – Dziś wieczorem spotkasz Mentorę.

Twarz de Metz zaczęła się rozmywać i blednąć, po chwili cała jego sylwetka zamieniła się w falujący szary wir. Simon ponownie znalazł się w Korytarzu Pamięci. Zmusił się, by zacerpnąć haust powietrza – zdał sobie sprawę, że był tak przejęty, że niemal zapomniał o oddychaniu.

– Nie ma mowy, żebyś mnie stąd teraz wyciągnęła – oświadczył Victorii stanowczym tonem.

Ani mi to w głowie. Twoje wyniki są dobre, nie licząc zmian wywołanych szokiem. Prawdę powiedziawszy, po tym, czego się dowiedzieliśmy, mój puls może być równie szybki jak twój.

Tym razem z mglistych obłoków wyłoniło się wnętrze niewielkiej, schludnej izby. Niewątpliwie był to pokój w jakiejś gospodzie. W pokoju stało jedno łóżko, na którym rozłożone były dwa posłania.

Simon domyślił się, że takie luksusy przypadły im w udziale wyłącznie dzięki temu, że de Metz był szlachcicem. Ówcześni podróżni niemal zawsze dzielili ze sobą pokoje, łóżka i podłogi... każdą wolną przestrzeń, jaką udawało im się znaleźć w zatłoczonych gospodach. Na miejsce w osobnej izbie mogli liczyć jedynie ci, którzy mieli wystarczająco dużo pieniędzy albo wystarczająco wysoką pozycję.

De Metz leżał wyciągnięty na łóżku z kielichem w dłoni. Gabriel nerwowym krokiem przechadzał się w tę i z powrotem przed rozpalonym kominkiem.

– Napij się wina, Gabrielu – zachęcił de Metz.

Gabriel pokręcił tylko głową. Dłonie miał wilgotne i roztrzęsione.

– Jakim cudem królowa zdoła niezauważona wejść do gospody? – zapytał. – Nie mówiąc już o tym, jak niepostrzeżenie zdoła wejść po schodach i odnaleźć nasz pokój?

– Na świecie jest wiele rzeczy, którymi powinieneś się teraz przejmować, Gabrieliu. Ale z pewnością do nich nie należy to, jak Mistrz asasynów poradzi sobie z przedostaniem się do izby. Jolanta znajdzie...

Za oknem coś się poruszyło. Z ust Gabriela wyrwał się stłumiony okrzyk.

– ...sposób – dokończył spokojnie de Metz.

Niewidoczna dłoń rozwarła okiennice i do izby wtargnął podmuch chłodnego powietrza. Gabriel zadrżał. W następnej chwili w oknie pojawiła się, zwrócona głową w dół, zakapturzona postać, która wykonała błyskawiczne salto i wylądowała na podłodze, a następnie zręcznym ruchem zamknęła okiennice. Gabriel wiedział, kogo powinien się spodziewać, a mimo to poczuł się zaskoczony, kiedy tajemnicza postać zsunęła z głowy kaptur i jego oczom ukazała się twarz królowej.

Gabriel pochylił się, zamierzając się pokłonić, ale nagle zastygł i spojrzał niepewnie na de Metza, który tylko się roześmiał. Mentorka Jolanta uśmiechnęła się do niego i usiadła na skraju łóżka. De Metz napełnił kielich winem i podał go Jolancie, która upiła łyk i wykrzywiła twarz.

– Cóż to za kwaśna mina! – zawołał de Metz.

– Cóż to za kwaśne wino – odparowała Jolanta.

– Wybacz, nie mamy dostępu do królewskich piwnic.

– Niedługo będziecie mieli.

Jolanta, podobnie jak Joanna podczas podróży, miała na sobie męski strój: rajtuzy, krótką tunikę, pas, wysokie buty oraz kaptur. Jej ciemnoblonde włosy, poprzetykane pasemkami siwizny, splecione były w warkocz, chociaż kaptur sprawił, że znajdowały się w lekkim nieładzie. Jolanta otaksowała Gabriela uważnym spojrzeniem.

– Musisz wiedzieć, mój młody przyjacielu, że nie było cię w naszych planach. Mimo to cieszymy się, że jesteś z nami.

– W w-waszych p-planach?

De Metz podał Gabrielowi butelkę z winem.

– To ci się przyda.

Oszołomiony Gabriel pociągnął spory łyk, przełknął głośno i opadł na ławę stojącą naprzeciw łóżka.

– Powiedz mi, kim według ciebie jestem – poleciła Mentorka.

Gabriel domyślał się, że w tym na pozór prostym pytaniu kryje się jakiś haczyk.

– Jesteś królową Jolantą Aragońską – odparł. – Delfin to twój zięć. Jesteś też Mentorką asasynów. O ile wiem, to najwyższy stopień w waszej hierarchii.

– To dość dokładny opis – stwierdziła Jolanta. – Jestem również matką René Andegaweńskiego.

Ponieważ mina Gabriela zdradzała, że nie miał pojęcia, o kim mowa, Jolanta dodała:

– René jest zięciem księcia Lotaryngii.

Gabriel otworzył szerzej oczy i wypił kolejny łyk wina. De Metz miał rację, wino pomagało.

– Jeanne udała się do księcia, zanim jeszcze de Baudricourt zgodził się wyekspediować ją do Chinon – przypomniał sobie Gabriel. – Z tego, co słyszałem, była dla niego... niezbyt grzeczna. To znaczy dla księcia. Mimo to książę był jej całkiem życzliwy.

– To prawda – przytaknęła Jolanta. – A teraz zgadnij, kto jest seniorem de Baudricourta, któremu on winien jest posłuszeństwo?

– ...René?

Jolanta skinęła głową.

– Jeanne domagała się od księcia, by ten nakazał René walczyć w szeregach jej armii. René tego nie robi... w każdym razie nie w sensie formalnym. Ale wszyscy wspieramy Jeanne, niezależnie od tego, czy ona sama zdaje sobie z tego sprawę, czy też nie.

Gabriel zaczął żałować, że w butelce widać już było dno. Jolanta uśmiechnęła się, ale nie był to uśmiech, który można by uznać za szczególnie życzliwy. Chłopak zdał sobie sprawę, że Mentorkę bawi jego konsternacja.

– Od lat po kraju krążyły plotki i przepowiednie o pojawieniu się Dziewicy – ciągnęła dalej Jolanta. – Badałam każdą z tych pogłosek. Do tej pory dziewczki mieniące się Dziewicą z Lotaryngii okazywały się zwykłymi kłamczuchami, które wyuczyły się na pamięć treści prorocstwa, licząc na to, że uda im się wyłudzić garść monet i zyskać chwilę sławy. Ale doniesienia na temat Jeanne różniły się od pozostałych. Na moją prośbę René zasugerował swemu teściowi, by ten zaprosił Jeanne na swój dwór. René był pod wrażeniem tego, co wówczas zobaczył, i niezwłocznie mnie o tym powiadomił. Poprosiłam, by polecił de Baudricourtowi wysłać dziewczynę do Chinon wraz z listem polecającym do delfina. Wszyscy wiemy, co się wydarzyło na zamku w Chinon.

– Musisz przyznać, że nie spodziewałaś się tego, że zauważymy cię w ciemnościach.

– Masz rację. Zjawiłam się tam po to, by obserwować przebieg waszego spotkania z Karolem, a nie po to, by w nim uczestniczyć. Byłam ciekawa, co powie Jeanne, kiedy będzie przekonana, że rozmawia z Karolem bez świadków. To, że oboje byliście w stanie mnie zobaczyć, istotnie było dla mnie zaskoczeniem. Jak się okazało, całkiem pozytywnym. Być może słyszałeś, że Karolowi brakuje zdecydowania. Niektórzy twierdzą nawet, że ma słaby charakter.

Gabriel pobladł. Nie wiedział, co powiedzieć. Jolanta roześmiała się na widok jego miny.

– Nie przejmuj się. Przecież to prawda. Te opinie nie wzięły się znikąd. Karol nie jest złym człowiekiem. Kocham go, a René wręcz go uwielbia. Życie Karola... nie było usłane różami. Było w nim więcej śmierci i grozy, niż możesz sobie wyobrazić. Wciąż mam nadzieję, że kiedy już doprowadzimy do jego koronacji, odnajdziemy w sobie wewnętrzną siłę. Tymczasem jednak... – W jej oczach zamigotały wesołe iskierki. – Potrzebne jest prorocstwo, by skłonić go do działania. A wracając do

naszego pierwszego spotkania... Kiedy ty i Jeanne mnie zauważyliście, stało się dla mnie jasne, że w waszych żyłach płynie krew Prekursorów. Tak jak mówiłam, zaskoczyliście mnie, ale w pozytywny sposób.

– Czy wierzysz Jeanne? – Gabriel czuł, że musi zadać to pytanie.

– De Metz opowiedział mi, jak zareagował na nią miecz – odparła Jolanta. – Nie jestem w stanie powiedzieć, czy Jeanne została posłana przez Boga. Ale wiem, że ma dobre serce, jest nieugięta w dążeniu do celu i ma w sobie odwagę, jaka cechuje ludzi szczerze przekonanych o słuszności ich sprawy. Wierzę, że może pomóc w wyparciu z Francji Anglików i kryjących się między nimi templariuszy. Zarówno ja, jak i całe Bractwo będziemy ją w tym wspierać. Tyle mogę ci obiecać.

Gabriel z powagą skinął głową.

– A więc... co będzie dalej? – zapytał. Czuł, że wino dodało mu odwagi.

– Pamiętaj, że jestem nie tylko Mentorką, ale i królową. Rozkazałam zorganizować konwój z zaopatrzeniem, który wkrótce wyruszy do oblężonego Orleanu. Mieszkańcy i obrońcy miasta cierpią głód, a tych, którzy próbowali przyjść im z odsieczą, ogarnęło zniechęcenie. Każda kolejna próba przełamania oblężenia kończyła się porażką. Jak sądzisz, Gabrielu, co decyduje o tym, że wygrywa się wojny?

Gabriel pożałował, że wypił aż tyle wina. Postarał się jednak zebrać myśli.

– Zaprawieni w boju żołnierze – odparł po chwili. – Liczebna przewaga. Zdecydowani przywódcy. I dobra strategia.

– Wszystko to jest ważne – zgodziła się Jolanta. – Ale niewystarczające. Aby wygrać wojnę, potrzeba również całkiem zwyczajnych rzeczy, takich jak żywność czy medykamenty. Zadbam o to, by ich nie zabrakło. Do zwycięstwa potrzeba jednak czegoś więcej. Jest jeszcze jedna rzecz, która może odwrócić losy tej wojny i sprawić, że Anglicy czmychną do domu z podkulonym ogonem. Tę rzecz może dać Francuzom Jeanne.

Gabriel przypomniał sobie chwilę, w której Joanna wzięła do ręki miecz, przypomniał sobie radość i spokój, jakie go wtedy ogarnęły. Niezachwianą pewnością, że wszystko będzie dobrze i nikomu niczego nie zabraknie.

I nagle zrozumiał, czym jest owa „jeszcze jedna rzecz”, o której mówiła Jolanta.

– Nadzieja – powiedział. – Jeanne przyniesie im nadzieję.

Obraz rozwiął się, a Simon usłyszał głos Victorii.

Jak się czujesz? – spytała.

– Smak pomyłki jest dość gorzki – wyznał. – Byłem głupcem, nie biorąc pod uwagę, że to Jolanta może być Mentorem. Wiedziałem przecież, że Jolanta Aragońska była niezwykłą postacią. Powinienem był się domyślić...

Nie bądź dla siebie zbyt surowy. Pamiętaj, że asasyni uwielbiają ukrywać się na widoku. Gdyby łatwo ich było rozpoznać, templariusze już dawno by ich wytepełili. Chcesz zrobić sobie przerwę?

– Nie.

Simon wiedział, że gdy opuści Salę Animusa, będzie musiał odezwać się do Anayi, a do tego wcale nie było mu pilno. Wolał dalej podążać niczym cień za Joanną d'Arc.

– Pora udać się z Joanną do jej armii – powiedział i przygotował się na kolejną symulację.

Piątek 21 kwietnia 1429 roku

Gabriel jechał u boku Joanny w kolumnie wojska, która zmierzała z Tours do Blois, gdzie stacjonowała reszta francuskiej armii. Gabriel zdawał sobie sprawę, że z każdą chwilą zbliża się do pierwszej w swoim życiu bitwy, a mimo to czuł się zadowolony. Ale trudno było nie czuć zadowolenia, skoro do tej pory wszystko układało się po ich myśli.

Po trwających trzy tygodnie przesłuchaniach duchowni oświadczyli delfinowi, że są pod ogromnym wrażeniem Joanny. Król, który do tej pory ociągał się z podjęciem jakiegokolwiek decyzji, natychmiast nabrał animuszu i przystąpił do działania. Joanna otrzymała pełną płytową zbroję, wykonaną specjalnie dla niej i dopasowaną do jej szczupłej sylwetki. Książę Alençon dotrzymał słowa i sprezentował jej obiecanego wierzchowca – okazałego siwego destriera, na którego grzbiecie jechała teraz do Blois. Do jej lewego boku przypasany był miecz z kościoła w Sainte-Catherine-de-Fierbois. Joanna, jak zawsze myśląca praktycznie, zamieniła jednak wspianą pochwę obitą czerwonym aksamitem na prostą, ale solidną zrobioną z grubej skóry.

Na polecenie Joanny wykonano w Tours dwie chorągwie. Pierwszą z nich, z wizerunkiem ukrzyżowanego Chrystusa, dzierżył spowiednik Joanny ojciec Jean Pasquerel, który wraz z grupą duchownych maszerował na czele kolumny francuskich wojsk. Codziennie wieczorem, gdy zatrzymywali się na nocleg, księża wbijali

chorągiew w ziemię. Joanna nakazała, by nad ranem wszyscy żołnierze gromadzili się wokół chorągwi i przystępowali do masowej spowiedzi.

Druha chorągiew była osobistym sztandarem Dziewicy.

Joanna powiedziała Gabrielowi, że pomodliła się do swoich Głosów o radę w sprawie projektu sztandaru, a następnie kazała artyście wykonać go według jej ścisłych wskazówek. Przedstawiał Chrystusa zasiadającego na tronie pośród chmur i odprawiającego sąd nad światem, a także klęczącego anioła, który trzymał w dłoniach francuską lilię i podawał ją Chrystusowi do pobłogosławienia. Nie ulegało wątpliwości, że Joanna miłowała tę chorągiew bardziej niż swój miecz. Zdziwiony tym Alençon zapytał ją któregoś razu, dlaczego darzy sztandar aż takim uczuciem. Gabriela także to zastanawiało – przecież wszyscy byli świadkami, jak dotknięty ręką Joanny Miecz Edenu objawił swoją niezwykłą moc. Sztandar tymczasem był niczym więcej jak tylko kawałkiem pomalowanego płótna.

– Miecz jest przepiękny i wskazały mi go moje Głosy – odparła Joanna. – Ale mój sztandar... jest mój. Głosy powiedziały mi, jak ma wyglądać, a malarz namalował dokładnie to, czego chciałam. Poza tym będę go miała zawsze przy sobie i wszyscy, którzy go zobaczą, pomyślą o Dziewicy i o Bogu, którego ona kocha i który stoi po ich stronie. Będę mogła podnosić na duchu tych, którzy walczą za Francję, i wzbudzać strach w sercach nieprzyjaciół Boga, a zarazem nie będę musiała nikomu odbierać życia.

To powiedziawszy, uśmiechnęła się promiennie, a światło rozbłysło wokół niej niczym aureola na starych malowidłach. I nawet gdyby Gabriel dotąd nie był pewien swoich uczuć do niej, to w tamtej chwili poczuł, jak serce pęka mu z miłości do tej niezwykłej dziewczyny.

Ale Joanna opuściła Tours nie tylko z dwoma chorągwiami, zbroją oraz wierzchowcem. W sumie miała do swej dyspozycji pięć koni bojowych, a także kilka podjezdźców, z których mogła korzystać na co dzień. Posiadała także własny rycerski poczet, w skład którego wchodził jej osobisty giermek Jean d'Aulon, dwóch paziów o imionach Louis i Raymond, a także dwóch heroldów, Ambleville i Guyenne. Zdaniem Alençona to właśnie obecność w poczcie Joanny heroldów była szczególnie wymowna.

– Wszyscy członkowie tej świty na pewno jej się przydadzą – tłumaczył Gabrielowi książę – ale heroldowie... są kimś więcej. To królewscy urzędnicy, kiedy pełnią swoje obowiązki, chroni ich immunitet i nikomu nie wolno ich pojmać. Noszą królewskie liberie, dostarczają wiadomości i rzucają wyzwania w imieniu tych, którzy cieszą się szacunkiem i względami króla. To, że król przydzielił ich naszej Dziewicy, jest najlepszym dowodem na to, jak wysoko ją ceni.

Poza tym Joanna stała na czele kilkuset zbrojnych: rycerzy, piechurów oraz łuczników.

Niestety, brakowało wśród nich Jeana de Metza. Tak jak wcześniej wspominał, to nie Joannie winien był posłuszeństwo. Był giermkiem i pozostawał na służbie u Roberta de Baudricourta, był także asasynem i musiał słuchać rozkazów Mentorki swego Bractwa. Joanna i Gabriel ze smutkiem przyjęli jego odejście.

– Nie zapomniałem o złożonej ci obietnicy – zapewnił na odchodnym Joannę. – Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by nadal ci służyć i chronić cię przed niebezpieczeństwem.

Potem na osobności pożegnał się z Gabrielem.

– Bądź pewien, że ktoś zawsze ma na ciebie baczenie, nawet jeśli w danej chwili nie zdajesz sobie z tego sprawy. Nasze Bractwo to nie tylko giermkowie, królowe i księżęta.

– Będzie mi ciebie brakowało, Jean – powiedział Gabriel.

De Metz dziarsko klepnął go w plecy.

– Myślę, że jeszcze się spotkamy, Laxart. Tymczasem opiekuj się nią. Nikt z nas nie byłby dla niej lepszym cieniem niż ty.

Joanna prawie zawsze nosiła zbroję, ale rzadko zakładała hełm. Podczas jazdy poczuła na sobie wzrok Gabriela i odwróciła ku niemu głowę.

– Wyglądasz na szczęśliwego – zauważyła.

– Jestem szczęśliwy – przytaknął. – W końcu jesteś na najlepszej drodze do tego, by osiągnąć swój cel, tak jak obiecały ci to twoje Głosy.

– Cieszę się, że sprawy ruszyły w końcu z miejsca – stwierdziła Joanna. – Moje Głosy mówią, że został mi jeszcze tylko rok, może nieco więcej.

Gabriel miał wrażenie, jakby otrzymał znienacka potężny cios w żołądek. To, co powiedziała Joanna... czyżby miała na myśli...

– Jeanne!

Joanna przekrzywiła lekko głowę i przez chwilę przyglądała się Gabrielowi zaskoczona. W końcu pojęła, w czym rzecz, i jej oczy rozwarły się szeroko.

– Och, ależ nie, Gabrielu! Nie znam dnia swojej śmierci. Tylko Bóg wie, kiedy umrzemy. Mogę dożyć stu lat, ale równie dobrze mogę umrzeć jutro po zjedzeniu nieświeżej ryby!

Strach, który jeszcze przed chwilą podciągnął mu żołądek do gardła, uszedł z niego teraz tak gwałtownie, że Gabriel poczuł się przez chwilę słaby i bezsilny.

– Dzięki Bogu – westchnął i były to słowa płynące prosto z jego serca.

– Ale... moje Głosy powiedziały, że mam jeszcze tylko rok na wykonanie zadania, które mi powierzono. Muszę jak najlepiej wykorzystać ten czas. Muszę oswobodzić Orlean i doprowadzić do koronacji naszego króla. A także – dodała – wykonać każde inne zadanie, jakie tylko powierzy mi Bóg.

– Cokolwiek to będzie, zostaną przy tobie – zapewnił gorliwie Gabriel.

– Dopóki Bóg pozwoli – przypomniała Joanna.

Po ciele Gabriela przeszedł nieprzyjemny dreszcz.

Dobiegający od czoła kolumny śpiew nagle ucichł. Gabriel i Joanna wjechali na wzgórze i zatrzymawszy konie, w milczeniu przyglądali się wojskom, które obozowały na rozciągającej się w dole równinie.

W Blois Francuzi mogli czuć się bezpieczni, ale mimo to część ich sił kwaterowała w obrębie jasnoszarych murów potężnej twierdzy. Ci, dla których nie starczyło tam miejsca, rozłożyli się obozem na otaczających fortecę polach. Gabriel widział w oddali setki namiotów, a między nimi małe pomarańczowe punkciki ognisk. Konie

skubały spokojnie młodą wiosenną trawę, a setki, a może i tysiące żołnierzy kręciły się pośród namiotów.

Ludzie Joanny zeszli ze wzgórza, szczęśliwi, że udało im się w końcu dotrzeć do celu. Kiedy zbliżyli się do obozowiska, Gabriel zorientował się, że Jolanta Aragońska spełniła swoją obietnicę. Z otwartymi z wrażenia ustami przyglądał się dziesiątkom mniejszych i większych wozów, część z nich wyładowana była workami ze zbożem, inne zaś wielkimi beczkami, w których przewożono zapewne suszone ryby i mięso. Większość furgonów służyła jednak do przewozu żywego inwentarza: owiec, świń oraz klatek z kurami. Z tyłu wozów uwiązano na postronkach krowy i woły.

– Jeanne! – rozległ się znajomy głos.

Gabriel i Joanna odwrócili się jednocześnie i zobaczyli księcia Alençona, który cwałował ku nim na swoim wierzchowcu.

– Spójrzcie tylko, co wam przywiozłem!

– Mój drogi książę! – zawołała uradowana Joanna. – Bóg jest łaskawy!

– Podobnie jak królowa Jolanta – stwierdził Alençon z dość zuchwałym uśmiechem. – Dziewico, sam Bastard Orleański przybył do Blois, aby się z tobą spotkać. Jutro ty i twoja armia pomaszerujecie na Orlean!

– A ty? Czyżbyś nie zamierzał mi towarzyszyć? – Twarz Joanny spochmurniała.

Alençon zerknął na Gabriela, a potem ponownie skierował swoje ciemne oczy na Dziewicę.

– Ktoś musi doglądać tych wspaniałych darów bożych – odparł. – Nie myślisz chyba, że woły zajdą do Orleanu na własnych nogach? Będziemy musieli przetransportować je tam Loarą. Poza tym przyrzekłem Anglikom, że nie będę z nimi walczył, dopóki okup za mnie nie zostanie spłacony do końca. Nie mogę stanąć wraz z wami do bitwy. Na razie – dodał, uśmiechając się szeroko. – Ale nie przychodzę do was sam. Jest ze mną dwóch młodzieńców, których widok ucieszy cię zapewne jeszcze bardziej.

W ich stronę biegło już dwóch piechurów. Joanna odwróciła się ku nim i nagle zastygła, a jej błękitne oczy otworzyły się szeroko. Zaciśnęła dłoń na woreczku, który nosiła zawieszony na szyi. Gabriel przyglądał się zaskoczony, jak w jej oczach wzbierają łzy, a usta rozchylają się w radosnym uśmiechu.

– Jean! – wykrzyknęła. – Pierre!

Pomimo ciężkiej zbroi jednym susem zeskoczyła z konia i popędziła ku swym braciom. Śmiechom nie było końca, choć pojawiło się też kilka łez wzruszenia, bracia mierzwiili krótkie włosy Joanny i nazywali ją najurodziwszym chłopcem, jakiego w życiu widzieli.

– Dostaliśmy twój list – powiedział Pierre, młodszy z braci. – Mama się popłakała. Nawet papa wyglądał tak, jakby miał się rozpłakać.

Treść tego listu Joanna podyktowała Gabrielowi wkrótce po przyjeździe do Chinon. Dręczyły ją wyrzuty sumienia z powodu tego, że opuściła swoich bliskich bez słowa pożegnania, ale w liście wytłumaczyła im, że musiała tak postąpić, i zapewniła, że kocha ich całym sercem.

– Wciąż mam pierścionek, który dali mi rodzice. Trzymam go zawsze blisko serca,

razem z innymi drobiazgami, które są mi drogie – powiedziała, dotykając woreczka, z którym nie rozstawała się od czasu pobytu w Chinon. – Czy... czy oni...

– Oczywiście, że ci wybaczyli. I ogromnie cię kochają – zapewnił ją pospiesznie Pierre. – Pozwolili nam nawet do ciebie dołączyć i dali nam swoje błogosławieństwo.

– Jesteś teraz sławna, Jeanne! – zawołał Jean. – Ludzie odwiedzają nasz dom, żeby zobaczyć na własne oczy, gdzie urodziła się Jeanne Dziewica. Rodzice zaczęli nawet wynajmować przyjezdnym pokoje i nieźle na tym zarabiają.

– To dobrze. Cieszę się, że po tym jak napędziłam im tyle strachu... – Joanna urwała i powoli odwróciła głowę w kierunku, z którego dobiegały głośnie salwy śmiechu.

Gabriel podążył za jej wzrokiem i dostrzegł grupkę żołnierzy gawędzących z kilkoma kobietami. Kobiety te były w różnym wieku, ale ich twarze na swój sposób były do siebie podobne, wydawały się zacięte i nieufne, mimo że wszystkie kobiety uśmiechały się do żołnierzy i zalotnie wodziły placami po ich torsach i ramionach. Jeden z mężczyzn szarpnął za tasemki, którymi zasnurowana była bluzka stojącej przed nim dziewczyny, po czym nachylił się, by pocałować ją w szyję. Jego towarzysze nagrodzili go radosnymi okrzykami i sami również zaczęli śmiejeć się sobie poczynając z pozostałymi kobietami, które wydawały się nie mieć nic przeciwko temu. Gabriel nagle uświadomił sobie, kim są owe kobiety.

Joanna, mimo swojej niewinności, uświadomiła to sobie jeszcze szybciej.

– Na Boga, nie zniosę tu nierządnic! – krzyknęła i dobyła miecza.

Broń w jednej chwili rozbłysła cudownym światłem, wydawało się, że po klindze tańczy biały płomień, tak jasny, że Gabriel musiał zmrużyć oczy. Zanim się spostrzegł, Joanna biegła już w stronę rozchoconych żołnierzy i towarzyszących im obozowych ladacznic ze wzniesionym w górę mieczem, jej zbroja połyskiwała w promieniach popołudniowego słońca. Przez moment Gabriel obawiał się, że Joanna rzuci się na kobiety i posieka je na kawałki, wywierając w ten sposób straszliwą zemstę w imieniu obrażonego ich postępowaniem Boga.

Ale Joanna nie byłaby do tego zdolna – miała przecież tak miękkie serce, że nie chciała ruszyć do bitwy z mieczem w dłoni, ponieważ miecz mógłby wyrządzić krzywdę żołnierzom nieprzyjaciela, zamiast tego zamierzała ruszyć w bój, dzierżąc sztandar, i w ten sposób dodawać otuchy swoim ludziom. Teraz obróciła broń w dłoni i zaczęła okładać kobiety płazem miecza. Chociaż w ostatniej chwili hamowała rękę, by nie spowodować poważnych obrażeń, to rozdawane przez nią razy z pewnością były bolesne i musiały pozostawiać na ciele paskudne pręgi.

Kobiety zaczęły krzyczeć i rozpierchły się przerażone. Wszystkie, z wyjątkiem jednej: jasnowłosa dziewczyna w wieku Joanny, która byłaby całkiem ładna, gdyby nie szpeciła jej umorusana twarz i zawzięte spojrzenie, zawahała się i przez moment wpatrywała się w Joannę z rozdziawioną buzią. Dopiero po chwili zadarła spódnicę i pobiegnęła w ślad za swoimi koleżankami.

Gabriel wstrzymał oddech. Czy to możliwe, by nierządnicą...

Joanna, wciąż wymachując mieczem, zwróciła się tymczasem ku oniemiałym z wrażenia żołnierzom.

– Wy! Te biedne kobiety są głodne i zdesperowane. Nie będziecie ich poniżać ani hańbić własnego ciała, które stworzył Bóg na swoje podobieństwo! Zrozumiano?

Żołnierze – barczyści, brodaczy mężczyźni z włosami przyprószonymi już lekko siwizną, górujący wzrostem nad młodą dziewczyną w lśniącej nowością zbroi – cofnęły się o krok i gorliwie pokiwali głowami.

– To dobrze. Widzicie ten sztandar? – Joanna wskazała chorągiew, która z odległości kilkuset metrów przypominała białą plamkę. – Przy nim zawsze spotkacie księży. Teraz idźcie tam i wyświadcacie się ze swoich grzechów.

Kiedy zobaczyła, że żołnierze się ociągają, pogroziła im gniewnie mieczem. Broń wciąż lśniła, ale Gabriel zdał sobie sprawę, że ani żołnierze, ani kobiety, ani też Jean i Pierre nie byli w stanie dostrzec jego blasku, choć najwyraźniej odczuwali jego moc. Myśli Gabriela mimowolnie wróciły do jasnowłosej dziewczyny.

– Natychmiast! – wrzasnęła Joanna.

Żołnierze pośpiesznie ruszyli we wskazanym im przez Dziewicę kierunku.

Alençon bezskutecznie próbował powstrzymać cisnący mu się na usta uśmiech.

– Ostrożnie, Dziewico – zawołał. – Jeśli nie będziesz uważać, możesz połamać swoje ostrze na plecach tych ładacznic!

Joanna spojrzała na niego gniewnym wzrokiem.

– Nie przeklinaj! – warknęła. – Ty również powinieneś przystąpić do spowiedzi.

Księżę Alençon odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął gromkim śmiechem.

A potem poszedł się wyświadczać.

Simona spowiła mgłą i dobiegł do niego głos Victorii: *Nie mogę uwierzyć, że Joanna przepędziła prostytutki za pomocą Miecza Edena!*

– To jedna z bardziej popularnych historii na temat Joanny d’Arc – powiedział Simon. – Ale szczerze mówiąc, nie sądziłem, by była prawdziwa. O ile pamiętam, Alençon twierdził później, że Joanna naprawdę złamała miecz, płazując nim jedną z kobiet.

Najwyraźniej tak się nie stało. Nawiasem mówiąc, cieszę się, że pogodziła się ze swoją rodziną, chociaż zaczynam się martwić o jej braci.

– Rodzice Joanny mogli posiadać jakiś niezbyt duży procent DNA Prekursorów, ale wszystko wskazuje na to, że jej rodzeństwo nie posiadało go wcale. Jej matka Isabelle Romée była samodzielną kobietą, która w swoim czasie odbyła kilka dalekich i niebezpiecznych pielgrzymek. Jeśli chodzi o Jacques’a, ojca Joanny, to wiąże się z nim ciekawa historia. Przyśnił mu się kiedyś koszmar, w którym Joanna uciekła z żołnierzami. Był tym tak wstrząśnięty, że nakazał swoim synom, by utopili siostrę, gdyby naprawdę coś takiego uczyniła.

Co takiego!? – wykrzyknęła Victoria.

– Zinterpretował swój sen jako zapowiedź tego, że jego córka zostanie prostytutką sprzedającą swoje ciało żołnierzom. Joanna wiedziała o tym śnie, a także o tym, co ojciec powiedział jej braciom. Sen okazał się w pewnym sensie proroczy, bo Joanna rzeczywiście uciekła z domu z żołnierzami, chociaż nie w takim celu, jakiego obawiał się jej ojciec. To może być jeden z powodów, dla których Joanna była tak wrogo usposobiona do markietanek.

Myślę, że przez dłuższy czas nie będzie musiała się martwić ich obecnością, nie po tym, jak je potraktowała – stwierdziła Victoria. – Co dalej?

Simon odetchnął głęboko, po czym powiedział:

– Orlean.

Piątek 29 kwietnia 1429 roku

– Czy to ty jesteś Bastardem?

Rozmowa ucichła jak nożem uciął i oczy wszystkich zgromadzonych wokół stołu mężczyzn zwróciły się na Joannę. Na stole leżała rozłożona duża mapa, na której wyrysowano pozycje Anglików i Francuzów.

Jeden z mężczyzn, starszy od Alençona, jednak nie na tyle, by można było powiedzieć, że wkroczył już w wiek średni, uśmiechnął się nieznacznie do Joanny.

– W istocie jestem Jean de Dunois, kuzyn króla, zwany Orleańskim Bastardem. Wiele o tobie słyszałem, Dziewico, i...

– Czy to ty doradziłeś, abym przybyła w to miejsce, mijając po niewłaściwej stronie rzeki udreńczony, oblężony Orlean, zamiast od razu ruszyć tam, gdzie stoi Talbot i jego Anglicy?

Doradcy Bastarda rozmaicie zareagowali na to zadane ostrym tonem pytanie. Jeden z nich, przystojny, wymuskany i wyglądający na pochodzącego z wysokiego rodu, obnażył w szerokim uśmiechu swoje śnieżnobiałe zęby. Inny z kolei, rycerz potężnej postury, starszy od Bastarda o mniej więcej dekadę, a przy tym mniej schludny i bardziej ogorzały od pozostałych, zmarszczył gniewnie brwi, po czym jego usta wykrzywiły się w grymasie, który można było uznać za cień uśmiechu.

Królewski kuzyn zamrugał szybko, po czym uprzejmym tonem odpowiedział:

– Ja i moi towarzysze, pan baron Gilles de Rais i pan Étienne de Vignolles, którzy orientują się w sytuacji lepiej od ciebie, bo przebywają tu o wiele dłużej, rzeczywiście zaproponowaliśmy takie właśnie rozwiązanie. Naszym zdaniem jest to najlepsza i najpewniejsza droga do zwycięstwa.

Joanna pobladła z wściekłości i szybkim krokiem podeszła do Bastarda, a następnie zadarła głowę i wyprostowała się, stając niemalże na palcach, by przybliżyć swoją twarz do twarzy wyższego od niej niemal o trzydzieści centymetrów mężczyzny.

– Rady Boga są pewniejsze i rozsądniejsze od waszych. Przynoszę wam najlepszą pomoc, jakiej kiedykolwiek udzielono rycerzowi lub miastu. Pomoc samego Króla Niebios!

– Moja mała Dziewico – rozległ się tubalny głos, wydobywający się z szerokiej piersi ogromnego rycerza. – Udało ci się oczarować króla i jego dworzan. Byłem na dworze i widziałem, jak wywęszyłaś go w tłumie, niczym sprytny psiak. Ale teraz jesteś na polu bitwy. Słuchaj więc tych, którzy zjedli zęby na wojaczce.

Z wdzięcznością przyjmiemy bożą pomoc, ale to nie na Boga spadają w bitwie ciosy nieprzyjaciela.

Joanna odwróciła się ku niemu i utkwiała w nim swoje przenikliwe spojrzenie.

– Ktoś ty?

Do tej pory olbrzym stał pochylony nad mapą, wspierając się dłońmi o blat stołu, teraz wyprostował się dumnie i oparł rękę na rękojeści miecza. Miał co najmniej dwa metry wzrostu. Gabriel spojrział na niego i przełknął ślinę.

– Jestem Étienne de Vignolles. Zważ mnie La Hire.

– Posłuchaj mnie zatem, panie La Hire. Nie powinieneś bluźnić – upomniała go surowo Joanna. – Przeprowadziłam ze sobą księży, którzy chętnie wysłuchają twojej spowiedzi. Mówię wam, że moje rady nie pochodzą ode mnie, tylko od samego Boga, który zlitował się nad Orleanem i postanowił wyzwolić to miasto. Powiedzcie mi teraz, dlaczego nie uderzamy na Talbota.

Bastard westchnął. Obejrzał się przez ramię na swoich doradców, a po chwili wahania podjął najwyraźniej jakąś decyzję.

– Podejdźcie tutaj – nakazał.

Joanna, Alençon i Gabriel posłusznie zbliżyli się do stołu.

– To mapa tej okolicy – powiedział Bastard. – Tu leży Orlean. My znajdujemy się spory kawałek na wschód od miasta. Widzicie te oznaczenia? – Postukał palcem w czarne prostokąty różnej wielkości. – To szańce, rodzaj umocnień zbudowanych z drewna, ziemi i kamienia. Ich zadaniem jest osłaniać najbardziej wrażliwe punkty, na przykład bramy czy mury.

Gabriel naliczył na mapie dziewięć takich fortyfikacji, większość po zachodniej stronie miasta. Nie bardzo jednak rozumiał, dlaczego te sterty ziemi i drewna miałyby stanowić aż taki problem.

– Usypane z ziemi i wzmocnione drewnem szańce doskonale chronią przed naszymi kamiennymi i żelaznymi kulami armatnimi – wyjaśnił Alençon, który zauważył Gabriela. – Poza tym Anglicy obsadzili każdy okop sporą liczbą własnych dział. Ściągnęli tam również łuczników.

Wzmianka o angielskich łucznikach od razu uzmysłowiła Gabrielowi powagę sytuacji. We Francji całkiem świeża była jeszcze pamięć o bitwie pod Agincourt – tamto przytłaczające zwycięstwo Anglicy zawdzięczali właśnie długim łukom. Sama myśl o stawieniu im teraz czoła nie należała do przyjemnych.

– Musielibyśmy przedrzeć się przez te szańce, aby dotrzeć do bram miasta – podsumował Alençon.

– Z jednym wyjątkiem – wtrącił La Hire. Wyraźnie utykając, podszedł do stołu i stuknął placem wskazującym w mapę. – Tutaj. Brama Burgundzka to jedyny słaby punkt Anglików. Drogi do niej broni szaniec Saint-Loup, ale to jedyna przeszkoda.

– Przez tę bramę przerzucaliśmy już do miasta wiadomości i niewielkie grupki naszych ludzi – wyjaśnił Bastard. – Kiedy będziemy gotowi do ataku, damy znać orleańczykom, żeby odwrócili uwagę Anglików.

– I pomaszerujemy prosto do Bramy Burgundzkiej – dodał de Rais, elegancki arystokrata, który wciąż sprawiał wrażenie rozbawionego toczącą się w namiocie

dyskusją.

– Zechciejcie mi wyjaśnić, dlaczego nie robimy tego w tej właśnie chwili?

Bastard zmierzył Joannę długim, ciężkim spojrzeniem.

– Chodź ze mną, Dziewico – powiedział w końcu.

Wyszedł z namiotu, a Joanna i Gabriel podążyli za nim. Stanęli na zboczu niewielkiego wzniesienia. Wody przepływającej kilkaset metrów dalej Loary lśniły w promieniach popołudniowego słońca. Rzeźki wiatr rozwiewał włosy Joanny.

– Nasze składy prowiantu znajdują się tutaj. Po drugiej stronie Loary leży Chécy, a Orlean położony jest o cztery mile na zachód stąd. A teraz powiedz mi, w jakim kierunku wieje wiatr.

– Wschodnim – odpowiedziała bez wahania Joanna.

– Właśnie. Łodzie z ziarnem, bydłem i kurami, a także ze wszystkimi innymi zapasami, jakie musimy dostarczyć do Orleanu, stoją na wodzie. Mogłyby płynąć z prądem, ale wiejący z naprzeciwka wiatr bardzo by je spowolnił.

Usłyszawszy to, Joanna się roześmiała.

– I to już wszystko? – spytała.

Bastard obruszył się.

– Musimy poczekać, aż zmieni się wiatr, Dziewico. Mam doświadczonych dowódców, oddanych żołnierzy i miasto pełne bardzo dzielnych mieszkańców, ale jestem tylko człowiekiem.

– A ja jestem tylko prostą dziewczyną – odparła Joanna – ale wiem, że mamy po swej stronie Boga.

Zamknęła oczy, złożyła ręce i pochyliła głowę. Po chwili jej oddech uspokoił się, a twarz przybrała łagodny wyraz. Ukochane przez Gabriela światło rozbłysło i otoczyło Joannę jasnym blaskiem, miał wrażenie, że promieniuje z samego jej serca. Bastard nie potrafił go dostrzec i widać było, że z najwyższym trudem powstrzymuje się przed przerwaniem Joannie modlitwy.

Gabriel przyglądał się tymczasem jej twarzy, patrzył, jak wiatr bawi się jej krótkimi czarnymi włosami, odrzucając je swawolnie na prawy policzek.

I nagle podmuch wiatru przerzucił włosy Joanny na jej lewy policzek.

Dunois wydał cichy okrzyk zdumienia. Popatrzył na Joannę, potem na Gabriela, a następnie poślinił palec i dwukrotnie sprawdził kierunek, z którego wiał teraz wiatr.

Joanna otworzyła swoje błękitne oczy i uśmiechnęła się lekko.

– Bóg jest dobry – powiedziała.

Bastard przełknął głośno ślinę.

– Wydam rozkazy.

Wokół Simona po raz kolejny zamknęła się mgła. *Nie wierzę własnym oczom – stwierdziła Victoria. – Nic dziwnego, że ta dziewczyna uchodziła za wysłanniczkę Boga.*

– Zauważ jednak, że nawet nie dotknęła miecza – powiedział Simon. – Wiatr mógł zmienić kierunek w dowolnym momencie. To mogła być po prostu kwestia idealnego wycucia czasu. – Powiedział to tylko po to, by zagłuszyć rodzący się w nim niepokój, a także by nie myśleć o tym, że Joanna emanowała niesamowitym blaskiem

sama z siebie, a nie za sprawą Miecza Edenu. – Tak czy inaczej, udało się nam zweryfikować kolejną legendę o Joannie.

To prawda – zgodziła się Victoria. – Nigdy wcześniej nie słyszałam o La Hir'em, ale ten drugi dowódca, Gilles de Rais... Skądś znam to nazwisko.

Simon zdobył się na wymuszony uśmiech.

– Być może słyszałaś o nim jako o pierwowzorze postaci Sinobrodego – powiedział. – De Rais roztrwonił swój majątek na organizowanie widowisk teatralnych, będących rekonstrukcją oblężenia Orleanu. Potem został oskarżony o praktyki okultystyczne i... no cóż, powiedzmy sobie szczerze, nikt nie chciałby zostać zapamiętany jako sprawca setek brutalnych morderstw popełnionych na dzieciach.

Naprawdę? De Rais to Sinobrody? Ktoś taki nie mógł chyba przypaść Joannie do gustu.

– W rzeczywistości de Rais był jej niezwykle oddany. Jej śmierć była dla niego okropnym wstrząsem.

Mogło mu się od tego poprzestawiać w głowie. Okropna historia.

– Niewykluczone, że tak właśnie było. Nawiasem mówiąc, niektórzy historycy doszli niedawno do wniosku, że de Rais został wrobiony w te morderstwa, a jego przyznanie się do winy wymuszono. Ale biorąc pod uwagę popularność postaci Sinobrodego, przypuszczam, że szanse de Rais'ego na rehabilitację są dość marne.

Kto wie, może to kolejna zagadka, którą uda się rozwikłać dzięki twojemu podejściu do badań?

– Ha, cieszę się, że zaczynasz to dostrzegać. Mam nadzieję, że Rikkin także to w końcu dostrzeże. Ale na razie wróćmy do Orleanu.

Sobota 30 kwietnia 1429 roku

To, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru, było ogromnym sukcesem Francuzów – zgodziliby się z tym wszyscy, z wyjątkiem Joanny. Oddziały francuskie stoczyły potyczkę z Anglikami, skutecznie odciągając ich uwagę od drogi prowadzącej do Bramy Burgundzkiej. Dzięki temu Joanna, jadąca na swoim bojowym rumaku na czele kolumny wozów z zaopatrzeniem, mogła nieniekajona przez nikogo wjechać do miasta. Powitały ją tam okrzyki radości i łzy ulgi. Orleańczycy wylegli na ulice i cisnęli się do Joanny, próbując dotknąć jej stóp, rąk, sztandaru albo przynajmniej konia. Widzieli w niej swoją wybawczynię i byli przekonani, że oblężenie Orleanu niemal dobiegło już końca. Miejski skarbnik Jacques Boucher zaprosił Dziewicę wraz z całą jej świtą do swojego wygodnego, zbudowanego z drewna i kamienia domu, w którym Joanna po raz pierwszy od dłuższego czasu mogła spędzić noc w miękkim łóżku, zamiast spać w zbroi na twardej ziemi.

Poprzedniego dnia nagła zmiana kierunku wiatru uciszyła protesty francuskich dowódców. Ale radość Joanny okazała się przedwczesna. Kiedy usłyszała, że Bastard zamierza odseparować ją od wojska, które osobiście przyprowadziła pod Orlean, poczuła się zdradzona. Plan Dunois zakładał, że armia Dziewicy zostanie za murami

miasta, podczas gdy ona, w towarzystwie swojej świty oraz garstki żołnierzy, wprowadzi do Orleanu wozy z zaopatrzeniem. Przysłuchując się kłótni, jaka wybuchła między Joanną i Bastardem, Gabriel przypomniał sobie czysty, jasny blask, jakim rozbłysnął miecz w rękach Joanny, i to cudowne uczucie, jakie go wtedy ogarnęło.

– Możesz przynieść mieszkańcom Orleanu nadzieję, Jeanne – powiedział, a Bastard spojrział na niego z wdzięcznością. – Poprzestań dziś na tym. Dzięki tobie każdy orleańczyk będzie mógł dziś zasnąć ze spokojnym sercem i pełnym żołądkiem. obrońcy miasta w końcu wypoczną. Na walkę przyjdzie czas jutro.

Rano do oblężonego miasta dotarła jednak wiadomość, że Dunois wstrzymał natarcie na angielskie pozycje do czasu, aż pod Orlean dotrą kolejne posiłki. Gabriel rozumiał jego ostrożną strategię – Bastard nie chciał dopuścić, by powtórzyła się klęska, jaką poniósł w Bitwie o Śledzie. Ale Gabriel zdawał sobie także sprawę z tego, że Joanna, po wszystkich przesłuchaniach, podróżach i odmowach, rwie się teraz do działania. Spokoju nie dawały mu też jej słowa: *został mi jeszcze tylko rok, może nieco więcej.*

– A zatem... co teraz? – zapytał.

– Dowiedziałam się od Dunois, że Anglicy pojмали herolda, którego posłałam do nich z Blois. – Oczy Joanny zapłonęły gniewnie. – Chcę, żeby go wypuścili.

– Jeanne, nie możesz jak gdyby nigdy nic pomaszerować do nich i...

– Oczywiście, że nie. Zamierzam tylko z nimi pomówić.

Gabrielowi nie pozostało nic innego, jak podążyć za Joanną. Teraz stał u jej boku na blankach wieńczących Bramę Renart. Towarzyszyli im jej bracia, czterech żołnierzy oraz mały Louis, jeden z dwóch paziów Joanny – a także mniej więcej połowa mieszkańców miasta.

Uwagę Gabriela przykuła młoda kobieta w tłumie. Miała długie blond włosy i intensywnie niebieskie oczy, które utkwiała w Joannie. Jej twarz i odzienie były brudne, znacznie brudniejsze niż u większości orleańczyków. Gabrielowi wydało się, że gdzieś już ją widział, ale przecież musiało to być jedynie złudzenie.

Joanna tymczasem ujęła się pod boki i patrzyła w stronę Anglików. Ich pozycje znajdowały się na tyle blisko oblężonego miasta, że jeśli stanęło się na murach w odpowiednim miejscu, można było uciąć sobie pogawędkę z wrogiem – pod warunkiem że było się ostrożnym i nie żałowało gardła.

Joanna przyłożyła dłonie do ust.

– Mężowie Anglii! – zawołała. – Jestem Joanna Dziewica, której Bóg powierzył zadanie oswobodzenia tego miasta. Posłałam do was mojego herolda. Zgodnie z prawem i tradycją, powinien powrócić do mnie cały i zdrowy. Uwolnijcie go!

– Twój herold posłużył nam jako tarcza, kiedy ćwiczyliśmy strzelanie z łuków! – odkrzyknął jeden z nieprzyjacielskich żołnierzy.

Inny, najwyraźniej wyższy rangą od pozostałych, wysunął się naprzód. Jego nienaganna francuszczyzna wskazywała na to, że był Burgundczykiem.

– Czy naprawdę sądzisz, że prawdziwi mężczyźni poddadzą się kobiecie, a właściwie to dziewczce? – Następnie zwrócił się do Gabriela, Pierre'a i Jeana, którzy

stali obok Joanny: – Jesteście gorsi niż małe pieski, siedzące na jej kolanach! Nędzni rajfurzy!

– Coś ty powiedział, kurwi synu?! – wrzasnął Pierre.

– Nie przeklinaj! – zbeształa go Joanna. – To dobre dla tych, od których odwrócił się Bóg.

Gabriel nie wiedział, kim są rajfurzy, ale po reakcji Pierre’a domyślił się, że nie był to komplement.

Joanna uznała, że jej cel został osiągnięty. Odwróciła się do Gabriela.

– Chodźmy teraz na most – powiedziała, uśmiechając się szeroko. – Dziś wieczorem Anglicy będą mówić wyłącznie o swej urażonej dumie.

Udali się na most na Loarze, a tłum mieszkańców miasta podążył za nimi. Most stanowił główną drogę prowadzącą do Orleanu. Większa jego część pozostawała w rękach obrońców miasta, kontrolowany przez nich odcinek kończył się na wysepce Belle-Croix, na której wznosiła się warowna strażnica. Dwa dalsze przęsła mostu zostały zburzone przez Francuzów, by uniemożliwić Anglikom wdarcie się tą drogą do miasta. Angielskie wojska okupowały położoną na południowym brzegu Loary potężnie ufortyfikowaną bramę wjazdową na most, zwaną Les Tourelles. Przed bramą znajdował się największy z wzniesionych przez Anglików szańców.

Okop pozostawał niewidoczny z francuskiej części mostu i Gabriel wcale tego nie żałował – już sam widok ogromnych baszt La Tourelles wydał mu się wystarczająco deprymujący. Bracia Joanny także wyglądali na zaszępionych. Powoli zaczynało do nich docierać, jak ciężka czekała ich przeprawa.

Żołnierze stanowiący załogę Belle-Croix powitali Joannę radosnymi okrzykami. Kiedy Gabriel i Joanna wspięli się na mury strażnicy, zdali sobie sprawę, jak niewielka odległość dzieliła ich od Anglików – było to niespełna czterysta metrów.

– To tam przycał się Glasdale – poinformował jeden z żołnierzy.

William Glasdale parął się wojennym rzemiosłem od dwudziestu lat, z czego sześć ostatnich spędził, walcząc we Francji. Był doświadczonym przeciwnikiem, którego nie można było lekceważyć. Pod Orleanem mianowano go dowódcą angielskiej załogi Les Tourelles. Dunois twierdził, że Glasdale poprzysiągł zabić wszystkich mieszkańców Orleanu.

Joanna wychyliła się przez blanki i wywołała po nazwisku angielskiego dowódcę.

– Glasdale! Jestem tu z woli Boga, by uczynić to, co zapowiedziałam! Poddajcie się Bogu i królowi Karolowi, a darujemy wam życie!

Na drugim brzegu rzeki dało się dostrzec nagłe poruszenie. Gabriel dostrzegł, jak przez tłum widocznych w oddali postaci przepycha się rosły mężczyzna w średnim wieku.

– Twój list wielce nas rozbawił! – krzyknął Glasdale po francusku, chociaż z silnym angielskim akcentem. Jego głos był niski i władczy. – Cieszę się, że tu jesteś, „Dziewico”, choć wątpię, byś zasługiwała na to miano. Nawet jeśli naprawdę jesteś dziewczyną, to przestaniesz nią być, kiedy się za ciebie weźmiemy. Jesteś tylko brudną dziewczuchą od krów.

– Lepiej być francuską dziewczuchą od krów niż angielskim rycerzem! – odgryzła się

Joanna.

– Zginiesz tutaj, Dziewico. A wraz z tobą zginą wszyscy mieszkańcy tego miasta. – Głos Glasdale’a był zimny i beznamiętny. – Jeśli dostaniemy cię żywcem, będziemy cię torturować dla samej tylko uciechy. A gdy skończymy, spalimy cię żywcem i będziemy tańczyć na twoich prochach.

Słowa Glasdale’a sprawiły, że Simona przeszedł dreszcz. Joanna zastygła i najpierw zrobiła się upiornie blada, a po chwili oblała się szkarłatnym rumieńcem, tak jakby cała krew uderzyła jej nagle do twarzy.

– Nie znam dnia ani godziny swojej śmierci, ale wiedz jedno, Williamie Glasdale’u, jeśli się nie poddasz, to ty zginiesz tutaj!

To powiedziawszy, odwróciła się i opuściła strażnicę. Z każdym krokiem wydawała się odzyskiwać spokój. Kiedy ponownie stanęła na moście, spojrzała na Gabriela i na jej ustach ponownie zagościł uśmiech.

– Mój Cieniu – zagadnęła wesoło – czy rozumiesz, co robi twoja Jeanne?

– Ja rozumiem – wtrącił się Pierre. – Już wcześniej widzieliśmy, jak to robisz. Starasz się ich sprowokować.

– Otóż to! Skoro Francuzi nie chcą zaatakować Anglików, to muszę być jak ta mucha i dręczyć Anglików na tyle dotkliwie, by to oni zaatakowali Francuzów. Musimy zacząć z nimi walczyć, i to prędko. Moje Głosy powiedziały mi to bardzo wyraźnie.

Gabriel chciał spytać, czy równie wyraźnie słyszała Głosy, kiedy przepowiedziała śmierć Glasdale’a, ale po krótkim namyśle zaniechał swojego zamiaru. Tak naprawdę wolał nie wiedzieć.

Podczas drogi powrotnej do domu Bouchera Gabriel zaczął bezwiednie rozglądać się za jasnowłosą dziewczyną. I już po chwili ją dostrzegł. Jakimś sposobem wyróżniała się spośród nieprzebranej ludzkiej ciżby, która nieustannie towarzyszyła Joannie. Gabriel wahał się przez chwilę, zanim podjął decyzję.

– Potem was dogonię – rzucił do Pierre’a, który w odpowiedzi kiwnął głową.

Gabriel zaczął przeciskać się przez tłum w kierunku dziewczyny. Wyglądało na to, że nie zwróciła na niego uwagi. Tak samo jak wcześniej nie odrywała oczu od Joanny, a na jej twarzy malował się zachwyt pomieszany z radością. Gabriel podkradł się do niej od tyłu, po czym mocno zacisnął dłoń na jej ramieniu.

Dziewczyna krzyknęła cicho i odwróciła się, a Gabriel nagle przypomniał sobie, gdzie ją wcześniej widział.

– To ty – powiedział. – Jesteś jedną z tych dziewczek, które Jeanne przepędziła w Blois!

Spojrzała na niego zbolalym wzrokiem, po czym opuściła oczy.

– Powiedz to wprost. Jestem ladacznicą. Obozową dziwką.

– Wtedy nią byłaś. Ale już nie jesteś, prawda?

Dziewczyna zerknęła na niego, wyraźnie zaskoczona.

– Nie, nie jestem – przyznała. – Odkąd... od kiedy ona...

– Powiesz mi, jak ona wygląda? – zapytał Gabriel. Zależało mu na odpowiedzi, ale nie chciał wkładać jej słów w usta. – Co widzisz, kiedy na nią patrzysz?

Nie odpowiedziała od razu. Dopiero po chwili słowa popłynęły z jej ust niczym modlitwa.

– Ona płonie białym światłem. Jest niczym świeca, która paliła się tak długo, że nie widać już samego płomienia, tylko jego blask przeświecający przez wosk. Chcę... chcę być blisko niej. Nie mam do tego prawa, wiem, że na pewno mną gardzi, ale...

– Ale ty ją widzisz – szepnął Gabriel.

Dziewczyna miała dar, który de Metz nazwał Wzrokiem Orła. Zwykła obozowa dziwka, która oddawała swoje ciało za pieniądze niezliczonym mężczyznom, miała w swoich żyłach taką samą krew jak on, jak Jolanta, de Metz i Alençon.

Niektórzy pozostawali zupełnie obojętni na Joannę – tak było w przypadku jej braci, de Baudricourta czy Anglików, z którymi do tej pory rozmawiała. Ludzie wyraźnie reagowali na jej obecność. Ale tylko nieliczni ją widzieli.

Gabriel żałował, że nie ma teraz przy nim któregoś z asasynów. Miał nadzieję, że nie popełnia ogromnego błędu.

– Chodź ze mną – powiedział.

Kiedy Gabriel wszedł do pokoju Joanny, zastał ją siedzącą na łóżku. Uśmiechnęła się na jego widok. Była w izbie sama, Pierre i Jean wybrali się zapewne na zwiedzanie miasta albo spędzali czas w towarzystwie innych żołnierzy.

Gabriel ucieszył się, że będzie mógł pomówić z nią na osobności.

– Wróciłeś, Gabrielu! Zaczynałam się już martwić, że mój Cień gdzieś przepadł.

Gabriel odwzajemnił jej uśmiech.

– Och, za nic w świecie, Jeanne – zapewnił, po czym poważniejszym już tonem dodał: – Nigdy nie prosiłem cię o nic poza tym, byś pozwoliła mi zostać przy tobie tak długo, jak to będzie możliwe.

– To prawda – odparła. – Mój świadku. Bez ciebie czułabym się zagubiona. Czy jest coś, o co teraz chcesz mnie poprosić? Jeśli tylko Bóg mi pozwoli, chętnie spełnię twoją prośbę.

Skinął głową.

– Tak – powiedział. – Jest ktoś, z kim powinnaś porozmawiać. Ja... cóż, możliwe, że ją rozpoznasz, ale proszę, nie okazuj wtedy gniewu.

Joanna przechyliła lekko głowę, wyraźnie zaintrygowana.

– Cóż za tajemnicza historia! Skoro uważasz, że powinnam się z nią spotkać, przyprowadź ją do mnie.

Gabriel wyszedł z izby, zamykając za sobą drzwi. Nawrócona markietanka stała u podnóża schodów i nerwowo wykręcała dłoń.

– Jeanne zgodziła się z tobą spotkać – powiedział cicho. – Powiedz jej to, co powiedziałaś mnie. Nie skrzywdzi cię, obiecuję. A jeśli spróbuje, powstrzymam ją.

– Ufam ci – powiedziała dziewczyna, choć jej drżący głos zdradzał niepewność.

Gdy tylko weszli do środka, Joanna zmierzyła gościa uważnym spojrzeniem i przyjazny uśmiech powoli zniknął z jej ust.

– Jeanne – zaczął Gabriel – to jest...

Urwał, bo zdał sobie sprawę, że nie zna nawet imienia tej dziewczyny.

– Och, ja dobrze wiem, kto to jest. – Joanna wypowiedziała te słowa cicho, ale w jej

głosie pobrzmiwał gniew. – A raczej wiem, kim ona jest. Byłaś w Blois i wodziłaś na pokuszenie dobrych chrześcijan, nakłaniałaś ich do grzechu! Gdzie jest mój miecz? Prosisz się o solidne lanie, dziewczko!

– Jeanne, nie! – Gabriel pospiesznie zasłonił dziewczynę własnym ciałem – Ona cię widzi! Wyrzekła się swoich grzechów i pragnie podążać dalej razem z nami.

– Podążać za naszymi żołnierzami, chciałaś powiedzieć!

– Ależ nie... Powiedz jej to, co powiedziałaś mnie – zwrócił się do jasnowłosej dziewczyny, która po chwili wahania wysunęła się zza jego pleców.

– Dziewico – wyszeptała – to prawda, że grzeszyłam. Ale Bóg przebacza tym, którzy szczerze żałują za swe grzechy, a ja żałuję całym sercem. Przecież nawet Jezus wybaczył cudzołóżnicy, czyż nie tak było?

– Ja nie jestem Bogiem ani Jezusem – warknęła Joanna.

Gabriel dostrzegł jednak, że coś zaczyna w niej powoli pękać. Ton jej głosu nie był już tak ostry, a dłonie nie były zaciśnięte w pięści.

– Chętnie przystąpię do spowiedzi, bez względu na to, czy zgodzisz się mnie przyjąć, czy nie. Ale błagam... k-kiedy cię widzę, pragnę być przy tobie. Pragnę pomagać ci tak, jak tylko potrafię. Już sprawiłaś, że stałam się lepszym człowiekiem. Chcę być jeszcze lepsza. Patrzę na twoją twarz i wiem, że to Bóg działa poprzez ciebie.

– Zasięgnij rady swych Głosów, Jeanne – powiedział Gabriel. – Proszę.

Joanna milczała przez długą chwilę, wodząc wzrokiem po ich twarzach. Jej mięśnie były napięte niczym struny.

– Głosy są moimi najlepszymi doradcami – odezwała się wreszcie. – Zrobię to, co mi podpowiedzą. Jeśli jednak każą ci odejść, znikniesz stąd raz na zawsze. Zaraz po tym jak przystąpisz do spowiedzi.

Dziewczyna skinęła głową.

– Zaczekam razem z nią – powiedział Gabriel. – Będziemy na zewnątrz, koło bramy.

Joanna nic na to nie odpowiedziała. Rzuciła mu tylko piorunujące spojrzenie, po czym odwróciła się plecami. Gabrielowi zrobiło się niedobrze, każde uderzenie serca sprawiało mu ból. Zrobił to – wbił klin między siebie a Joannę. Ale nie mógł przecież zostawić tej biednej dziewczyny samej sobie, nie po tym, jak dobrowolnie wyrzekła się swojego dotychczasowego życia, by pójść za Joanną. *Być może musiało tak się zdarzyć* – pomyślał. Mimo wszystko starał się nie poddawać ogarniającemu go przygnębieniu.

Wyszli na ulicę. Pod bramą domu Bouchera dzień i noc koczował tłum ludzi pragnących ujrzeć na własne oczy Dziewicę, którą sam Bóg przysłał do Orleanu, by wyzwoliła jego mieszkańców. Na widok Gabriela i jego towarzyszek pod bramą zapanowało ożywienie, ale gdy tylko dziewczyna zrzuciła z głowy kaptur i jasne włosy rozsypały się na jej ramionach, ludzie od razu przestali się nimi interesować.

– Miałem nadzieję, że pójdzie nam lepiej – wyznał Gabriel, przerywając niezręczne milczenie. – Przykro mi.

– Zrobiłaś, co w twojej mocy, i jestem ci za to wdzięczna. Czy... czy sądzisz, że te

Głosy przekonają Dziewicę, by zgodziła się mnie przyjąć? – Kiedy zadała to pytanie, w jej oczach pojawiły się łzy. – Nie wróćę do tego, co robiłam wcześniej. Prędeż umrę. Ale... dokąd pójdę, jeśli ona mnie odprawi?

– Coś wymyślimy – zapewnił ją Gabriel. Jeśli Jeanne nie zgodzi się jej przyjąć, to może zaopiekują się nią asasyni? – Nazywam się Gabriel Laxart. Przepraszam, że nie zapytałem o to wcześniej, ale... jak masz właściwie na imię?

– To nieważne.

Oboje odwrócili się jednocześnie i ujrzeli stojącą za nimi Joannę. Uśmiechała się do nich łagodnie, a jej twarz promieniała. Jasnowłosa dziewczyna zakryła dłonią usta. *Tak, ona naprawdę to widzi* – pomyślał Gabriel.

– To nieważne – powtórzyła Joanna – bo moje Głosy kazały mi nadać ci nowe imię. Odtąd będziesz się nazywać Fleur, ponieważ jesteś kwiatem, który wyrósł na błocie, a Bóg jest światłem, do którego zwróciłaś swoją twarz. Wybacz mi moje ostre słowa. Dziś razem przystąpimy do spowiedzi. Potem znajdziemy ci jakieś nowe ubranie, a kiedy już oswobodzimy to miasto, udasz się ze mną w dalszą drogę... jako moja przyjaciółka.

Twarcz dziewczyny – twarcz Fleur – rozjaśniło szczęście. Zachwiała się i niechybnie by upadła, gdyby Joanna nie pochwyciła jej w objęcia. Fleur załkała i przytuliła się do Joanny, która uśmiechała się i głaskała długie, splątane włosy dziewczyny. Odszukała wzrokiem Gabriela, który poczuł, jak pękają lodowate okowy, które ścisnęły jego serce.

Joanna wyszeptwała bezgłośnie: *Merci*.

Kim ona jest? – zapytała Victoria, kiedy Simona otuliła mgła Korytarza Pamięci.

– Nie mam pojęcia. Nigdy nie natknąłem się na żadną wzmiankę o towarzyszącej Joannie dziewczynie. Joanna nie poświęcała zbyt wiele uwagi kobietom, które napotykała na swojej drodze. Te, które usiłowały się do niej zbliżyć, w większości przypadków również chciały uchodzić za boże posłanniczki. Joanna była przekonana, że jest jedyną, która naprawdę została posłana przez Boga, i dlatego gardziła wszystkimi uzurpatorkami. Trudno mi sobie wyobrazić, by mogła się zaprzyjaźnić z jedną z prostytutek, które sama wcześniej przepędziła, no ale cóż... okazuje się, że tak właśnie było.

Muszę przyznać, że mnie to ucieszyło. Polubiłam tę Fleur.

Simon także ją polubił.

Ponieważ jednak nie miał pojęcia, jaki los czekał tę dziewczynę, o której historia milczała przez pięć stuleci, nie chciał nadmiernie się do niej przywiązywać. Wiedział, że będzie mu wystarczająco ciężko, kiedy Joanna...

– Pierwszego maja Bastard udał się do Blois, by sprowadzić posiłki – powiedział szybko. – Pod jego nieobecność Joanna jeździła po mieście, spotykała się z mieszkańcami. Wyprawiła się także poza mury, by na własne oczy zobaczyć, z czym będą musieli zmierzyć się jej żołnierze. Orleańczycy urządzili na jej cześć coś w rodzaju procesji, składali jej dary i z góry dziękowali za wyzwolenie miasta. Czwartego maja Bastard powrócił z posiłkami. Myślę, że od tego powinniśmy teraz zacząć.

Jesteś pewien, że dasz sobie radę? Odbyleś już dzisiaj kilka intensywnych symulacji. Poza tym zbliża się wieczór.

– Czas nie jest naszym sprzymierzeńcem, Victorio. – Simon czuł się jak Joanna, która chciała jak najszybciej przerwać oblężenie, ale była hamowana przez bardziej doświadczonych i rozsądnych. – Kontynuujmy.

4 maja 1429 roku

– Doszły mnie słuchy, że drażniłaś Anglików – powiedział Bastard, który wraz z Joanną, Gabrielem i La Hir'em siedział przy stole w domu Bouchera.

Spożywali przygotowany naprędce posiłek, składający się z chleba, sera oraz ugotowanych na twardo jaj, zniesionych przez kury, które kilka dni wcześniej dostarczono do miasta razem z innymi zapasami.

– To prawda. Dokonałam też przeglądu angielskich umocnień – pochwaliła się Joanna. – Kiedy zjemy, opowiem ci, czego się dowiedziałam, i będziemy mogli wreszcie ruszyć do ataku!

– To brzmi nieźle – oświadczył La Hire. – Zgadzam się z Dziewicą. Jestem gotów do bitwy.

Joanna uśmiechnęła się do niego z zadowoleniem.

– Zauważyliście, co się stało? – spytała podekscytowana. – Kiedy ty, Bastard i wasi ludzie wjeżdżaliście dziś do miasta przez Bramę Burgundzką, Anglicy nawet nie próbowali was zatrzymać!

– Jest coś, o czym jeszcze nie wiesz – powiedział Bastard, posyłając La Hir’emu krzywe spojrzenie. – Otrzymaliśmy wieści o angielskiej armii pod wodzą Johna Fastolfa, która ciągnie właśnie pod Orlean. Prawdopodobnie nadejdzie tu od północy.

– To kolejny powód, by czym prędzej stanąć do walki! Dotarły już posiłki, na których tak wam zależało. Mieszkańcy Orleanu są z nami i czekają z utęsknieniem na wyzwolenie! Bastardzie, rozkazuję ci w imię Boga, byś dał mi znać o nadejściu Fastolfa, gdy tylko pojawi się w zasięgu wzroku. Jeśli Anglik tu przybędzie, a ja o niczym nie będę wiedziała, to przysięgam, że własnoręcznie skrócę cię o głowę! – oświadczyła Joanna, potrząsając groźnie trzymanym w ręku nożem.

Wszyscy, nie wyłączając Bastarda, wybuchnęli śmiechem.

– Dziewico, nie wątpię, że jesteś gotowa spełnić swoją groźbę! Bądź spokojna, nie omieszkam cię zawiadomić.

– Gabrielu!

Gabriel drzemał na krześle w jednej z izb na parterze, ale wystarczyło, by Fleur nim potrząsnęła, żeby natychmiast zerwał się na nogi.

– Co się dzieje?

– Chodzi o Dziewicę. Ona... obudziła się z krzykiem. Wołała, że Głosy powiedziały jej, że Anglicy przelewają właśnie francuską krew! Madame Boucher i jej córki pomagają Dziewicy się ubrać.

– Pomogę jej założyć zbroję – zawołał Gabriel i oboje popędzili schodami na górę.

Na progu pokoju Joanny natknęli się na Louisa, chłopiec jak zwykle miał głęboko nieszczęśliwą minę.

– Każę ściąć mu głowę! – Podniesiony głos Joanny niósł się po całym domu. – Obiecał, że mnie zawiadomi! A ty, Louis, niegodziwy chłopcze, dlaczegoś mnie nie zbudził?

– Louis, biegnij do giermków i każ im przygotować wierzchowca Dziewicy – polecił Gabriel. – Potem niech osiodłają też mojego konia. Jeanne, pomogę ci ze zbroją!

Kilka chwil później Joanna, już w pełnym rynsztunku, pospiesznie zeszła po schodach i Gabriel mógł założyć własną zbroję. Pomagał mu w tym Louis, a także Fleur, ubrana w jeden z męskich strojów Joanny. Kiedy Gabriel był gotowy, czym prędzej podążył do wyjścia. Przed bramą czekała już na niego Joanna w towarzystwie swych braci oraz kilku innych mężczyzn. Na ulicach kłębił się hałaśliwy tłum wyraźnie poruszonych mieszczan. Gabrielowi przeszło przez myśl, że Joanna mogła

dowiedzieć się o trwającej bitwie jako jedna z ostatnich osób w całym Orleanie.

– Louis! – krzyknęła nagle przerażonym głosem Joanna. – Mój sztandar!

– Tutaj! – zawołał chłopiec i wychyliwszy się przez okno, podał jej chorągiew.

Joanna chwyciła za drzewce i osadziła je w specjalnej tulei przy strzemienu. Teraz, gdy sztandar znalazł się już na swoim miejscu, wyraźnie się uspokoiła.

– Gdzie toczy się bój? – zapytał Gabriel.

– Przy szańcu Saint-Loup – odpowiedział mu tubalny głos, należący do La Hire'a. Na twarzy rycerza jak zwykle malowało się rozdrażnienie.

Gabriel nie był pewien, co tym razem było powodem jego irytacji: czy złościł się na Bastarda, który nie powiadomił Jeanne, czy też może był zły na Dziewicę. Nie było bowiem żadną tajemnicą, że wielu francuskim rycerzom nie w smak była rola, jaką próbowała odgrywać Joanna.

– Nie martw się, to jeszcze nie Fastolf – dodał La Hire. – Kiedy tu przybędzie, na pewno tego nie przegapisz. W tej chwili dajemy Anglikom pokaz naszej determinacji. Bastard uznał, że zdobywając ten okop, osłabimy angielskie morale, nie ponosząc przy tym dużych strat w ludziach. Ale żałoga Saint-Loup stawiała nam opór bardziej zacięty, niż się tego spodziewaliśmy.

Chociaż La Hire tego nie powiedział, Gabriel zdawał sobie sprawę, że jeśli francuskie natarcie zakończy się niepowodzeniem, to skutek będzie odwrotny do zamierzonego: to Anglicy nabiorą ducha, a Francuzów ponownie ogarnie rozpacz.

– Dość już usłyszałam – stwierdziła Joanna. Uniosła się w strzemienu i dobyteła miecza.

Na widok miecza, który pod dotykiem Joanny obudził się do życia i rozblęsnął jasnym światłem, Gabrielowi ponownie zaparło dech. Nie mógł pojąć, jak to możliwe, że tylko tak nieliczni są w stanie dostrzec cudowny blask, jaki rozciągał Miecz Edenu oraz dzierżąca go w dłoni dziewczyna. Ale nawet ci, którzy go nie widzieli, z pewnością coś poczuli. Ludzie na ulicy, do tej pory hałaśliwi, niespokojni, kręcący się bezradnie i pragnący coś zrobić, choć sami jeszcze nie wiedzieli co, teraz przystanęli i wpatrywali się w Joannę z otwartymi ustami, słuchając jej jak zaczarowani. Dziewica była ich wybawicielką i kochali ją całym sercem.

– Mieszkańcy Orleanu! – zakrzyknęła Joanna. – Obiecałam wam, że przybyłam tu po to, by zakończyć oblężenie, i dziś mogę w końcu przystąpić do wypełniania tej obietnicy. Wiedźcie, że jestem tylko częścią bożego planu. To wy, zacni mieszkańcy tego miasta, tak długo i dzielnie stawialiście opór Anglikom. Teraz przyszła pora, byśmy wspólnie zaczęli działać! Chwytajcie za broń, siodłajcie konie i ruszajcie za mną!

Słyszając okrzyk, jaki przetoczył się po ulicach, Simon poczuł, jak jeżą mu się włoski na ramionach i jak serce rośnie mu w piersi. Okrzyk był ogłuszający, potężny i pełen radosnego podniecenia. Twarz Joanny lśniła niczym latarnia morska. Dziewczyna uderzyła konia piętami i ruszyła naprzód, to samo uczynili jej bracia, Gabriel, La Hire oraz pozostali żołnierze. Za nimi podążyła ich własna armia, złożona z mieszkańców Orleanu.

Rozentuzjasmowany tłum poniósł ich ku Bramie Burgundzkiej, z której biegła na

wschód droga prowadząca do szanca Saint-Loup. Zanim jednak zdążyli dotrzeć do bramy, ludzki strumień załamał się i zmienił kierunek.

Do miasta zaczęli bowiem napływać ranni żołnierze oraz ci, którzy nieśli ciała poległych w początkowej fazie bitwy.

Niektórzy z rannych kuśtykali niepewnie, podtrzymywani przez swoich towarzyszy, inni leżeli bezwładnie na noszach lub przerzuceni przez końskie grzbiety. Gabriel wyteżył wzrok i dostrzegł za bramą liczne leżące na ziemi ciała, niektóre skręcały się w męczarniach, inne były niepokojące nieruchome. Dobiegające z oddali okrzyki triumfu i wrzaski wściekłości mieszały się z jękami rannych, które czasami przechodziły w rozpaczliwe zawodzenie.

W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach, który wydał się Gabrielowi dziwnie znajomy, jednak dopiero po chwili uświadomił sobie, skąd go zna. Kiedy jeszcze mieszkał w Nancy, często zdarzało mu się przechodzić obok tamtejszej jatki z mięsem, obok której mieściła się rzeźnia.

Ten specyficzny metaliczny zapach był zapachem krwi.

La Hire odchrząknął głośno.

– Większość z tych ludzi to Anglicy – stwierdził. – Jedźmy dalej, Dziewico. Jesteś potrzebna przy szańcu.

Ale Joanna pokręciła głową i zsiadła z konia.

– Nie – powiedziała, rozglądając się powoli dookoła. – Jestem potrzebna tutaj.

La Hire popatrzył najpierw na nią, a potem na Gabriela, który także zeskoczył z siodła.

– Być może masz rację – przyznał po chwili rycerz. – Kiedy już będziesz gotowa, ci, którzy wciąż walczą, z radością przyjmą twoje przybycie.

– Wkrótce do nich przybędę – odparła Joanna, po czym wyszła przez bramę, kierując się do tych, którzy zostali porzuceni lub zapomniani. Uklękła przy pierwszym rannym żołnierzu.

Mężczyzna leżał na wznak z odkrytą głową – jego hełm został strącony podczas walki, a może ktoś zdjął go z głowy rannego. Twarz miał rozoraną mieczem, ale nie było to wcale najpoważniejsze z jego obrażeń. Spod zbroi wyciekała krew, wielkość czerwonej kałuży, jaka utworzyła się pod plecami mężczyzny, pozwalała się domyślać, jak poważna musiała być rana. Joanna zdjęła rękawice i hełm, a następnie dotknęła delikatnie jego zakrwawionego czoła, uważając przy tym, by nie urazić krwawiącego rozcięcia. Drugą dłoń położyła na swym napierśniku, na wysokości serca – w miejscu, gdzie nosiła woreczek.

– Przykro mi, że musiało do tego dojść, mój wrogu i mój bracie – wyszeptała.

Gabriel dopiero teraz zdał sobie sprawę, że ranny żołnierz ma na sobie kaftan w angielskich barwach. Początkowo w ogóle nie zwrócił na to uwagi, był zbyt zszokowany koszmarnym widokiem bitewnych ran, które ujrzał po raz pierwszy w życiu.

– Chętnie pozwoliłabym wam odejść w spokoju do waszych domów, gdyby tylko wasz dowódca zgodził się poddać. Bóg boleje nad tym, że tak się nie stało, i ja także nad tym boleję.

Oczy Joanny zaszyły łzami, które ściekały po jej delikatnych policzkach. Leżący na ziemi Anglik otworzył oczy. Otaczające Joannę światło, ciepłe i łagodne, niosło pociechę wszystkim, którzy byli w stanie je zobaczyć. Gabriel miał nadzieję, że umierający mężczyzna także je widzi.

– P-pucelle – wyjąkał cicho angielski żołnierz. Usta miał pełne krwi. Kiedy wymówił imię Joanny, krew pokryła jego twarz deszczem szkarłatnych kropelek, które spłynęły po niej niczym czerwone łzy.

– Tak – powiedziała i objęła rękami jego dłonie. – Nie umrzesz samotnie. Będę się z tobą modlić.

Wyglądało na to, że żołnierz jej nie rozumie – być może dlatego, że nie znał francuskiego, a być może dlatego, że był już zbyt daleko, by cokolwiek mogło do niego dotrzeć. Usta Joanny poruszały się delikatnie, a napięcie wydawało się powoli opuszczać ciało mężczyzny. W końcu z jego piersi wyrwało się głębokie westchnienie i jego ciało zwiotczało. Zakrwawione wargi wykrzywiły się w uśmiechu, a powieki opadły.

Joanna pogłaskała jego pobladłe czoło i ruszyła do kolejnego z rannych.

Wszystkich traktowała tak samo, bez względu na to, czy byli Francuzami, czy Anglikami. Gabriel, który podążał za nią krok w krok i czuwał, gdy była pogrążona w modlitwie z umierającymi, nie miał pojęcia, jak długo trwało, zanim Joanna w końcu wstała znad zwłok ostatniego z żołnierzy i otarła mokrą od łez twarz.

– To nie musiało się stać – szepnęła, po czym z powrotem nałożyła na głowę swój hełm. – Błagałam ich, by się poddali. Teraz jedźmy na pole bitwy!

Pocwałowali Drogą Burgundzką. Twarz Joanny osłaniał hełm, więc Gabriel nie był w stanie dostrzec blasku, ale był pewien, że bije on od niej z całą mocą. Sztandar łopotał na wietrze. Coraz wyraźniej słyszeli odgłosy armatnich wystrzałów, a także szcęk stali.

Joanna dobyła miecza.

– Oto jestem! – zawołała nadspodziewanie doniosłym głosem, który przebił się przez bitewną kakofonię. – Oto jestem, Francuzi! Jeanne Dziewica przybyła, Anglicy! W imię boże, oto nadchodzi fala, która was zmiecie!

Miecz lśnił jasnym, gorącym blaskiem. Po klindze pełzały błyskawice. Gabriel zdał sobie nagle sprawę, że gardło ma obolałe po tym, jak wraz z resztą francuskich żołnierzy wydał z siebie potężny, szaleńczy ryk. Ponaglił konia i pogalopował naprzód, miecz wydawał mu się przedłużeniem jego ręki, a ręka przedłużeniem serca i duszy. Ruszył na odsiecz grupie otoczonych francuskich piechurów.

Siły nieprzyjaciela górowały nad nimi, ale Francuzi bili się jak opętani. Anglicy, którzy według wszelkiego prawdopodobieństwa powinni wykorzystać swą przewagę, wydawali się dziwnie niezdecydowani. W pewnej chwili jeden ze stojących nieopodal angielskich żołnierzy odwrócił głowę, nie potrafiąc się oprzeć hipnotyzującemu widokowi białego sztandaru Joanny. Walczący z nim Francuz wykorzystał chwilę nieuwagi swojego przeciwnika i wycelowawszy w wąską przestrzeń pomiędzy hełmem a obojczykiem zbroi, wbił Anglikowi miecz w szyję.

Kolejny Anglik wrzasnął głośno i rzucił się do ucieczki, licząc na to, że uda mu się

dobiec do okopu. Gabriel uderzył konia piętami i natarł na uciekającego. Obalił go na ziemię i stratował. Końskie kopyta zmiażdżyły pancerz rycerza, który żył jeszcze, kiedy Gabriel zawrócił wierzchowca i pochyliwszy w siodle, wraził ostrze miecza w szparę wzrokową w przyłbicy Anglika.

Angielscy żołnierze padali teraz jak muchy. Ginęli lub usiłowali salwować się ucieczką. Ryczący triumfalnie Francuzi nacierali, zalewając angielskie pozycje niczym zapowiedziana przez Joannę fala. Nieliczni Anglicy wciąż jeszcze stawiali opór, walcząc zażarcie, lecz bez szans na zwycięstwo, większość z pozostałych przy życiu poddała się jednak, błagając o litość.

Gabriel spojrzął na zakrwawioną klingę swojego miecza i poczuł lekki zawrót głowy. *Ten człowiek uciekał – pomyślał. – A przecież powinien po prostu się poddać. Oszczędziłbym go.*

Miał nadzieję, że faktycznie by tak postąpił.

Niespokojnie odwrócił się w kierunku Joanny, która cwałowała po polu bitwy, ściskając w dłoni drzewce łopoczącego sztandaru. Zdjęła swój hełm, tak aby wszyscy mogli ujrzeć jej twarz.

– Za Francję! – wołała. – Za Francję! Mówię wam, że za pięć dni oblężenie zostanie przełamane, a Anglicy przepędzeni od naszych bram.

Gabriel wierzył w każde jej słowo.

To było niesamowite – powiedziała Victora, kiedy Simon wrócił do Korytarza Pamięci. – Miecz kompletnie odebrał Anglikom wolę walki. Joanna, mająca go w ręku, jest niezwyciężona.

– Ale tego nie wie – zauważył Simon. – Powiedziała kiedyś, że kocha swój sztandar tysiąc razy mocniej niż miecz. W rezultacie nie robi z miecza najlepszego użytku. Templariusz lub asasyn rzeczywiście byłby niepokonany. Ale nie Joanna.

To przynębiające – stwierdziła Victoria. – Posiada tak potężną broń i tak doskonale nią włada, ale nie wykorzystuje wszystkich jej możliwości. Zastanawiam się, dlaczego asasyni nie uświadomili Joannie, z czym ma do czynienia.

– Nie wiemy jeszcze, czy później tego nie zrobili – przypomniał jej Simon. – Musimy na to zwrócić uwagę. A wzięwszy pod uwagę, że w trakcie wojny stuletniej templariusze stali po stronie Brytyjczyków, raczej nie powinno nas martwić, że Joanna nigdy nie wstąpiła do Bractwa.

To, że jesteśmy templariuszami, nie oznacza, że nie wolno nam zdobyć się na odrobinę empatii. No dobrze. To był ciężki dzień – powiedziała, a Simon zdał sobie sprawę, że postanowiła zakończyć na dzisiaj ich pracę.

– Poczekaj – powiedział. – Za chwilę zacznie się prawdziwa bitwa.

– Wiem – przerwała mu Victoria i zdjęła hełm z jego głowy. – Ale nie podobają mi się twoje wyniki. Gabriel uczestniczył w pierwszej bitwie w swoim życiu. Ty także, o ile nie masz jakiegoś wojskowego doświadczenia, o którym nie wiem. Powinieneś coś zjeść, a potem pomaszerować prosto do łóżka. To był naprawdę długi dzień.

Zjeżył się i cofnął ramię, kiedy Victoria wyciągnęła dłoń, żeby odpiąć klamry pasków.

– Nie mów do mnie jak do dziecka – powiedział chłodno. – Czuję się dobrze. Chciałbym kontynuować.

W rzeczywistości konał z głodu, ale nie chciał jeszcze robić przerwy na kolację. Gdyby poszli coś zjeść, musiałby odpisać Anayi, a tego chciał uniknąć tak długo, jak to możliwe. Co, mówiąc szczerze, było trochę dziecinne.

– Jutro piąty dzień naszej misji – zaprotestował. Serce zaczęło bić mu szybciej, kiedy pomyślał, ile jeszcze przed nimi. Zaczął wyliczać, co ich czeka. – Musimy skończyć to, co zaczęliśmy w Orleanie, potem kolejne bitwy, koronacja delfina, potem Paryż i...

– Ani słowa więcej – jej głos był silny i ostrzejszy niż kiedykolwiek wcześniej. – Mam dosyć kłótni z tobą po każdej kolejnej symulacji. Zrobiliśmy tak dużo w tak

krótkim czasie. Myślę, że będziesz w stanie ustalić, w jakich okolicznościach Joanna straciła miecz. To jest twoje zadanie, Simon. Nie wykonasz go, jeśli będziesz zbyt zmęczony, by zauważyć to, co naprawdę ważne.

Zamrugnął, wyszedł z Animusa i spojrzał na Victorię.

– Naszym zadaniem – poprawił ją chłodnym tonem – jest udowodnić Rikkinowi, że moja propozycja nowego podejścia do badań historycznych jest wartościowa.

– Udowodnimy to, jeśli dowiemy się, co zrobić, żeby ten miecz – Victoria wskazała palcem na drewnianą skrzynkę – był czymś więcej niż tylko nieco bardziej wymyślnym nożem do filetowania. Widziałam, czego można nim dokonać. Rikkin też to zobaczy. To coś niezwykłego. Zadziwiającego. Jeśli uda ci się go naprawić, aprobatę Rikkina masz jak w banku.

Oczywiście miała rację. I też pracowała pod dużą presją. Simon zaczął się zastanawiać, jak to, co robili, wyglądało z punktu widzenia Victorii – obserwowała, monitorowała wskaźniki, była zawsze w pełnej gotowości, żeby w mgnieniu oka wyciągnąć go z symulacji, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Ale nic nie usprawiedliwiało jej gniewnego tonu.

– Zachowuje się pani w bardzo nieprofesjonalny sposób, pani doktor – powiedział, akcentując słowo „doktor”. – Czy mogę zasugerować, żebyś zastosowała się do swojej własnej porady i poszła dzisiaj wcześniej spać? Spotkamy się jutro w Temp’s o ósmej.

Coś drgnęło w jej twarzy, ale skinęła głową.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie powinnam tak do ciebie mówić. Czasami lekarz musi zastosować się do własnych zaleceń.

Pomimo rozdrażnienia poklepał ją niezręcznie po ramieniu.

– Zrzućmy to na Rikkina i jego absurdalny deadline. Nie złośćmy się na siebie, zgoda?

– Zgoda – odpowiedziała, posyłając mu blady uśmiech.

Pożegnali się przy windzie. Victoria poszła na parking, a Simon postanowił zajrzeć jeszcze do swojego biura. Chciał przez chwilę poczuć uspokajający zapach książek. Pod wpływem impulsu ściągnął z półek pozycje na temat Joanny d’Arc i ułożył je w stos. Na swoim tablecie miał obszerny artykuły na jej temat, ale to książki były jego ulubionym źródłem wiedzy.

Zerknął na telefon. Poczł jednocześnie irytację i rozczarowanie, widząc kilka SMS-ów od Anayi. Wszystkie były krótkie, we wszystkich powtarzała, że musi się z nim spotkać.

Simon wywiesił białą flagę. „Zejdź do lobby”, odpisał, po czym posłał książkom tęskne spojrzenie i udał się do windy.

Anaya zjawiała się w ciągu kilku minut. Uśmiechnęła się do niego radośnie, ale oczy miała poważne.

– Jadłeś już kolację? – zapytała.

– Nie. Co takiego...

– Jestem głodna jak wilk – powiedziała. – Zanim wyjadę z Londynu, muszę zjeść tradycyjną rybę z frytkami. O, prawie bym zapomniała! Mamy Oktoberfest. Możemy

zobaczyć, co mają do zaoferowania tutejsze puby.

– W porządku. – Simon nie miał ochoty na wizytę w pubie, ale wzmianka o rybie i frytkach brzmiała zachęcająco.

Pojechali taksówką do Marylebon, do jednego z najlepszych barów z frytkami w tej dzielnicy. Simon zamówił duże piwo i poczuł się zrelaksowany, co trochę go zdziwiło.

– O czym chciałaś ze mną porozmawiać? – zapytał, kiedy skończyli posiłek. – A może chciałaś po prostu, żebym zafundował ci rybę z frytkami? – zażartował.

– A więc to ty płacisz, wspianiale – odpowiedziała Anaya. Wciąż miała dziwny wyraz twarzy. Machnęła nonszalancko ręką. – Porozmawiajmy na zewnątrz. Chodźmy się przejść.

Simon pomyślał, że chyba nie uda mu się uniknąć wycieczki po lokalnych knajpkach w celu spróbowania pubowych przysmaków.

Wyszli z przytulnej ciemności pubu i zanurzyli się w mroźną noc na zewnątrz. Chwyciła go pod ramię, gdy ruszyli przed siebie. Zatrzymał się i rzucił jej zdziwione spojrzenie.

– No co? Dziewczyna nie może ogrzać sobie rąk?

Choć wcześniej alkohol skrócił między nimi dystans, teraz Anaya wydawała mu się jeszcze bardziej obca. To nie było w jej stylu. Zawsze respektowała jego granice. Coś było nie tak. Zmuszał się do uśmiechu, kiedy szli w dół ulicy Thayer, mijając sklepy z antykami, urocze butikiki i eleganckie zakłady krawieckie.

Nagle Anaya pochyliła się w jego stronę.

– Victoria kłamie – powiedziała cicho.

Simon stanął jak wryty.

– Chodź – wysyczała, ciągnąc go za sobą i rzucając na boki nerwowe spojrzenia.

– W porządku – powiedział, postanawiając, że dopasuje się do reguł tej dziwnej gry.

– Dlaczego tak uważasz?

– Kłamała, mówiąc, że nie była w Bella Cibo – powiedziała. – Widziałam ją tam poprzedniego wieczora.

– To trochę dziwne kłamstwo, no ale...

– Widziałam ją tam z Alanem Rikkinem.

Pod Simonem niemal ugięły się nogi, kiedy to usłyszał, ale zmusił się do dalszego marszu. Serce waliło mu jak młotem.

– Victoria jest jedną z najważniejszych osób w Aerie – powiedział Simon. Teraz on również zaczął przyglądać się przechodniom: rodzinom z dziećmi, starszym i młodszym parom trzymającym się za ręce, grupom nastolatków tłoczącym się przy oknach wystawowych popularnych butików. – Całkiem możliwe, że rozmawiała z nim o jakichś firmowych sprawach. Albo o czymś, czego nie muszę wiedzieć.

Przypomniało mu się narastające zdenerwowanie Victorii. To, że Rikkin napisał do niej, a nie do niego. I wreszcie dzisiejsza sprzeczka – świadectwo braku profesjonalizmu ich obojga. Zimny podmuch powietrza wdarł się nagle pod jego gruby wełniany płaszcz.

– Ludzie w Abstergo robią to cały czas – powiedziała półgłosem Anaya. – Jesteśmy

przecież cholernymi templariuszami. Ale nie kłamiemy na temat naszych wizyt w restauracjach.

Szli dalej przed siebie, a przez głowę Simona przelatywało właśnie tysiąc myśli na sekundę.

– Ufam twojemu instynktowi. To ty byłaś agentką, nie ja. Co powinniśmy zrobić? – powiedział w końcu.

– Myślę, że tu jesteśmy bezpieczni. Nie założono nam podsłuchu. Sprawdziłam, zanim wysiedliśmy z taksówki.

Oczywiście, że sprawdziła. Simon pożałował nagle, że zamówił dużą porcję ryby z frytkami. Czuł się, jakby miał żołądek wypełniony ołowiem.

– To chyba dobrze, że nas nie podsłuchują.

– Możesz mi powiedzieć, nad czym pracujecie?

To był projekt, o którym wiedziało bardzo niewiele osób, ale ufał Anayi i nie widział powodów, dla których miałby nie odpowiedzieć na to pytanie. Opowiedział jej o swoim projekcie nowego podejścia do badań historycznych, o wiedzy i wsparciu Victorii, o Fragmentie Edenu numer 25 i oczywiście o niedorzecznym terminie wyznaczonym przez Rikkina.

– Rikkin sam wybrał Victorię. Do tej pory dobrze nam się współpracowało.

– Tyle że twoja współpracowniczka cię okłamuje.

– Tak, kłamie. Ale muszę z nią pracować, jeśli chcę zdążyć. A naprawdę mi na tym zależy. Nie rozumiem tylko, po co mnie oszukują. Jeśli moje podejście okaże się skuteczne, wszyscy na tym skorzystamy.

– Wszyscy? – zapytała z naciskiem Anaya.

Simon zastanowił się przez chwilę. Templariusze? Tak. Abstergo? Być może nie, ale nie wydawało mu się, żeby zachowanie Victorii wynikało z troski o stan finansów korporacji. Rikkin? Z pewnością tak.

– Wszyscy – odparł niezachwianym głosem.

Chyba że wcale nie chodzi im o mój projekt i o Joannę d’Arc. Ale w takim razie o co?

Mógł być chyba zupełnie szczerzy z Anayą.

– Zacząłem dostrzegać dziwne rzeczy. Może zabrzmiało to głupio, ale... Zdrzemnąłem się kiedyś w samochodzie, który wiozł mnie do domu. Przez sen wydawało mi się, że szofer mówił po łacinie.

– Coś takiego mogło się przyśnić tylko tobie – parsknęła rozbawiona.

– Dobrze wiesz, że nie jestem pewien tego, co słyszałem. Bardzo dziękuję ci za uwagi, przez które czuję się jeszcze bardziej głupio.

– Przepraszam, mów dalej.

Opowiedział jej o portierze, którego nie rozpoznał. O tym, że od kilku dni nie widział Poole’a w Temp’s.

– Wszystko to można jakoś wytłumaczyć. Pracując nad projektem, miałem do czynienia z łaciną. Mogłem zobaczyć portiera, który wcześniej pracował na innej zmianie. Poole mógł wyjechać na wakacje. Z pewnością zasłużył na odpoczynek, już niemal zapuścił korzenie w Temp’s.

– To prawda – przytaknęła mu. – Ale jesteśmy templariuszami, a to oznacza, że nie możemy pozwolić sobie na gdybanie. – Uśmiechnęła się szeroko, ale w jej oczach widać było niepokój. – Myślę – powiedziała cicho – że powinniśmy pójść do twojego mieszkania.

Taksówką wrócili do Abstergo, gdzie przesiedli się do samochodu Simona – dwuletniego sedana marki Jaguar. Simon prowadził. Milczeli przez całą drogę. Simon nie wiedział, co powiedzieć, co myśleć, i obawiał się tego, co może się wydarzyć. Kiedy dotarli do jego mieszkania, Anaya rozejrzała się wokół siebie.

– Naprawdę zawsze masz porządek.

– To nic trudnego, kiedy prawie nigdy nie ma cię w domu. Chcesz drinka? – zaproponował. Żywił nadzieję, że w jego głosie nie słyhać napięcia, które odczuwał. – Wydaje mi się, że mam jeszcze trochę tego okropnego amerykańskiego burbona, który tak lubisz.

– Byłoby cudownie, dziękuję.

Nalał jej burbona na dwa palce, starając się nie stukać szyjką butelki o brzeg szklanki. Sobie nalał Macallana. Musiał powstrzymać się przed wypiciem całego trunku jednym haustem.

Anaya zaczęła przechadzać się po mieszkaniu. Przyjrzała się antycznym meblom, przejechała palcem po grzbietach starych, oprawionych w skórę książek, zajrzała do pracowni.

– Zamierzasz skończyć swoją powieść? – zapytała, spoglądając na wygodny skórzany fotel biurowy i supernowoczesny komputer.

– Kiedyś.

Odstawiła szklankę na stół.

– Skocz na chwilę do łazienki – powiedziała i mrugnęła do niego.

Do czego nas to zaprowadzi? – pomyślał.

Anaya wyszła z łazienki kilka minut później, popatrzyła na niego przez chwilę, a potem powoli opłótła ramionami jego szyję. Objął ją niepewnie w pasie i zamknął oczy, kiedy trąciła nosem jego ucho.

– Znalazłam dwie pluskwy – powiedziała. – W sypialni już nie będę sprawdzać. W twoim samochodzie też jest jedna. Zachowuj się tak, jakbyś nie miał o tym pojęcia... I uważaj na to, co mówisz i piszesz.

– Komputer też? – wymruczał.

– Prawdopodobnie.

Jak brzmiał ten stary dowcip? To nie jest paranoja, jeśli naprawdę chcą cię dorwać. Pod wpływem impulsu przytulił ją mocno do siebie.

– Dziękuję – wyszeptał.

Skinęła lekko głową. Potem, tak jakby się umówili, oboje odsunęli się od siebie.

– Simon – powiedziała trochę głośniej – nie wydaje mi się, żeby...

– Oczywiście – odpowiedział, starając się, żeby w jego głosie słyhać było zarówno wyrozumiałość, jak i lekkie rozczarowanie. Jak się okazało, wcale nie było to takie trudne. – To byłby bardzo zły pomysł, skoro za chwilę wyjeżdżasz.

Cofnęła się, a potem szybko pocałowała go w policzek.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Simon. Cieszę się, że jesteście przyjaciółmi.

– Zawsze nimi będziemy – odpowiedział. – Montreal nie ma pojęcia, jaki klejnot im się trafił.

Podał Anayi płaszcz i pomógł jej go ubrać. Potem otworzył przed nią drzwi i życzył dobrej nocy.

Kiedy został sam, wylał niedopity burbon. Każdy, kto go obserwował, z pewnością wiedział, że pod żadnym pozorem nie wzięłyby czegoś takiego do ust. Sącył swoją szkocką i zastanawiał się, jak do licha, uda mu się udawać, że nie wie o podsłuchu w mieszkaniu i samochodzie, o zdradzie zaufanej współpracownicy i o tym, że tym wszystkim steruje inny członek Wewnętrznego Kręgu.

DZIEŃ 5

Simon z trudem zasnął. Carl Gustav Jung zatarłby ręce z radości, gdyby mógł zobaczyć jego pełne dziwnych symboli sny.

Pierwszy obraz: Jakub de Molay schodzi z portretu podczas ceremonii inicjacyjnej Simona i wymachuje Mieczem Edenu, gdy Simon leży rozciągnięty na podłodze. Drugi obraz: słońce w kształcie łyżki wyryte na ścianach lochu w twierdzy Coudray. Trzeci obraz, najgorszy z nich wszystkich: Joanna przywiązana do pala, z ogromną dziurą w klatce piersiowej, krzyczy w agonii, a u jej stóp pełgają płomienie.

Kiedy po raz drugi wybudził się ze snu, cały zlany potem, spojrzął na zegarek i doszedł do wniosku, że wcale nie jest za wcześnie, żeby pójść do biura. Z wysiłkiem powlókł się do kuchni, zaparzył herbatę i przelał ją do kubka termicznego. Nie wiedzieć czemu, chociaż zdawał sobie sprawę, że w biurze też z pewnością ma założony podsłuch, wolał być obserwowany tam niż tu.

W jego umyśle zapanował dziwny spokój, kiedy usiadł przy stosie książek zgromadzonych poprzedniej nocy. Zupełnie o tym nie wiedząc, zrobił dokładnie to, co trzeba. Następných kilka godzin spędził, czytając książki i robiąc notatki staroświeckim piórem. Miał plan i był pewien, że uda mu się przekonać do niego Victorię.

Kiedy pojawił się w Temp's, nie do końca potrafił ukryć swoje uczucia. Lyndsey powitała go uśmiechem. Wiedział, że nie powinien tego robić, ale i tak zapytał.

– Tak się zastanawiam... Gdzie jest Poole?

– Na wakacjach – odpowiedziała i wzruszyła ramionami. – Chyba chce uniknąć bożonarodzeniowego tłoku.

Zmusił się do uprzejmego uśmiechu. Zastanawiał się, czy była zwykłą kelnerką czy agentką templariuszy. I czy Lyndsey to jej prawdziwe imię. I czy w dzbankach do herbaty ktoś też założył podsłuch. *Takie rozważania to prosta droga do szaleństwa* – skarcił samego siebie.

Zamówił herbatę dla siebie i Victorii, był ciekaw, czy Anaya i Amerykanin również się pojawiają. Doszedł w końcu do wniosku, że nie. Będzie bezpieczniej, jeśli on i Anaya nie będą widywani razem.

Nie panikuj – powiedziała mu Anaya zeszłej nocy, kiedy przed udaniem się do jego mieszkania kupowali komórki na kartę.

Chyba trochę na to za późno – wymruczał.

To mogą być tylko wewnętrzne procedury Abstergo. Obserwują nas znacznie częściej, niż nam się wydaje.

Niezbyt to pocieszające.

No właśnie nie. To rutynowe postępowanie w przypadku takiej firmy. Moim zdaniem tylko Victoria nie pasuje do tej układanki. Coś z tego, co robisz, przyciągnęło czyjąś uwagę. Nie wysuwaj żadnych nowych pomysłów, nie rób nic niezwykłego i czekaj, co się wydarzy.

Nowy telefon trzymał w kieszeni marynarki, blisko serca. Oparł się pokusie, żeby go poklepać, i nagle przypomniała mu się przerażająca ogromna dziura w klatce piersiowej Joanny.

– Simon?

Wrócił do rzeczywistości.

– Przepraszam. Zamyśliłem się.

– Wyglądasz, jakby stratowała cię owca – powiedziała Victoria.

Uśmiechnął się blado.

– Zdarzało mi się już wyglądać lepiej, tego jestem pewien. Ale mam herbatę, za chwilę dostanę bekon, więc możesz oczekiwać szybkiej poprawy.

– To dobrze. – Victoria wlała mleko do swojej filiżanki z herbatą i ucichła na moment. – Chcę cię ponownie przeprosić za wczorajszą noc. Moje zachowanie nie miało żadnego uzasadnienia – powiedziała po chwili.

Dwanaście godzin wcześniej uwierzyłby jej. Teraz zastanawiał się, czy jej troska o niego kiedykolwiek była szczerą. Skup się, Simonie.

– Oboje mieliśmy słabszy dzień – powiedział. – Też nie jestem dumny z mojego zachowania, więc po prostu przejdźmy nad tym do porządku dziennego.

Victoria uniosła brwi, ale skinęła głową.

– Oczywiście – odpowiedziała. – Więc co teraz? – zapytała ciepłym jak zwykle tonem.

– Orlean. Kluczowy moment dla Joanny. To właśnie po tej bitwie zaczęto ją nazywać Dziewicą Orleańską, a nie po prostu Dziewicą.

Victoria skinęła głową.

– Domyślam się, że jako historyk bardzo chcesz zobaczyć to wszystko na własne oczy.

– Uczestniczyła w dwóch starciach, jednym po drugim, siódmego i ósmego maja. Oba były długie, trwały cały dzień, i ważne. Oba były też bardzo krwawe. – Umilkł na moment. Jego ręka zadrżała, kiedy nalewał sobie drugą filiżankę herbaty. Zrobił to specjalnie.

Victoria zauważyła to drżenie.

– Simon... nie jestem pewna, ile z tego naprawdę musisz zobaczyć na własne oczy. Nie bez powodu pracownicy Abstergo Entertainment modyfikują wspomnienia, których używają do tworzenia gier komputerowych. Gdyby tego nie zrobili, dla większości zwykłych użytkowników byłyby one zbyt traumatyczne. Ty nie oglądasz filmu ani nie grasz w grę. Doświadczasz wspomnień swojego przodka tak, jakbyś naprawdę nim był. W tym modelu Animusa twoje ciało odtwarza wspomnienia

zapisane w pamięci kinetycznej Gabriela, co z kolei wpływa na twój umysł. Nie musisz uczestniczyć w bitwie przez każdą minutę jej trwania. Naprawdę nie musisz.

Moja intryga się uda – pomyślał Simon – *bo Victoria ma rację*. Rzeczywiście, nie był przygotowany na wspomnienia Gabriela – na wbijanie miecza w oko wroga, na dźwięki i zapachy bitwy, na rozerwane jelita, buchającą zewsząd krew, krzyki udręczonych. Tak, to z pewnością nie będzie film ani gra.

Westchnął z rezygnacją.

– Jak w takim razie wybierzemy te momenty, w których Joanna będzie miała w ręku Miecz Edenu?

– A kiedy, twoim zdaniem, jest najbardziej prawdopodobne, że Joanna użyła niezwykłych mocy miecza? Określ te przedziały czasowe, a ja wprowadzę dane do parametrów symulacji. Dzięki temu będziemy mogli odnaleźć najważniejsze momenty. Nie martw się, jeśli będą dla ciebie zbyt intensywne. Wyciągnę cię. I na miłość boską, Simon, mów mi, ile naprawdę jesteś w stanie znieść. Nie chcę tu mieć kolejnego Roberta Frasera. Nie dopuszczę do tego.

Wręczyła mu tablet. Przez chwilę jej oczy zalsniły, jakby powstrzymywała łzy. A może był to tylko błysk światła? Jego serce zamarło. Victoria sprawiała teraz wrażenie, jakby naprawdę jej na nim zależało.

Simon zaprotestował cicho, żeby zachować pozory, ale wprowadził swoje sporządzone rano notatki do tabletu Victorii.

– Jeśli ten sposób zda egzamin, powinniśmy trzymać się go na przyszłość – powiedział. – Poza tym w końcu dotrzemy do miejsca, gdzie Gabriel i Joanna się rozdzielili. Jest mało prawdopodobne, żeby zdołał zobaczyć coś więcej z... no cóż.

Nie chciał ciągnąć tego tematu. Nie teraz, kiedy był tak rozczarowany i pełen najgorszych przeczuc, a jego nerwy były napięte niczym postronki.

– Siódmego maja Francuzi odnieśli wielkie zwycięstwo. Zajęli szaniec Augustins, czyli stary klasztor położony naprzeciwko Les Tourelles. Udało im się to dzięki odpowiedniej taktyce. Zbudowali most pontonowy, po którym przedostali się na jedną z wysp na Loarze. Następnie wkroczyli do, jak się okazało, opuszczonego okopu Saint-Jean-le-Blanc. Przypuścili więc atak na Augustins. Czterystu żołnierzy z zapalem rzuciło się do walki. To musiało robić wrażenie, ale nie ten moment chciałem zobaczyć. To znaczy chodziło mi o to, że nie ten moment powinniśmy zobaczyć. Powinniśmy sprawdzić, co się działo pod bramą Les Tourelles. To musimy zobaczyć, choćby to było bardzo drastyczne.

Czwartek 5 maja 1429 roku

Orlean

Święto Wniebowstąpienia Pańskiego

– Anglicy, którzy nie macie prawa do Królestwa Francji, w imię Króla Niebios rozkazuję wam opuścić zajęte przez was fortece i wrócić do waszego kraju. Piszę do was po raz trzeci i ostatni. Nie spodziewajcie się kolejnego listu. Podpisano, Jhesus-Maria, Joanna Dziewica.

Przygnębiony Gabriel sumiennie zapisał każde słowo Joanny. Zmieniła się od wczoraj. Oboje się zmienili. Gabriel nabrał szacunku dla ludzi, którzy z własnej woli, raz za razem, uczestniczyli w tym chaosie i potrafili zachować spokój nawet w obliczu śmierci. Joanna nie straciła swojego blasku, ale teraz był on przyćmiony świadomością strasznych obowiązków, jakie na nią nałożono.

Kiedy wzięła do ręki pióro i niepewnie, ale bardzo starannie napisała swoje imię, w drzwiach pojawił się Louis. Jak zwykle wyglądał na zmartwionego i zakłopotanego.

– Moja pani – powiedział – madame Boucher przysyła ci czerwoną nić, o którą prosiłaś.

– Dziękuję ci, Louis! – powiedziała Joanna, uśmiechając się ciepło do niego.

Chłopiec trochę się odprężył.

Kiedy atrament wysechł, Joanna zwinęła pergamin w ciasny rulon.

– Chodź ze mną. Ty też, Fleur.

Joanna miała nadzieję, że dla Fleur zostanie uszyte nowe odzienie, ale nie było na to czasu, więc Fleur po prostu nosiła niektóre z męskich ubrań Joanny. Były tego samego wzrostu. Co prawda, Fleur była dużo szczuplejsza niż zdrowa, muskularna Joanna, ale oznaczało to tylko tyle, że jasnowłosa dziewczyna musiała mocniej zaciągać pasek wokół talii.

Fleur, która do tej pory siedziała spokojnie, zerwała się teraz gorliwie. Kiedy patrzyła na Joannę, jej oczy zawsze pełne były podziwu. Gabriel zaczął się zastanawiać, czy on również patrzy na Joannę takim wzrokiem, i był zmuszony przyznać sam przed sobą, że prawdopodobnie tak. Nie miało to znaczenia. Nie było niczego złego w otaczaniu czcią boskiego posłańca.

Po tym jak Pierre i Jean posmakowali żołnierskiego rzemiosła, obaj woleli zostać ze swoimi towarzyszami, niż mieszkać z siostrą. Tylko Gabriel i Fleur dotarli razem z Joanną za bramę, przy której zebrał się tłum ludzi chcących ujrzeć zwycięską Dziewicę. Od czasu zdobycia Saint-Loup entuzjizm ludu jeszcze wzrósł.

Kiedy ruszyli w stronę Mostu Orleańskiego, Gabriel zerknął do tyłu na Fleur. Był dla niej pełen uznania. Nigdy wcześniej nie jeździła konno, ale teraz dzielnie próbowała dotrzymać im kroku, chociaż ścisnęła cugle tak mocno, aż pobieły jej kłykcie.

– Czy zamierzasz dziś znowu obrazić Glasdale'a? – zapytał jeden z żołnierzy i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie tym razem – odparła Joanna. Podniosła do góry pergamin i nić. – Czy jeden z twoich łuczników mógłby dać mi strzałę?

Gabriel zaczął się śmiać, widząc, jak Joanna starannie owija pergamin wokół drzewca. Przytrzymał przez chwilę strzałę, kiedy Joanna obwiązywała pergamin czerwoną nitką.

Wręczyła ją z powrotem łucznikowi i wdrapała się na mur obronny, skąd miała lepszy widok na Anglików.

– Glasdale! – krzyknęła. – Przeczytaj wiadomość!

Łucznik zrobił krok naprzód, ostrożnie wycelował, aby nikogo nie zranić – z pewnością nie chciał być kimś, kto zacznie walkę, skoro pragnieniem Dziewicy było

jedynie, aby dostarczył wiadomość – i wypuścił strzałę.

– Wiadomość od armaniackiej dziwki! – wrzasnął jeden z angielskich żołdaków.

Gabriel usłyszał, jak ktoś za nim gwałtownie wciąga powietrze do płuc. Obejrzał się i zobaczył poczerwieniałą twarz Fleur. Spoglądała w dół, mrugając oczami, żeby się nie rozpląkać. Joanna też przez chwilę wyglądała na zdenerwowaną. Po chwili odwróciła się.

– Wielu z tych, którzy mówią takie rzeczy, będzie martwych za kilka dni – powiedziała. – Ich oddechy są policzone. Niech tracą je na plugawe słowa, jeśli taka ich wola.

Piątek 6 maja 1429 roku

Joanna, Gabriel i Fleur wyszli razem z kościoła po porannej mszy. Gabriel przywykł już do takiego rozkładu dnia: najpierw spowiedź, potem msza, a potem – co rozkażą Głosy Joanny. Jednak Fleur wciąż czuła się dziwnie, wkraczając do świętego przybytku. Joanna wybrała dla niej trafne imię, pomyślał Gabriel, widząc, jak rozkwitła potraktowana życzliwie przez Dziewicę.

Kiedy wrócili do domu Boucherów, Gabriel zauważył burmistrza Orleanu, starszego, dystyngowanego, doświadczonego żołnierza, Raoula de Gaucourta, kłócącego się z La Hir'em. Widząc Joannę, obaj cofnęli się, niczym dzieci, które coś przeskrobały.

– Czy Bastard zaatakuje dziś w końcu Anglików? – zapytała ich Joanna.

Olbrzymi rycerz zmarszczył brwi i nie odezwał się ani słowem. Głos zabrał Gaucourt.

– Dziewico, Bastard poprosił mnie, żebym zwrócił szczególną uwagę na bramę i nie pozwolił nikomu przekroczyć jej progu i rzucić się do walki. Nie będzie dzisiaj bitwy.

La Hire i Joanna wymienili spojrzenia. Joanna zwróciła się teraz do Gaucourta.

– Mam dosyć ciągłego pomijania mnie w trakcie podejmowania decyzji wpływających na losy miast, którym z rozkazu Boga miałam pomóc – powiedziała lodowatym tonem. – Pan, panie La Hire i pańscy rycerze zasiadacie w swojej radzie, ja w swojej. I niech pan lepiej uwierzy w moje słowa. To, co doradzi mi Bóg, stanie się i będzie trwało po wieki, a to, co postanowi jakakolwiek inna rada, rychło obróci się w proch.

– Ależ to rozkazy człowieka, który dowodzi armią... – zaczął Gaucourt.

– Jest pan burmistrzem Orleanu! Nie chce pan zobaczyć miasta uwolnionego? Uważam, że żołnierze powinni natychmiast wyruszyć wraz z tymi mieszkańcami miasta, którzy chcą walczyć razem z nimi. Powinni natychmiast rozpocząć natarcie na szaniec Augustins. Jeśli nie chce pan do tego dopuścić, to jest pan niegodziwym człowiekiem.

Zmienił się wyraz poranej bliznami twarzy La Hire'a. Gabriel dopiero po chwili zrozumiał, że wielkolud stara się nie rozeźmiać.

– Czy się to panu podoba, czy nie, żołnierze ruszą do walki i zwyciężą, tak jak zwyciężali do tej pory – ostrzegła burmistrza Joanna.

Odwróciła się i przemówiła do tłumu, który zawsze gromadził się wokół niej.

– Moi żołnierze! Wiecie, co powinniśmy zrobić! Ludu Orleanu, dołącz do nas! – zawołała, wyciągając miecz.

Wzmagające się okrzyki zagłuszyły głos burmistrza, który próbował przemawiać Joannie do rozsądku. Gabriel wiedział, że według asasynów charyzma Joanny, jej siła oddziaływania na innych, nie była darem od Boga, ale czymś, co miała we krwi.

Nie wiedział, jak było naprawdę, ale wcale go to nie obchodziło. Wiedział tylko, że Joanna wierzy w powodzenie swojej misji, i z pewnością osiągnie swój cel.

Obraz przed oczami Gabriela zasnuła mgła i Simon zorientował się, że wrócił do Korytarza Pamięci. Odczuł ulgę, kiedy przed jego oczami pojawiła się następna scena. Zamiast krzyczących żołnierzy, stukotu kopyt, krwi i błota zobaczył przed sobą ciemne płótno nocy z plamkami ognisk i z wyraźnie zarysowanymi sylwetkami zmęczonych, ale żywych żołnierzy.

– Powinnaś wrócić do Orleanu, żeby wypocząć – powiedział Gabriel do Joanny, kiedy usiedli przy ognisku. Nie mieli na sobie zbroi. Wcześniej giermkowie Joanny pracowicie oczyścili je z błota i krwi za pomocą octu i piasku z rzeki. – Dokonałaś już tak wiele.

Joanna uśmiechnęła się do niego i delikatnie dotknęła jego policzka. Spokój i blask płomieni sprawiły, że poczuł przedziwną jedność ciała i umysłu.

– Zostanę tutaj z ludźmi, którzy walczyli tak dzielnie. Jesteśmy tak blisko, mój Cieniu, tak blisko zwycięstwa.

– Dzięki tobie – powiedział Gabriel.

– Dzięki Bogu – poprawiła go, a on skinął głową i uśmiechnął się. *Bóg, ty, krew Prekursorów w twoich żyłach, piękny Miecz Edenu. Jak ktokolwiek mógłby ci się sprzeciwić?*

Joanna nagle spoważniała.

– Jutro musisz mnie obudzić wcześniej rano i cały czas trzymać się blisko. Będę miała mnóstwo roboty. Więcej niż kiedykolwiek wcześniej. – Umilkła na chwilę, a jej ręka powędrowała do zawieszzonego w pobliżu serca woreczka, przesunęła się wzdłuż szyi, piersi i ramienia. – Jutro z mojego ciała wypłynie krew... być może znajdzie ujście tutaj, powyżej moich piersi.

Gabriela zdjął nagły strach.

– Czy twoje Głosy...

– Jeanne? – zapytał słodki kobiecy i znajomy głos.

Spojrzeli w górę i zobaczyli uśmiechającą się do nich Fleur. Dźwigała wielki kosz wypełniony butelkami wina, bochenkami chleba i owiniętymi w szmatki gomólkami sera. Nagle przerwany skrzek ptaka, który dobiegł do nich od sąsiedniego ogniska, pozwolił im domyślić się, że wkrótce dostaną też pieczonego kurczaka.

– Fleur! – zawołała Joanna, uśmiechając się. – Co ty tutaj robisz?

Dziewczyna wskazała na stojących przy innym ognisku orleańczyków, którzy przynieśli żołnierzom swoje dary.

– Są tacy wdzięczni! Wiedzą, że wszyscy wzięliście udział w walce, która trwała cały dzień i którą niełatwo było wygrać, i że musicie być teraz głodni i zmęczeni. –

Pomachała do kogoś, kto roznosił ciepłe koce. – Wszyscy przy płynęliśmy tu małymi łodziami, nie czyniąc hałasu. Ja też musiałam tu być.

Usiadła razem z nimi. Miała rozświetlone oczy i nie mogła przestać się uśmiechać, nawet tutaj, tak blisko pola walki. Gabriel cieszył się, że Fleur bezpiecznie dotarła do nich z prowiantem razem z innymi orleańczykami, ale wciąż był wstrząśnięty słowami Joanny. *Z mojego ciała wypłynie krew. Pocisk? Miecz? Strzała? Cóż to za feralne narzędzie walki mogłoby zranić moją Jeanne?*

Czy ona... przeżyje?

Simona znów otoczyła mgła. Gdyby Gabriel wiedział to co Simon – gdyby wiedział, jaki koniec spotka Joannę za dwa lata od tej chwili – wolałby, żeby zginęła w nadchodzącej bitwie.

Les Tourelles? – zapytała Victoria.

Simon wziął głęboki oddech.

– Les Tourelles – odpowiedział.

Sobota 7 maja 1429 roku
Les Tourelles

Simon z wdzięcznością przyjmował fakt, że Animus powoli renderował elementy świata, w którym miał się zanurzyć. Przypominało mu to, że chociaż wszystkie zdarzenia, których był świadkiem, były rzeczywiste – wydarzyły się naprawdę i przebiegały dokładnie tak, jak to widział – to nie była to jego rzeczywistość, jego teraźniejszość.

Les Tourelles.

Wcześniej Simon miał okazję przyjrzeć się tej fortyfikacji od strony miasta, z którym Les Tourelles połączone było mostem na Loarze. Teraz, gdy w miejscu zburzonych przęsł Mostu Orleańskiego zionęła wodna czeluść, wieża zespojona już była tylko z południowym brzegiem rzeki, na który można się było przedostać po drewnianym moście zwodzonym.

Most ten łączył Les Tourelles ze wzniesionym na brzegu Loary potężnym szanćcem, który Dunois określił mianem jednej z najbardziej imponujących fortyfikacji, jakie kiedykolwiek zbudowano. To właśnie Dunois nakazał rozbudowanie istniejącej tam już wcześniej murowanej fortalicji i przekształcenie jej w ogromny szaniec, który miał zabezpieczać Les Tourelles przed wpadnięciem w ręce oblegających Orlean Anglików. Ten plan zawiódł na całej linii – Anglicy zajęli okop, a następnie go umocnili. Według szacunków Dunois angielska załoga szanćca oraz Les Tourelles liczyła w sumie niemal tysiąc ludzi. Anglicy rozmieścili tam także większość dział, jakimi dysponowali.

Pierwszą linię obrony stanowiły wbite ukośnie w ziemię drewniane pale, których zastrzone końce zwrócono w stronę nieprzyjaciela. Za palisadą wykopano rów trzymetrowej szerokości i sześciometrowej głębokości. Miękka ziemia dodatkowo utrudniała wydostanie się z rowu tym, którzy mieli nieszczęście wpaść do środka. Mury, o wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia pięć metrów, otaczały dziedziniec, z którego obrońcy mogli razić wroga pociskami z hakownic i armat, strzałami, włóczniami, toporami. Zwodzony most, łączący szaniec z Les Tourelles, przerzucony był nad fosą, którą wypełniały wody Loary.

Simon wiedział, że poprzedniego dnia wieczorem wszyscy francuscy dowódcy, pomimo wcześniejszych postanowień swojej „rady”, zjawili się wraz z Joanną we francuskim obozie. O godzinie ósmej rano francuska artyleria rozpoczęła ostrzał

bastionu. Na pierwszy ogień poszła drewniana palisada. Bombardy zaczęły miotać żelazne kule i wydawało się, że od huku ich wystrzałów drży ziemia. Łucznicy z kolei ostrzeliwali dziedziniec: płonące strzały brzęczały w powietrzu niczym roje wściekłych szerszeni, a pomarańczowe języczki ognia drgały niespokojnie podczas lotu. Tym razem bitwa toczyła się bez udziału konnicy – o losach starcia miała rozstrzygnąć brutalna siła zakutej w zbroje piechoty.

– Przerwać ogień! – krzyknął Dunois, którego głos był ledwie słyszalny w huku armat.

– Przerwać ogień! – Przekazywano komendę dalej i po chwili francuska artyleria zamilkła.

– Naprzód, moi dzielni żołnierze! – rozległ się dźwięczny i donośny głos Joanny. Podobnie jak pozostali Francuzi, stanęła do bitwy pieszo. W dłoni dzierżyła swój sztandar. – Zasypcie rów, żebyśmy mogli wdrzeć się na mury!

Rozległ się potężny ryk i francuscy żołnierze ruszyli naprzód. Kiedy dobiegli do rowu, niektórzy z nich zaczęli wrzucać do niego potrzaskane armatnimi kulami fragmenty palisady – drewniane pale, które miały powstrzymać atakujących, stały się budulcem prowizorycznego mostu. Inni, w tym także Gabriel, ciskali do rowu przyniesione z obozu faszyny, przygotowane specjalnie w tym celu poprzedniego wieczoru. Wykonawszy zadanie, Gabriel popędził do obozu po kolejną wiązkę.

Wiedział, że jest łatwym celem dla angielskich strzelców i łuczników. Aby dostać się na dziedziniec fortecy, trzeba było sforsować mury – najpierw jednak wspiąć się na nie po drabinach. Oprócz drewnianych pali i wiązek chrustu w rowie lądowały także zwłoki francuskich żołnierzy. Gabriel poczuł, jak na widok groteskowo powykręcanych ciał żołądek podchodzi mu do gardła. Ale ani on, ani nikt inny nie myślał o tym, by wydostać ciała poległych towarzyszy i przenieść je w godniejsze miejsce. Rów należało za wszelką cenę zasypać – polegli nawet po śmierci mieli szansę przysłużyć się sprawie, o którą gotowi byli walczyć za życia. Wrzucając do rowu kolejną wiązkę chrustu, Gabriel usłyszał dobiegający z dołu krzyk rannego żołnierza, który błagał o pomoc. Angielski łucznik zlitował się nad cierpiącym i krzyk nagle ucichł.

Kiedy rów był już niemal zasypany, przez francuskie szeregi przetoczył się okrzyk: „Na mury! Na mury!”.

Żołnierze, zagrzewając się nawzajem do wysiłku, zaczęli opierać przyniesione drabiny o mur bastionu. Gabriel pomagał właśnie ustawić jedną z drabin, kiedy kątem oka zauważył, że Joanna wyprzedziła wszystkich pozostałych i zaczęła wspinać się ku blankom wieńczącym mur. Była już niemal w połowie drogi do celu. Gabriel wzniósł radosny okrzyk.

Ułamek sekundy później zamienił się on w krzyk rozpacz.

Miał wrażenie, że czas zwolnił i wokół zapanowała upiorna cisza – patrzył przerażony, jak Joanna odchyła się do tyłu, wygina plecy w łuk i wypuszcza z rąk szczebel drabiny. Rozpostarła szeroko ramiona i runęła w dół, prosto na kłębiących się pod murami bastionu żołnierzy. Tak jakby wykonała Skok Wiary.

– Nie! – krzyknął Gabriel. – Jeanne! Jeanne!

Odrzucił drabinę i nie zwracając uwagi na strzały i kule, zaczął przepychać się przez tłum żołnierzy, byle tylko jak najszybciej znaleźć się u jej boku. Pospiesznie chwycił ją za ramię i wraz z dwoma innymi żołnierzami poniosł na tyły. Ponad prawą piersią Joanny, pomiędzy obojczykiem a ramieniem, sterczała wbita pod ostrym kątem strzała. Gabriel wiedział, że musiała wejść w ciało na głębokość przynajmniej dziesięciu centymetrów.

Jutro z mojego ciała wypłynie krew... być może znajdzie ujście tutaj, powyżej moich piersi.

Nieśli ją tak ostrożnie, jak tylko było to możliwe, ale każdy ruch sprawiał, że twarz Joanny wykrzywiała się w bolesnym grymasie, a z jej ust wydobywał się głośny krzyk, który rozdzierał Gabrielowi serce.

– Moje Głosy – jęknęła Joanna – nie powiedziały mi, że to będzie aż tak bolało...

Zaniosła się szlochom, a łzy żłobiły jasne bruzdy na pokrytej kurzem i potem pięknej twarzy. Gabriel zdał sobie sprawę, że nie dostrzega jej zwykłego blasku, i ogarnął go okropny lęk.

Ułożyli ją delikatnie na trawie.

– Leż spokojnie, Jeanne – napomniął ją łagodnie Gabriel.

– Nie wygląda to dobrze – wymamrotał La Hire. Bóg jeden wiedział, skąd się tam nagle wziął, dowodził przecież natarciem na lewej flance.

– Mam tu amulet – odezwał się jeden z żołnierzy. – Proszę, przyłóż go do rany, a...

– Nie! – zaprotestowała Joanna niespodziewanie silnym głosem. – Wolalabym umrzeć, niż zrobić coś, co jest sprzeczne z wolą Boga!

– Jeanne – powiedział miękko Gabriel i jej nabiegłe krwią oczy zwróciły się powoli w jego stronę. – Jeanne... nie umrzesz. Bóg na to nie pozwoli. Nie przerwałaś jeszcze obłędzenia.

– Ty zrobisz to za mnie – odparła i uśmiechnęła się do niego.

Nie, nie...

– A co z królem? Musisz przecież zabrać go do Reims! – Gabriel podniósł głowę i napotkał spojrzenie La Hire'a. Potężny rycerz wpatrywał się w niego intensywnie, jakby chciał go skłonić, by dalej zachęcał Joannę do kolejnego oddechu.

Joanna tymczasem zamknęła oczy. Trwało to krótką, ale pełną grozy chwilę. Nagle uniosła powieki, wydała z siebie niski, chrapliwy pomruk, po czym chwyciła lewą dłonią za drzewce strzały i zaczęła wyciągać ją z rany. Jej twarz ponownie rozjaśnił blask, który nie słabł nawet wtedy, gdy krzyczała z bólu, czując, jak grot strzały rozrywa jej mięśnie i skórę. Kiedy w końcu wydobyła go z piersi, krew trysnęła z rany silnym strumieniem.

Gabriel zrozumiał, że Bóg mu jej nie zabierze. Joanna nie umrze. Nie dzisiaj.

Obraz przed oczami Simona zaczął się zacierać i zlewać w niewyraźne plamy i po chwili otoczyła go szarość Korytarza Pamięci.

Dobrze się czujesz?

Simon skinął głową i zwilżył językiem wyschnięte wargi.

– Wiedziałem, że nie umrze – powiedział. Ale Gabriel nie mógł tego wiedzieć.

Potrzebujesz chwili przerwy?

– Nie – odparł. – Powinniśmy kontynuować. – Zaszedł z Joanną już tak daleko. Czuł, że musi być świadkiem jej legendarnego zwycięstwa, jej wielkiego triumfu, który miasto Orlean upamiętnia po dziś dzień, organizując co roku dziesięciodniowy festiwal na cześć swojej wyzwolicielki.

Mgła ponownie zaczęła nabierać kształtów i po chwili z szarości wyłoniły się potężne baszty Les Tourelles. Tym razem jednak nikt tu nie walczył, w okolicy panował spokój.

– Przykro mi, Jeanne – odezwał się Bastard. – Nasi ludzie są zmęczeni i głodni.

Joanna miała na sobie zbroję, która zakrywała jej obandażowaną pierś. Jej twarz była wprawdzie blada i wymizerowana, ale Dziewica nie dawała po sobie poznać, że jest poważnie ranna.

– Rozumiem – powiedziała, ku zaskoczeniu francuskich rycerzy, którzy wymienili między sobą zdziwione spojrzenia. – Niedługo do was wrócę.

Wstała i skierowała się w stronę rozciągających się nieopodal pozostałości starej winnicy. Gabriel podniósł się natychmiast, gotowy podążyć za nią, ale Joanna powstrzymała go gestem dłoni.

– Nie tym razem – powiedziała i przekazała mu swój sztandar, po czym samotnie ruszyła dalej, by po chwili wkroczyć pomiędzy wydłużające się cienie winnych krzewów.

Gabriel obserwował ją przez chwilę, po czym odwrócił się i wrócił do stołu, przy którym siedzieli dowódcy. Panował tam dość smętny nastrój, wszyscy jedli i pili w milczeniu. Bitwa, która zaczęła się o poranku, trwała przez cały dzień. Francuskie bombardy zdołały w kilku miejscach naruszyć mury, ale Anglicy dzielnie odpierali kolejne natarcia. Szturmujący fortecę żołnierze raz po raz przystawiali do murów drabiny, ale obrońcy albo zawczasu je odpychali, albo czekali, aż wspinający się po nich Francuzi znajdą się w zasięgu angielskich włóczni, halabard i toporów, po czym zasypywali ich gradem ciosów.

Pod nieobecność Joanny, która z powodu odniesionej rany musiała opuścić pole walki, morale francuskich wojsk wyraźnie podupadło. Teraz wszyscy żołnierze, nie wyłączając Gabriela, byli wyczerpani po całodziennym boju, a w dodatku zbliżała się noc.

Bastard powiódł wzrokiem po twarzach La Hire'a, de Rais'ego oraz Gabriela.

– Niedługo zrobi się ciemno – powiedział cicho. – Musimy się wycofać. Dam znać orleańczykom, by się wstrzymali.

– Orleańczykom? – zapytał Gabriel.

De Rais posłał mu jeden ze swoich niepokojących, obłąkańczych uśmiechów.

– Nie walczymy tu sami, Laxart. Przygotowaliśmy plan natarcia na Les Tourelles z kilku różnych stron.

Gabriel nadal nic z tego nie rozumiał.

– Z kilku różnych stron? – powtórzył z niedowierzaniem. Szturm od strony mostu, owszem, to wydawało mu się całkiem oczywiste. Ale jakie jeszcze strony mógł mieć na myśli de Rais?

– Wkrótce się przekonasz – uciał de Rais. – To będzie piękny widok.

– Wycofując się, stracimy cały teren, jaki udało nam się dziś zająć! – zaprotestował La Hire.

– Stracimy część, ale nie wszystko – odparł Dunois. – Bez Jeanne nasi ludzie...

– Naszym ludziom nie zabraknie Jeanne.

Wszyscy odwrócili się jak jeden mąż w stronę Joanny, która niepostrzeżenie zbliżyła się do stołu. Miała zapadnięte oczy, ale jej twarz promieniała, a na jej ustach błąkał się lekki uśmiech.

– Jeanne jest tutaj. Jest przy nich. I jest przy nas Bóg.

Nie oglądając się na nikogo, wzięła sztandar z ręki Gabriela, po czym odwróciła się na pięcie i energicznym krokiem ruszyła w kierunku twierdzy.

– Jeanne, zaczekaj! – krzyknął za nią Bastard.

Ale wszędzie dookoła żołnierze zakładali już pośpiesznie pancerze i inne części uzbrojenia, które zdjęli, zanim zasiedli do posiłku. Wszystkim wróciła nagle utracona energia, nawet powietrze wydawało się nią przesycone, zupełnie jak przed zbliżającą się burzą. Gabriel także założył rękawice oraz hełm, po czym podążył za Dziewicą.

Pora dnia, która poprzedza nadejście zmierzchu, nazywana bywa złotą godziną – i w tamtej chwili łatwo było zrozumieć dlaczego. Słońce wisiało nisko nad horyzontem i wszystko skąpane było w świetle tak pięknym, że można je było wziąć za światłość samego Boga. W złotej godzinie nawet usłane trupami pobojuwisko wydawało się mniej odrażające. Ale żadne, choćby nawet najpiękniejsze światło nie było w stanie sprawić, by potężny szaniec nad brzegiem Loary wyglądał mniej groźnie i złowieszczo. Naprzeciw niego stała samotnie Joanna Dziewica.

W jednej ręce dzierżyła sztandar, którego drzewce oparła o ziemię. W drugiej dłoni ścisnęła błyszczący Miecz Edenu. Mogło się wydawać, że ten blask to zasługa odbijających się od miecza promieni słońca – ale jak świat światem, jeszcze nigdy żaden metal nie błyszczał w słońcu aż tak olśniewająco.

– Glasdale! – zawołała Joanna.

Gabriel czuł, że jej głos wibruje i odbija się echem w jego piersi. Wrażenie to było tak silne, że na moment przyłożył nawet do piersi rękę. Nie był w stanie oderwać oczu od tej młodej kobiety, która stała tam wyprostowana niczym drzewce jej sztandaru i promienna niczym klinga jej miecza.

– Poddaj się, Glasdale! Poddaj się Królowi Niebios. Ty, który nazwałś mnie dziwką. Wiedz, że mam w sercu litość dla duszy twojej i dla dusz twoich ludzi. Poddaj się albo jeszcze dziś staniesz przed obliczem Boga!

Tym razem na Joannę nie posypały się docinki ani szyderstwa. Angielscy żołnierze stojący na murach wpatrywali się w nią oszołomieni. Niewątpliwie byli święcie przekonani, że armaniacka dziwka zginęła, ugodzona strzałą – a jednak stała teraz przed nimi i wyglądała tak, jakby nie została nawet draśnięta. Stała i prosiła, niemal błagała, by się poddali.

Ale było już na to za późno.

Wieczorną ciszę rozdarł straszliwy hałas: huk potężnej eksplozji i przeraźliwe wrzaski rannych i konających. Zza muru wystrzeliła ku niebu chmura czarnego dymu i pomarańczowy słup ognia.

Joanna odwróciła się ku francuskiemu obozowi, jej twarz wydawała się jaśniejsza niż płomienie.

– Lud Orleanu przedarł się przez most, by walczyć razem z nami! Les Tourelles płonie! Za mną! – krzyknęła i schowawszy miecz do pochwy, wbiła swój sztandar w piaszczystą ziemię i pobiegła w kierunku twierdzy.

Gabriel krzyknął radośnie, po czym pochwycił najbliższą drabinę i pobiegł za Joanną. Inni uczynili to samo. Tym razem wspinający się na mury Francuzi nie napotkali niemal żadnego oporu. Angielska załoga była zbyt zajęta walką o życie. Gabriel dotarł na szczyt muru i po nasypie zsunął się na dziedziniec, na którym panował absolutny chaos.

Zwodzony most, który łączył Les Tourelles z szańcem, zawalił się, a jego płonące szczątki wylądowały w fosie, podobnie jak wielu angielskich żołnierzy. Ich ciężkie broje, które skutecznie chroniły przed ciosami wroga, teraz ciągnęły ich na dno. Mimo to coraz to nowi Anglicy pośpiesznie zdzierali z siebie najcięższe elementy rynsztunku i skakali do wody – alternatywą była bowiem śmierć w płomieniach. Ci, którzy mieli szczęście i w momencie eksplozji przebywali na dziedzińcu, znaleźli się teraz w potrzasku: za plecami mieli ścianę ognia, a przed sobą Francuzów, którzy się przelewali się przez mury.

– Poddajemy się! – zaczęli wołać po francusku Anglicy ze swoim ciężkim, brzydkim akcentem. Rzucali broń na ziemię i podnosili w górę ręce. – Poddajemy się!

Joanna Dziewica, stojąca na blankach murów, które jeszcze kilka godzin wcześniej wydawały się niemożliwe do zdobycia, zawołała:

– Żołnierze Francji! To miasto jest nasze!

Później, znacznie później, Gabriel i Joanna powrócili do domu Bouchera. Rana Joanny została oczyszczona i troskliwie opatrzona świeżymi bandażami z miękkiego lnu, po czym Dziewica w towarzystwie swej świty zjadła kolację, na którą podano wołową pieczeń w czerwonym winie. Przy stole u boku Joanny zasiedli jej heraldowie, którzy zostali uwolnieni z Les Tourelles wraz z wieloma innymi jeńcami.

Gabriel dowiedział się, że kiedy francuskie wojska szturmowały Les Tourelles od strony okopu, dzielni orleańscy mieszczanie połączyli ocalały fragment mostu na Loarze z północną bramą Les Tourelles za pomocą prowizorycznego pomostu, zbudowanego z desek oraz rynien – dzięki temu załoga Les Tourelles zmuszona była walczyć na dwa fronty. Niektórzy z przerażonych Anglików przysięgali później, że widzieli wśród atakujących Świętego Michała oraz cały zastęp aniołów. Kiedy zapytano o to Joannę, odparła, że Święty Michał pod Orleanem się nie pojawił, ale za to Francuzi z pewnością mieli po swej stronie Boga.

Na rozkaz Joanny wypełniono łatwopalnymi materiałami rzeczną barękę, a następnie po cichu zakotwiczo ją pod zwodzonym mostem łączącym Les Tourelles z szańcem. Eksplozja barki rozpętała prawdziwie piekło. Anglicy, którzy w chwili wybuchu znajdowali się na zwodzonym moście, wpadli do wody i utonęli. Jednym z nich był William Glasdale, którego śmierć przepowiedziała Joanna.

Po kapitulacji Les Tourelles Joanna udała się do Orleanu, gdzie powitały ją śpiewy i radosne okrzyki wyległych na ulice tłumów, ale po polu bitewnym wciąż snuła się

śmierć, tu i ówdzie wciąż tlił się ogień, wciąż czuć było swąd spalonych ciał i wciąż dawały się słyszeć krzyki konających w męczarniach, którym kres mógł położyć tylko litościwy cios miecza.

Podczas kolacji Gabriel zauważył, że nie tylko on zmagają się z posępными myślami. Joanna wpatrywała się w talerz, zmuszając się do jedzenia. W pewnej chwili poczuła na sobie spojrzenie Gabriela i podniosła wzrok. Jej zmęczona, wymizierowana twarz pojaśniała nieco.

– Wojna jest okrutna, nawet jeśli toczy się ją w imię Boga – powiedziała cicho. – Moje serce pełne jest smutku i współczucia dla tych, którzy dziś zginęli. Gdyby tylko zechcieli się poddać... – Umilkła, a po chwili dodała: – Zdobyliśmy Les Tourelles, ale oblężenie Orleanu jeszcze się nie zakończyło. Zobaczmy, co przyniesie nam jutro.

Niedziela 8 maja 1429 roku

Pogrążona we śnie Joanna wyglądała jak całkiem zwyczajna dziewczyna.

Jej twarz nie promieniała niezwykłym światłem ani nie była ściągnięta sprawiedliwym gniewem, nie śmiała się ani nie opłakiwała poległych.

Ot, zwyczajna śpiąca dziewczyna, sprawiająca wrażenie nieco młodszej niż jej siedemnaście lat.

Odniesione poprzedniego dnia wielkie zwycięstwo wyczerpało ją tak bardzo, że przyglądający się jej teraz Gabriel czuł wyrzuty sumienia na myśl o tym, że musi ją obudzić. *Pewnego dnia – pomyślał – Bóg zwolni cię ze służby i ponownie będziesz mogła być tą zwyczajną młodą dziewczyną. Bez Miecza Edenu, bez sztandaru, bez zbroi, bez bojowego okrzyku i bez krwi. Będziesz po prostu sobą.*

– Jeanne – powiedział łagodnie – Anglicy opuszczają pozycje.

Francuzi dostrzegli poruszenie po angielskiej stronie zaledwie kilka chwil wcześniej: wyglądało na to, że angielskie wojska wychodzą ze wszystkich umocnień, jakie do tej pory pozostawały w ich rękach, i ustawiają się w szyku marszowym.

Joanna obudziła się natychmiast – otworzyła powieki i obrzuciła Gabriela spokojnym, a zarazem czujnym spojrzeniem. Wciąż nie przestawała go zaskakiwać intensywność jej spojrzenia, tak jak wciąż na nowo zachwycał go intensywny szafirowy błękit jej oczu. Leżąc obok Joanny Fleur wybudzała się ze snu powoli, mamrocząc coś niewyraźnie i sennie mrugając powiekami.

– Gdzie? – zapytała krótko Joanna, a kiedy usłyszała odpowiedź, kazała natychmiast wezwać swoich giermków i szybko założyła zbroję.

Gabriel uczynił to samo.

Fleur przyglądała im się bezradnie z boku, wykręcając nerwowo palce. Na jej ślicznej twarzy malowała się troska.

– Jestem do niczego – wymamrotała. – Bez was nie byłabym w stanie poradzić sobie z żadnym niebezpieczeństwem. – Pod wpływem nagłego impulsu pocałowała ich oboje w policzki. – Wiem, że Bóg będzie z wami.

Gabriel i Joanna pieszo pokonali most na Loarze. Kiedy weszli do namiotu, rozstawionego na drugim brzegu rzeki, zastali w nim już Bastarda, La Hire'a, de

Rais'ego oraz kilku innych dowódców, pogrążonych w dyskusji.

– Co się dzieje? – zapytała stanowczym tonem Joanna.

– Niech mnie diabli, jeśli wiem – odpowiedział La Hire.

– Nie przeklinaj – napomniała go Joanna, choć tym razem uczyniła to z niezwykłym dla niej roztargnieniem. Spojrzała pytająco na Dunois.

– Ustawiają się na zachodzie – odparł Bastard. – To może oznaczać, że szykują się do frontalnego ataku... mogą rzucić przeciw nam wszystkie swoje siły.

Gabriel wiedział, że w ciągu ostatnich dwóch dni obie strony poniosły poważne straty. Zmasowany atak, jakiego obawiał się Dunois, kosztowałby życie setek ludzi. I mógł się zakończyć zwycięstwem Anglików.

– Dzisiaj jest niedziela – powiedziała Joanna. – Nie zaatakujemy pierwsi.

– Co takiego? – wykrzyknął de Rais. – Gdybyśmy ruszyli na nich natychmiast...

– Nie! – ucięła ostro Joanna. – Bastardzie, czy to prawda, że Anglicy ustawiają się w szyku marszowym?

W tej samej chwili do namiotu zajrzał jeden z ludzi Dunois.

– Mój panie – powiedział – Anglicy stanęli w polu, ale nie atakują.

Wszyscy jak jeden mąż ruszyli do wyjścia, by zobaczyć to na własne oczy. Rycerz miał rację. Anglicy znajdowali się na tyle blisko, by można było odróżnić twarze poszczególnych żołnierzy. Ich formacje zwrócone były frontem w kierunku francuskich pozycji, ich szeregi stale rosły, w miarę jak kolejne oddziały opuszczały okopy.

– To szyk bojowy – mruknął La Hire. Nikt nie potrafiłby ocenić tego lepiej od niego.

– Przywitajmy ich w ten sam sposób – powiedziała Joanna. – Bastardzie, każ naszym oddziałom ustawić się w szyku. Dokładnie tak, jak uczynili to Anglicy. Niech wszyscy Francuzi wyjdą w pole. Nie uderzymy pierwsi, ale powiedz ludziom jedno: jeśli Anglicy zaatakują nas w niedzielę, Bóg pobłogosławi nam w bitwie. Jeśli zaś Anglicy postanowią odejść, to odejdą stąd z Bogiem.

Widok ogromnych zastępów wroga, stojących tak blisko, a zarazem tak nieruchomo, nappełnił Gabriela grozą. Jego serce biło jak szalone, gdy dosiadł konia i u boku Joanny pokłusował na otwarte pole. Za ich plecami ustawiła się w szyku cała francuska armia, do której dołączyły oddziały orleańskiej milicji.

Przez niemal godzinę obie strony czekały beczynn timer, od czasu do czasu ciszę przerywało jedynie skrzywienie zbroi oraz tupanie zniecierpliwionych koni. W końcu jeden z angielskich dowódców wyłamał się z szyku i ruszył stępą w kierunku francuskich pozycji.

– To Talbot – mruknął Dunois i zebrał wodze, zamierzając wyjechać Anglikowi na spotkanie.

– Nie, Bastardzie – powstrzymała go Joanna. – Ja pojedę.

Obejrzała się na Gabriela i pokręciła głową. Gabriel zrozumiał, że zamierza pojechać bez swego Cienia. Z ciężkim sercem kiwnął głową i ze ściśniętym gardłem obserwował, jak Joanna podąża samotnie na spotkanie z owianym sławą angielskim rycerzem.

Talbot niespiesznie wyciągnął swój miecz z pochwy, ale nie uniósł broni. Gabriel poczuł wyraźnie atmosferę nerwowego napięcia, jaka na ten widok zapanowała w szeregach Francuzów. Kiedy spojrzął na pozycje Anglików, zobaczył, że ich żołnierze najwyraźniej szykują się do ataku. Nie ulegało wątpliwości, że gdy tylko ich dowódca da znak, bez wahania ruszą ławą na francuskie pozycje.

O dziwo, Gabriel nie czuł niepokoju. Przyglądał się, jak Joanna naśladuje gest Talbota i również dobywa miecza. Miecz Edenu zalśnił cudownym blaskiem, tak silnym, że Gabrielowi trudno było dostrzec wyraźnie kształt klingi, miał wrażenie, jakby Joanna trzymała w ręku małe słońce. Usłyszał za swoimi plecami kilka głębokich westchnień – francuskich żołnierzy opuściło napięcie. Teraz to angielskie szeregi zafalowały nerwowo. Gabriel zaczął się zastanawiać, czy Talbot widzi Joannę i czy jest w stanie dostrzec niezwykle światło bijące od jej miecza.

Jeśli tak, to opierał się skutecznie przez kilka długich minut. W końcu jednak skinął powoli głową i schował miecz do pochwy. Potem uniósł dłoń i zawróciwszy w miejscu konia, pogalopował ku swoim ludziom.

Angielskie oddziały jak na komendę wykonały w tył zwrot i zaczęły powoli opuszczać pole, na którym omal nie doszło do walnej bitwy.

Joanna także zawróciła swojego wierzchowca, kierując się ku swym żołnierzom. Jej twarz promieniała niemal tak intensywnie jak miecz, który wciąż ścisnęła w dłoni. Nie unosiła go w górę, obawiając się, że Francuzi mogliby uznać to za sygnał do ataku. Po chwili schowała broń do pochwy i wzniosła wysoko swój sztandar, a następnie spięła konia i puściła się galopem wzdłuż francuskich szeregów. Żołnierze i ochotnicy z Orleanu zgodnym chórem wznosili okrzyki na cześć Boga i Orleańskiej Dziewicy.

Oblężenie miasta trwało przez niemal siedem miesięcy.

Joanna Dziewica zakończyła je w dziesięć dni.

Jak się czujesz? – w głosie Victorii słyhać było prawdziwą troskę.

Simon nie wiedział, jak długo zdoła udawać, że wszystko jest między nimi w porządku. Na szczęście Victoria przypisywała jego nastrój zmęczeniu po bitwie.

– Myślę, że potrzebuję przerwy.

To chyba pierwszy raz, kiedy sam o nią prosisz.

– Wszystko ma swój pierwszy raz – odpowiedział.

Pora na lunch. Miałbyś ochotę coś zjeść? To wielki moment dla Joanny, Gabriela i Simona Hathawaya.

Zdobył się na wymuszony śmiech.

– Zamówię sobie coś i wrócę na chwilę do mojego biura. Poprawię dla ciebie te notatki, o których rozmawialiśmy.

Victoria zdjęła mu hełm.

– Mądrze do tego podchodzisz, Simon – powiedziała. – Czy domyśliłeś się już, w jaki sposób Joanna używa miecza?

– Nie, jeszcze nie – odpowiedział. – Możemy porozmawiać o tym później. Teraz potrzebuję trochę czasu, żeby się skupić.

Victoria pomogła mu odpiąć uprząż. Uśmiechała się przy tym.

– Czuję się trochę jak twój giermek. Pomagam ci ubierać i zdejmować twoją animusową zbroję.

– Muszę przyznać, że jesteś w tym bardzo dobra. Na szczęście moja zbroja nie jest tak zakrwawiona jak ta noszona przez Gabriela.

To miał być żart, ale kiedy Simon wypowiedział te słowa, natychmiast tego pożałował. Wiedział, jak gorliwi są templariusze w realizowaniu tego, co uważają za cele Zakonu. Nie był pewien, co takiego zrobił – lub czego był bliski – że postanowiono poddać go inwigilacji. Ale miał świadomość, że jeśli zrobi coś, co Zakon uzna za błąd, to jego życie znajdzie się w niebezpieczeństwie.

Wrócił myślami do swojego rytuału inicjacyjnego. Wtedy wydawał mu się niezwykle, niemal magiczny. Z jaką wiernością odtworzono historyczne szczegóły! Teraz nie był już do tego tak entuzjastycznie nastawiony. To się działo naprawdę, złożył przysięgę i na zawsze opuścił bezpieczną bańkę pracy naukowej.

Simon zeskoczył z platformy Animusa i podszedł do gabloty, na której leżała otwarta skrzynka z mieczem w środku. Spojrzał na miecz. Tak bardzo pragnął, żeby ten przedmiot wreszcie zdradził mu swoje sekrety.

– Simon?

– Hm?

– ...wiesz, że jestem po twojej stronie, prawda?

Był bliski wyjawienia jej, co wie, i zażądania wyjaśnień. Ale nie zrobił tego. Bo chociaż naprawdę chciał jej uwierzyć, to jednocześnie naprawdę wierzył Anayi, którą znał dużo dłużej. Mógł mieć jedynie nadzieję, że Victoria nie bierze czynnego udziału w tym... co się teraz dzieje.

Nonszalancko zamknął zatrzaski i podniósł skrzynkę.

– Zabieram to ze sobą do biura. Gdybym odkrył coś godnego uwagi, będę miał miecz pod ręką – poklepał skrzynkę i skierował się do drzwi.

– Simon, nie sądzę, żebyś miał uprawnienia, aby to zrobić. – Victoria wydawała się zaniepokojona.

Simon odwrócił się i spojrzał na swoją współpracowniczkę.

– Victorio, jestem szefem Działu Badań Historycznych, mam wszelkie uprawnienia, żeby to zrobić. Uważasz, że zaniosę to do British Museum albo do jakiegoś domu aukcyjnego? Zwrócę miecz jutro. – Uśmiechnął się do niej uspokajająco i szybkim krokiem ruszył w kierunku windy.

Wszedł do biura, niosąc pod pachą bezcenny Miecz Edenu, jakby to była skrzynka na trochę dłuższe róże. Nagle zdał sobie z czegoś sprawę.

Przestał się bać.

On, Simon Hathaway, był dzieckiem i wnukiem wysokich rangą templariuszy. Był fragmentem Dziedzictwa. Przez kilka lat sprawował funkcję Mistrza, zanim został jednym z dziewięciu – dziewięciu! – członków elitarnego Wewnętrznego Sanktuarium. Powinien zacząć zachowywać się tak, jak przystało na człowieka o jego pozycji. Jaki pożytek płynął dla niego z członkostwa w Wewnętrznym Sanktuarium, skoro go szpiegowano? Przypomniał mu się cytat z *Folwarku zwierzęcego* Geорга Orwella: „Wszystkie zwierzęta są sobie równe, ale niektóre są równiejsze od innych”.

Coś z tego, co robił, zaniepokoiło kogoś w Zakonie – być może Rikkina, być może kogoś, przed kim Rikkin odpowiadał. Nie chodziło o miecz, ponieważ Simon już przysiągł, że zrobi wszystko, co tylko będzie w stanie, żeby przywrócić mu dawną moc. Nie chodziło o zdobywanie informacji o asasynach, ponieważ odnajdywanie Mentorów, o których nie wiedzieli, należało do jego obowiązków.

To było coś innego. Rikkin lub któryś z jego podwładnych – a może przełożonych – nie chciał, żeby jakaś informacja ujrzała światło dzienne. Albo chciał, tylko wolał dowiedzieć się tego przed Simonem. Chodziło o coś ważnego i niebezpiecznego, ale Simon nie miał zamiaru dłużej się bać.

Niech podsłuchują jego samochód, jego biuro i Temp's. Niech podsłuchują jego rozmowy telefoniczne i śledzą, co robi na komputerze. Niech na miejsce pracowników Temp's podstawiają wyszkolonych agentów. Niech robią, co im się żywnie podoba. To bez znaczenia. Simon miał swoje książki, swój umysł i – przynajmniej na razie – dostęp do Animusa.

Zamierzał zrobić z tego użytek.

Alan Rikkin rozprostował wygodnie nogi, siedząc na tylnym siedzeniu rolls-royce'a. W roztargnieniu przyglądał się londyńskim krajobrazom, rozmawiając ze swoją córką,

Sofią, która oczekiwała go w Madrycie za kilka dni. W trakcie rozmowy usłyszał dźwięk informujący o nadejściu SMS-a. Odsunął telefon od ucha, żeby zobaczyć, kto jest nadawcą, powiedział Sofii „Zadzwoń do ciebie” i rozłączył się.

Uśmiech wykrzywił jego wąskie usta, kiedy przeczytał wiadomość od Victorii Bibeau.

„O zdobyty. Widziałam M w akcji.”

„Kiedy go zgubiła?”

„Jeszcze nie wiadomo.”

„Kiedy się dowiemy?”

„Nie wiadomo.”

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

„Proszę znaleźć miejsce, gdzie może pani swobodnie rozmawiać” – napisał.

Zadzwoił znów do Sofii i dokończył przerwana rozmowę. Jego Phantom sunął gładko ulicami, a Rikkin wyglądał przez okno. Z nieba zaczął padać zimny, rześisty deszcz, ale na ulicach wciąż było pełno ludzi. Kulili się pod jednakowymi czarnymi parasolami, szukali jakiegokolwiek zadaszenia, pod którym mogliby zaciągnąć się papierosowym dymem, kłócili się o to, kto był pierwszy w kolejce do upragnionej taksówki. Na twarzach, obojętnie, czy męskich, czy kobiecych, młodych czy starych, widać było strach, gniew lub cielejącą bezmyślność.

– Są oni jednym ludem – wymruczał Rikkin.

Oto żałośni nieszczęśnicy, o których tak troszczyli się asasyni. Dla niego te ludzkie indywidualia i ich błahe problemy nic nie znaczyły. I był święcie przekonany, że nie powinny nic znaczyć dla Zakonu Templariuszy, który tak wiele poświęcił dla urzeczywistnienia ideału ludzkości daleko szlachetniejszego niż to, co reprezentowały sobą te nędzne stworzenia.

Mięśnie w jego szczęce napięły się mocno, kiedy wystukiwał coś na swoim tablecie. Jego ciemne oczy zamigotały, a usta zacisnęły się w zamyślonym grymasie.

Proszę, proszę – pomyślał Rikkin. – Będziemy musieli działać bardzo ostrożnie. Naprawdę bardzo ostrożnie.

Jego telefon ponownie zawibrował. Victoria informowała go, że może już rozmawiać. Zadzwoił do niej natychmiast.

– Co, u licha – powiedział powoli, kładąc nacisk na kolejne słowa – miała pani na myśli, pisząc „nie wiadomo”?

– Dokładnie to, co napisałam. Profesor Hathaway nalega, żebyśmy odtwarzali wszystkie wydarzenia w porządku chronologicznym – odpowiedziała. – Boi się, że postępując inaczej, nie mielibyśmy pełnego wyobrażenia o tym, co się stało. Zdołałam jedynie przekonać go, żebyśmy nie odtwarzali każdej symulacji od początku do końca.

– Profesor Hathaway nie ogląda sobie teraz filmu w kinie. – W głosie Rikkina słychać było niebezpieczne wibracje. – Naprawdę chce mi pani powiedzieć, że nie ma pani dla mnie informacji na temat Miecza Edenu tylko dlatego, że jakiś zagrzebany w starych księgach nadęty nudziarz chce sobie po kolei wszystko poukładać?

– Sugerowałam profesorowi Hathawayowi, że powinniśmy pracować szybciej, ale

przesłanki, na których opiera on proponowane zmiany w Dziale Badań Historycznych...

– Znam te cholerne przesłanki, profesor Hathaway przedstawił je całkiem szczegółowo – warknął. Opanował jednak nieco swoje emocje i po chwili bardziej uprzejmym tonem dodał: – Pani doktor, jak pani myśli, dlaczego poprosiłem, żeby przedstawiała pani sprawozdania bezpośrednio mnie?

– Szczerze mówiąc, nie wiem – odpowiedziała. – Nie znalazłam niczego, co stawiałoby Hathawaya w niekorzystnym świetle. To lojalny templariusz, potomek lojalnych templariuszy. Błyskotliwy naukowiec i oddany swojej dziedzinie wiedzy historyk pragnący zwiększyć potencjał działu, którym zarządza. I jeśli mogę mówić szczerze, uważam, że za kilka dni ostatecznie udowodni słuszność swojego podejścia. Mamy miecz. Kilka razy na własne oczy widzieliśmy jego moc. Znaleźliśmy nie jedną, ale dwie osoby mające we krwi dużą dozę DNA Prekursorów. Dotarliśmy do asasynów wysoko postawionych w hierarchii Bractwa, w tym do nieznaney nam do tej pory Mentorki. Widzieliśmy przez chwilę rysunki wyryte przez de Molaya na ścianie, zanim uszkodził je czas lub zanim ktoś zrobił to specjalnie. Śledzimy losy miecza, bacznie przyglądamy się temu, jak posługuje się nim Joanna. Dowiemy się w końcu, w jakich okolicznościach go straciła i co go uszkodziło.

Rikkin milczał tak długo, że Victoria w końcu odezwała się pierwsza.

– Proszę pana?

– Doszło do pewnych nieprawidłowości – powiedział cicho.

– Nieprawidłowości?

– Związanych z biednym Fraserem.

– Ach, tak... Jestem tego świadoma.

– Dała pani Fraserowi informację, którą miał przekazać asasynom.

Teraz to ona ucichła.

– Owszem – odpowiedziała w końcu. – Ale przypomnę panu, że w tamtym czasie nie wiedziałam nic o prawdziwej naturze konfliktu między asasynami a templariuszami ani o celach Zakonu. Wiedziałam tylko, że istnieją dwie takie grupy.

Rikkin oczywiście był tego świadomy. Jak większość pracowników Abstergo we wszystkich oddziałach korporacji Victoria początkowo nie wiedziała nawet o istnieniu Zakonu. Tak jak ci wszyscy żałośni głupcy, których widział teraz za oknami swojego samochodu, brnących uparcie przez kałuże. Na ich życie składały się praca, sen, odurzanie się alkoholem i rozrywki, które miały pomóc im zapomnieć o własnej przeciętności. Mimo to nie zamierzał odnosić się do argumentu Bibeau. Jej punkt widzenia był nieistotny.

– Z powodu tego bałaganu musieliśmy zlikwidować Aidana Saint Claire'a. Zastanawialiśmy się też nad zlikwidowaniem pani. Wiedziała pani o tym?

Usłyszał głosny wdech po drugiej stronie słuchawki.

O – pomyślał – *jednak nie wiedziała.*

– Na szczęście miała pani wielu przyjaciół w Abstergo Entertainment, którzy poręczyli za panią. Udowodniła nam też pani swoją lojalność. Cieszymy się, że dotarliśmy do pani, zanim zrobili to asasyni. Byłoby nam bardzo przykro zobaczyć

panią w ich drużynie.

– Naprawdę wierzę, że zarówno templariusze, jak i asasyni pragną jak najlepiej przysłużyć się ludzkości – powiedziała Victoria.

Jej wyznanie zaskoczyło Rikkina.

– Doprawdy? – W tym jednym słowie pobrzmiwało wyraźne ostrzeżenie.

– Tak. Uważam jedynie, że podeście asasynów jest błędne.

Tym razem Alan Rikkin był zadowolony z tego, co usłyszał.

– Ale czy nasz przyjaciel profesor Hathaway jest tego samego zdania?

Oczywiście, że był. Lakoniczny naukowiec nigdy nie dał nikomu powodów do wątpliwości. Kochał ład, porządek i rytuały. Siedział w swojej wieży z kości słoniowej i nie musiał brudzić sobie rąk nieprzyjemną robotą. W tym czasie inni templariusze (na przykład członkowie zespołu Sigma, na czele którego stał Berg, a także jeszcze innych, głębiej zakonspirowanych komórek organizacji) musieli zajmować się wrywaniem chwastów z ich ogródka – asasynów, zdrajców i heretyków, którzy chcieli całkowicie zmienić zasady panujące w Zakonie.

Jednak Rikkin przeliczył się w tej kwestii. Jego zawołana aluzja nie wytrąciła Victorii z równowagi.

– Jest wiele rzeczy, na których się nie znam. Ale jestem naprawdę dobra w odczytywaniu intencji moich pacjentów. Niewątpliwie jest to jeden z powodów, dla których mnie nie zwolniono. Traktuję profesora Hathawaya tak jak każdy inny obiekt korzystający z Animusa, a nie jako kolegę – powiedziała dobitnym tonem.

– On nie zdaje sobie z tego sprawy, prawda?

– Wie, że przyjrzałam się jego profilowi psychologicznemu i że uważnie monitoruję jego stan w trakcie sesji w Animusie oraz po ich zakończeniu.

– A jednak rozmawia pani ze mną na jego temat. – Miał ją teraz jak na tacy i zamierzał to wykorzystać. – Co z tajemnicą lekarską, pani doktor?

– Prosił mnie pan...

– Prosiłem o raport na temat jego wyników wraz z pani opinią. Pani opinią jako współpracownicy Hathawaya. Dostarczyła mi pani to, o co prosiłem. Ja i Zakon jesteśmy pani za to wdzięczni. Nie może pani mieć ciasteczka i zjeść ciasteczka, doktor Bibeau.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Rikkin czekał. Dobrze wiedział, że cierpliwość popłaca. Po chwili usłyszał głos Victorii.

– Wierzę w zasady wyznawane przez członków Zakonu Templariuszy. Wierzę też w to, co chce zrobić Hathaway. Wierzę, że jest człowiekiem o bystrym umyśle i dobrym sercu i że uczestniczy w symulacjach, szczerze pragnąc służyć Zakonowi i poznać prawdę. Chyba pan nie powie, że te dwa pragnienia wykluczają się wzajemnie?

– Prawda – powiedział cicho – tak jak piękno jest w oku patrzącego.

– Złożyłam przysięgę – powiedziała Victoria. – Przysięgałam stać na straży zasad i wartości Zakonu. Przysięgałam nigdy nie zdradzić naszych sekretów ani naszych prawdziwych celów. Przysięgałam wywiązywać się z tych powinności aż do śmierci bez względu na cenę. – Jej głos był ostry i pełen złości. – Simon również złożył taką

przysięgę. Żadne z nas jej nie złamało. Daję panu moje słowo, że zgłoszę się do pana od razu, gdy nabiorę podejrzeń, że Simon w jakikolwiek sposób chciałby sprzeniewierzyć się tym zasadom. Wtedy zrobi pan to, co uzna za stosowne. Dopóki nie dojdzie do takiej sytuacji, proszę pozwolić mi wykonywać moją pracę, o ile nie chce pan, żebym sama się wycofała.

Alanowi Rikkinowi nie umknęło, że tym razem Victoria, mówiąc o profesorze, użyła jego imienia.

– Chcę się dowiedzieć, jak naprawić miecz. Chcę, żeby odzyskał swoją moc. Hathaway nie może uganiać się za jakimiś mrzonkami. Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno. Kolejną miłą pogawędkę utniemy sobie, kiedy będzie mi pani miała więcej do powiedzenia.

– Tak jest, proszę pana.

Zakończył rozmowę i odchylił się na oparcie fotela. Nie zauważał żadnych przejawów wielkości na ulicach Londynu, niewiele było jej także w polityce czy sztuce. Oto, jakie skutki dla świata miał wielki eksperyment z demokracją. Właśnie takiego świata pragnęli asasyni. Tymczasem ludzkość potrzebowała rządów silnej ręki. Ręki Zakonu Templariuszy. Jak zawsze w cenie były władza i pieniądze, ale w dzisiejszych czasach niemal nie spotykało się już ludzi, którzy oprócz tych dwóch rzeczy mieli jeszcze wizję.

Do tych nielicznych wyjątków należeli założyciele Abstergo. A wcześniej Wielcy Mistrzowie Zakonu. Jakub de Molay dla dobra Zakonu pozwolił spalić się żywcem.

Przypomniał sobie słowa ślubowania: *Czy przysięgasz stać na straży zasad i wartości naszego Zakonu?*

„*Ha, tu się pojawia przeszkoda*” – zacytował w myślach Szekspira.

„Wpisał kod do swojego telefonu i poczekał na odpowiedź.”

„Omega w stanie gotowości.”

„Zaktualizuj.”

„Faza 2 operacji Omega–104 niemal zakończona. Zalecana likwidacja i relokacja obiektu.”

Rikkin zawahał się. To całkowicie rozwiązałoby problem... ale mogłoby też niepotrzebnie przyciągnąć uwagę.

„Odpowiedź odmowna. Relokacja wystarczy.”

„Zrozumiano. Faza 1 operacji Omega-105 zakończona. Oczekujemy na instrukcje.”

„Zainicjować fazę 2.” Rikin przerwał na chwilę i zamyślił się. Nie miał na to czasu. „W razie absolutnej konieczności zgoda na zastosowanie procedury Podwójnego W.”

„Zrozumiano.”

SMS zniknął z wyświetlacza telefonu. Rikkin ziewnął i z roztargnieniem postukał telefonem w kolano.

Podwójne W.

Wyeliminować i Wymazać.

Miał nadzieję, że Simon nie posunie się o jeden krok za daleko.

Simon zamówił do biura koszyk Temp's Hard@Work, po czym usadowił się przy biurku, obłożył książkami i pogрузzył w lekturze. Pomimo ogromnej ilości wypitej przez niego herbaty, a także pomimo autentycznej fascynacji tematem, który próbował zgłębiać, źle przespana noc szybko dała o sobie znać i Simon przysnął za biurkiem. Krótka drzemka nie pomogła mu zregenerować sił, we śnie ponownie prześladowały go sceny z udziałem Jakuba de Molaya – tym razem widział go płonącego na stosie i przeklinającego swych oprawców.

Ocknął się nagle i wyprostował w fotelu, serce waliło mu jak młotem. Szybko jednak znalazł racjonalne wytłumaczenie powtarzających się snów o de Molayu. Joanna d'Arc spłonęła na stosie jako heretyczka, de Molay również poniósł męczeńską śmierć w płomieniach. Obie te postaci łączył też pobyt w baszcie Coudray, nawet jeśli przebywały tam w odstępnie stu lat. To naturalne, że teraz, kiedy każda sesja w Animusie przybliżała go do chwili, gdy stanie się świadkiem śmierci Joanny, jego myśli podświadomie ciążyły ku przywódcy Zakonu.

Sen przypominał Simonowi o tym, że nie otrzymał jak dotąd żadnych wieści z Działu Kryptologii. Wiedział, że Victoria, zanim jeszcze wysłała kryptologom zapis symulacji, przetłumaczyła – za pomocą odpowiedniej aplikacji – łacińskie inskrypcje wyrze na ścianach lochu. Simon był wtedy jednak tak podekscytowany odkryciem miecza, a potem tak zmęczony, że ostatecznie zapomniał zapytać Victorię, co oznaczały owe napisy. Teraz zdjął okulary i potarł oczy, po czym wstał z fotela i rozprostował kości.

– Kryptologia – wydał komendę komputerowi.

Przysiadł na biurku i czekał, wpatrując się w widoczne na monitorze barwne logo Abstergo. Po chwili na ekranie pojawiło się sympatyczne oblicze Zacha Morgensterna.

– Profesorze Morgenstern, miło pana wiedzieć.

– Och, witam, profesorze Hathaway. Witam i gratuluję awansu. Co mogę dla pana zrobić?

Przyjacielskie powitanie nieco zaskoczyło Simona.

– Zastanawiałem się właśnie, jak wam idzie rozszyfrowywanie graffiti de Molaya z zamku Chinon. Kilka dni temu wysłaliśmy wam zapis naszej symulacji.

Na dobroduszej, pomarszczonej twarzy Morgensterna pojawiło się kilka dodatkowych zmarszczek.

– Nie jestem pewien, co ma pan na myśli – odezwał się wyraźnie skonsternowany. –

Graffiti, o którym pan mówi, jest nam oczywiście dobrze znane. Czyżby podczas symulacji udało się panu zdobyć jakieś nowe informacje?

Simon zeszywniał.

– Mam rozumieć, że doktor Bibeau nie odzywała się do was w tej sprawie?

– Przez kilka ostatnich dni nie otrzymaliśmy żadnych nowych zleceń ani od doktor Bibeau, ani od nikogo innego. Chce pan, żebym to sprawdził?

– Ależ nie, proszę się nie fatygować. Sam ją o to zagadnę. Być może uznała, że musi jeszcze przestudiować zebrane materiały. Będziemy w kontakcie, profesorze. Do zobaczenia.

Simon pospiesznie zakończył połączenie. Czuł się zupełnie zbity z tropu. Graffiti z Chinon nie było niczym ważnym. Odkryte przez przypadek inskrypcje i rysunki z pewnością mogły uszczęśliwić Morgensterna i wszystkich, którzy uwielbiali zbierać nowe informacje o rzeczach dawno minionych – prawdę powiedziawszy, Simon także zaliczał się do tego grona – ale nie miały żadnego realnego wpływu na cokolwiek. Nie było zatem żadnego powodu, dla którego Victoria powinna była uznać wysłanie ich do kryptologów za coś pilnego.

Z drugiej jednak strony... nie było też żadnego powodu, dla którego miałyby z tym zwlekać.

Simon przypomniał sobie nagle, że może być obserwowany. Spokojnie wrócił na swój wygodny skórzany fotel i wziął do ręki monografię zamku Chinon, po czym zaczął ją od niechcienia kartkować. W końcu niby przypadkowo otworzył książkę na stronie ze zdjęciem rysunków de Molaya.

Podczas sesji w Animusie Simon odkrył, że wspomnienia jego przodka wydają mu się równie wyraźne, a może nawet wyraźniejsze od jego własnych. Victoria miała oczywiście swoją teorię na ten temat – według niej w trakcie symulacji jej uczestnik styka się z rzeczami, które są dla niego nowe i nieznanne i dlatego poświęca im więcej uwagi. W każdym razie wspomnienia Gabriela były wyjątkowo żywe i sugestywne. Kiedy Gabriel przebywał w podziemiach baszty Coudray, został poproszony, by przyjrzał się uważnie rysunkom na ścianach celi, i tak też uczynił. W trakcie symulacji Simon niespecjalnie skupiał się na szczegółach graffiti, jednak sen o Jakubie de Molayu ożywił w nim wspomnienia Gabriela.

Niektóre szczegóły zdążyły się już zatrzeć w jego pamięci. Ale pewien element szczególnie przykuł wtedy uwagę Gabriela i dzięki temu Simon doskonale go pamiętał. Chodziło o najbardziej charakterystyczny z wykonanych przez de Molaya rysunków: przedstawioną z profilu twarz mężczyzny, zapewne templariusza, wpatrującego się w słońce, które przypominało odwróconą łzę – lub też kroplę wody albo krwi, a nawet tarczę. Simon nie miał pojęcia, jak należało interpretować ten kształt. Jednego był za to pewien: słońce, które widział Gabriel, było płaskie, tak jak wszystkie pozostałe rysunki na ścianach celi, był to zaledwie kontur, dwuwymiarowy zarys, nic więcej.

Słońce uwiecznione na zamieszczonej w książce dwudziestowiecznej fotografii było natomiast wyraźnie wklęsłe. Na podstawie samego tylko zdjęcia Simon nie był w stanie stwierdzić, jak głębokie było to wgłębienie, ale nie miał wątpliwości, że ktoś

musiał poświęcić na jego wyźłobienie bardzo dużo czasu – a wszystko tylko po to, by następnie ponownie je wypełnić.

Wypełnić... a może tylko zamaskować?

Czyżby siedemset lat temu jakiś templariusz – być może sam de Molay – ukrył w tej wyźłobionej w kamieniu skrytce jakiś przedmiot, w nadziei na to, że zostanie on odnaleziony przez właściwą osobę? Jeśli tak, to co to mogło być? Jakiś klucz, klejnot, a może wiadomość?

A może Fragment Edenu?

Coś jeszcze nie dawało Simonowi spokoju. Zauważył, że na wykonanej współcześnie fotografii brakuje jednej z dwóch łacińskich inskrypcji, jakie Gabriel dostrzegł na ścianie celi. Została wymazana.

Simon zamknął książkę i sięgnął po komórkę na kartę. Był to dokładnie ten sam model telefonu co jego służbowa komórka, w którą wyposażyło go Abstergo – dzięki temu nie musiał się obawiać, że widok tego telefonu w jego rękach wzbudzi czyjeś podejrzania.

Szybko odszukał i zainstalował aplikację translacyjną, po czym wpisał łacińską frazę, którą wydobyły z zakamarków jego pamięci sny, jakie nawiedziły go ubiegłej nocy, tę samą frazę, którą ktoś usunął ze ściany celi de Molaya: *Si cor valet, non frangit*.

Na ekranie pojawiło się tłumaczenie: „Jeśli serce jest silne, to nie straci mocy”. Simon nie miał odwagi udać się z tym do Morgensterna. Jeśli stary profesor nie był zamieszany w ten... spisek, bo chyba tak trzeba to było nazwać, to Simon nie chciał go narażać na niebezpieczeństwo. Jeśli zaś był w to zamieszany...

Simon poczuł, jak w kieszeni marynarki wibruje jego drugi, służbowy telefon. Nie sięgnął po niego jednak, zamiast tego wrzucił do tej samej kieszeni telefon na kartę, po czym wstał i spokojnie wypił łyk herbaty. Dopiero kiedy odstawił filiżankę, wyciągnął służbową komórkę, tak jakby dopiero teraz poczuł wibrację.

Odebrał wiadomość, nadawcą okazała się Victoria. „Jak się miewasz?”

Cóż, jestem zaniepokojony, wściekły i bardzo ciekawy, co tu się do cholery dzieje – pomyślał z goryczą, po czym odpisał: „Lepiej. Kilka jajek po szkocku i ciepłych bułeczek bardzo poprawia samopoczucie. Wysłałam ci listę, za 20 minut możemy spotkać się w Sali Animusa i wszystko przedyskutować”.

„Jak ty to robisz, że utrzymujesz formę przy takiej diecie?”

„Mam dobre geny” – odpisał. Włożył telefon do kieszeni i usiadł za biurkiem. Jego wzrok padł na leżący obok miecz. W istocie dobre geny. Podsunął sobie klawiaturę i zaczął pisać.

Simon, z mieczem pod pachą, wszedł wraz z Victorią do windy, która miała zawieźć ich do Sali Animusa.

– Myślę, że to świetny plan. W ten sposób możliwie najlepiej wykorzystamy czas, jaki nam pozostał – powiedziała Victoria, przyglądając się przysłanej przez Simona liście. – Miałaś rację co do angielsko-francuskiego impasu, do którego doszło pod Orleanem. Nigdy bym nie pomyślała, że miecz odegra tam jakąś rolę, a jednak okazało się, że odegrał, i to kluczową.

– Wszystkie relacje na temat Joanny wydają się zgodne, nigdy nie odebrała nikomu życia. Nigdy też nie użyła miecza do zaatakowania przeciwnika – powiedział Simon.

– No, chyba że za atak uznamy przepędzenie obozowych prostytutek – wtrąciła z uśmiechem Victoria.

Simon udał rozbawienie.

– Cóż, rzeczywiście – przytaknął. – Źródła podają za to, że niejednokrotnie wykorzystywała miecz do obrony. Kiedy ją atakowano, potrafiła się bronić i odeprzeć napastnika.

– Tego nie mieliśmy jeszcze okazji zobaczyć – zauważyła Victoria. – To kolejna rzecz, którą warto byłoby dodać do naszej listy. Żałuję, że nie mieliśmy do dyspozycji więcej czasu, ale i tak udało nam się już bardzo wiele osiągnąć.

Simon pomyślał gniewnie, że mogliby osiągnąć znacznie więcej, gdyby tylko oboje zachowywali się jak lojalni partnerzy. Zaczynał niemal żałować, że Anaya poinformowała go o swoich podejrzeniach. Wiedział jednak doskonale, że dla templariusza niewiedza znacznie częściej bywa śmiertelnym niebezpieczeństwem niż błogosławieństwem.

– Przed nami wciąż długa droga – powiedział. – Jak mawiała Joanna, lepiej dziś niż jutro. No dobrze... Po olśniewającym zwycięstwie Dziewicy pod Orleanem delfin był z niej bardzo zadowolony. Podczas narady wojennej dowódcy oraz członkowie rady królewskiej dyskutowali nad tym, jaki powinien być następny krok w wojnie z Anglikami. Karol posłuchał rady Joanny. Dziewica za wszelką cenę chciała doprowadzić delfina do Reims, gdzie miała się odbyć jego formalna koronacja. Zamiast więc pomaszerować na Paryż czy Normandię, francuskie wojska zaczęły torować Karolowi drogę do Reims. Dowództwo armii operującej w Lotaryngii powierzono Alençonowi, który we wszystkim słuchał się Joanny.

Winda zatrzymała się i po chwili Simon i Victoria, wciąż pogrążeni w dyskusji, znaleźli się w Sali Animusa. Simon ostrożnie położył na podłodze drewnianą skrzynkę z mieczem, po czym wszedł na platformę.

– Brzmi to tak, jakby francuska kampania była nieprzerwanym pasmem zwycięstw – zauważyła Victoria, pomagając Simonowi pozapinać kolejne pasy.

– Historycy też często nie mogą się temu nadziwić – przyznał Simon. – Trzeba pamiętać o wpływie, jaki na przebieg wojny miało morale walczących stron. Joanna przywróciła Francuzom nadzieję. Do Anglików z kolei wciąż docierały niesamowite historie o niepokonanej kobiecie, dysponującej magicznymi zdolnościami i dokonującej coraz to nowych cudów. Jeden z kronikarzy opisywał przygnębienie, jakie ogarnęło angielskich żołnierzy na wieść o wydarzeniach, które miały miejsce podczas wyzwolenia Orleanu. Pamiętasz Fastolfa?

Simon miał już na głowie hełm i kiedy usłyszał odpowiedź Victorii, wokół niego powoli gęstniały już mgły Korytarza Pamięci.

Czy to przypadkiem nie ten, który prowadził angielskie posiłki pod Orlean? Ten, którego przybycia nie chciała przegapić Joanna?

– Właśnie ten. Joanna w końcu dostała od losu szansę, by zmierzyć się z nim w bitwie. Dowodzona przez Fastolfa armia wlokła się i dotarła nad Loarę ze

znacznym opóźnieniem, przede wszystkim dlatego, że jego ludzie mieli fatalne morale. Joanna, co prawda, nie wygrała wojny stuletniej, ale niewątpliwie odwróciła losy tego konfliktu. Kampania w Dolinie Loary składała się z pięciu bitew. Przekonajmy się, którą z nich pokaże nam nasz algorytm.

Sobota 11 czerwca 1429 roku

Okolice Jargeau

Gabriel pomyślał, że dobrze znowu mieć na sobie zbroję. Przez ostatni miesiąc król i jego doradcy zastanawiali się, co dalej robić. W końcu jednak Joanna oraz wielu spośród walczących u jej boku pod Orleanem, gdzie krok po kroku doprowadziła do przełamania angielskiego oblężenia, ponownie ruszyli razem w pole. Poza Gabrielem, Joanną i jej braćmi był tam także Gilles de Rais, La Hire oraz Bastard Orleański. Tym razem jednak, ku zadowoleniu Joanny, na czele armii stał nie Bastard, tylko księżę Alençon.

Fleur także wyraziła chęć uczestniczenia w wojennej wyprawie. Joanna i Gabriel usiłowali jej to wyperswadować, ale jasnowłosa dziewczyna wykazała się uporem na miarę tej, którą darzyła tak wielkim podziwem.

– Co ja tu bez was pocznę? Żadna szlachetnie urodzona dama nie zgodzi się, żeby jej córki przyjaźniły się z byłą dziewczką obozową – przekonywała. – Ci wszyscy ludzie są dla mnie mili tylko z uwagi na ciebie, Jeanne. Kiedy stąd odjedziesz, ja też będę musiała pójść precz. Wszystko, czego chcę, to być blisko ciebie i twojego światła. Zapytaj, co myślą o tym twoje Głosy.

Joanna zapytała – i Fleur wyruszyła razem z nimi.

Znajdowali się o godzinę drogi od otoczonego murami miasta Jargeau. W namiocie księcia toczyła się narada i oczy wszystkich jej uczestników utkwione były w rozłożonej na stole mapie.

– Role się odwróciły – zauważył Alençon. – Poprzednio to Anglicy musieli głowić się nad tym, jak zdobyć ufortyfikowane miasto.

– Angielska załoga w Jargeau ma pod dostatkiem broni i prochu – stwierdził Bastard. – Nie znamy dokładnej liczby ich ludzi, ale z pewnością jest ich tam wielu.

Joanna do tej pory przysłuchiwała się naradzie w milczeniu, jednak teraz, widząc wahanie rycerzy, dała wyraz swojemu zniecierpliwieniu.

– Przybyliśmy tu po to, by zdobyć to miasto – powiedziała cierpko. – Tak czy nie?

Bastard odwrócił ku niej głowę.

– Tak, ale żeby tego dokonać, trzeba obrać odpowiednią taktykę. Być może lepiej będzie działać ostrożnie, przynajmniej do czasu, aż rozeznamy się w liczebności i uzbrojeniu nieprzyjaciela.

Joanna sapnęła z irytacją.

– Nie powinniście się lękać ani o liczbę Anglików, jakakolwiek by ona była, ani o żadne trudności – oświadczyła, opierając jedną dłoń na rękojeści swego miecza, a drugą kładąc na wysokości serca. Z jej twarzy biła niezachwiana pewność i francuscy dowódcy wydali się nieco uspokojeni.

– Zgódźmy się na kompromis – zaproponował Alençon. – Zaczniemy od oczyszczenia przedmieść. Damy Anglikom szansę, by się poddali. Kiedy już zajmiemy dogodną pozycję, wtedy przypuścimy szturm.

Z mgieł Korytarza Pamięci wyłoniły się mury Jargeau – wyglądały jednak zupełnie inaczej niż dzień wcześniej. Wielogodzinny ostrzał prowadzony przez francuską artylerię uszkodził miejskie fortyfikacje do tego stopnia, że jedna z baszt zupełnie legła w gruzach.

Natarcie Francuzów wreszcie zaczynało przynosić rezultaty. Jeden ze stojących na blankach Anglików, prawdziwy olbrzym, przed długi czas niezwykle skutecznie uprzykrzał Francuzom życie – potężnymi kopniakami odtrącał kolejne przystawiane przez nich drabiny, które łądowały na ziemi razem ze wspinającymi się po nich żołnierzami, a także zrzucił na głowy szturmujących ciężkie żelazne kule. Dopiero kiedy jeden z orleańskich strzelców położył go celnym strzałem ze swojej hakownicy, Francuzi zaczęli w końcu zdobywać przewagę.

Gabriel, wydając z siebie nieartykułowane wrzaski, rzucił się na najbliższego angielskiego żołnierza. Zasłonił się mieczem, zablokował cios przeciwnika i jednocześnie wykorzystał własny impet, by staranować Anglika. Żołnierz zachwiał się i runął na ziemię. Gabriel napałł mieczem na miecz leżącego na plecach wroga, ale ten wciąż stawiał zacięty opór. W pewnej chwili Anglik uniósł lewą rękę, odsłaniając niechronione pancerzem miejsce pomiędzy tarsem i ramieniem. Gabriel błyskawicznie wyciągnął zza pasa sztylet i wbił go w ciało nieprzyjaciela.

Gdy wydobył ostrze, z rany buchnęła krew. Zdyszany Gabriel dźwignął się z ziemi i rozejrzał się, szukając wzrokiem Joanny. Dziewica nigdy nie wymagała od swych żołnierzy, by stawiali czoła niebezpieczeństwu, któremu ona sama nie potrafiłaby sprostać. Teraz także znajdowała się między swoimi ludźmi, w samym centrum bitwy. Gabriel poczuł, że na widok galopującej na koniu ze sztandarem w dłoni dziewczyny rośnie w nim serce. Kiedy Joanna dobyła miecza, oddech Gabriela wyrównał się, a w jego ramiona wstąpiły nowe siły. *Dopóki ona i jej miecz są przy nas, jesteśmy niepokonani.*

Nagle Joanna osadziła konia i zaczęła rozglądać się dookoła, dopóki w tłumie walczących nie dostrzegła swojego Cienia.

– Gabrielu! – krzyknęła rozpaczliwie. – Odjedź stamtąd! Szybko, bo inaczej ta machina cię zabije! – Wyciągnęła rękę i wskazała na ustawioną na szczycie murów niewielką bombardę.

Obsługujący ją żołnierz wydawał się mierzyc w innym kierunku, mimo to Gabriel ile sił w nogach pobiegł ku Joannie, która śledziła go wzrokiem z grzbietu swego niespokojnego wierzchowca. Kiedy Gabriel znalazł się przy niej, pochyliła się

i dotknęła go, tak jakby chciała się upewnić, że jest cały i zdrowy. Potem uśmiechnęła się z ulgą i pogalopowała dalej. Gabriel ruszył za nią i w tym samym momencie rozległ się głośny huk.

Słyszał już wiele okropnych odgłosów bitwy, ale dopiero ten sprawił, że obejrzał się za siebie i spojrzął tam, gdzie stał jeszcze kilka chwil wcześniej.

Na ziemi, w miejscu, które opuścił przed momentem, dostrzegł ciało jednego z francuskich żołnierzy, który nie usłyszał lub nie posłuchał ostrzeżenia Joanny. Zamiast głowy nieszczęśnika Gabriel ujrzał tylko krwawą szkarłatną miazgę.

Gabriel zatoczył się do tyłu i przeżegnał się drążącą ręką. Potem odwrócił się i pobiegł w ślad za Joanną.

Joanna zdążyła już tymczasem podjechać do otaczającego miasto muru i rozpoczęła wspinaczkę po jednej z przystawionych do niego drabin. Kiedy dotarła do połowy jej wysokości, zatrzymała się i prawą ręką sięgnęła ku rękojeści zawieszonoego u pasa miecza. Odwróciła się, by przemówić do szturmujących miasto Francuzów, znajdowała się jednak zbyt daleko, a bitewny harmider był zbyt głośny, by Gabriel mógł usłyszeć jej słowa. Nagle kątem oka dostrzegł jakiś ruch.

Jeden ze stojących na blankach Anglików chwycił w obie ręce wielki kamień. Gabriel niczym zahipnotyzowany przyglądał się, jak żołnierz unosi kamień w górę...

...i ciska go prosto na niczego niepodejrzewającą Joannę.

– Jeanne!

Gabriel nie był w stanie się poruszyć, w jego głowie zahuczały wypowiedziane przez nią wcześniej słowa: *został mi jeszcze tylko rok, może nieco więcej...*

Joanna wyciągnęła miecz z pochwy i ostrze eksplodowało światłem. Dokładnie w tej samej chwili w jej hełm uderzył kamień. Gabriel, oślepiiony nieziemskim blaskiem, z trudem dostrzegł, jak rozłupany hełm pęka na pół i jego części spadają na ziemię, tak jak kamień, Joanna oraz miecz, który wysunął się z jej dłoni.

Francuscy żołnierze porwali dziewczynę z ziemi i pospiesznie przenieśli ją na bezpieczną odległość od murów miasta. Gabriel zaczął przeciskać się w tamtym kierunku, raz po raz wykrzykując imię Joanny.

– Dzięki Bogu! – jęknął, kiedy zobaczył, że Joanna otwiera oczy.

Zamrugła, wciąż lekko zamroczona, po czym uśmiechnęła się do niego.

– Nic mi nie jest – uspokoiła zebranych wokół niej żołnierzy, którzy pomogli jej stanąć na nogi, pokrzykując przy tym głośno z radości. I rzeczywiście, z każdą chwilą zdawała się dochodzić do siebie. – Mój miecz! – zawołała.

Jeden z żołnierzy podał go jej pospiesznie. W jego rękach miecz nie wykazywał żadnych niezwykłych właściwości, ale gdy tylko Joanna zacisnęła dłoń na rękojeści, broń momentalnie ożyła. Dziewczyna uniosła miecz w górę i powiodła wzrokiem po twarzach mężczyzn, którzy poszliby za nią choćby i do doliny śmierci, gdyby tylko ich o to poprosiła.

– Przyjaciele! – krzyknęła głośno, odwracając się ku kamiennym murom Jargeau. – Na mury! Na mury! Nasz Pan odwrócił się od Anglików! Ich godzina wybiła, należą do nas!

Właśnie takich słów zachęty potrzeba było francuskim żołnierzom. Rzucili się do

ataku i po drabinach zaczęli wdzierać się na blanki tak tłumnie, że Anglicy nie byli w stanie ich odeprzeć. Simona zaczęła powoli otaczać mgła, ale zdążył jeszcze usłyszeć głos wołający po angielsku: „Nie! Poddajemy się, słyszycie? Poddajemy się!”.

Okrzyk księcia Suffolk rozległ się jednak zbyt późno. Zagłuszyły go triumfalne wrzaski tych, którzy święcie wierzyli, że walczą w imię boże i dlatego nie mogli przegrać.

Victoria także usłyszała rozpaczliwy krzyk angielskiego dowódcy. *Czy Alençon przyjął jego kapitulację?*

– W ogóle nie miał okazji go wysłuchać – odparł Simon z ciężkim sercem. – W chaosie, jaki ogarnął miasto po wdarciu się Francuzów, nikt nie zwrócił na to uwagi. Niektórzy z Anglików próbowali ratować się ucieczką, ale dokąd mogli uciec? Wielu zabito na miejscu, a część trafiła do niewoli. Co gorsza, większość jeńców została później zamordowana.

Joanna nie mogła czegoś takiego nakazać!

– Wszystko wskazuje na to, że nigdy się o tym nie dowiedziała. W każdym razie nie ma na to żadnych dowodów.

Cieszę się. Gdyby się o tym dowiedziała, byłaby zdruzgotana.

Rzeczywiście – pomyślał Simon. On także czuł się przybity. Słowa wyrwały mu się z ust, zanim zdążył je powstrzymać:

– Joanna powiedziała kiedyś, że nie lęka się niczego oprócz zdrady.

Zapadła cisza.

Pracuję z dziećmi w jej wieku – odezwała się w końcu Victoria – *Może o rok czy dwa młodszymi od Joanny. Świadomość tego, co ją czeka, jest trudna do zniesienia. Wyobrażam sobie, jak musi być ci ciężko.*

Nie – pomyślał Simon. – *Nie sądzę, żebyś była w stanie to sobie wyobrazić.*

To dziwne – powiedziała po chwili Victoria. – *Wygląda na to, że Animus nie może się zdecydować, co nam teraz pokazać.*

– Być może dlatego, że Miecz Edenu nie odegrał szczególnie ważnej roli w trzech kolejnych bitwach – stwierdził Simon. – Bitwa pod Meung-sur-Loire rozegrała się w ciągu jednego dnia. Armia Joanny liczyła w tamtym czasie około siedmiu tysięcy ludzi. Zamiast szturmować zamek i miasto, Francuzi uderzyli na pobliski silnie ufortyfikowany most. Zdobyli go i obsadzili swoimi ludźmi, po czym pomaszerowali prosto na Beaugency.

Gdzie rozegrała się czwarta bitwa kampanii w Dolinie Loary – wtrąciła Victoria.

– Właśnie. Cała bitwa sprowadzała się tak naprawdę do ostrzału miejskich fortyfikacji przez francuską artylerię. W końcu zmęczeni Anglicy zdecydowali się poddać. Mniej więcej w tym samym czasie w okolice miasta nadciągnęły wojska dowodzone przez Fastolfa, armia Joanny także otrzymała wzmocnienie. I w ten sposób dochodzimy do bitwy pod Patay, będącej całkowitym przeciwieństwem bitwy pod Agincourt, a zarazem największym militarnym sukcesem Joanny d’Arc. Fastolf i Talbot ustąpili pod naporem Francuzów i wycofali się do Patay. Joanna zapewniła Alençona, że jak ona to ujęła, „choćby nawet Anglicy wisieli w chmurach, to i tak ich

dopadniemy. Dziś nasz król będzie mógł cieszyć się z największego zwycięstwa, jakie kiedykolwiek odniosła jego armia. Moje Głosy mówią mi, że ci Anglicy należą do nas”.

Domyślam się, że faktycznie tak się stało.

– Ostrożne szacunki mówią o dwóch tysiącach zabitych po stronie angielskiej. Francuzi wzięli też wielu jeńców, w tym samego Talbota, którego pojmanie musiało sprawić Joannie szczególną satysfakcję.

A ile było ofiar po stronie francuskiej?

– Trzy.

Trzy... tysiące? Trzy setki?

– Nie. Francuzi stracili trzech ludzi. Un, deux, trois. Bitwa trwała niecałą godzinę, a Joanna najprawdopodobniej nie miała nawet okazji zobaczyć całego jej przebiegu. Anglicy zamierzali urządzić zasadzkę. Pech chciał, że na szukających dogodnej kryjówki w zaroślach angielskich łuczników wyskoczył nagle jeleń. Zaskoczeni Anglicy podnieśli głośny wrzask.

Żartujesz sobie.

– Ani mi to w głowie. O wyniku wielkich bitew często decydują drobiazgi. W tym przypadku był to jeleń, który nawiasem mówiąc, w chrześcijańskiej tradycji uchodzi za symbol Chrystusa. Spłoszone zwierzę wybiegło z zarośli, zdradzając Francuzom miejsce, w którym kryli się Anglicy. Reszta jest, dosłownie i w przenośni, historią.

Zwierzę symbolizujące Chrystusa ostrzeża Francuzów. Aż trudno w to uwierzyć.

– Joanna była niezwykczona, dopóki miała swój miecz – stwierdził Simon. – I wydaje mi się, że wiem, gdzie go utraciła.

Doprawdy?

– Powiedzmy, że mam podejrzenie graniczące z pewnością. Jeśli przyjmiemy, że Joanna była niepokonana za sprawą miecza, to płynie z tego logiczny wniosek, że musiała stracić go tam, gdzie poniosła swoją pierwszą klęskę. Ale... nie chcę przenosić się tam już teraz. Najpierw chciałbym zobaczyć Joannę podczas koronacji.

Chciałbym zobaczyć ją szczęśliwą i dumną z tego, co udało jej się osiągnąć – pomyślał Simon. – Otoczoną podziwem i szacunkiem, na jaki zasługiwała. Choćby przez krótką chwilę. Zanim wszystko straci i jej życie zamieni się w piekło.

Ja także chciałabym to zobaczyć – przyznała Victoria. Mgły rozproszyły się i oczom Simona ukazał się wysoki sufit oraz piękne kontury katedry w Reims, na pomalowanych na biało ścianach tego arcydzieła architektury błyskały kolorowe plamy światła, które wpadało do środka przez ozdobione witrażami okna.

Gabriel miał na sobie zbroję, ale tym razem nie stał pośród towarzyszy broni, lecz w otoczeniu swoich bliskich. Kiedy Gabriel posłał do domu wieści o marszu francuskiej armii na Reims oraz o mającej się odbyć w katedrze koronacji, Durand Laxart przybył tam aż z Domrémy. Rodzina Joanny także stawiała się niemal w komplecie. Jej ojciec Jacques, który obawiał się, że mała Jeannette „ucieknie z żołnierzami”, stał teraz w kościelnej ławie obok swojej żony Isabelle. Na pierwszy rzut oka wydawali się dość niezwykłą parą: Jacques, mężczyzna wzbudzający respekt, imponującej postury, o kruczoczarnych włosach – i Isabelle, drobna i pełna ciepła.

Ale Gabriel, który miał okazję poznać ich oboje, wiedział, że oboje byli mądrymi ludźmi o wielkich sercach. Oprócz rodziców Joanny w katedrze obecni byli także jej bracia. Brakowało jedynie Catherine, która była zbyt chorowita, by mogła odbyć długą i męczącą podróż do Reims.

Drzwi katedry rozwarły się z głośnym hukiem i zgromadzony tłum powitał okrzykami czterech zakutych w zbroje rycerzy, którzy wjechali do głównej nawy na potężnych bojowych wierzchowcach. Byli to Strażnicy Świętego Oleju Clovisa, którym od 496 roku namaszczano każdego króla Francji. Legenda głosiła, że olej ten został przyniesiony do katedry przez czterech aniołów wysłanych przez Boga. Jak dowiedział się Gabriel, pozostałe insygnia koronacyjne zostały skradzione z katedry przez angielskich okupantów Reims, którzy opuścili miasto zaledwie poprzedniej nocy. Jednym z tych, którzy dopuścili się tej haniebnej kradzieży, był święty mąż i były rektor paryskiego uniwersytetu Pierre Cauchon. Królewskie insygnia przepadły, ale nieprzyjaciel nie mógł przecież ukraść katedry – nie udało mu się także ukraść Oleju Clovisa.

Gabriel podchwycił spojrzenie Gilles'a de Rais'ego i z trudem powstrzymał cisnący mu się na usta uśmiech. Młody, nieco szalony arystokrata mianowany został jednym ze Strażników Świętego Oleju. Myśl o tym, że ktoś taki jak de Rais miał zastępować anioła, wydawała się Gabrielowi dość komiczna.

Wiwaty i radosne okrzyki osiągnęły apogeum, gdy do katedry wkroczył delfin.

Zaszczyt towarzyszenia Karolowi w drodze po koronę przypadł Joannie, La Pucelle, Dziewicy Orleańskiej.

– Jeanne – wyszeptał Gabriel. Jego serce przepelniała radość i duma. Joanna kroczyła główną nawą katedry wyprostowana, trzymając oburącz swój sztandar i bardzo starając się nie uśmiechać. A jej twarz, ach, jej twarz promieniowała uniesieniem i radością z wypełnienia misji powierzonej jej przez Boga. Blask, jaki od niej bił, wydawał się jaśniejszy od światła wpadającego przez ogromne okna, jaśniejszy od światła świec, jaśniejszy niż wszystko, co Gabriel mógłby sobie wyobrazić. Nie był w stanie oderwać od niej oczu i pojął, że już nigdy nie będzie w stanie tego uczynić. Choćby miał dożyć stu lat, to do końca swych dni zachowa w sercu i pamięci ten moment. Nigdy nie zapomni widoku jej lśniących szafirowych oczu, pełnych błęgiego spokoju.

Anaya musiała przyznać sama przed sobą, że pomaganie Benowi we wdrożeniu się w nowe obowiązki sprawiało jej całkiem sporo frajdy. Tak naprawdę wcale nie był od niej dużo młodszy, po raz kolejny utwierdziła się w żywionym od dawna przekonaniu, że wszyscy Amerykanie wydają się młodszy, niż są w rzeczywistości. Kiedy już przyzwyczaiła się do przesadnie entuzjastycznego sposobu bycia Bena, odkryła, że jest niesamowicie inteligentny i bardzo, ale to bardzo bystry. Niemal zbyt bystry. Któregoś dnia dała mu do rozwiązania jakieś programistyczne zadanie, spodziewając się, że zajmie mu to przynajmniej kilka godzin, w czasie których będzie mogła spokojnie zająć się własnymi obowiązkami. Okazało się, że Ben uporał się z problemem, zanim jeszcze zdążyła wrócić do swojego biurka z kubkiem latte.

– Musisz uważać na tych tutaj – powiedziała, wskazując na swoich kolegów. – Będą szaleć z zazdrości.

– Co takiego? Chyba nie chcesz powiedzieć, że jest jeszcze lepszy od ciebie, Ny? – zapytał Andrew, przykładając sobie rękę do piersi i robiąc przerażoną minę.

– Nonsens – odparła. – Gdyby tak było, to pod koniec roku to nie ja, tylko on przenosiłby się do Montrealu.

Zakłopotanemu Benowi momentalnie zaczerwieniły się czubki uszu. *Urocze* – pomyślała Anaya. Uśmiechnęła się, po czym usiadła obok Bena, by przejrzeć wymyślone przez niego rozwiązanie.

Starła się skupić na pracy, ale myśli o Simonie nie dawały jej spokoju. Uzgodnili, że ograniczą swoje kontakty do minimum, ale Anaya poprosiła, by Simon dał jej znać o wszystkim, czego się dowie. Ona, rzecz jasna, miała zrobić to samo.

Simon był błyskotliwym, choć trochę nazbyt sztywnym facetem. Anaya wiedziała, że przeszedł szkolenie z zakresu technik samoobrony. Wiedziała również, że zdawał sobie sprawę z przynajmniej części sekretnych i mrocznych poczynań Zakonu. Ale, o ile było jej wiadomo, nigdy nie musiał wykorzystywać tych technik w praktyce, nigdy też nie brał udziału w owych poczynaniach. W przeciwieństwie do Anayi, która w przeszłości robiła to wielokrotnie, i gdyby zaszła taka konieczność, gotowa była zrobić to ponownie. Była pewna, że Simon również byłby w stanie się na to zdobyć. Nie potrafiła jednak przewidzieć, jaki wpływ by to na niego wywarło. Gdyby musiał stanąć do walki, zabijać i dokonywać okrutnych wyborów – czy po tym wszystkim pozostałby sobą? Anaya zdała sobie sprawę, że wcale nie chce się o tym przekonywać.

Skoncentrowała się na analizowaniu napisanego przez Bena kodu.

– Aha – powiedziała po chwili. – Więc jednak nawet tobie zdarza się coś sknocić, cudowne dziecko.

Ben podsunął swoje krzesło bliżej biurka.

– Że co? – zapytał z niedowierzaniem. – Mógłbym przysiąc, że się nie pomyliłem.

Anaya wskazała błąd palcem i uniosła brwi. Ben się roześmiał.

– Dobrze już, dobrze. Więc jednak się pomyliłem. Błędy nie pojawiają się same.

– Zacznij od początku – powiedziała Anaya, a Ben jęknął zrezygnowany.

*

– Dlaczego właściwie wylądowaliśmy w Snack Shacku, a nie w Temp's? – zapytała Victoria. – Nie żebym miała coś przeciwko temu. Sam wiesz, że uwielbiam kawę.

Bo nie chcę przez cały czas myśleć o tym, że z Jakiegoś Tajemniczego Powodu Poole zniknęła jak kamfora.

– Bo musimy omówić ostatni etap życia Joanny, a to nie jest dla mnie przyjemny temat – powiedział na głos. To także była prawda.

– Może powinniśmy odbyć tę rozmowę przy piwie – spróbowała zażartować Victoria.

– Lepsza byłaby butelka szkockiej – mruknął Simon. – W porządku, zaczynamy. – Siedzieli obok siebie na sofie i Simon położył swój tablet na małym stoliku, tak aby oboje dobrze go widzieli. – W telegraficznym skrócie wygląda to następująco. Po koronacji Karol zapragnął nagle rozwiązać konflikt z Anglikami na drodze dyplomatycznej, zamiast na polu bitwy.

– Co nie jest chyba wcale takim złym pomysłem.

– Masz rację, nie jest... no, chyba że w szeregach swojej armii masz Joannę d'Arc z Mieczem Edenu, a ludzie, z którymi prowadzisz negocjacje, nie mają zamiaru dotrzymywać żadnych ustaleń. – Simon skrzywił się z niechęcią. – Nie uśmiecha mi się mówienie w ten sposób o templariuszach, ale taka jest prawda. W tamtym czasie większość wpływowych postaci na angielskim dworze stanowili templariusze albo przynajmniej osoby cieszące się poparciem Zakonu. Templariuszem był też z całą pewnością Filip Burgundzki. Karol, jak zdążyłaś się już zorientować, miał wyjątkowo chwiejny charakter i templariusze nie omieszkali tego wykorzystać na swoją... na naszą korzyść. W pewnym momencie uformowała się niezbyt święta trójca w osobach księcia Burgundii, szambelana na dworze Karola, czyli Georges'a de La Tremoille, oraz angielskiego regenta, Jana księcia Bedfordu. Ci trzej blisko ze sobą współpracowali, oficjalnie po to, by negocjować warunki do zawarcia pokoju, ale rezultaty tych negocjacji dziwnym zbiegiem okoliczności okazywały się korzystne jedynie dla Anglików i Burgundczyków.

– Wkrótce po koronacji Karola – ciągnął dalej Simon – księżę Burgundii zaproponował mu zawarcie dwutygodniowego rozejmu. Karol miał się zobowiązać, że w czasie jego trwania nie zaatakuje Paryża. Po upływie tych dwóch tygodni Filip miał poddać miasto bez walki. Oczywiście Filip ani przez chwilę nie myślał poważnie o oddaniu Paryża Francuzom, a te dwa tygodnie wykorzystał na wzmocnienie fortyfikacji i przygotowanie miasta do odparcia francuskiego ataku.

– Domyślam się, że Joanna nie znosiła Filipa – powiedziała Victoria, popijając

swoją latte.

– Mam tutaj fragment jej listu do Filipa, który podyktowała w dniu koronacji Karola. – Simon odszukał tekst w tablecie, po czym odczytał go na głos: „Wielki i potężny książę, władco Burgundii, Dziewica wzywa Cię, w imię Króla Niebios, byś zawarł mocny i trwały pokój z królem Francji. Obaj musicie przebaczyć sobie winy, całkowicie i ze szczerego serca... Minęły trzy tygodnie, odkąd napisałam do Ciebie po raz pierwszy, prosząc, byś był obecny przy namaszczeniu naszego króla. Na mój list nie otrzymałam dotąd żadnej odpowiedzi”.

– To... naprawdę smutne.

Simon nie czuł się dobrze z emocjami, jakie to wszystko w nim wywoływało, teraz zmusił się, by na pozór obojętnie wzruszyć ramionami.

– Karol dostał upragnioną koronę, po czym zapragnął pobawić się w dyplomację. Templariusze z chęcią podjęli z nim tę zabawę.

– Ale przecież była jeszcze Jolanta, asasyńska Mentorka, a zarazem teściowa Karola.

– Jestem pewien, że robiła, co tylko w jej mocy, by kontrolować poczynania Karola, ale templariuszom zależało na tym samym i nie byli łatwym przeciwnikiem. Od pewnego momentu Karol albo grał na zwłokę, albo otwarcie przeciwstawiał się Joannie. Nie udzielał jej już swojego wsparcia ani nawet nie zaopatrywał należycie jej armii. Utrata miecza przypieczętowała jej los.

Victoria milczała przez chwilę.

– Przyglądałam się obu stronom konfliktu asasynów i templariuszy – powiedziała w końcu. – Zarówno w Animusie, z naszymi dziećmiakami w Aerie, jak i w realnym świecie. Koniec końców, zawsze opowiem się po stronie ładu, a nie chaosu. Ale odnoszę wrażenie, że metody, jakimi posługuje się nasz Zakon, bywają czasem niepotrzebnie okrutne.

– To jedyny sposób, w jaki Zakon może skutecznie funkcjonować – odparł Simon, starając się przynajmniej na chwilę zapomnieć o złości, jaką budziły w nim sekretne kombinacje Rikkina i Victorii. Ostatecznie zwyciężył ład. Bez względu na koszty.

– Joanna została uznana za zagrożenie – kontynuował. – O jej losie zdecydowali ówcześni templariusze, opierając się na swojej wiedzy i działając w realiach swojej epoki. Nie wątpię, że to, co się stało, było ich zdaniem jedynym możliwym rozwiązaniem.

– Chcesz powiedzieć, że jedynym rozwiązaniem było spalenie dziewiętnastoletniej dziewczyny na stosie?

Victoria z pewnością nie sprawiała wrażenia podstępnej uczestniczki uknutego przez templariuszy spisku, mającego doprowadzić Simona Hathawaya do zguby. Z drugiej jednak strony, mogła go sprawdzać.

– Proces Joanny był sfigowany, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Ale templariusze już wcześniej posuwali się do takich metod, gdy uznawali, że uzasadnia je wyższa konieczność. Cel uświęca środki. Porządek musi być zachowany. Bez niego ludzkość nigdy nie zdoła wspiąć się na wyżyny. I tak jak w przypadku wszystkich wartościowych rzeczy trzeba zapłacić za niego pewną cenę. Czasem cena bywa

wysoka.

Czasem bywa nią życie dobrej, czystej dziewczyny o szafirowych oczach, promieniejącej niezwykłym blaskiem – dziewczyny, która była zbyt odważna i zbyt bezinteresowna, która walczyła o słuszną sprawę, ale o niewłaściwego człowieka i w niewłaściwy sposób.

Do diabła z tym wszystkim.

– Chodźmy – odezwał się lodowatym tonem, mającym zamaskować ból, na okazanie którego nie mógł sobie pozwolić. – Zobaczmy na własne oczy upadek anioła.

Sobota 21 sierpnia 1429 roku

Compiègne

– Kiedy wkładano mu na głowę koronę, miałem nadzieję, że będzie można spodziewać się po nim czegoś więcej niż do tej pory. Tymczasem jest gorzej, niż było – stwierdził posepnie Alençon.

– Każdy dzień zwłoki sprawia, że Paryż staje się coraz trudniejszy do zdobycia – zgodziła się Joanna. – Nasi żołnierze odnosili zwycięstwo za zwycięstwem. Wahanie króla zasiewa w ich sercach obawy, a przecież powinny one być pełne jedynie bojaźni bożej i miłości do Francji.

Joanna, Alençon, Gabriel i Fleur gościli w rezydencji Jego Królewskiej Mości Karola VII w Compiègne. Przebywali tam już od kilku dni, podczas których król konferował ze swymi doradcami. Joanna i Alençon byli zapraszani na niektóre z tych narad – jednak nie na wszystkie. Tego dnia zaproszenie nie nadeszło. Gabriel miał przeczucie, że stało się tak za sprawą Tremoille'a, który zawsze występował przeciwko Joannie. Zapewne nie chciał, by dowiedziała się o sprawach, jakie tego dnia omawiali z królem jego doradcy.

Zamiast wysłać swoją rwącą się do walki armię na Paryż, którego mieszkańcy trzęśli się ze strachu na samą myśl o ataku wojsk Karola, król trwonił cenny czas, podróżując od miasta do miasta i przyjmując przysięgi wierności, a przy okazji korzystając z gościnności ich mieszkańców.

– Król pragnie pokoju, Jeanne – powiedziała łagodnie Fleur. – Ma już dosyć rozlewu krwi.

– Ja też mam go dosyć! – odparła gniewnie Joanna. – Czyż nie opłakiwałam poległych żołnierzy, i tych francuskich, i tych angielskich? A co do pokoju... Czyż nie wysyłałam dwukrotnie listów do księcia Burgundii, wzywając go do zawarcia pokoju z naszym królem? Francja musi być zjednoczona, ale musi też uznać swego prawowitego władcę! – Pokręciła głową. – Król powinien był mi powiedzieć, że zamierza zawrzeć rozejm z Burgundczykami. Czternaście dni pokoju... raczej czternaście dni na wzmocnienie murów Paryża!

Alençon i Gabriel wymienili spojrzenia. Joanna, za sprawą swych wrodzonych zdolności, a także dzięki Mieczowi Edenu była niezwyciężona w polu. Jej niesamowita siła woli i żarliwy zapał nie mogły się na nic przydać ani Francji, ani

asasynom, jeśli wykluczano ją z narad i negocjacji, a do tego nie pozwalano poprowadzić ludzi do walki.

– Cóż – odezwał się Alençon, zwracając się do Joanny, ale zerkając przy tym na Gabriela – jestem już zmęczony ciągłym siedzeniem, jedzeniem i piciem. Zamieńmy te strojne szaty na zbroje i chodźmy trochę poćwiczyć.

Joannie od razu poprawił się humor.

– Tak! – zawołała. – Moglibyśmy nauczyć Fleur, jak posługiwać się mieczem!

Fleur wybuchnęła śmiechem. Gabriel nabrał z czasem szacunku dla jej spokoju i opanowania, które tak bardzo różniły ją od Joanny, zawsze zapalczywej i pełnej pasji. Towarzystwo tej jasnowłosej dziewczyny z pewnością służyło Joannie, ale Gabriel nie łudził się, że Fleur kiedykolwiek będzie w stanie walczyć u boku Dziewicy z bronią w ręku.

Któregoś razu Fleur wyznała Gabrielowi, jak bardzo się czuje bezużyteczna.

– To, kim teraz jestem, zawdzięczam wyłącznie Jeanne i tobie, bo to ty się u niej za mną wstawieś. Bez was dwojga... – Fleur odwróciła wzrok. – Boję się nawet pomyśleć o tym, co bym...

– Więc o tym nie myśl – powiedział Gabriel. – Jesteś teraz z nami. Nie musisz wracać do dawnego życia, tak jak nie musisz udowadniać, że jesteś „godna”. Jesteś. Dlatego, że jesteś sobą. Po prostu... po prostu kochaj Boga i kochaj Jeanne, nic więcej nie musisz robić. Ona patrzy na ciebie każdego dnia i widzi, że udało jej się zmienić czyjeś życie na lepsze. Wiem, jak wiele to dla niej znaczy. Zwłaszcza teraz – dodał – kiedy nie wszyscy pamiętają, że winni jej są wdzięczność za to, co dla nich zrobiła.

– Być może dobry Bóg zdołałby nauczyć Fleur władania mieczem, ale ja jestem tylko zwykłym śmiertelnikiem – stwierdził ze śmiechem Alençon. – Jest jednak coś, czego mógłbym nauczyć ciebie, Jeanne. Gabriel już to potrafi. Myślę, że prędzej czy później może ci się to przydać. Nie wątpię, że nauka pójdzie ci gładko, bo czego jak czego, ale wiary ci nie brakuje. A umiejętność, o której mówię, wymaga tej wiary całkiem sporo.

Słyszając to, Gabriel wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Mój dobry książę, będę ćwiczyć pilnie przez cały dzień – odparła Joanna – ale jutro lub pojutrze wyekwipuj swoich ludzi, zadbaj także o resztę oddziałów. Na mój sztandar, tak bardzo pragnę zobaczyć Paryż z bliska. Nigdy go dotąd nie widziałam!

Czwartek 8 września 1429 roku

Od wyjazdu z Vaucouleurs Gabriel widział już niejedno umocnione miasto. Podziwiał fortyfikacje Orleanu i pomagał zdobywać warowne miasto Jargeau.

Ale Paryż przyćmiewał wszystko, co do tej pory miał okazję zobaczyć.

Otoczające miasto mury były wręcz przeogromne, z pewnością największe w całej Francji, a być może w całej zachodniej Europie. Pięły się na wysokość siedmiu i pół metra, a co sto metrów wyrastały z nich jeszcze wyższe wieże. Do miasta prowadziło sześć bram. Francuska armia postanowiła skoncentrować natarcie na bramie Saint-Denis, a przede wszystkim na bramie Saint-Honoré. Obie wyposażone były w różnej

wielkości ambrazury, czyli otwory strzelnicze, przez które obrońcy mogli razić atakujących z łuków lub dział. Dostępu do obu bram broniły także opuszczane kraty, mosty zwodzone oraz fortyfikacje wzniesione na przedpolu.

Gabriel towarzyszył już Dziewicy w wielu bitwach i wiedział, czego się spodziewać. Joanna podjechała do bramy Saint-Honoré ze swym sztandarem w dłoni i oświadczyła, że gotowa jest przyjąć kapitulację miasta. Usłyszała odpowiedź odmowną, której towarzyszyły kpiny i wyzwiska.

Gabriel zauważył, że Joanna nie dobyteła miecza, przywiązując większą wagę do swojego ukochanego sztandaru. Gabriel i asasyni wiedzieli doskonale, co potrafi zdziałać miecz Joanny, ale ona sama najwyraźniej nie do końca zdawała sobie sprawę, jak potężnym narzędziem dysponuje. Wierzyła jednak, że miecz wskazały jej Głosy – a co najważniejsze, wierzyła w siebie.

Francuzi wyciągnęli wnioski z poprzednich batalii i zastosowali taktykę, która zdała egzamin podczas oblężenia Jargeau. Skoncentrowali ogień swojej artylerii na dwóch bramach oraz na łączącym je odcinku muru. Paryski garnizon odpowiedział ogniem. Huk był ogłuszający i nie ustawał ani na chwilę. Poza ostrzeliwaniem murów oblegający starali się także zasypać okalającą je fosę, do której zaczęli wrzucać wozy, wiązki gałęzi i wszystko, co tylko było pod ręką.

Pod murami Paryża walczyli tego dnia de Rais, de Gaucourt i inni dowódcy, jednak brakowało między nimi księcia Alençon. Francuscy dowódcy nie łudzili się, że uda im się zdobyć Paryż już pierwszego dnia oblężenia, i dlatego Alençon wraz z częścią swoich ludzi zajął się przygotowaniami do szturm, jaki miał nastąpić nazajutrz. W tym celu budowali prowizoryczny most, po którym wojska francuskie miały się przeprawić na drugi brzeg Sekwany. Gabriel rozumiał, że tak właśnie nakazywał rozrządek, ale zarazem zastanawiał się, czy obecność Alençon i jego ludzi pod murami miasta nie zdołałaby przechylić szali zwycięstwa na stronę Francuzów jeszcze tego dnia.

Nagle ziemia eksplodowała w miejscu, w które uderzyła armatnia kula, o zbroję stojącego nieopodal Gabriela zabębnił deszcz ziemi i krwi. Oszołomiony chłopak spostrzegł, że na niego oraz na garstkę francuskich żołnierzy szarżuje gromada żołnierzy z paryskiej załogi – świeżych, wypoczętych, pełnych energii i wściekłości. Ledwo zdążył unieść miecz, by zablokować cios zadany przez starszego i większego od niego rycerza. Stal z impetem uderzyła o stal i Gabriel poczuł w kościach siłę tego uderzenia. Szybko jednak się odprężył, pozwalając swemu ciału przejąć kontrolę, tak jak uczyli go de Metz i Alençon. Miecz jego przeciwnika ześlizgnął się po kłindze Gabriela. Gabriel wiedział, że teraz wystarczy już tylko wykonać lekki ruch nadgarstkiem i odpowiednio obrócić miecz. Wytrącona z ręki rycerza broń poszybowała w powietrze. Gabriel wyprowadził błyskawiczne pchnięcie. Zaskoczony rycerz nie zdążył zasłonić się tarczą i ostrze przeszło jego szyję.

Gabriel odwrócił się, szukając kolejnego przeciwnika. W tej samej chwili kątem oka dostrzegł w pobliżu smugę białego światła – to Joanna z uniesionym w górę mieczem odpierała ataki Burgundczyka, który sprawiał wrażenie zaprawionego w boju żołnierza. Joanna zwinnie zeskoczyła z konia, po czym zwarła się ze swoim

przeciwnikiem. Zadawała i parowała ciosy tak sprawnie, jakby urodziła się z mieczem w dłoni.

Potem wszystko potoczyło się już błyskawicznie. Miecz Edenu rozbłysnął w chwili, gdy uderzył w tarczę Burgundczyka. Grube drewno rozsypało się w drobne drzazgi. Wyglądało to tak, jakby tarcza wybuchła w ręku trzymającego ją żołnierza. Miecz Joanny wydawał z siebie głośne, suche trzaski, budząc strach i trwogę w sercach wrogów, a Gabriela i pozostałych towarzyszy Dziewicy napełniając spokojem i wiarą w zwycięstwo. Burgundczyk wypuścił z dłoni swój miecz i runął na kolana, po czym chwycił się rękami za głowę i krzyknął głośno, nie mogąc uwierzyć w to, co się przed chwilą wydarzyło.

Joanna wyciągnęła swój lśniący miecz, tak jakby chciała wskazać nim klęczącego przed nią mężczyznę. Pokonała go, choć nawet go nie zadrasnęła.

Więc to mieli na myśli kronikarze, pisząc, że walczyła defensywnie – uświadomił sobie Simon.

Fragmenty Edenu miały dawać moc i władzę. Prekursorzy nie byli szczególnie miłymi istotami i wśród artefaktów, jakie po nich pozostały, zdecydowaną większość stanowił różnego rodzaju oręż. Miecz Edenu, który należał do Joanny d'Arc, a wcześniej do Jakuba de Molaya i Bóg jeden wie, do kogo jeszcze, także był bronią. A mimo to różnił się od pozostałych artefaktów. Jego użycie mogło prowadzić i nieraz doprowadziło do rozlewu krwi, to fakt. Miecz podnosił na duchu francuskich żołnierzy, a zarazem wzbudzał strach i panikę w szeregach Anglików – wielu angielskich żołnierzy straciło przez to życie. Koniec końców, był to miecz, a nie kielich, jabłko czy też dobroczynny Całun Edenu.

A jednak... a jednak. Miecz Joanny nie budził w ludziach żądz mordy – budził nadzieję, która w warunkach bitwy przyjmowała postać bojowego zapędu. Simon dostrzegł coś, co umknęło uwadze Gabriela: miecz był w rękach Joanny czymś więcej niż narzędziem. Było to specyficzne współdziałanie. Joanna nie poświęciła wielu lat na naukę władania mieczem, a jednak w walce z Burgundczykiem posługiwała się nim nie tyle sprawnie, ile wręcz po mistrzowsku. Miecz Edenu pozwolił jej rozbroić i pokonać przeciwnika bez rozlewu krwi, który nie leżał w naturze Joanny. Im więcej Simon dowiadywał się na temat tego niezwykłego artefaktu, tym bardziej był nim zafascynowany. Gdyby tylko udało mu się znaleźć sposób na to, by ponownie go aktywować...

– Poddaj się, w imię boże! – rozkazała Joanna, a szlochający ze strachu żołnierz uczynił to bez wahania. Joanna gestem nakazała swoim ludziom odprowadzić jeńca do francuskiego obozu. – Weźcie też jego miecz – powiedziała.

Simon zdał sobie sprawę, że patrzy właśnie na trzeci i ostatni miecz, który należał do Joanny d'Arc: miecz Burgundczyka, którego osobiście wzięła do niewoli.

Podczas tego krótkiego pojedynku sztandar Joanny znalazł się na ziemi. Teraz dziewczyna podniosła go, po czym schowała miecz do pochwy i szybkim krokiem ruszyła w stronę murów Paryża.

– Mieszkańcy Paryża! – zawołała donośnym głosem. – Widok przelewanej francuskiej krwi napełnia smutkiem i Boga, i mnie. Poddajcie się, a nikt z was nie

zginie! Jeśli tego nie uczynicie, wielu z was niepotrzebnie straci życie!

– Paryż nigdy nie podda się dziwce! – ryknął ktoś wściekle i ułamek sekundy później Gabriel z przerażeniem ujrzał, jak wystrzelony z kuszy bełt wbija się w udo Joanny.

Przez moment Joanna stała nieporuszona, trzymając w dłoni swój sztandar. W końcu jednak zatoczyła się, a jej twarz, widoczną spod uniesionej zasłony hełmu, pokryła upiorna bladość. Zamrugała gwałtownie, starając się podeprzeć drzewcem chorągwi. Gabriel już ku niej pędził. Gdy dobiegł na miejsce, zasłonił ją własnym ciałem przed gradem bełtów, jakimi usiłowali zasypać ich paryżanie. Przerzucił sobie ramię Joanny przez szyję, chcąc wyprowadzić ją w bezpieczne miejsce. Jego wołanie o pomoc usłyszał de Rais, który dowodził natarciem na dalszym odcinku. Nie oglądając się na nic, pospieszył ku Joannie i Gabrielowi. W jego oczach widać było niepokój.

– Zaopiekuj się nią – powiedział. – Wyślę z wami kilku moich ludzi. Odwieźcie ją do La Chapelle.

Joanna, która zaczęła już osuwać się w ich ramionach, teraz nagle uniosła głowę.

– Nie! Musimy walczyć dalej! Ta rana to nic, zupełnie jak pod Orleanem... – urwała nagle i jej głowa opadła bezwładnie na pierś.

– Ruszaj! – krzyknął de Rais. – Ruszaj!

Gabriel nie zwlekał już dłużej.

Kilka godzin później de Rais i de Gaucourt powrócili do La Chapelle. Giermek Joanny Jean d'Aulon opatrzył jej ranę. Gabriel i Fleur asystowali mu przy tych zabiegach. Dziewczyna wykazała się spokojem i opanowaniem, o jakim Gabriel mógł tylko marzyć. Na widok ran Joanny skrecał mu się żołądek.

Gdy tylko Joanna otworzyła oczy, uśmiechnęła się do swoich opiekunów.

– Mój Cień i mój Kwiatusek. A gdzie mój książę? Jak bitwa?

Fleur i Gabriel wymienili szybkie spojrzenia.

– Jeanne – powiedział cicho Gabriel – wycofaliśmy się na noc. Jutro wznowimy szturm. Most Alençona...

– Został zniszczony – rozległ się gniewny głos. Należał do Alençona, który chwilę wcześniej niepostrzeżenie wszedł do namiotu. – Na rozkaz naszego własnego króla. Dopiero co skończyłem rąbać go na kawałki własnymi rękami. Jutro nie będzie już bitwy, Jeanne. Królewscy doradcy postawili na swoim. Dostaliśmy rozkaz odwrotu.

– Co ty mówisz?! – krzyknęła Joanna, usiłując usiąść na łożku.

Fleur delikatnie pchnęła ją z powrotem na poduszki. Joanna była tak słaba, że udało jej się to bez trudu.

– Nie będziemy więcej szturmować Paryża – ciągnął Alençon, z trudem hamując gniew. Popatrzył na zbroczoną krewią zbroję Joanny, na jej sztandar, uwalany błotem. Nagle znieruchomiał.

– Jeanne – odezwał się nienaturalnie spokojnym głosem – gdzie jest twój miecz?

– Mój miecz? – Na twarzy Joanny pojawiło się przerażenie. – Mój miecz! Miałam go, kiedy mnie postrzelono. Ja... nie pamiętam!

Alençon i Gabriel spojrzeli po sobie, po czym jednocześnie, bez słowa, przywdziali

zbroje, dosiedli koni i pognali ku bramom Paryża.
Po chwili pochłonęły ich mgły Korytarza Pamięci.

– Czekaj, co ty wyprawiasz? Dlaczego przerwałaś symulację?

Ponieważ to był ostatni raz, gdy Gabriel widział miecz. Poszukiwania pod murami Paryża nie przyniosły skutku. Przykro mi.

– No cóż. Rozumiem. – powiedział Simon. Jego własny głos wydał mu się lodowaty i zły. – A więc to koniec. Góra urodziła mysz. Miecz nie został zniszczony ani uszkodzony. Nie został też odebrany ani zdobyty w walce, tylko najzwyczajniej w świecie... zgubiony. Zapewne znalazł go jakiś świniopas i zabrał w charakterze pamiątki z pola bitwy. A może od razu trafił w ręce templariuszy.

Simon...

– Miecz zniknął, układy zostały zawarte, a Karol odmówił dalszego wspierania wojennych przedsięwzięć Joanny. A potem ona... cóż, oboje wiemy, co się potem stało. Zatem wszystko jasne. Koniec zabawy.

Co chcesz przez to powiedzieć?

Simon, pełen gniewu i żalu, wpatrywał się oczami wyobraźni w młodego człowieka, którego z biegiem czasu tak dobrze poznał. Uświadomił sobie teraz, jak bardzo Gabriel się zmienił. Jego skóra, kiedyś opalona przy pracy na świeżym powietrzu w gospodarstwie ojca, z czasem stała się blada – ta bladość wynikała stąd, że zbyt wiele godzin spędzał zakuty w zbroję albo na wojennych naradach... albo tak jak w ostatnich miesiącach na jałowym oczekiwaniu na instrukcje, co ma robić dalej. Twarz Gabriela była teraz bardziej surowa, zniknęła gdzieś dawna serdeczność i otwartość. Ale Simon wiedział, że jedno nie uległo zmianie: serce Gabriela wciąż pełne było żarliwego oddania dla Joanny. Podejrzywał, że to nigdy się nie zmieni. Oczywiście, prędzej czy później Gabriel uczyni coś, co teraz wydaje się niemal niemożliwe: będzie musiał pogodzić się z odejściem Joanny d'Arc. Przynajmniej na tyle, by spłodzić potomka, po to, by pewnego dnia Simon Hathaway, przypięty pasami do szkieletu Animusa, mógł obserwować swojego nieżyjącego od wieków przodka z głęboką empatią, o jaką nigdy wcześniej się nie podejrzewał.

– Zrobiliśmy już wszystko, co było do zrobienia, nieprawdaż? A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym wyjść z tego ustrojstwa.

Po chwili poczuł, jak hełm zsuwa się z jego głowy. Victoria przyglądała mu się uważnie. W jej oczach dostrzegł troskę pomieszaną z ciekawością. Gdy tylko z pomocą Victorii uwolnił się z krępujących go pasów, natychmiast zszedł z platformy.

– Simon. Czy możesz mi wyjaśnić, co jest grane? – spytała spokojnie Victoria.

Przybrała teraz ton głosu doświadczonej psychoterapeutki.

Co za ironia – pomyślał Simon. – *Dlaczego ty mi tego nie powiesz, Victorio?* Przez moment wpatrywał się w milczeniu w miecz spoczywający na welurowej poduszce. W końcu, wciąż nie odrywając wzroku od zabytkowej broni, zaczął mówić:

– Rikkin chciał się dowiedzieć, czy będziemy w stanie aktywować miecz. Przekonał się, jaką moc ma ten artefakt, przynajmniej w rękach Joanny. Mieliśmy okazję zaobserwować, że sposobem działania nie przypomina żadnego innego Fragmentu Edenu. Na naszych oczach miecz niemalże dojrzewał razem z Joanną, a może odwrotnie: on ją uczył. Ale nasze poszukiwania zakończyły się fiaskiem. Wciąż nie mam pojęcia, jak go naprawić, a teraz zniknął bezpowrotnie. Zostało nam wprawdzie jeszcze parę dni, ale niczego nowego już się nie dowiemy.

Odwrócił się gwałtownie i spojrzał na Victorię spod zmrużonych powiek.

– I właśnie dlatego to już koniec zabawy – syknął gniewnie. – Wszystko skończone.

Victoria zacisnęła wargi i przez chwilę milczała, tak jakby zamierzała podjąć jakąś decyzję. Kiedy ponownie na niego spojrzała, coś się w niej zmieniło.

– Rikkin dał ci cały tydzień – przypomniała. – Teraz jest piąta po południu piątego dnia. To jeszcze nie koniec. Jeśli o mnie chodzi, możemy wykorzystać pozostały czas tak, jak nam się żywnie podoba. Jeśli chcesz odtworzyć przebieg każdej bitwy minuta po minucie, w nadziei na to, że dowiemy się czegoś nowego o mieczu, zróbmy to. A jeśli chcesz dalej być świadkiem drogi Joanny, jeśli chcesz wytrwać przy niej do końca i zobaczyć, jak traci wpływy, przyjaciół i życie... To będę ci w tym towarzyszyć.

Zaskoczony Simon zamrugnął szybko powiekami. Nie tego się spodziewał. Nie po kimś, kto go szpiegował i donosił...

Mało brakowało, a powiedziała by na głos to, co myślał. Nagle jednak zdał sobie sprawę, że w całym Londynie nie ma z pewnością drugiego miejsca, które byłoby naszpikowane najróżniejszymi urządzeniami rejestrującymi tak jak Sala Animusa.

Westchnął i zdjął okulary, po czym potarł oczy.

– Przepraszam. Co byś powiedziała na orzeźwiający jesienny spacer, żeby oczyścić umysł? Mnie na pewno by się to przydało.

– Chodźmy po płaszcze.

*

Dziesięć minut później mijali wolnym krokiem drogerię Boots, na wystawie stały flakony perfum i produktów do higieny ciała, a duży napis informował, że można tam było nabyć „Prezenty dla Niej i dla Niego”. Simon przystanął. Nie byli śledzeni, a przynajmniej tak mu się zdawało.

– No dobrze – odezwała się Victoria. – Powiesz mi w końcu, co się dzieje?

Spojrzał jej prosto w oczy.

– Dlaczego spiskujesz z Rikkinem za moimi plecami? – zapytał ostrym tonem.

Poczuł dojmujący smutek, gdy Victoria, wyraźnie zrezygnowana, oparła się plecami o ceglaną ścianę sklepu, z rękami zanurzonymi głęboko w kieszeniach.

– Nie jestem zbyt dobra w te klocki – wyznała. – Tak naprawdę to cieszę się, że się o tym dowiedziałeś. Ale to nie spisek, w każdym razie nie do końca.

– Och, rozumiem. Cóż, wobec tego wszystko w porządku. Do diabła, Victorio, ja ci ufałem!

– Wiem o tym. Strasznie mi przykro. Proszę... pozwól mi to wyjaśnić. Możemy gdzieś wstąpić? To... może chwilę potrwać.

Weszli do pobliskiego antykwariatu i przez chwilę kluczyli między regałami pełnymi starych powieści w miękkich oprawkach i ilustrowanych albumów. W końcu przystanęli w najdalszym kącie sklepu, między półkami z książkami kucharskimi i kryminałami. Victoria opowiedziała Simonowi o telefonie od Rikkina i o tym, jak jeszcze tej samej nocy wsiadła do samolotu lecącego do Londynu. Rikkin powiedział, że skontaktował się z nią, ponieważ obawia się o zdrowie jednego z członków Wewnętrznego Sanktuarium. Potrzebny był mu ktoś, kto zetknął się już z Efektem Krwi i byłby w stanie rozpoznać jego pierwsze symptomy, zanim jeszcze Simon zdążyłby poważnie ucierpieć.

To miało sens. Simon skinął głową, udając jednocześnie, że kartkuje powieść o przygodach Herculesa Poirota.

Rikkin poprosił, by Victoria informowała go o wszelkich niepokojących objawach, jakie zaobserwuje u Simona. Ona zaś zobowiązała się, że to zrobi.

– A zatem byłem twoim pacjentem – stwierdził Simon. – Nie twoim kolegą. I nie przyjacielem.

Skrzywiła się lekko, ale nie zaprzeczyła.

– Tak. Chociaż... Miałam wrażenie, że mimo wszystko udało się nam zaprzyjaźnić – powiedziała.

Simon zbył tę uwagę milczeniem. Victoria opowiedziała o tym, jak w rozmowie z Rikkinem w samych superlatywach wyrażała się o proponowanym przez Simona podejściu do badań, a także wskazała, że istnieje duże prawdopodobieństwo natrafienia na Mentora. Prosiła też Rikkina o przesunięcie terminu.

Jakiś czas później ponownie skontaktowała się z Rikkinem.

– Zaczął się domagać konkretnych informacji na temat miecza. Wyjaśnił, że chce doprowadzić tę sprawę do końca przed swoją podróżą do Hiszpanii. A ja... cóż, zaczęłam się czuć niezręcznie w tej sytuacji. Ale Rikkin to nasz szef. Poza tym jesteśmy templariuszami. A to oznacza, że czasami nie możemy mówić o wszystkim, co wiemy.

– Zdaję sobie z tego sprawę. – Odłożył powieść Agathy Christie na półkę. – Biorąc pod uwagę, że byłem twoim pacjentem, domyślam się, że poinformowałaś Rikkina o moim omdleniu.

– Tak.

– Wysłałaś mu e-mail? SMS-a? A może śpiewający telegram?

– Powiedziałaś mu o tym podczas kolacji – odpowiedziała cicho Victoria.

– W Bella Cibo.

– Tak.

Simon splótł ręce na piersi i oparł się o ścianę.

– Dlaczego wcześniej skłamałaś, że nigdy tam nie byłaś? Przecież cię tam widziano. Victoria była wyraźnie roztrzęsiona.

– Mówiłam ci już, że nie jestem w tym dobra. Potrafię obserwować, słuchać, pomagać ludziom. Umiem rozpoznać kłamstwo, ale sama jestem fatalnym kłamcą. Kiedy Anaya zagadnęła mnie o tę restaurację, kompletnie się pogubiłam.

W tamtej chwili coś, co zżerało go od środka – jakieś ciężkie, zapiekłe i zimne uczucie – dało mu w końcu spokój. Zrobiło mu się lżej na sercu i poczuł, jak ogrania go fala ciepła – i nie miało to nic wspólnego ze starym grzejnikiem elektrycznym stojącym w kącie antykwariatu.

– Wierzę ci – powiedział cicho.

Victoria spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami i nerwowe napięcie malujące się dotąd na jej twarzy ustąpiło miejsca nieśmiałoemu uśmiechowi.

– Dziękuję ci, Simonie.

Przez moment oboje uśmiechali się do siebie niezbyt mądrze. W końcu Simon sięgnął na półkę po zalatujący stęchlizną egzemplarz powieści *Zbrodnia wymaga reklamy*.

– No dobrze. Pamiętam, że kiedy napisałem do Rikkina e-maila, wysłał odpowiedź SMS-em. Ale nie do mnie, chociaż to ja jestem członkiem Wewnętrznego Sanktuarium, tylko do ciebie. Zgodził się wypożyczyć nam miecz, jednak odmówił przedłużenia terminu. Wyjaśnił ci, dlaczego zgodził się powierzyć nam miecz?

– Być może liczył na to, że zauważysz coś szczególnego w sposobie, w jaki posługiwała się nim Joanna, i będziesz w stanie zrobić to samo po zakończeniu symulacji. Rikkinowi bardzo zależało na tym, żebyś nie zajmował się wydarzeniami, które miały miejsce po utracie miecza przez Joannę. Musisz wiedzieć, że Rikkin nie jest zainteresowany wdrożeniem twojego podejścia do badań. Przykro mi. Nawiasem mówiąc, uważam twój pomysł za znakomity. I właśnie dlatego zaproponowałam, że chcę dalej z tobą pracować. Pomimo że Rikkin wyraźnie sobie tego nie życzy.

– Ale... dlaczego? – Simon był szczerze zaskoczony tym, co właśnie usłyszał. – Czemu chcesz to zrobić, skoro wiesz, że Rikkinowi się to nie spodoba?

– Po pierwsze, to ty jesteś szefem Działu Badań Historycznych. I masz wszelkie prawo, by wybierać tematy swoich badań. A jeśli Alan Rikkin ma co do tego jakieś zastrzeżenia, powinien przedyskutować je z tobą osobiście. Po drugie, Rikkin ściągnął mnie tu po to, żebym monitorowała stan twojego zdrowia podczas pracy z Animusem. Jako psychiatra uważam, że potrzebujesz domknięcia. Musisz mieć okazję, by pożegnać się z bohaterami tej historii w taki sposób, jaki uznasz za stosowny. Jeśli tego nie zrobisz, będzie to miało negatywne skutki dla twojej kondycji psychicznej. Moim zdaniem wciąż masz czas, żeby to zrobić.

Simon rozejrzał się nerwowo.

– Alan Rikkin to bardzo wpływowy i bardzo niebezpieczny człowiek – powiedział ściszym głosem.

– Przysięgałam posłuszeństwo Zakonowi, a nie Rikkinowi – odparła Victoria. – Poza tym zostałam zatrudniona po to, by czuwać nad twoim zdrowiem psychicznym. Dlatego mam nie tylko prawo, ale i obowiązek postępować zgodnie z twoim najlepszym interesem. Nie dopuszczę do tego, by osoba znajdująca się pod moją opieką doznała jakiegoś uszczerbku. Zrobię, co do mnie należy, i nie dbam o to, komu

będę musiała przy okazji nadebrać na odcisk.

Simon wpatrywał się w nią osłupiały.

– Jesteś bardzo odważną kobietą, Victorio Bibeau. To prawdziwy zaszczyt mieć w tobie przyjaciółkę.

W drodze z pracy do domu Anaya wstąpiła do sklepu Marks & Spencer. Oglądała teraz rękawiczki w dziale z dodatkami, przyciskając jednocześnie do ucha komórkę na kartę. Tydzień wcześniej zgubiła swoje stare rękawiczki w metrze, a niedawny spacer z Simonem przypomniawszy jej, że pilnie potrzebuje nowej pary.

– Simon, ty sakramencki cymbale...

– Wierzę jej. – Oświadczył z uporem Simon. – Ona wiele ryzykuje, Anayu. Tak samo jak ty. Przydałaby się nam twoja pomoc.

Anaya zaniemówiła. Jedyne, co była w stanie z siebie wykrztusić, to wszystkie znane jej synonimy słowa „idiota”. Mamrotała je pod nosem, dopóki się nie uspokoiła.

– Czyli nie tylko postanowiłeś jej zaufać, ale w dodatku chcesz, żebym wpakowała się w kłopoty, pomagając wam obojgu?

– Wysłuchaj mnie, a potem sama zdecydujesz, co zrobić.

Słuchała cierpliwie przez pięć kolejnych minut. Po chwili zupełnie zapomniała o rękawiczkach. Kiedy Simon skończył swoją opowieść, ona również uwierzyła Victorii Bibeau.

– Dobrze... a więc chcesz, żebym włamała się do serwerów w Sali Animusa i sprawdziła, co się stało z dokumentacją, która miała trafić do kryptologów. A kiedy już będę tam myszkować, mam znaleźć jakiś sposób na to, żeby monitorować zapisywane przez ciebie informacje na wypadek, gdybym nie była jedyną osobą, która włamała się do Animusa. Oczywiście, mam nie dać się złapać. Czy to już wszystko?

– Przepraszam – powiedział Simon. – I tak zrobiłaś już dla mnie bardzo wiele. Nie mam prawa prosić, żebyś narażała się na jeszcze większe ryzyko. Jeśli mnie albo Victorię spotkają jakieś nieprzyjemności, możesz być pewna, że żadne z nas cię nie wyda. Dopilnuję, żebyś była bezpieczna. Wiesz o tym.

Nie zamierzała pozwolić, żeby Simon zgrywał dzielnego samotnego rycerza. To ona wpakowała go w ten bałagan i teraz, kiedy natrafił na coś naprawdę poważnego – poszlaki wskazujące na to, że ktoś włamał się do cholernego Animusa – musiała mu pomóc.

– Wiem, Simonie. Ale prawda jest taka, że nie wpakowałbyś się w te tarapaty, gdybym nic ci nie powiedziała. Zrobisz to. Wracam do Abstergo.

Zerknęła na kolejki do kas i uznała, że modne kaszmirowe rękawiczki będą musiały poczekać. Przyjdzie po nie za dzień lub dwa.

O ile będzie jeszcze wśród żywych.

Kiedy Simon i Victoria wrócili do Sali Animusa, odbyli luźną pogawędkę na temat konieczności dokładniejszego przyjrzenia się działalności Bractwa Asasynów w czasach wojny stuletniej. Dla każdego postronnego słuchacza treść tej rozmowy brzmiała jak całkowicie racjonalne uzasadnienie dalszego badania wspomnień Gabriela Laxarta.

Simon chciał wiedzieć, dlaczego, u licha, Joanna przestała się cieszyć zainteresowaniem oraz ochroną asasynów. Czy chodziło o to, że bez Miecza Edenu nie była im już potrzebna? A może stracili zainteresowanie Joanną po tym, jak Karol przestał wykorzystywać ją do realizacji celów, na których zależało także Bractwu, i skupił się na nieudolnych wysiłkach dyplomatycznych, przynoszących pożytek jedynie templariuszom?

Wiele rzeczy budziło gniew Simona. Potrzebował odpowiedzi. *Nie lękam się niczego oprócz zdrady.*

Poniedziałek 21 września 1429 roku

Gien

Na wystrój komnaty składały się jedynie drewno i kamienie. Przy stole stały duże, ozdobne krzesła, a na nim leżały srebrne talerze, na których król i jego doradcy spożyli przed chwilą wystawny posiłek. Przez okna wpadały ukosem promienie jesiennego słońca. Wśród obecnych w komnacie nie było jednak nikogo, komu uczestnictwo w tym spotkaniu sprawiałoby jakąkolwiek przyjemność.

Joanna wciąż dochodziła do siebie po ranie zadanej bełtem z kuszy. Jakby tego było mało, utrata miecza oraz wiadomość, że król odwołał atak na Paryż, dotkliwie zraniły jej ducha. Ostatnio niemal się nie odzywała, a kiedy już to zrobiła, z jej ust płynęły prawie wyłącznie gorzkie słowa.

Alençon także był zły i ponury. Gabriel czuł się nieswojo, widząc, jak z natury zrównoważony i pogodny książę ostatnimi czasy albo wrze z wściekłości, albo pogrąża się w posępnej zadumie.

Sam Gabriel nie miał wątpliwości, czemu zawdzięczał zaszczyt, jakim było zaproszenie na ucztę u króla. Karol liczył zapewne na to, że Gabriel opanuje gniew Joanny w razie, gdyby wyprowadziło ją z równowagi coś, co usłyszy po posiłku.

Ostatnim, piątym biesiadnikiem był Georges de La Trémoille – człowiek, który byłby w stanie zjeść tyle, co Gabriel, Joanna i Alençon razem wzięci.

Karol zajmował miejsce u szczytu długiego stołu. Przesadna atencja, jaką okazywał Joannie podczas posiłku, upewniła Gabriela, że należy przygotować się na naprawdę złe wieści. Zwinni i milczący słudzy sprzątnęli ze stołu, po czym pospiesznie opuścili komnatę. Kiedy zamknęli za sobą masywne drzwi, król przemówił.

– Jeanne, wiadomo nam, że jesteś rozczarowana naszą decyzją o odwołaniu szturm na Paryż. Obawiamy się jednak, że przyjdzie nam rozczarować cię jeszcze bardziej. Wiedz jednak, że wszystko, co robimy, robimy dla Francji.

Gabriel pomyślał, że Karol wygląda tak, jakby naprawdę wierzył we własne słowa. W tych dniach ciężko było jednak myśleć o Karolu z życzliwością.

– W ostatnich miesiącach nasza armia dzielnie się spisywała. Wyzwoliła Orlean, oczyściła z wojsk nieprzyjaciela Dolinę Loary i utorowała nam drogę do Reims, gdzie namaszczone nas na króla. Za to wszystko jesteśmy wdzięczni.

– Ale – prychnęła Joanna. Jej błękitne oczy były twarde niczym dwa kamienie.

– Ale – ciągnął niezrażony Karol – pragniemy teraz kroczyć drogą pokoju i nie musimy utrzymywać wielotysięcznej armii. – Król spojrzał na Alençon. – Nie musimy też dłużej kłopotać księcia obowiązkami jej dowódcy.

– Co takiego? – wrzasnął Alençon.

– Armia zostanie rozpuszczona, a wy powrócicie do domu, do swych ziem i swej małżonki, Wasza Księżca Mość – oświadczył Trémoille, sięgając po leżące na paterze jabłko. – Jeśli chodzi o ciebie, Dziewico, to nie masz potrzeby się martwić. Wkrótce damy ci okazję do walki.

Gabriel przyjrzał się z niedowierzaniem królowi, który uśmiechał się spokojnie, tak jakby przed chwilą wcale nie wbił Joannie, Alençonowi i Gabrielowi noża w plecy i nie zostawił ich z tą raną, by wykrwawili się na śmierć. Potem spojrzał na Trémoille'a i dostrzegł w jego okrutnych oczkach wesołe iskierki.

– Nie – powiedziała Joanna głosem cichym i spokojnym. – Nie zrobisz tego. Bóg...

– ...nie raczył ująć się za tobą w czasie walk pod Paryżem ani podczas ataku na miasto – wtrącił od niechcienia Trémoille, po czym wbił zęby w jabłko.

– Zrozum nas, Jeanne – powiedział król. – Wiemy, że opłakiwałaś poległych żołnierzy po obu stronach. Z pewnością ty także pragniesz pokoju.

– Francja musi sobie pokój wywalczyć – oświadczyła Joanna i przez moment jej twarz rozpromieniła się i zagościła na niej dawna, niezachwiana pewność.

Na ten widok serce Gabriela ścisnął żal, dopiero teraz uświadomił sobie, jak rzadko w ostatnich tygodniach miał okazję widywać na pięknej twarzy Joanny to niezwykle światło.

– Skoro tak ci tęskno do walki, to jak wspominałem, dam ci do niej okazję – powiedział Trémoille. – Dowódcą najemników na żołdzie księcia Burgundii jest pewien wyjątkowo niegodziwy człowiek. Nazywa się Perrinet Gressart. Zdobędziesz jego zamek i przyprowadzisz go do nas, by odpowiedział za swe czyny przed królewskim sądem. Wyprawę poprowadzi mój przyrodni brat d'Albert i...

W tej samej chwili Alençon zrobił coś zupełnie nieoczekiwanego: wybuchnął gromkim, niepohamowanym śmiechem, w którym pobrzmiwała także nuta gorzkości. Kiedy w końcu udało mu się złapać oddech, zwrócił się do Trémoille'a:

– Powiedz mi, czy to przypadkiem nie ten sam Perrinet Gressart, który kiedyś trzymał cię w niewoli? I któremu musiałeś zapłacić okup tak wysoki, że twój skarbczyk niemal zupełnie opustoszał? Czy chodzi o tego Perrineta Gressarta?

Trémoille ściągnął brwi i poczerwieniał tak, że jego twarz upodobniła się do jabłka, które trzymał w dłoni. Gabriel miał wrażenie, że królewskiego szambelana może lada moment trafić apopleksja. Miał cichą nadzieję, że tak właśnie się stanie.

– Tamta sprawa nie ma tu nic do rzeczy – oświadczył Karol. – Istotne jest to...

– Istotne jest to, że Jeanne przestała być ci potrzebna – warknął Alençon, gwałtownie wstając z krzesła. – A ponieważ boisz się, że ona i ja moglibyśmy ci zaszkodzić, postanowiłeś nas rozdzielić.

Książę i król przez chwilę mierzyli się wzrokiem, a Gabriel zaczął się zastanawiać, czy zaraz nie stanie się świadkiem zdrady stanu. Ostatecznie jednak Karol spokojnym głosem stwierdził:

– Żałujemy, że konieczność rozstania się z Dziewicą napęła cię takim smutkiem. Ale jesteśmy pewni, że nas zrozumiesz, gdy przejdzie ci złość. A tymczasem chcielibyśmy pomówić z Jeanne na osobności.

Alençon nie ruszył się z miejsca. Wpatrywał się wyzywająco w króla, dopóki z twarzy Karola nie zniknął uśmiech. Dopiero wtedy książę uklonił się przesadnie głęboko i skierował się do wyjścia. Gabriel pośpieszył za nim. Kiedy znaleźli się za progiem i zamknęli za sobą drzwi, Alençon wyrzucił z siebie stek przekleństw tak barwnych, że Gabriel mimowolnie się uśmiechnął.

– Jeanne nie byłaby zadowolona, gdyby to usłyszała – zauważył.

Alençon spojrzął na niego i Gabriel pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział człowieka, który wydawałby się równie nieszczęśliwy jak książę.

– Król wszystko zmarnuje. Wszystko, co udało się nam osiągnąć. Burgundczycy i Anglicy... – urwał i rozejrzał się po korytarzu. Kiedy upewnił się, że są sami, dodał ściszym głosem: – Templariusze manipulują nim jak dzieckiem.

– Twoim zdaniem stoją za tym templariusze? – zapytał Gabriel i nagle straszna myśl zaświtowała mu w głowie. – Sądzisz, że mogli znaleźć miecz?

– Wiem tylko tyle, że nie znaleźli go asasyni. W każdym razie nikt mnie o tym nie poinformował. Jest wiele spraw, o których mi nie mówią – dodał smętnie.

Gabriel pokiwał głową. Alençon robił, co w jego mocy, by przekazywać Gabrielowi wiedzę o Bractwie, ale brakowało mu doświadczenia, jakie posiadał de Metz.

– Bractwo obiecało ją chronić – przypomniał Gabriel. – Byłeś tu jedynym asasynem, o którym wiem, a teraz wyjeżdżasz. Czyżby Mentorka postanowiła zostawić Jeanne samą sobie?

– Niestety, odkąd Karol został królem, polityczne wpływy Jolanty mocno się skurczyły. Trémoille zawsze był jej solą w oku. Kiedy pojawiła się Jeanne, Karol na pewien czas odsunął Trémoille'a na bok, ale teraz... teraz wszystko jest znacznie trudniejsze. Nawet dla Mentorki, która jest królową.

– Być może nadeszła pora, by asasyni zrobili wreszcie użytek ze swoich ostrzy – mruknął ponuro Gabriel. – Templariusze mają odwagę działać, a wy... Nie słyszałem, by którykolwiek z naszych wrogów padł ofiarą zamachu.

Alençon wyglądał przez moment tak, jakby czuł, że powinien rozgniewać się na Gabriela za tę uwagę. Nie był jednak w stanie się na to zdobyć.

– Nie mogę znieść myśli, że Jeanne będzie tułać się od jednego zamku do drugiego albo marnować swoje zdolności na walkę z bandytami – powiedział i zacisnął zęby. – Za jakiś czas spróbuję przekonać naszego króla, by zmienił zdanie. Trémoille robi z nim, co chce, i jedyną osobą, która tego nie dostrzega, jest sam Karol. – Alençon spojrział na Gabriela z zazdrością. – Ty przynajmniej masz to szczęście, że Karol cię nie odprawił.

– To prawda. Ale teraz zostanę bez nauczyciela.

– Asasyni znajdą sposób, by się z tobą skontaktować, jeśli będziesz im potrzebny – powiedział Alençon. Ostatnie słowa Gabriela sprawiły najwyraźniej, że poczuł się nieswojo.

Gabriel powstrzymał się więc przed zadaniem pytania, które cisnęło mu się na usta: *A co, jeśli to Jeanne lub ja będziemy potrzebować asasynów?*

– Opiekuj się nią w moim imieniu – poprosił ksiązę. – A także w imieniu Dunois, de Rais’ego i tego starego niedźwiedzia La Hire’a. Przekaż jej, że wszyscy ją kochamy i zawsze będziemy w nią wierzyć.

– Nie pożegnasz się z nią osobiście?

– Wciąż mam nadzieję, że to nie pożegnanie. Karol jest konsekwentnie niekonsekwentny. Myślę, że z czasem zmieni zdanie i ty, ja oraz Jeanne znowu ruszymy razem na Anglików. – Uśmiechnął się z wysiłkiem, choć był to jedynie cień jego dawnego uśmiechu. – Uściskaj ją od nas wszystkich.

– Możesz być tego pewien.

Simona ogarnął smutek. Jeanne i jej „szlachetny ksiązę” mieli już nigdy się nie spotkać. A jakiś czas później Alençon... Jakim głupcem był król Karol.

– I jeszcze jedno... Powiedz Fleur, że zawsze będzie u mnie mile widziana i że mój dom będzie jej domem, jeśli kiedyś zdecyduje się opuścić Jeanne. – Alençon zawahał się przez chwilę. – Ludzie traktują ją uprzejmie przez wzgląd na Jeanne. Jeśli Dziewica popadnie w niełaskę, Fleur boleśnie to odczuje.

– Ona nigdy nie opuści Jeanne, tak samo jak ja nigdy tego nie uczynię.

– Ja także robię to wbrew swojej woli i tylko dlatego, że gdybym odmówił, król uznałby to za zdradę.

– Wiem. Jeanne również o tym wie. A teraz idź już, zanim obaj się rozplączemy.

Gabriel powiedział to ze śmiechem, ale łzy same cisnęły mu się do oczu. Dopiero teraz w pełni zdał sobie sprawę, jak wspaniałym przyjacielem był dla niego, nisko urodzonego bękart, szlachetny ksiązę. Uściskali się serdecznie – niczym dwaj żołnierze, którzy musieli się rozstać, bo na każdego z nich czekała inna bitwa.

Alençon odszedł. Po chwili samotną postać Gabriela spowiła mgła. Do Simona dobiegł głos Victorii: *Czuję się tak, jakbym obserwowała pociąg zmierzający ku katastrofie.*

– Karol wyrządzał sam sobie więcej szkody, niż był w stanie wyrządzić mu Filip.

Czy Joanna naprawdę zgodziła się na to, by pod rozkazami przyrodniego brata Trémoille’a walczyć z tamtym bandytą?

– Tak, podporządkowała się woli króla – odparł Simon. – Oblęła zamek Gressarta, ale po miesiącu musiała zwinąć oblężenie, bo Karol ignorował jej listy, w których prosiła o dostarczenie zapasów, w tym żywności i prochu strzelniczego. Tamtego roku Joanna większość zimy spędziła u rodziny d’Alberta. Na pociechę otrzymała od Karola bożonarodzeniowy prezent: król uszlachcił Joannę i jej rodzinę. Był nawet na tyle wspaniałomyślny, by zastrzec, że tytuł może być dziedziczony nie tylko przez męskich, ale także przez żeńskich potomków rodu. Ot, taka nagroda pocieszenia.

Sama nie wiem, jak to skomentować.

– Mniej więcej w tym samym czasie – ciągnął Simon – Filip założył Zakon Złotego Runa. Zawarł też z Karolem umowę, na mocy której wiele miast, które złożyły Karolowi przysięgę wierności, w tym między innymi Compiègne, miało zostać zwróconych Filipowi, niezależnie od woli ich mieszkańców. Ze strony Karola było to okropne wiarołomstwo i jak się zapewne domyślasz, doprowadziło to Joannę do szewskiej pasji. Mieszkańcy większości miast także nie byli tym zachwyceni i stawili Burgundczykom opór.

Karol i Filip zawarli w końcu pokój, prawda?

– Ostatecznie tak. Jednak nie za życia Joanny.

Mgły Korytarza Pamięci zafalowały ponownie. Simon przygotował się na kolejny epizod z życia Gabriela, jaki miał mu za chwilę pokazać Animus.

Niedziela 23 kwietnia 1430 roku

Melun

Wielkanoc

Podczas mszy wielkanocnej Joanna zalewała się łzami.

Kiedy nabożeństwo dobiegło końca, Gabriel i Fleur próbowali nakłonić Joannę od wyjścia, ale ona odprawiła ich machnięciem ręki. Oboje opuścili kościół w posępnym milczeniu.

– Serce mi się kraje, kiedy widzę ją w takim stanie – odezwał się po chwili Gabriel.

On i Fleur dodawali sobie wzajemnie otuchy po wyjeździe Alençon, gdy dopadały ich obawy, jakie budziła w nich sytuacja Joanny. Fleur, która nigdy nie prosiła Joanny o nic poza możliwością przebywania u jej boku, była teraz jedyną osobą zdolną pojąć cierpienie Gabriela. Oboje bardzo się do siebie zbliżyli, być może zostaliby kochankami, gdyby nie fakt, że ich serca przepełniała miłość do Joanny i nie było w nich już miejsca dla nikogo innego.

Dokładnie rok wcześniej Joanna była o krok od wyzwolenia Orleanu, kiedy niedawno ponownie odwiedziła to miasto, przynajmniej tam powitano ją z należnymi jej honorami. Odkąd straciła swój miecz i odkąd król wkroczył na ścieżkę dyplomacji, niemal zupełnie rezygnując z prowadzenia działań wojennych, Joanna gasła w oczach. Oczywiście, Gabrielowi wciąż wydawała się piękna – jak mogłoby być inaczej? Jednak nawet on nie mógł zaprzeczyć, że przedłużająca się bezczynność, przerywana jedynie udziałem w pozbawionych znaczenia potyczkach, odciskała na Joannie swoje piętno.

Gabriel żałował, że nie ma przy nich Alençon i de Metza. Być może obecność asasynów pomogłaby Joannie odzyskać ducha walki. W marcu jednak coś się zmieniło: kiedy dotarły do nich wieści o zaciekłym oporze, jaki Compiègne i inne francuskie miasta stawiały Burgundczykom, dawna Joanna powróciła. Jej „armia” składała się teraz z dwustu absolutnie oddanych ludzi. Była to znikoma garstka w porównaniu z dziesięcioletnią armią, na czele której stała Joanna przed koronacją Karola. Joanna zebrała swych żołnierzy, po czym ruszyła w drogę. Nie poinformowała Karola, gdzie się udaje ani co zamierza, ale każdy, kto choć trochę ją znał, musiał zdawać sobie sprawę, jaki ma plan.

Mieszkańcy Melun powitali Joannę z radością i wydawało się, że na nowo wstąpiła w nią nadzieja. Tym większym wstrząsem był dla Gabriela i Fleur widok Joanny łkającej rozpaczliwie podczas wielkanocnego nabożeństwa. Dla dwojga ludzi, którzy kochali ją najmocniej ze wszystkich, było to niczym cios w serce. Teraz Gabriel i Fleur wędrowali ramię w ramię uliczkami starego Melun, licząc na to, że razem łatwiej będzie im znaleźć pociechę.

– Czy wspomniała ci... – zaczął Gabriel.

– Czy Jeanne mówiła... – odezwała się w tej samej chwili Fleur.

Umilkli i spojrzeli po sobie, uśmiechając się lekko. Na ich twarze szybko jednak wróciła powaga.

– Jak myślisz, Gabrielu, jak to wszystko się skończy?

– Nie wiem – odparł. – Pierre próbuje namówić ją do powrotu do domu.

Jean, starszy brat Joanny, już dawno wrócił do rodzinnego Domrémy. Za to Pierre trwał przy Joannie, odkąd tylko spotkali się w obozie wojskowym w Blois. Nie rozumiał jej tak dobrze jak Gabriel i Fleur, ale kochał ją całym sercem. Gabriel cieszył się, że Pierre zdecydował się zostać przy siostrze.

– Czy... czy sądzisz, że Głosy przestały już do niej mówić? – zapytała cicho Fleur, podnosząc na Gabriela swoje duże niebieskie oczy.

Gabriel milczał. Jego także nurtowało to pytanie, ale nie ośmielił się zadać go Joannie.

– Nie wiem. Ale to nie ma znaczenia. Tak jak nie ma dla mnie znaczenia to, co robi ani dokąd zmierza – powiedział po chwili. – Gdziekolwiek pójdzie, pójdę tam za nią.

– Ja również. Zawsze – zapewniła Fleur, a w jej oczach stanęły łzy. – Ale chciałabym, żeby przestała cierpieć. To, jak traktuje ją król, jest takie niesprawiedliwe!

– Król robi to, co musi. Tak samo jak ja. – Głos Joanny. – I tak samo jak wy, mój Cieniu i mój Kwiatuszu. Wszyscy wypełniamy wolę Boga.

Oczy Joanny były przekrwione i opuchnięte od długiego płaczu, ale łzy zdążyły już obeschnąć.

– Chciałabym pomówić z każdym z was – powiedziała, po czym ujęła Fleur pod rękę i odeszła z nią na bok.

Gabriel odwrócił się, by zapewnić im prywatność. Po pewnym czasie poczuł na ramieniu delikatne muśnięcie.

Odwrócił się i po raz pierwszy uświadomił sobie, jak drobna była Joanna. Tyle było

w niej rzeczy, które wydawały się wielkie, bezmierne i nadludzkie: jej światło, jej odwaga, jej ciepło, jej wigor. Teraz jednak stała przed nim po prostu młoda kobieta, poważna i spokojna.

– Mój świadku – powiedziała.

Gabriela przeszedł dreszcz. Był jej świadkiem i jej cieniem, dlaczego jednak teraz użyła tego drugiego przydomku?

– Czy pamiętasz, o co mnie poprosiłeś, kiedy opowiedziałam ci o moich Głosach?

Poczuł, jak krew w jego żyłach zamienia się w wodę. Nie potrafił wypowiedzieć tych słów na głos, więc skinął tylko głową. *Nie każ mi cię opuszczać. Nigdy.*

– Odpowiedziałam, że nie mogę ci obiecać, że nic nas nie rozdzieli – ciągnęła Joanna.

– „Więc pozwól mi przynajmniej towarzyszyć ci w twej podróży tak długo, jak będzie to możliwe” – Gabriel ze ściśniętym gardłem przypomniał swoje własne słowa.

– Obiecałam ci wtedy, że będziesz moim świadkiem tak długo, jak będzie to możliwe. Ten czas dobiega już końca. Teraz to ty musisz mi coś obiecać... kiedy każę ci odejść, posłuchasz mnie. Bez względu na to, co się będzie działo.

– Nie mogę cię porzucić, Jeanne! Błagam, nie wymagaj tego ode mnie! – Jego głos łamał się ze wzruszenia, ale Gabriel się tego nie wstydził. Ujął jej dłonie i uścisnął je mocno, poczuł przez skórę jej kości i zdał sobie sprawę, jak bardzo jest krucha i delikatna.

– Nie powiedziałam „porzucisz”. Powiedziałam „posłuchasz”. Jeśli usłyszysz, że każę ci odejść, to te słowa nie wyjdą ode mnie, tylko od Boga. Przysięgnij, Gabrielu. Przysięgnij, bo inaczej nie pozwolę ci pójść za mną już ani o krok dalej.

Nie mógł dopuścić, by widziała, jak bardzo cierpi. Wystarczy, że musiała dźwigać swoje własne brzemie, którego on nie potrafił nawet pojąć. Skinął głową.

– Przysięgam – powiedział i w myślach dodał: *na całą miłość do ciebie, jaką noszę w moim sercu.*

Simon poczuł ulgę, gdy zaczęła napływać mgła. Nie byłby w stanie znieść cierpienia Gabriela ani chwili dłużej.

Simon, co... co się stało? Czy wiemy?

– Wiemy – opowiedział z ciężkim sercem. – Podczas procesu Joanna zeznała, że Święta Katarzyna i Święta Małgorzata wyjawily jej, że zostanie pojmana i że stanie się to przed dniem świętego Jana, czyli przed dwudziestym czwartym czerwca. Joanna oraz kilku jej ludzi, wśród nich Pierre oraz jej giermek Jean d’Aulon, zostali wzięci do niewoli pod Compiègne w dniu dwudziestego trzeciego maja. Burgundczycy wywabili ją na dość znaczną odległość od miasta, a kiedy próbowała zawrócić, odcięli jej drogę. Komendant Compiègne musiał wydać rozkaz zamknięcia bram, w przeciwnym razie Burgundczycy mogliby wdrzeć się do miasta.

A Gabriel uniknął pojmania, ponieważ Joanna kazała mu się wycofać, zanim jej oddział wpadł w zasadzkę – dokończyła Victoria.

Został mi jeszcze tylko rok, może nieco więcej, przepowiedziała Joanna 21 kwietnia 1429 roku.

Nie pomyliła się.

DZIEŃ 6

Simon wiedział doskonale, jaki los czekał Joannę przed śmiercią: szyderstwa, fałszywe oskarżenia, bicie, zastraszanie i nieustanny lęk przed gwałtem. Jego mózg uczeplił się tych wszystkich okropności i nękał go nimi we śnie. Nawet teraz, wchodząc do biurowca Abstergo i pozdrawiając skinieniem głowy pracowników ochrony, wciąż czuł nieprzyjemny skurcz żołądka. A przecież to nie on, tylko Gabriel był świadkiem Joanny. Simon wcale nie musiał przez to wszystko przechodzić. Przy tym pewna myśl nie dawała mu spokoju: jeśli duch Consusa był w stanie pojawić się w różnym czasie i nawiązywać kontakt z ludźmi takimi jak Joanna, to może być też świadom istnienia Gabriela... i Simona.

Teoretycznie wciąż mieli do dyspozycji ten i następny dzień. Kiedy wszedł do windy, w kieszeni jego marynarki zawibrował telefon na kartę. Simon poczuł w mięśniach lekkie napięcie. Odwrócił się niby mimochodem, tak aby ekran telefonu znalazł się poza zasięgiem umieszczonej w windzie kamery, po czym odczytał SMS-a. Krew nagle odpłynęła mu z twarzy. Szybko przesłał otrzymaną wiadomość na nową komórkę Victorii. Ona również korzystała teraz z telefonu na kartę, kupionego zeszłego wieczoru, zaraz po rozmowie, którą odbyli w antykwariacie.

Kiedy Simon znalazł się w swoim gabinecie, włączył komputer i sprawdził pocztę elektroniczną, po czym zadzwonił do Victorii, tym razem wybierając jej służbowy numer.

– Postanowiłem skorzystać z twojej propozycji – powiedział. – Być może rzeczywiście powinienem zacząć przyzwyczajać się do tych czarnych pomyj, które tak lubisz. Sporządziłem trochę notatek i chciałbym, żebyś rzuciła na nie okiem, zanim zabierzemy się do pracy. To chyba dobra okazja, żeby wybrać się do tej kawiarni, o której ostatnio wspominałaś.

Spotkali się w lobby, gdzie Victoria zaczęła zachwalać fikcyjną kawiarnię, starając się robić to tak, by usłyszało ją jak najwięcej osób. Wyszli na zewnątrz i w milczeniu przeszli jedną przecnicę. Dopiero wtedy Victoria zerknęła na ekran swojej nowej komórki.

Wiadomość od Anayi była krótka i rzeczowa. „A zinfiltrowany. Waterloo”.

– Mam nadzieję, że ma na myśli stację metra – powiedziała Victoria.

– Ja też – dodał Simon.

Kiedy znaleźli się przed budynkiem dworca Waterloo, dostrzegli Anayę. Stała przy jednej z furgonetek z jedzeniem i kupowała muffinkę wielkości pięści Simona. Victoria zamówiła latte, a Simon zadowolony się kubkiem herbaty. Starali się zachowywać tak, jakby ich spotkanie z Anayą było wyłącznie dziełem przypadku. Anaya poczęstowała ich kawałkiem swojej olbrzymiej muffinki, po czym wszyscy troje wmieszała się w tłum podróżnych, który wlewał się do budynku dworca.

– Miałaś rację – powiedziała Anaya. – Ktoś włamał się do serwerów Animusa. A mówiąc dokładnie, ktoś włamał się do nich przede mną. I wykorzystał do tego komputery z mojego działu.

Simon zaklął pod nosem.

– Twój nowy amerykański koleżka.

– Tak przypuszczam. – Anaya kiwnęła głową i dodała z goryczą: – Powinnaś była się domyślić, że coś tu nie gra. Zbyt szybko zaoferowali mi tę posadę w Montrealu.

– A ja pomyślałem, że Abstergo Entertainment po prostu od razu się na tobie poznało – powiedział Simon. – Nie było w tym nic podejrzanego. Każdy pracodawca podskoczyłby z radości na widok twojego CV. Nie powinnaś mieć do siebie pretensji.

Anaya posłała mu błady uśmiech.

– Chodzi o to, że teraz muszę zajmować się szkoleniem człowieka, który cię szpieguje.

– To może wyjść nam na dobre – wtrąciła Victoria. – Czy mogłabyś udzielić mi błędnych wskazówek? I dowiedzieć się, komu przekazuje zdobyte informacje?

Anaya po krótkim namyśle skinęła głową.

– Na oba pytania odpowiedź brzmi „tak”.

– Pamiętaj, że w każdej chwili możesz się wycofać. – Simon ujął jej rękę i mocno uściskał.

Zaskoczona Anaya podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy.

– Ja... cóż, ja... nie chcę, żeby przytrafiło ci się coś niedobrego.

Uniosła brwi i uśmiechnęła się lekko.

– Ach, więc jednak się o mnie troszczysz – powiedziała zaczepnie.

Twarz Hathawaya oblała się rumieńcem.

– No cóż, oczywiście – odparł lekkim tonem. – Abstergo zainwestowało w ciebie wiele czasu i środków.

– Cały Simon – powiedziała i uśmiechnęła się szerzej.

Simon ucieszył się, że udało mu się nieco poprawić jej humor.

– A mówiąc poważnie, to tak, mogę to zrobić. A nawet powinnam, bo przecież nie mamy pewności, czy włamanie do Animusa odbyło się za wiedzą i zgodą Zakonu. Sprawdzanie takich rzeczy należy do moich obowiązków.

Simon nie brał dotąd pod uwagę takiej możliwości. A jeśli Anaya miała rację? Jeśli irytacja Rikkina wywołana ślamazarnym tempem prowadzonych przez Simona badań nie miała nic wspólnego z podsłuchami, włamaniami do Animusa i całą resztą podejrzanych wydarzeń? Niezależnie od tego, jak było naprawdę, Simon poczuł ulgę, że Anaya zyskała wiarygodny pretekst do swoich działań.

– No dobrze. – Anaya wyprostowała ramiona. – Jedno jest pewne: drążąc historię

Joanny d'Arc, ściągnęliście na siebie czyjeś niezdrowe zainteresowanie. Cokolwiek robicie, pospieszcie się. Im dłużej węższą wokół tej sprawy, tym większe ryzyko, że ktoś mnie przyłapie. Jestem niezła, ale nawet najlepsi prędzej czy później wpadają.

– Naprawdę? – zdziwiła się Victoria.

– Naprawdę. To podstawowa zasada mojego fachu – odparła Victoria. – Postarajcie się działać szybko. I rozsądnie.

Nagle, ku zaskoczeniu Simona, wspięła się na place i szybko pocałowała go w policzek; wyraźnie poczuł na skórze ciepło jej ust. Potem wmieszała się w tłum.

Zmieszany Simon jeszcze przez chwilę odprowadzał ją wzrokiem. Wreszcie odwrócił się do Victorii.

– Musimy wracać do Abstergo. Myślę, że Gabriel ma coś do powiedzenia asasynom.

Piątek 7 lipca 1430 roku

Vaucouleurs

– Tutaj jesteś – wyszeptał lodowato Gabriel do ucha de Metz, siadając obok niego na ławie w pogrążonej w półmroku gospodzie.

Najwyraźniej nie udało mu się zaskoczyć asasyna, a może, co było bardziej prawdopodobne, de Metz potrafił po prostu świetnie ukryć swoje zaskoczenie.

– Laxart. Właśnie się zastanawiałem, kiedy się tu zjawisz.

Jego beztroski ton rozgniewał Gabriela.

– Lepiej będzie, jeśli pomówimy na zewnątrz – powiedział, po czym wstał i poczekał, aż de Metz wychyli do końca swoje piwo.

Asasyn odstawił kubek i podniósł się z ławy. Był letni wieczór i dopiero zaczynał zapadać zmrok. Powietrze było duszne i gorące. Gabriel i de Metz szli obok siebie bez słowa, od czasu do czasu pozdrawiając skinieniem głowy mijanych na ulicy przechodniów. W końcu dotarli do kwartału kupieckiego i zagłębili się w labirynt zamkniętych o tej porze straganów.

– Przykro mi z powodu Jeanne – odezwał się de Metz.

– Gdyby naprawdę było ci przykro, gdyby komukolwiek z was, asasynów, było przykro, to Jeanne nie znajdowałaby się teraz pod czułą opieką Luxembourg, człowieka Filipa – warknął ze złością Gabriel. – Niemal udało jej się uciec. Wiedziałaś o tym? Złapano ją tylko dlatego, że próbowała uwolnić swojego brata i d'Aulona. Próbowała to zrobić, bo jej na nich zależy. Gdyby asasyni udzielili im pomocy...

– Nie masz o niczym pojęcia, Laxart – przerwał mu de Metz. W jego głosie nie było słycać gniewu, ale jedynie zniechęcenie. – Nie wiesz, co robimy ani dlaczego.

– Więc mi powiedz!

– Nie należysz do Bractwa. Nie jesteś jeszcze nawet nowicjuszem. I szczerze mówiąc, nie sądzę, żebyś kiedykolwiek został jednym z nas.

– Dlaczego? Bo nie jestem dość dobry? A może dlatego, że asasyni odwrócili się ode mnie, odkąd stałem się dla nich niewygodny?

De Metz wciąż wydawał się bardziej przygnębiony niż zagniewany.

– Nie. Dlatego, że dla ciebie nie liczy się Bractwo ani sprawa, o którą walczymy. Nie dbasz o wojnę z templariuszami, której stawką jest los ludzkości. Dla ciebie liczy się tylko Jeanne.

– Która dla was najwyraźniej nie liczy się wcale – odparł Gabriel. – Chociaż powinna. I dla ciebie, i dla Jolanty. Powiedziałeś mi kiedyś, że Jeanne jest ważna nie tylko z powodów politycznych. Twierdziłeś, że przejmujesz się jej losem. A ja ci uwierzyłem. Myślałem, że różnicie się od templariuszy, że obchodzi was nie tylko ludzkość, ale również pojedynczy człowiek. A Jeanne nie jest zwyczajnym człowiekiem i ty dobrze o tym wiesz!

– To prawda, wiem o tym – przyznał de Metz. – My o tym wiemy. Ale wiemy też, że Jeanne odbyła co najmniej jedną rozmowę z Burgundczykiem. Ach – dodał, dostrzegłszy zaskoczenie na twarzy Gabriela – sam widzisz, że są rzeczy, o których nie masz pojęcia. W grę wchodzi więcej czynników, niż potrafisz to sobie wyobrazić. Nie możemy tak po prostu wpaść do zamku Luxembourg i uprowadzić Jeanne. Polityczna strategia...

– Za nic mam wasze strategie! Ona jest dla mnie wszystkim!

De Metz spojrzał na niego smutno.

– Jesteś zbyt wybuchowy, by się w to angażować, Gabrielu. Przykro mi to mówić, ale... prawda jest taka, że bez swego miecza Jeanne nie jest już tym samym niezwykłym aniołem, jakim była. Przegrała pod Paryżem.

– Bo Karol rozkazał jej się wycofać! Król dał się podejść Burgundczykowi, nawet on sam teraz to przyznaje!

– Jeanne dała się pojmać. Nie jest nieomylna.

– Jej Głosy uprzedziły ją, że trafi do niewoli. – W głosie Gabriela pobrzmiwała rozpacz. – Wierzę, że ona je słyszy. A czy ty w to wierzysz?

De Metz nie odpowiedział. Gabriel cofnął się o krok.

– Na krew Chrystusa, nie wierzysz w to, prawda? Jesteś tak samo chwiejny jak Karol! Byłem u niego, błagałem, by zapłacił za nią okup, ale on nie kiwnął nawet placem. Gdy tylko przestała być wam potrzebna, wszyscy ją porzuciliście. Czy to jest właśnie wasze Credo? „Znajdźcie człowieka, wykorzystajcie go, a kiedy będzie was potrzebował, odwróćcie się do niego plecami”? Dobry Boże, jesteście tacy sami jak templariusze!

Zanim jeszcze zdążyło wybrzmieć ostatnie słowo, Gabriel poczuł na gardle ukryte ostrze. De Metz chwycił go jedną ręką za tunikę, przysunął swoją twarz do jego twarzy i przez zaciśnięte zęby wycedził:

– Tylko przez wzgląd na przyjaźń, jaka kiedyś nas łączyła, nie zakończę tu i teraz twojego nędznego żywota.

Ostrze zniknęło w rękawie szaty asasyna. De Metz puścił tunikę Gabriela i odepchnął go od siebie z obrzydzeniem.

– Chcesz tak myśleć? Twoja sprawa – rzucił pogardliwie. – To tylko kolejny dowód na to, że niczego nie pojmujesz.

Gabriel sięgnął ręką do szyi i pod placami wyczuł coś mokrego i ciepłego. Klinga

była tak ostra, że przecięła skórę, a on nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Wiem tylko, że zostawiliście na pastwę losu osiemnastoletnią dziewczynę, która wypełniła wszystko, co obiecała. I której wola okazała się silniejsza niż twoja, moja, a nawet niż wola waszej wspaniałej Mentorki. Jeśli kochałeś Jeanne tylko ze względu na jej miecz, to lepiej jej będzie wśród strażników, którzy strzegą jej na zamku Luxembourg, niż wśród tych, którzy strzegli jej w drodze do Chinon. Ludzie Luxembourg przynajmniej nie udają jej przyjaciół.

Nawet w słabym świetle wieczoru Gabriel dostrzegł, jak twarz de Metza wykrzywia się w mimowolnym grymasie.

– Odjedź – syknął asasyn. – Wynoś się, zanim zmienię zdanie.

– A co z trzymaniem ostrza z dala od ciała niewinnych? – zakpił Gabriel.

– Ależ ty nie jesteś niewinny, Laxart. Siedzisz w tym po same czubki uszu. Jeśli tego nie dostrzegasz, to znaczy, że jesteś jeszcze większym głupcem, niż przypuszczałem.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ją uwolnić.

– I przyczynisz się tylko do jej zguby. Rozumiesz, co mówię?

Gabriel obrócił się na pięcie i oddalił szybkim krokiem. Nie miał aniołów, które podpowiadałyby mu, co ma robić, a kiedy się modlił, Bóg nigdy nie odpowiadał. Teraz zaś przekonał się ostatecznie, że nie może liczyć na asasynów, na Alençona ani w ogóle na nikogo.

On i Fleur byli zdani wyłącznie na siebie.

Simonowi przykro było obserwować Gabriela w takim stanie. W przeciwieństwie do swojego przodka wiedział, że Joanna nie zostanie ocalona, że to, czemu starał się zapobiec Gabriel, musiało się wydarzyć.

– Co do jednego de Metz miał rację – powiedział, kiedy znalazł się ponownie w Korytarzu Pamięci. – W grę wchodziło wiele czynników. Gdyby wszystko było proste, tamta wojna nie trwałaby stu szesnastu lat.

Czy Karol naprawdę nie zrobił nic, by pomóc Joannie?

– Zupełnie nic.

Sądziś, że mógł mieć coś wspólnego ze schwytaniem jej przez Burgundczyków?

– Nie, ale prawdopodobnie przyjął to z ulgą. W tamtych czasach istniał ogólnie przyjęty sposób postępowania z ważnymi jeńcami, w przypadku Joanny od niego odstąpiono. Szlachciców, którzy dostali się do niewoli, traktowano zwykle dość dobrze i koniec końców wracali oni do domu, gdy tylko ich rodzina uzbierała pieniądze na okup. Czasem uwolnienie jeńca stanowiło element układów. Początkowo wydawało się, że Filip skłonny będzie zatrzymać Joannę w swoich rękach. Formalnie była ona więźniem Jana Luxembourg, hrabiego Ligny i wasala Filipa. Traktowano ją z szacunkiem. Żona hrabiego Jana darzyła Joannę sympatią i prosiła nawet swego męża, by nie wydawał jej Anglikom.

Ale Luxembourg i tak to zrobił. Chociaż decyzja należała zapewne do Filipa. Jak do tego doszło?

– Filip ugiął się pod presją wrogo usposobionych do Joanny Anglików. Wielu z nich chciało posłać ją na stos. – Simon przywołał w pamięci skierowane do Joanny

nienawistne słowa, jakie padały z ust Anglików pod Orleanem; na samo ich wspomnienie zrobiło mu się niedobrze. – Dużą rolę odegrali też templariusze, mający znaczne wpływy na dworze angielskim, a także burgundzkim. Zależało im na zdyskredytowaniu Joanny, a w konsekwencji Karola. Siedem miesięcy po pojmaniu Joanny pod Compiègne Anglicy odkupili ją od Jana Luxembourg za dziesięć tysięcy funtów. W Wigilię 1430 roku przywieziono ją do Rouen. Negocjacje z Luxembourgem prowadził Pierre Cauchon, który potem przewodniczył obradom sądu podczas wytoczonego Joannie procesu o herezję.

Skąd ja znam to nazwisko?

Cauchon był stronnikiem Burgundczyków, jednym z autorów treści traktatu zawartego w Troyes. W swoim życiu dwa razy musiał uciekać przed Joanną. Za pierwszym razem z Reims, gdzie pełnił funkcję rektora uniwersytetu, a za drugim razem z Beauvais, gdzie był biskupem. Oba miasta wypowiedziały posłuszeństwo księciu Burgundii i uznały zwierzchnictwo Karola. Zgodnie z obowiązującym wówczas prawem Cauchon w ogóle nie powinien był sądzić Joanny. Zarówno miejsce jej urodzenia, jak i miejsce, w którym dopuściła się swojej rzekomej herezji, leżały poza diecezją Cauchona, a więc poza jego jurysdykcją. Ktoś jednak pociągnął za odpowiednie sznurki. Nawiasem mówiąc, ambicją Cauchona było arcybiskupstwo Rouen.

Wygląda na to, że był stuprocentowo bezstronny – skomentowała ironicznie Victoria. Czy był templariuszem?

– To niemal pewne. Gdy tylko usłyszał o pojmaniu Joanny, natychmiast podjął starania o to, by trafiła pod jurysdykcję Kościoła, a nie Korony.

Dzięki temu można było oskarżyć ją o czary lub herezję.

– Tak, a to było znacznie bardziej haniebne niż status zwykłego jeńca wojennego. W ten sposób uderzano zarazem w Karola. Kto chciałby popierać króla, którego zwycięstwa odniesione zostały z diabelską pomocą? Teologowie z Uniwersytetu Paryskiego dążyli do uznania Joanny za heretyczkę od czasu wyzwolenia Orleanu. Pod względem prawnym cały proces był zwykłą farsą. Jawnie lekceważono przepisy prawa, gdy tylko było to wygodne dla oskarżycieli. Traktowano Joannę jak jeńca wojennego, co oznaczało, że przez cały pobyt w celi pozostawała skuta kajdanami, a mimo to jej proces toczył się przed sądem kościelnym.

Trochę to skomplikowane. Na czym właściwie polegała różnica między statusem jeńca a statusem więźnia podlegającego prawu kościelnemu?

– Z punktu widzenia Anglików jedno i drugie miało swoje wady i zalety. Tak jak wspomniałaś, postawienie Joanny przed sądem kościelnym oznaczało, że można było wytoczyć jej proces o herezję lub czary. Ale w takim przypadku prawo kościelne nakazywało umieścić ją w celi z samymi kobietami, nie można też było trzymać jej tam skutej łańcuchami. Jako podsądna kościelnego trybunału miała również prawo domagać się zaangażowania w przebieg procesu samego papieża. Anglicy postanowili zrobić to po swojemu. Chcieli postawić ją przed sądem kościelnym, a zarazem traktować ją możliwie podle, tak jak było to możliwe w świeckim więzieniu.

Czyli robili, co im się żywnie podobało, byle tylko osiągnąć pożądaną skutek.

– Właśnie. Joannie pokazano narzędzia tortur i zagrożono ich użyciem. Jeden z oprawców oświadczył wtedy, że nie jest w stanie tego zrobić, i wyszedł z izby. W jej celi przez cały czas przebywali nadzorujący ją mężczyźni. Przepisy wymagały, by przed rozpoczęciem procesu postawione zostały formalne zarzuty, ale nie uczyniono nawet tego. Odmówiono jej też prawa do obrońcy... Mógłbym wymieniać dalej, ale nie ma to większego sensu.

Na samą myśl o tej krzyczącej niesprawiedliwości – niesprawiedliwości, która dokonała się na rozkaz najwyższych rangą templariuszy – Simonowi robiło się niedobrze. *Tak działa Zakon* – napomniął sam siebie. – *Ład musiał zostać przywrócony. Karol, marionetka asasynów, musiał zostać przywołany do porządku.* Ale żaden z tych argumentów nie był w stanie poprawić mu samopoczucia.

Nie namawiam cię, żebyś kontynuował – powiedziała Victoria. – *Chyba że ty sam tego chcesz.*

Zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Czuję, że jako historyk mam obowiązek wykorzystać tę okazję. Poza tym jestem to winien jej... i Gabrielowi. Powinienem być świadkiem jej upadku.

Nie powinieneś tego robić dla dobra nauki, ani nawet przez wzgląd na Gabriela czy Joannę. Jeśli masz to zrobić, zrób to dla Simona Hathawaya.

– Myślę, że gdybym teraz się wycofał – powiedział cicho – to nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

A zatem do dzieła.

Środa 21 lutego 1431 roku
Kaplica w wieży Bouvreuil, Rouen

Pod koniec grudnia do Gabriela i Fleur dotarła wieść, że Joanna przetrzymywana jest w Rouen, w wieży tamtejszego zamku. Oczywiście natychmiast wyruszyli do Rouen. Zarobek i dach nad głową udało im się znaleźć w jednej z miejscowych podupadłych gospód. Starali się zdobyć jak najwięcej informacji o losie Joanny, zaprzyjaźniając się z odwiedzającymi gospodę żołnierzami, a nawet duchownymi, których języki skutecznie rozwiązywało wino. Gabriel modlił się żarliwiej niż kiedykolwiek dotąd, by Głosy Joanny zdołały w jakiś sposób zmiękczyć serca ludzi, od których zależał teraz jej los.

Zamkowa kaplica wypełniona była po same brzegi. Gabriel starał się wywalczyć w tłumie jak najlepsze miejsce, tak aby Fleur, mniej więcej tego samego wzrostu co mierząca niecałe sto sześćdziesiąt centymetrów Joanna, mogła cokolwiek zobaczyć. Osiągnął przynajmniej tyle, że Fleur była w stanie wszystko dobrze słyszeć.

Trybunał liczył około czterdziestu członków, samych uczonych mężów – doktorów i magistrów teologii oraz prawa kanonicznego, a także prawa cywilnego. Podobno jeden z członków trybunału był nawet ekspertem w obu tych dziedzinach. Pośród tego szacownego grona zasiadało dwóch formalnych sędziów: biskup Pierre Cauchon, a także promotor procesu z ramienia diecezji Bauvais Jean d'Estivet.

Do Gabriela już od jakiegoś czasu docierały słuchy o złym traktowaniu Joanny w angielskim więzieniu. O przebywających w jej celi mężczyznach, którzy nie spuszczali z niej oka nawet wtedy, gdy spała, o żelaznych kajdanach, a nawet o specjalnej klatce, do której przykuwano ją za szyję, nogi i ręce, by uniemożliwić jej ucieczkę.

Nagle przez tłum przeszedł szmer. Tu i ówdzie rozległy się mamrotane pod nosem wyzwiska. Fleur ścisnęła w dłoni woreczek, który Joanna przekazała jej w Melun, wkrótce po tym, jak Głosy ostrzegły ją o rychłym uwięzieniu. Fleur, wzorem Joanny, nosiła go na szyi i nigdy się z nim nie rozstawała. Gabriel miał wrażenie, że dodaje jej to otuchy.

– Gabrielu, czy to ona? – zapytała Fleur.

Gabriel był tak zszokowany tym, co zobaczył, że przez moment nie był w stanie wykrztusić z siebie ani jednego słowa. Ręce i nogi Joanny skute były kajdanami. Ubrana była w brudną, prostą sukienkę. Czarne kręcone włosy sięgały jej teraz aż do

ramion. Była chuda, tak strasznie chuda. Po roku spędzonym w więzieniach jej mięśnie niemal zupełnie zanikły, a zdrowy niegdyś kolor skóry zastąpiła upiorna bladość.

– To ona – wykrztusił w końcu. W ustach czuł okropną suchość. Przez dłuższą chwilę nie potrafił skupić się nawet na tyle, by zrozumieć, co mówią sądowi urzędnicy, długo i rozwlekłe przedstawiający okoliczności sprawy. Nie mógł oderwać wzroku od Joanny, wychudzonej, bladolicej, a mimo to spoglądającej na członków trybunału z hardo uniesioną głową.

W końcu zaczęło się przesłuchanie. Cauchon, wysoki, kościsty, sześćdziesięciokilkuletni mężczyzna o władczej postawie, podszedł zdecydowanym krokiem do Joanny, która siedziała na ławce, przypięta do niej łańcuchem. Stanął nad nią i stanowczym głosem zażądał:

– Przysięgnij, że będziesz mówić prawdę, o cokolwiek cię zapytamy.

– Na wszystkie pytania odnośnie do mego ojca i matki, a także tego, co robiłam, odkąd wyruszyłam z domu, by udać się do serca Francji, chętnie odpowiem i przysięgam, że uczynię to zgodnie z prawdą. – Jej głos był silny i dźwięczny, więzienie nie złamało jej ducha. – Ale jeśli chodzi o objawienia dane mi przez Boga, to nigdy nie ujawniłam ich nikomu poza Karolem, moim królem.

I poza mną – pomyślał Gabriel. Wiedział jednak, że dla Joanny to się „nie liczyło”. Był przecież jej Cieniem, który towarzyszył jej po to, aby być świadkiem – tak powiedziały jej Głosy.

– Wam także ich nie ujawnię, choćbyście nawet mieli ściąć mi głowę – dodała Joanna.

Była uparta i silna. Gabriel z satysfakcją przyglądał się skwaszonej minie d’Estiveta i rosnącej irytacji Cauchona.

Podczas trwającego wiele godzin przesłuchania pytania zadawał nie tylko Cauchon, ale i wszyscy pozostali członkowie trybunału. Często kilku z nich zaczynało mówić jednocześnie i dosłownie bombardowali pytaniami Joannę, która musiała ich prosić, by zechcieli odpytywać ją po kolei. Treść owych pytań wydawała się dość przypadkowa. W pewnym momencie Cauchon zapytał o konsekrację Karola w katedrze w Reims, a chwilę później zapragnął się dowiedzieć, czy widziała kiedyś wróżki pod Drzewem Panien.

– To podstęp – szepnęła Fleur, a Gabriel pokiwał głową. – Chcą ją skłonić podstępem do powiedzenia czegoś, co ją obciąży.

– Czy twoje Głosy są aniołami? – indagował dalej Cauchon.

– Są świętymi – odpowiedziała bez wahania Joanna. – To święty Michał, święta Katarzyna i święta Małgorzata. Święty Michał przemówił do mnie jako pierwszy.

– Opowiedz mi o świętym Michale – polecił Cauchon protekcjonalnym tonem, rzucając jednocześnie porozumiewawcze spojrzenie w kierunku zgromadzonego na sali tłumu.

– Przyszedł do mnie w ogrodzie mego ojca, kiedy miałam lat trzynaście. – Gabriel słuchał, jak Joanna musi opowiadać temu obcemu, temu wrogowi o sprawach, które dawno temu wyjawiała mu szeptem. – Widziałam go na własne oczy, tak jak ciebie

tutaj widzę.

Usta Cauchona wykrzywił okrutny uśmieszek i ponownie powiódł wzrokiem po widowni.

– A jak wyglądał święty Michał, kiedy ci się objawił? Czy był... nagi?

Przez tłum przetoczył się stłumiony okrzyk oburzenia. Joanna spojrzała na Cauchona z rozbawieniem.

– Sądzisz, że Pana Boga nie stać, by zapewnić świętym ubrania?

Tym razem zebrani wybuchnęli śmiechem. Joanna uśmiechnęła się jeszcze szerzej, za to uśmiech na wargach Cauchona zamienił się w nieprzyjemny grymas.

– A czy miał włosy? – dociekał dalej.

– Och, to ci dopiero ważna kwestia. – Odpowiedź Joanny wywołała na widowni kolejną eksplozję radości.

– Odpowiedz na pytanie! – warknął ostro Cauchon.

– A dlaczego miałby ich nie mieć?

Cauchon przez moment chodził od ściany do ściany miarowym krokiem, najwyraźniej zbierając się w sobie do zadania kolejnego pytania.

– Twierdzisz, że twoje Głosy mówiły ci o różnych rzeczach. Czy ujawniły ci, że uciekniesz z więzienia?

– Tak, zdradziły, że zostanę uwolniona, lecz nie znam dnia ani godziny, w jakiej to się stanie. Głosy przykazały mi, bym zanim to nastąpi, nie traciła ducha i odwagi.

Gabriel poczuł, jak Fleur ściska jego rękę tak mocno, że zaczął się obawiać, czy nie pogruchocze mu kości. Ale nawet gdyby, to co z tego! Głosy powiedziały Joannie, że będzie wolna!

– Dlaczego wyskoczyłaś z wieży Beurevoir? – zapytał następnie Cauchon. – Ta wieża ma prawie dwadzieścia metrów wysokości. Czy chciałaś popełnić grzech śmiertelny i pozbawić się życia, które otrzymałaś od Boga?

Skok Wiary! – pomyślał od razu Gabriel. Joanna próbowała uciec, wykorzystując umiejętność, której nauczyli jej asasyni. Na myśl o Bractwie ponownie ogarnął go gniew.

– Wiedziałam, że mam zostać wydana Anglikom, ale nie zrobiłam tego z rozpacz. Skoczyłam po to, aby ocalić moje ciało i abym mogła pospieszyć na pomoc wielu dobrym ludziom będącym w potrzebie. Po skoku przystąpiłam do spowiedzi i poprosiłam naszego Pana o przebaczenie.

– Czy wyznaczono ci za to pokutę?

– Pokutą były obrażenia, jakich nabawiłam się przy upadku! – odparła Joanna.

Gabriel zauważył, jak Fleur z trudem hamuje cisnący się jej na usta uśmiech.

– Czy to twoje Głosy kazały ci udać się do serca Francji?

– Zrobiłam to z bożego nakazu. Wszystko, co uczyniłam, robiłam z nakazu Boga.

– Czy to Bóg kazał ci nosić męskie ubrania?

To pytanie wyraźnie zaskoczyło Joannę. Gabriel przypomniał sobie dyskusję, jaka wywiązała się kiedyś na ten temat. Wszyscy – od de Metza aż po mieszkańców Vaucouleurs, którzy ufundowali Joannie cały ekwipunek – doszli wtedy do wniosku, że to mądra decyzja i że w męskim stroju łatwiej będzie jej podróżować konno,

a ponadto nie będzie ściągała na siebie uwagi i uniknie niechcianych zalotów. Joanna chętnie się z nimi zgodziła, a Gabriel był pewien, że nie uczyniłaby tego, gdyby jej Głosy miały co do tego jakiegokolwiek obiekcje.

– Ubranie to rzecz nieistotna, najmniej ważna ze wszystkich – odpowiedziała po chwili skonfundowana, marszcząc lekko brwi. – Mówiłam już, że we wszystkim, co robiłam, kierowałam się nakazami Boga i głosami jego aniołów. W Poitiers pytano mnie już o sprawę mojego stroju i tamtejsi uczeni księża orzekli, że to...

– Gdzie masz swoją mandragorę?

Głos, który przerwał Joannie, należał nie do Cauchona, lecz do drugiego z sędziów, Jeana d'Estiveta, który śledził przebieg przesłuchania, krzywiąc się z takim niesmakiem, jakby zmuszono go do zjedzenia całej cytryny.

Joanna zamrugała szybko, zdziwiona tą nagłą zmianą tematu, ale kiedy udzieliła odpowiedzi, jej głos był jak zawsze spokojny i opanowany.

– Nie mam mandragory i nigdy jej nie miałam.

– Ale najwyraźniej wiesz, czym jest i do czego służy.

Każde pytanie to zasadzka – pomyślał ze złością Gabriel. Wiedział, że korzeniom mandragory przypisywano magiczne właściwości – i że miało to związek z uprawianiem czarów.

– Słyszałam, że są tacy, którzy posługują się nią, by zdobyć bogactwo, ale ja nie wierzę w takie rzeczy. – Ton, jakim to powiedziała, zdradzał jej najgłębszą pogardę dla takich praktyk.

W przesłuchanie ponownie włączyli się pozostali członkowie trybunału. Po raz kolejny padły pytania o Drzewo Panien. Ktoś znowu dopytywał, czy Joanna widziała kiedyś wróżki. Ktoś inny zapytał z kolei o jej sztandar. Joanna odpowiedziała, że wolała go czterdzieści razy bardziej niż swój miecz. *Gdybyś tylko miała go teraz przy sobie...* – pomyślał ze smutkiem Gabriel.

– Wolałam sztandar, bo nigdy nie chciałam nikogo zabić.

– Doprawdy?

– Nigdy – odparła stanowczo i nikt, kto usłyszał jej głos, nie mógł mieć wątpliwości, że jest to niepodważalna prawda.

– Ale nie odnosisz się przyjaźnie do Burgundii ani do Anglii – dociekał Cauchon.

– Moim największym marzeniem jest ujrzeć mojego króla i księcia Burgundii żyjących w pokoju i połączonych więzami przyjaźni. Jeśli zaś chodzi o Anglików, to pragnęłam jedynie, by opuścili Francję i wrócili do siebie. Zawsze też błagałam, aby się poddali, zanim ich zaatakowałam – powiedziała Joanna, po czym przechyliła głowę lekko na bok, a jej błękitne oczy przez moment wydawały się nieobecne. Po raz pierwszy od chwili, gdy wprowadzono ją do kaplicy, jej twarz rozpromieniła się delikatnym blaskiem.

– To jej Głosy – wyszeptała z przejęciem Fleur.

Gabrielowi radość odebrała mowę i zdołał jedynie skinąć głową.

Po chwili Joanna mrugnęła i ponownie spojrzała na Cauchona.

– Nim siedem lat przeminie, Anglicy doznają klęsk większych niż ta, którą ponieśli pod Orleanem, i tracą wszystko, co zdobyli we Francji. Stanie się to za sprawą

wielkiego zwycięstwa, jakie Bóg ześle Francuzom.

Gdy tylko skończyła mówić, członkowie trybunału zaczęli się wzajemnie przekrzykiwać, domagając się, by Joanna ujawniła, kiedy dokładnie ma to nastąpić. Ale ona pokręciła tylko głową.

– Moje Głosy zakazały mi o tym mówić, a bardziej obawiam się ich gniewu niż waszego.

– Czy wierzysz, że jesteś w stanie łaski? – zapytał nagle niewinnym tonem Cauchon.

W kaplicy zapadła cisza. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że bez względu na to, jakiej odpowiedzi udzieli na to pytanie Joanna, zaszkodzi nią sobie, a być może nawet skaże się na zgubę. Gdyby powiedziała, że tak, uznano by ją za heretyczkę, gdyż żaden człowiek nie może być tego pewien. Gdyby powiedziała, że nie, oznaczałoby to, że wszystko, co powiedziała i zrobiła, oparte było na kłamstwie, bo jej objawienia nie mogłyby pochodzić od Boga.

Mimo grozy sytuacji Joanna wydawała się zupełnie spokojna. Uśmiechnęła się łagodnie, a jej blask wzmógł się jeszcze, gdy odpowiedziała:

– Jeśli nie jestem w stanie łaski, to proszę Boga, by mi jej udzielił. A jeśli jestem, to proszę Boga, by mnie w niej zachował. Byłabym najsmutniejszą kobietą na świecie, gdybym wiedziała, że nie jestem w stanie łaski.

Grobowa cisza utrzymywała się w kaplicy jeszcze przed dłuższy czas. Uczni duchowni spoglądali po sobie osłupiałym wzrokiem. Zwykła prostaczka swoją skromną odpowiedzią w cudowny, genialny wręcz sposób uniknęła na pozór doskonałej teologicznej pułapki.

– Wierzę w to, co powiedziały mi moje Głosy – dodała po chwili Joanna. – Wierzę, że będę zbawiona. Wierzę w to tak niezachwianie, jakbym już była w raju.

Niski, mający w sobie coś okrutnego d'Estivet pierwszy otrząsnął się z wrażenia.

– Czy w takim razie sądzisz, że nie jesteś w stanie popełnić grzechu śmiertelnego?

Joanna energicznie pokręciła głową, a jej gęste czarne loki zafalowały gwałtownie.

– Tego nie wiem. Całą nadzieję pokładam w Bogu i zdaję się na niego we wszystkim.

– Mocna to odpowiedź – stwierdził d'Estivet.

– Wiara w zbawienie jest dla mnie skarbem.

Mgła przysłoniła świetlistą twarz Joanny i po chwili wszystko pogrążyło się w szarości. Simon był niemal pewien, że po raz ostatni miał okazję widzieć Joannę tak spokojną i pogodzoną z Bogiem i światem.

Niech to wszyscy diabli.

Ta przepowiednia – zagadnęła Victoria – o co w niej chodziło? Czy się spełniła?

Simon odchrząknął.

– Ach... tak. Sześć lat później Francuzi odzyskali Paryż. Gdyby tylko Joanna mogła tego doczekać...

Czy dość już widziałeś? – spytała łagodnie Victoria.

No właśnie, czy zobaczył już dość? Być może tak właśnie powinien zapamiętać Joannę d'Arc: odważną nawet w niewoli, niezłomnego ducha i silnej wiary, jej ciało

wychudzone, ale wciąż całe, nienaruszone jeszcze przez płomień.

– Nie – odparł.

Nie potrafił się z nią rozstać. Jeszcze nie teraz. Być może nigdy.

...*W porządku* – powiedziała z wahaniem w głosie Victoria i mgła znowu zafalowała.

Czwartek 24 maja 1431 roku
Opactwo Saint-Ouen, Rouen

Gabriel stał na cmentarzu w tłumie ludzi wpatrzonych we wzniesione w pośpiechu rusztowania, na których lada moment miał się odbyć kolejny akt okrutnego spektaklu. Zewsząd napierali na niego gapie, a mimo to jeszcze nigdy w swoim niemal dwudziestoletnim życiu nie czuł się równie samotny.

Nie było już przy nim Fleur.

Jakiś czas wcześniej przy schodach gospody natknął się na czekającego na niego chłopca.

Twoja Fleur kazała ci przekazać, że nie może już dłużej tego znieść. Przeprasza cię, ale musiała odejść – oświadczył zdumionemu Gabrielowi mały posłaniec. – Powiedziała, że ma nadzieję, że odnajdziesz spokój i szczęście, i prosiła, byś nie próbował jej szukać.

Bez obaw – warknął Gabriel, opierając się jednocześnie o ścianę. Szok sprawił, że zakręciło mu się w głowie. *Nie zamierzam tracić czasu na tę zdrajczynię.*

Zdrada była jedyną rzeczą, jakiej obawiała się Joanna. Fleur przysięgała po wielokroć, że nigdy Joanny nie porzuci. Zapewniała, że bez Dziewicy jej życie straci sens. A jednak ona także, tak jak wszyscy inni, odwróciła się do Joanny plecami. Gabriel wciąż trwał na posterunku, choć Bóg jeden wiedział, jak wiele go to kosztowało. Już dawno postanowił, że pozostanie świadkiem losów Joanny, nawet jeśli zostanie sam jeden. *Na końcu – pomyślał posepnie – wszyscy i tak zostajemy sami. Wszyscy poza Joanną – ona będzie mieć przy sobie swoje Głosy.*

Proces Joanny toczył się publicznie przez jedenaście dni, ale potem obrady trybunału zaczęły się odbywać za zamkniętymi drzwiami. Sympatia ludzi zaczęła bowiem przesuwac się w stronę Joanny, a tych, którzy ją przesłuchiwali, coraz częściej uważno za jej prześladowców. Gabriel, spragniony jakichkolwiek wieści o przebiegu procesu, przekupywał tych, którzy mogli coś wiedzieć, pozwalając im pić w gospodzie na swój koszt. Pochyleni nad kubkiem wina mamrotali potem o sprawach, które Gabriel nie do końca rozumiał: na przykład o tym, jak Joanna znalazła się w niebezpieczeństwie, ponieważ nie chciała poddać się osądowi i woli Kościoła wojującego, bożego reprezentanta na ziemi. Mówili także o dziwnym aniele, którego Joanna widziała trzymającego koronę nad głową Karola. To akurat było dla Gabriela jasne – chodziło o Jolantę, Mentorkę asasynów, którą Joanna wzięła za

aniola. Gabriel pomyślał z gniewem, że asasyjni nie tylko porzucili Joannę, ale w dodatku swoim postępowaniem narazili ją na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Do tego dochodziła jeszcze sprawa jej ubioru. Chociaż nikt, łącznie z teologami, którzy przesłuchiwali Joannę w Poitiers, nie wyrażał zastrzeżeń co do noszenia przez nią męskiego stroju podczas konnej jazdy, walki lub snu, jeśli przyszło jej spać w obecności mężczyzn, to Cauchon i d'Estivet uczepili się tego tematu niczym terier tarmoszący szczura i dowodzili, że noszenie przez Joannę męskiego przyodziewku stanowiło akt herezji oraz obrazę Boga. Gabriel chłonał chciwie wszystkie strzępy informacji z procesu. Dzisiaj zaś dowiedział się, że Joanna zostanie wystawiona na widok publiczny na cmentarzu w opactwie Saint-Ouen. I oto właśnie się zbliżała, a wraz z nią na cmentarz wkroczyło kilkunastu duchownych. Przynajmniej część z nich Gabriel widywał już wcześniej podczas publicznych posiedzeń trybunału.

Minęły dwa miesiące, odkąd widział Joannę po raz ostatni w zamkowej kaplicy. Teraz na jej widok omal nie pękło mu serce. Schudła jeszcze bardziej, miała zapadnięte policzki i zmatowiałe oczy. Jej włosy były jeszcze dłuższe niż poprzednio, zaniedbane i skołtunione. Jej nadgarstki wydawały się tak cienkie, że okowy niemal ześlizgiwały się z nich. Gabriel zaczął przepychać się przez tłum. Liczył na to, że uda mu się przechwycić spojrzenie Joanny i nie ściągnąć przy tym na siebie uwagi żołnierzy, którzy prowadzili ją ku drewnianemu podestowi.

Głos zabrał ksiądz Guillaume Erard. Gabriel nie słuchał wygłaszanego przez duchownego kazania, rozglądał się w tłumie, szukając gorączkowo możliwych dróg ucieczki, które mógłby wykorzystać, gdyby jakimś cudem udało mu się wskoczyć na platformę i...

I co? Był przecież sam. Nie przeszedł nawet pełnego asasyńskiego szkolenia. Nie miał najmniejszych szans w walce z setkami uzbrojonych po zęby żołnierzy, nie mówiąc już o ucieczce z miasta w towarzystwie młodej kobiety, wycieńczonej przez głód, a być może także obolałej po brutalnym traktowaniu, z łańcuchami na kostkach i nadgarstkach.

Kapłan podburzał tłum przeciwko królowi Karolowi, Joannę nazywał „potworem”, „czarownicą”, „heretyczką” i zarzucał jej uleganie „zabobonom”. Gabrielowi wciąż trudno było uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. W końcu Erard zażądał, by Joanna ukorzyła się przed Kościołem i dobrowolnie poddała kościelnemu osądowi wszystkie swoje słowa i uczynki.

– Odwołuję się przed Bogiem do naszego świętego ojca, papieża – powiedziała Joanna.

Gabriel ze smutkiem zdał sobie sprawę, że jej twarz nie jaśniała już swym wewnętrznym światłem.

– Stolica Apostolska leży zbyt daleko stąd i niemożliwe jest, by zwrócić się do papieża w twojej sprawie – odparł Erard.

Skinieniem dłoni przywołał jednego z młodszych urzędników sądowych, Jeana Massieu, który z wyraźnym ociąganiem podał Joannie jakiś pergamin.

Simon, w przeciwieństwie do Gabriela, wiedział dobrze, co to za dokument. Była to tak zwana ceduła, dołączana do innego dokumentu prawnego. W tym przypadku

ceduła była deklaracją wyrzeczenia się – oświadczeniem, w którym Joanna zobowiązywała się nigdy więcej nie ścinać włosów, nie przywdziewać męskiego stroju i nie brać do ręki broni. W zamian za wyparcie się tych wszystkich „herezji” miała zostać przeniesiona do więzienia kościelnego, a także otrzymywała gwarancję, że nie trafi już w ręce władzy świeckiej.

Simon wiedział, że ten mały kawałek pergaminu wcale nie został dołączony do dokumentów procesowych Joanny. Ceduła, która znalazła się ostatecznie w aktach jej procesu, była niemal pięć razy dłuższa. Ktoś zadał sobie trud, by umieścić rzekomy podpis Joanny pod zupełnie innym oświadczeniem.

Joanna spojrzała na podsunięty jej pergamin.

– Chcę, by księża odczytali mi treść tego dokumentu i doradzili, czy powinnam go podpisać.

Erard najwyraźniej miał już tego dość.

– Podpisz natychmiast! – ryknął. – Jeśli tego nie uczynisz, spłoniesz!

Gabriel poczuł, jak wnętrzości skręcają mu się ze strachu. Serce Simona zaczęło łomotać w piersi jak oszalałe.

Massieu tymczasem podjął decyzję. Zaczął głośno i wyraźnie odczytywać treść ceduły. Szmer przeszedł przez tłum gapiów, a także przez tych, którzy stali na drewnianych podwyższeniach. Gabriel usłyszał wyraźnie, jak Cauchon wycedził do nieszczęsnego Massieu:

– Jeszcze mi za to zapłacisz.

Ale młody kapłan nie ugiął się i dokończył odczytywanie oświadczenia.

– Jeśli to podpiszesz – zwrócił się do Joanny – zostaniesz uznana za nawróconą heretyczkę. Nie odzyskasz wolności, ale zostaniesz przeniesiona do innego więzienia, w którym pilnować cię będą wyłącznie kobiety. Poza tym darowane ci będzie życie. Pewnego dnia możesz nawet zostać uwolniona i powrócisz do domu. Jeśli nie podpiszesz, spłoniesz na stosie.

Ku powszechnemu zdumieniu Joanna wybuchnęła śmiechem. Potem wzięła do ręki podane jej pióro i podpisała się krzyżykiem, wokół którego narysowała okrąg.

Gabriel wiedział, że Joanna potrafi podpisać się swoim imieniem, a jednak tym razem tego nie uczyniła. Zamiast tego narysowała na pergaminie krzyż wpisany w okrąg – znak, który Gabriel widział już wcześniej. Znak, za pomocą którego Joanna dawała do zrozumienia, że nie zgadza się z treścią podpisanego dokumentu.

Jego piękna, mądra Joanna podejrzewała, że ci ludzie próbowali wciągnąć ją w pułapkę – i w ten sposób zostawiła sobie furtkę, by w razie potrzeby móc się wycofać.

Gabriel także się roześmiał. Wydawało mu się, że Joanna wyczuła jego obecność: odwróciła w jego kierunku głowę i przez moment Gabriel patrzył prosto w jej duże niebieskie oczy. Od jej twarzy znowu bił znajomy, cudowny blask. Tknięty nagłym impulsem Gabriel ponownie zaczął przeciskać się do przodu, byle tylko znaleźć się jak najbliżej niej.

Niektórzy z obserwujących rozwój wypadków widzów zaczęli tymczasem otwarcie okazywać swoje niezadowolenie.

– Pieniądze, które przekazał ci nasz król, okazały się marną inwestycją – zwrócił się do Cauchona mężczyzna mówiący z wyraźnym angielskim akcentem. – Jeśli Joanna wymknie się nam z rąk, król nie będzie zadowolony.

– Nie obawiajcie się, mój panie. – W głosie Cauchona pobrzmiwała pewność siebie. – Choćby nawet się wymknęła, pochwycimy ją ponownie.

Jego słowa przyćmiły radość Gabriela, a kiedy chwilę później dostrzegł, co wydarzyło się na platformie, ogarnął go lęk.

– Dobrze się dziś spisałaś – pochwalił Joannę jeden z duchownych. – Bóg jest rad, że ocalałaś swą duszę.

– Zabierzcie mnie teraz do waszego więzienia, tak jak mi to obiecaliście, żebym nie musiała już ani chwili dłużej pozostawać w rękach tych Anglików.

Nagle rozległ się zimny, nieprzyjemny głos Jeana d’Estiveta:

– Zabierzcie ją z powrotem tam, skąd ją przyprowadziliście.

– Nie! – krzyknął rozpaczliwie Gabriel i ze zdwojoną siłą rzucił się naprzód, w absurdalnej i beznadziejnej próbie przedostania się do Joanny, na której twarzy malowało się teraz rosnące z każdą chwilą przerażenie.

Nie boję się niczego – oprócz zdrady.

Simonie, co właściwie się tam wydarzyło? Nie bardzo wiem, jak mam to wszystko rozumieć...

Simon był spocony i roztrzęsiony, serce waliło mu jak młotem. Czuł rozpacz i wściekłość, nie tylko własną, ale i Gabriela. Odetchnął głęboko i zaczął mówić.

– Joannie obiecano, że jeśli zrezygnuje z noszenia męskich ubrań i innych zachowań uważanych za niewłaściwe dla jej płci, zostanie uznana za nawróconą heretyczkę. Miała trafić do kościelnego więzienia, gdzie nie byłaby już skuta kajdanami, a w jej celi nie byłoby strażników. Zazwyczaj byłych heretyków po kilku latach puszczano wolno. Joanna podpisała się znakiem, a nie imieniem, by móc potem twierdzić, że nie jest to jej prawdziwy podpis. Zrobiła to na wypadek, gdyby chciano ją oszukać.

I rzeczywiście ją oszukano.

– Zrobiono coś znacznie gorszego – rzucił ze złością Simon. – W niedzielę rano Joanna odkryła, że nocą strażnicy wynieśli z celi jej sukienki i zostawili jej wyłącznie męskie ubrania.

Och nie...

– Nie zrobiliby czegoś takiego bez wyraźnego rozkazu. Założę się, że wydał go Cauchon. Joanna na próżno tłumaczyła, że nie miała innego wyjścia i musiała przywdziać męski strój. Dwudziestego dziewiątego maja Cauchon zwołał posiedzenie członków trybunału. Trzydziestu dziewięciu z nich orzekło, że należy ponownie odczytać Joannie treść ceduły i tym razem lepiej wyjaśnić jej znaczenie. Jedynie trzech opowiedziało się za przekazaniem Joanny władzy świeckiej.

I to także nie miało żadnego znaczenia.

– Nie miało. Członkowie trybunału nie mieli żadnych realnych uprawnień. Sędziami Joanny byli Cauchon i d’Estivet. Spowiednik Joanny, który darzył ją sympatią, wysłał do Cauchona posłańca z pytaniem, czy dziewczyna może wysłuchać

mszy świętej, zanim zostanie spalona. O dziwo, Cauchon wyraził zgodę. Massieu, tamten młody człowiek, który wcześniej starał się pomóc Joannie, dostarczył do celi stulę i świecę, żeby kapłan mógł należycie odprawić liturgię. Po mszy Joanna została przekazana świeckiemu sędziemu, ale zanim ten zdążył odczytać wyrok, przodek Vidica chwycił dziewczynę za ramię i powłókł ją na miejsce kaźni.

Wyciągam cię z stamtąd, Simonie.

– Nie, nie zrobisz tego.

Nie podobają mi się twoje wyniki.

– Powtarzam ci, że chcę... nie. Nie chcę. Muszę. Ona wciąż wydaje mi się żywa. Mnie, nie Gabrielowi. Dlatego muszę zobaczyć to na własne oczy.

Wobec tego będę ci towarzyszyć.

Środa 30 maja 1431 roku

Stary Rynek, Rouen

Tyłu żołnierzy – pomyślał Gabriel – i wszystko to z powodu jednej drobnej dziewczyny...

Żołnierzy rzeczywiście było dużo – co najmniej kilkuset, czujnych i uzbrojonych po zęby. Niektórzy mieli nawet na sobie pełne zbroje. Część żołnierzy wmieszała się w tłum, a pozostali uformowali kordon, oddzielający chmarę gapiów od rusztowania, na którym wzniesiono stos. Ich zadaniem było nie dopuścić do Joanny tych, którzy mogliby zechcieć ją zranić – lub spróbować ją uratować.

Joanna nawet w takiej chwili stała wyprostowana. Jej szczupłe ciało okrywała jedynie cienka, luźna sukienka. Jej gęste czarne włosy ostrzyżono do samej skóry, a na łusą głowę nasadzono wysoką, spiczastą czapkę przypominającą mitrę, na której wypisano wszystkie jej winy: *Heretyczka. Bałwochwalczyni. Apostatka*. Mitra była za duża i żeby nie spadła, wciśnięto ją na głowę Joanny tak głęboko, że niemal zasłaniała jej oczy. Jej twarz, a przynajmniej to, co dało się z niej zobaczyć, była posiniaczona, zakrwawiona i opuchnięta tak bardzo, że Gabriel nie był pewien, czy Joanna w ogóle cokolwiek widzi.

Jeanne... Jeanne... to nie może być prawda... to nie może się tak skończyć!

Gdy zakuci w zbroje mężczyźni doprowadzili Joannę do stosu i tęgi kat zaczął przywiązywać ją do pala, okręcając jej wychudzone ciało stalowymi łańcuchami, w Gabrielu Laxarcie coś pękło. Łzy przesłoniły mu oczy i popłynęły obficie po policzkach, jego ciałem raz po raz wstrząsał spazmatyczny szloch.

Proszę cię, Boże, weź mnie, zabierz moje życie, a jej zwróć wolność... nie pozwól im tego zrobić... Ona tak bardzo cię kochała, zrobiła wszystko, czego od niej chciałeś...

– Pospiesz się i zrób wreszcie, co do ciebie należy! – krzyknął do kata któryś z gapiów.

– Właśnie, rusz się, bo ludziom śpieszy się na kolację! – krzyknął ktoś inny, wywołując salwy złośliwego, nikczemnego śmiechu.

Gabrielowi poczerwieniało przed oczami. Krzycząc coś nieskładnie, wymierzał ciosy każdemu, kto miał nieszczęście nawinąć mu się pod rękę. Młóćąc pięściami,

miotał się w poszukiwaniu tych potworów, które nie mogły się doczekać, aż Joanna zacznie płońć i krzyczeć w agonii. W końcu zaczął przeciskać się w kierunku rusztowania, by uwolnić Joannę i zabrać ją w bezpieczne miejsce. Łudził się, że tuzin albo nawet i setka asasynów ukrytych na widoku w tłumie ludzi lada moment powstanie niczym anioły zemsty zesłane przez Boga, by zniszczyć tych, którzy ośmielili się podnieść rękę na jego wybranekę.

Ale nic takiego nie nastąpiło.

Nie było bożego gniewu. Nie było asasynów. Był tylko ogień, piekielna kara wymierzona najbardziej niebiańskiej istocie, jaką Gabriel znał.

Nie zniosę tego – pomyślał Simon. – Nie dam rady.

Żar owionął jego twarz. Dym wypełnił rozwarłe w krzyku usta. Czyjeś ręce pochwyciły go za ramiona, ciągnąc do tyłu i obalając na ziemię. Przed upadkiem zdążył dostrzec, jak stojący przed stosem spowiednik Joanny unosi krucyfiks, by choćby na krótką chwilę i choćby w minimalnym stopniu odwrócić jej uwagę od niewysłowionego bólu zadawanego przez ogień, który trawił jej ciało i powoli zamieniał je w proch.

Zakuta w kolczą rękawicę pięść zdzieliła go w twarz; zanim cały świat ogarnęła miłosierna czerń, usłyszał jeszcze głos Joanny – wysoki, przestraszony, lecz zdecydowany, nieprzypominający nawet jej zwykłego głosu. Wykrzyczała jedno jedyne słowo:

– Jezu!

Simon?

Zdał sobie sprawę, że jego twarz jest cała mokra, miał też trudności z oddychaniem.

– Victorio? – zapytał drążącym głosem. – Czy ja straciłem przytomność?

Nie, ale przez chwilę nie reagowałeś na pytania.

Brakowało mu słów, by opisać to, jak się teraz czuł. Załamany, zagubiony, zdruzgotany, wściekły... wszystko to nawet w niewielkim stopniu nie oddawało stanu jego umysłu. Przelknął ślinę i wziął głęboki oddech, starając się siłą woli opanować drżenie ciała.

– Musisz coś dla mnie zrobić.

Oczywiście. Już cię wyciągam.

– Nie! Nie o to chodzi, jeszcze nie. Muszę zobaczyć, jak potoczyło się dalej życie Gabriela.

To absolutnie wykluczone. Po tym, czego przed chwilą byłeś świadkiem...

– Potrzebuję tego, Victorio. – Słowa płynęły z jego ust niczym krew z otwartej rany. – Muszę się upewnić, czy doszedł do siebie. Chcę zobaczyć matkę jego dziecka, chcę się dowiedzieć, czy doczekał rewizji procesu Joanny. Czy dożył dnia, w którym oczyszczono ją z zarzutów. Chcę wiedzieć, czy był jeszcze kiedyś szczęśliwy.

A co będzie, jeśli się okaże, że nigdy do siebie nie doszedł? Jeśli nigdy nie poznał swojego dziecka? Jeśli zapił się na śmierć albo wykonał Skok Wiary, mając pewność, że go nie przeżyje?

Simon skrzywił się na myśl o tych przypuszczeniach.

– Przynajmniej będę to wiedział. I pogodzę się z tym – powiedział. *Jakoś się z tym*

pogodzę.

Victoria zakłęła po francusku; zrozumiał prawie wszystko.

W porządku – powiedziała po chwili.

Godzinę później Victoria zdjęła hełm z jego mokrej od potu głowy. W jej oczach dostrzegł zaciętą, gniewną determinację i wiedział, że taka sama determinacja maluje się też na jego twarzy.

– Wiesz, co musimy zrobić – powiedział, gdy pomagała mu uwolnić się z krępujących go pasów i klamer.

– Tak – odparła zdecydowanie. – Wiem.

Umówili się wczesnym popołudniem w Hyde Parku, każde z nich wyszło z innej stacji metra. Simon zmierzał właśnie na umówione miejsce; zmysły miał czujnie napięte. Po drodze mijał rodziny spacerujące z małymi dziećmi, które piszcząc z radości, tupały i brodziły w stertach opadłych liści, a także samotnych piechurów, którzy przyszli do parku po swoją codzienną porcję ruchu na świeżym powietrzu i przemierzali alejki szybkim, miarowym krokiem. Co pewien czas spotykał także pary, młodsze i starsze, które wybrały się na przechadzkę, by nacieszyć się słonecznym, pogodnym dniem. Niebo było błękitne, liście mieniły się złotem i czerwienią, a w powietrzu unosił się charakterystyczny, choć trudny do opisanie, rześki zapach jesieni. Woda w fontannie The Joy of Life, którą Simon wyznaczył na miejsce spotkania, szemrała i pluskała wesoło.

Simon był jednak obojętny na te wszystkie uroki życia. Oczyma duszy wciąż widział Joannę. W uszach ciągle pobrzmiwały mu szydercze krzyki jej nieprzyjaciół.

W nozdrzach nadal czuł zapach płonącego stosu.

Sam nie wiedział, dlaczego wybrał akurat to miejsce. Zawsze gustował w sztuce klasycznej, tymczasem fontanna The Joy of Life, chociaż nie miała wiele wspólnego ze sztuką awangardową, była jednak dość współczesna. Kiedy przyglądał się dwóm centralnym postaciom, które trzymały się za ręce i wydawały się unosić w tańcu ponad tryskającymi w górę strumieniami wody, a także otaczającym je figurom bawiących się dzieci, pomyślał o Joannie. Jąką prostą emocją była radość... Świadomość, że Joanna miała okazję zaznać jej w swoim krótkim życiu, dodawała mu otuchy.

Po pewnym czasie z zamyślenia wyrwało go pojawienie się Anayi, wkrótce po niej na miejsce dotarła także Victoria. Plusk wody w fontannie sprawiał, że mogli rozmawiać swobodnie, bez obawy o to, że ktoś ich podsłucha.

– Victoria i ja odkryliśmy coś, co może wywrócić Zakon do góry nogami – oznajmił cicho Simon.

Anaya gwałtownie wciągnęła powietrze.

– To właśnie przed tym próbował powstrzymać was Rikkin?

– Jestem tego absolutnie pewien.

– Simon Hathaway występujący w roli demaskatora... – powiedziała Anaya. – Nie sądziłam, że dożyję czegoś podobnego.

– Nie chodzi o podważanie celów, jakie przyświecają Zakonowi – zastrzegł Simon.

– Raczej o uświadomienie członkom Zakonu, co naprawdę oznacza bycie

templariuszem. Co zawsze powinno oznaczać.

– Możesz zdradzić mi coś więcej?

Simon i Victoria wymienili spojrzenia.

– Jest jeszcze kilka elementów, które muszę sobie poukładać. Chcę chronić was obie na tyle, na ile tylko to możliwe. W ogóle nie ośmieliłbym się was w to angażować, gdybym nie był przekonany, że to absolutnie konieczne. – Umilkł i delikatnie obrócił ją ku sobie. – Wierz mi, to może wszystko zmienić.

– W jakim sensie?

– Najlepszym z możliwych.

– O ile tylko uda nam się wyjść z tego cało – wtrąciła cierpko Victoria.

– Są rzeczy, za które każdy templariusz powinien być gotowy oddać życie – odparł Simon. – To właśnie jedna z tych rzeczy. Tak czy inaczej – ponownie zwrócił się do Anayi – na wypadek gdyby coś poszło nie tak... wolałbym, żebyś wiedziała jak najmniej.

– Pamiętaj, że byłam agentką terenową. Każdego dnia wychodziłam do pracy ze świadomością, że mogę zginąć. Ale nie musisz mówić mi o niczym, jeśli wolisz zachować tajemnicę. – Uśmiechnęła się do niego i lekko dźgnęła go palcem w pierś. – Może i bywasz czasem nadętym nudziarzem, Simonie Hathawayu, ale jesteś też najprzyzwoitszym człowiekiem, jakiego znam. Wierzę ci i mam do ciebie zaufanie. Jeśli jesteś pewien, że to pomoże Zakonowi, to jestem po twojej stronie. Powiedz tylko, co mam robić.

Simon sięgnął po jej dłoń.

– Nigdy nie byłem niczego tak pewny jak tego. Dziękuję ci. – Wypuścił jej dłoń z uścisku i wyprostował plecy. – Dziękuję wam obu. No dobrze. Oto, co zrobimy.

Resztę dnia wypełniła Simonowi praca: odpowiadał na e-maile, oddzwaniał do tych, którzy próbowali się z nim wcześniej skontaktować, układał listę osób, które chciał zatrudnić w swoim dziale... a także czynił przygotowania. Potem wybrał się z Victorią na późny obiad. Podczas jedzenia rozmawiali ściszymi głosami, dopracowując szczegóły planu.

Po dziesiątej wieczorem oboje udali się do Sali Animusa.

– Czy naprawdę musisz jutro wyjechać? – zapytał Simon. – Spędziliśmy tyle czasu w piętnastym wieku, że nie miałem nawet okazji ci pokazać, jak wygląda współczesny Londyn.

Victoria usiadła przed monitorem, jej palce zastukały po klawiaturze.

– Wiem i naprawdę żałuję. Ale przynajmniej wypiałam morze herbaty.

W porządku, teraz wszystko widzę – w uchu Simona rozbrzmiał głos Anayi. Zarówno on, jak i Victoria wyposażeni byli w bezprzewodowe słuchawki, dzięki którym mogli słyszeć wszystko, co mówiła do nich Anaya. *Postępujcie według moich instrukcji.*

– Morgenstern wciąż się do mnie nie odezwał, więc przed wyjazdem jeszcze raz wyślę mu zapis symulacji z rysunkami de Molaya – stwierdziła Victoria. – I to chyba już wszystko, co zostało nam do zrobienia.

Anaya wyjaśniła im poprzedniego wieczora, że jeśli tylko będzie miała możliwość

na bieżąco udzielać Victorii wskazówek, to powinno im się udać wyodrębnić wszystkie informacje zapisane w komputerze zbierającym i przetwarzającym dane z Animusa w interesującym ich przedziale czasowym. Victoria będzie mogła przesłać je niepostrzeżenie do komputera Anayi – wzmianka o wysyłaniu symulacji do kryptologa miała służyć wyłącznie wprowadzeniu w błąd tych, którzy mogli ich podsłuchiwać – a także wykonać ich kopię... i usunąć oryginalne dane z dysku Animusa. Simon i Victoria prowadzili luźną pogawędkę, zachowując się jak dwoje ludzi, którzy wkrótce będą musieli się ze sobą pożegnać, a jednocześnie wykonywali wszystkie polecenia Anayi.

– No dobrze, gotowe – stwierdziła w końcu Victoria, wciskając odpowiedni klawisz.

Serce Simona zamarło na moment. Dotarli do punktu, z którego nie było już odwrotu: wykasowali zapis ostatniej sesji Simona w Animusie.

Victoria wstała z krzesła.

– Wiem, że uściski nie są w twoim stylu – powiedziała – ale będę za tobą tęsknić.

Objął ją i serdecznie uściaskał. Miał szczerą nadzieję, że Victoria nie ucierpi przez to, co zamierzał zrobić.

– Dziękuję ci – powiedział. – Za wszystko. Nie mógłbym wymarzyć sobie lepszej towarzyszkę tej przygody.

Victoria dyskretnie wsunęła do jego kieszeni maleńkie urządzenie. Zapis ostatniej symulacji.

Simon otworzył drewnianą skrzynkę i wyjął z niego miecz. Oboje przyglądali mu się przez chwilę w milczeniu.

– Myślę, że pan Rikkin będzie bardzo zadowolony z tego, co udało ci się odkryć – stwierdziła w końcu Victoria.

Jeśli nas podsłuchują, to może teraz zastanowią się dwa razy, zanim zdecydują się mnie zastrzelić – pomyślał z nadzieją Simon.

Na pozór niedbale odłożył miecz na niebieską welurową wyściółkę; zdążył pod nim ukryć przekazany mu przez Victorię maleńki nośnik danych.

– Przechowam go w moim gabinecie do czasu prezentacji.

Rozstali się przy windzie – Victoria udała się do podziemnego garażu, natomiast Simon pojechał na górę, do Działu Badań Historycznych. Był teraz zdany wyłącznie na siebie. Anaya nie będzie mogła interweniować – jej rola miała się ograniczyć wyłącznie do obserwowania i informowania go o rozwoju sytuacji. Simon nie chciał, by angażowała się w tę sprawę jeszcze bardziej niż do tej pory. Już samo włamanie się do Animusa mogło ściągnąć na nią kłopoty. Gdyby teraz włamała się na dodatek do systemu bezpieczeństwa budynku... nie chciał nawet myśleć o tym, jakie mogłyby spotkać ją konsekwencje. Mimo wszystko już samo to, że słyszał jej głos, podnosiło go na duchu.

W porządku, o tej porze w budynku nie ma zbyt wielu ludzi.

Wcześniej tego dnia Simon niby mimochodem przesunął wieszak na ubrania tak, by zasłaniał obiektyw przynajmniej jednej z umieszczonych w jego gabinecie kamer. W ten sposób powstał martwy punkt, w którym Simon mógł teraz swobodnie działać,

nie obawiając się o to, że zostanie podpatrzony. Podeszedł do komputera; wystarczyło parę kliknięć myszką i pomieszczenie wypełniły dźwięki Kanonu Pachelbela. Następnie wziął z biurka nożyczki i otworzywszy skrzynkę z mieczem, ostrożnie wyciął welurową wyściółkę, po czym owinął w nią miecz. Potem wyciągnął z torby rolkę srebrnej taśmy izolacyjnej, kupionej w drodze powrotnej z Hyde Parku. Głośna muzyka zagłuszała charakterystyczny odgłos rozwijanej taśmy, za pomocą której Simon przymocował miecz do swojego ciała. Nie było to najwygodniejsze rozwiązanie, ale powinno zdać egzamin.

Spodziewał się, że długi płaszcz i gruby szalik wystarczą, by zamaskować broń. Wykrywacze metalu znajdowały się tylko na parterze budynku, przy głównym wejściu. Simon nie zamierzał jednak z niego korzystać, wiedział, że Victoria będzie czekała na niego na podziemnym parkingu, w samochodzie zaparkowanym we wskazanym wcześniej przez Anayę miejscu, które znajdowało się poza zasięgiem kamer. Simon planował ukryć się w bagażniku i...

Simon, pora się zbierać.

– Hmm? – wymamrotał cicho, mając nadzieję, że muzyka zagłuszy także jego słowa.

Obserwuję wszystkie trzy klatki schodowe – ciągnęła Anaya. – Do budynku wchodzi właśnie jacyś faceci. Są ubrani po cywilnemu, ale wyglądają dość podejrzanie i wdaje mi się, że są uzbrojeni. Coś dzieje się także przy bramie wyjazdowej z parkingu.

– Założę się, że będą przeszukiwać samochody. Powiedz Victorii, żeby wysiadła z wozu i natychmiast szła do wyjścia. – Victoria miała przy sobie drugą kopię symulacji. Simon liczył na to, że ochroniarze będą szukać osoby, a nie maleńkiego nośnika danych. – Pytanie, jak ja mam się stąd wydostać.

Włamię się do systemu bezpieczeństwa.

– Nie rób tego! – krzyknął głośno, po czym już ciszej dodał: – Nie możemy ryzykować twojego bezpieczeństwa. Z wielu powodów.

Obstawili wszystkie wyjścia. Przed chwilą wyłączyli też windy. Czteroosobowe grupy wchodzi schodami na górę. Simon, oni wiedzą, gdzie jesteś. Musisz uciekać!

Tylko dokąd? Simon zastygł w drzwiach swojego gabinetu, cenne sekundy mijały bezpowrotnie. Tamci z każdą chwilą byli coraz bliżej jego piętra...

Na górę.

Tak.

– Oni oczekują, że spróbuję zejść schodami na dół – powiedział. – Dlatego idę na górę.

Na górę? O ile nie masz tam przygotowanego helikoptera, to...

– Nie martw się. Wiem, co robię. – To nie była prawda. Simon Hathaway nie miał pojęcia, co robi. Na szczęście wiedział to Gabriel Laxart.

Na górę.

Simon wybiegł na korytarz, najciszej jak potrafił otworzył drzwi prowadzące na klatkę schodową, po czym zaczął nasłuchiwać. Okazało się, że tamci są bliżej, niż się spodziewał, słyszał ich wyraźnie, a to oznaczało, że oni byli w stanie usłyszeć jego. Zrozumiał, że stracił szansę na to, by wymknąć się niepostrzeżenie. Ruszył więc

biegiem, dziękując naturze za to, że obdarzyła go takimi długimi nogami, a sobie samemu za te wszystkie godziny, jakie co tydzień spędzał na siłowni. Pokonywał po dwa, trzy stopnie naraz, pędząc przed siebie niczym lis, który słyszy ujadanie goniącej go sfory.

W jego żyłach pulsowała adrenalina. Pomyślał o Gabrielu: o treningu, jaki przeszedł, o bitwach, w których brał udział, i o tym, jak potrafił biegać w ciężkiej zbroi, a w razie potrzeby nawet wskoczyć w niej na konia...

Chwyć się poręczy, podciągnij się, rzutem ciała pokonaj zakręt... nie zatrzymywał się ani na moment.

– Anaya! Ile jeszcze pięter do dachu?

Do... niech cię diabli, Simon, jeszcze sześć. Głos jej zadrżał. Nie wierzyła, że mu się uda. Simon nie próbował jej pocieszać. Sam nie był pewien, czy zdoła tego dokonać.

– Simonie Hathawayu! – dobiegł z dołu głos.

Simon nie zwolnił. Krzycząc, tamci tracili oddech.

– Bezprawnie wszedłeś w posiadanie własności Abstergo! Zwróć ją i poddaj się pod osąd Zakonu!

Przeskoczył dwa kolejne stopnie i chwyciwszy się poręczy, rzutem ciała pokonał zakręt, po czym wbiegł na kolejny odcinek schodów. Ścigający go robili mnóstwo hałasu, najwyraźniej nie dbali o to, że ktoś może ich usłyszeć. Nagle rozległ się huk pierwszego wystrzału. W ciasnej przestrzeni wydał się zaskakująco głośny, przetoczył się donośnym echem po całej klatce schodowej. Szok sprawił, że serce Simona zaczęło bić jeszcze szybciej niż dotąd; on sam także przyspieszył.

W budynku są trzy główne drogi ewakuacyjne – usłyszał spokojny głos Anayi. Ledwo był w stanie ją zrozumieć, w uszach dudnił mu tupot nóg, łomot serca i coraz bardziej nierówny oddech. Dwie z nich prowadzą prosto na dach. Grupa w drugiej klatce schodowej jest w tej chwili o dwa piętra niżej niż ty i twoi przyjaciele.

To właśnie było najgorsze. Ci, którzy na niego polowali, byli najprawdopodobniej templariuszami, agentami specjalnymi z zespołu podobnego do tego, którym dowodził Berg. Powinni być jego przyjaciółmi, a przynajmniej lojalnymi towarzyszami broni.

Ale nie byli. Byli jego wrogami.

Pokonywali teraz biegiem kolejny odcinek schodów. Simon nie uciekał. Wyczekał na odpowiedni moment i przesadził poręcz, zarzucając jednocześnie swój płaszcz na głowę mężczyzny pędzącego na czele pościgu. Oślepiony i zaskoczony templariusz stracił równowagę i runął w dół, wpadając na jednego ze swoich towarzyszy, który znajdował się o kilka stopni niżej. Simon jednym susem przeskoczył ponad dwoma kotłującymi się na podłodze agentami i wyciągnął miecz. Nigdy wcześniej nie walczył mieczem, ale na szczęście Gabriel wiedział, jak się za to zabrać. Stalowa klinga zakreśliła w powietrzu zgrabny łuk i uderzyła trzeciego agenta w pierś. Mężczyzna wypuścił z ręki pistolet, który z łoskotem odbił się od betonowych stopni i zniknął w czeluści klatki schodowej.

Gabriel rozplątałby przeciwnika na pół. Simon jednak, wzorem Joanny, uderzył płazem miecza. To w zupełności wystarczyło: cios był silny, a agent nie był przygotowany na to, że będzie musiał stawić czoła napastnikowi uzbrojonemu w białą

broń.

Czwarty z agentów nie dał się zaskoczyć i Simon dostrzegł błysk lufy pistoletu. Błyskawicznie odwrócił się i pognął schodami na górę, podczas gdy jego prześladowcy powoli podnosili się z ziemi.

Dzięki tej krótkiej potyczce Simon zyskał nieco cennego czasu i nie roztrwonił go. Po pokonaniu kolejnego odcinka schodów jego oczom ukazały się drzwi prowadzące na dach. Z impetem natarł na nie ramieniem, a gdy ustąpiły, wybiegł na zewnątrz.

Kontakt z zimnym wieczornym powietrzem był prawdziwym szokiem dla jego rozgrzanej twarzy i płonących z wysiłku płuc. Mimo to nie zwolnił tempa, pokonał betonowy chodnik i popędził przez wypiełgnowany trawnik, będący częścią ogrodu na dachu budynku. Z każdą sekundą zbliżał się do krawędzi dachu.

Co mnie podkusiło, żeby się tutaj pchać? – pomyślał ze złością, ale było już za późno, by naprawić ten błąd. *Wpakowałem się niczym cholerny szczur w pułapkę.*

Zdołał spowolnić pogoń, ale nie udało mu się jej zatrzymać – ścigający go mężczyźni wybiegli właśnie z klatki schodowej. Po drugiej stronie dachu snop światła rozciął ciemności, gdy otworzyły się gwałtownie drzwi. A zatem druga grupa pościgowa także dotarła na dach. Obie grupy pędziły teraz ku niemu – jedną miał przed sobą, drugą za plecami. Ścigający wiedzieli równie dobrze jak Simon, że z dachu budynku można było wydostać się jedynie nieczynną w tej chwili windą albo jedną z dwóch klatek schodowych. Innego wyjścia nie było.

Myśl. Myśl!

Myślenie już nieraz ocaliło mu skórę. Logiczny, przenikliwy, analityczny umysł pozwalał mu wykaraskać się ze wszystkich opresji, jakie z sadystycznym upodobaniem zsyłało na niego życie. Ale tym razem czuł, że logiczne myślenie nie zdoła mu pomóc.

Za jego plecami rozległ się złowróżbny huk wystrzałów. *Drzewa* – odpowiedział błyskawicznie jego racjonalny umysł, ponownie ratując mu życie. Simon zmienił biegu kierunek ucieczki i pobiegł zakosami, by utrudnić strzelcom celowanie. Poruszając się zygzakami, skierował się w stronę drzew, krzewów i stojących w ogrodzie rzeźb oraz opustoszałych o tej porze budek z lodami i napojami, za którymi można było ukryć się przed gradem kul.

Ale w ten sposób mógł jedynie odwlec nieuchronny koniec.

Simon zdawał sobie sprawę, do czego są zdolni templariusze. I wiedział, czego od niego chcą. Nie ścigali go po to, by go uwięzić albo wydobyć z niego informacje. Nie miało znaczenia, co krzyczeli do niego na klatce schodowej – chodziło im o to, by go zabić. I dlatego już wkrótce, lada moment, będzie martwy.

Serce tłukło mu się w piersi, płuca płonęły ogniem, a mięśnie osiągnęły granicę wytrzymałości – ostatecznie był tylko człowiekiem, niezależnie od tego, jaki trening przeszedł i jaki kod genetyczny zapisany był w komórkach jego ciała. Mimo zmęczenia biegł jednak dalej, nie zwalniając tempa – nie mógł zwolnić, tak jak nie mógł pozwolić, by logiczne, analityczne, racjonalne myślenie zagłuszyło pierwotny instynkt przetrwania. Nie mógł dopuścić, by jego umysł wziął górę nad ciałem.

Bo przecież to ono wiedziało, co należy zrobić. Wiedziało również, jak tego

dokonać.

Nagle tuż obok niego rozpadła się na kawałki rozerwana pociskiem gałąź. Drzazgi zraniły go w twarz, po której spłynęła krew. W uchu słyszał głos Anayi; krzyczała coś do niego, ale nie był w stanie rozróżnić słów.

Z rąk templariuszy czekała go pewna śmierć. Jeśli jednak zdoła dotrzeć do kamiennego muru okalającego ogród na dachu londyńskiej siedziby Abstergo Industries, to otworzy się przed nim nikła szansa na przeżycie.

Pod warunkiem że wystarczy mu wiary, by z niej skorzystać.

Simon Hathaway nie zwolnił. Kiedy dobiegł do muru, przesadził go jednym susem niczym płotkarz przeskakujący ponad ustawioną na bieżni przeszkodą. Jego długie nogi jeszcze przez chwilę młóciły powietrze. Wygiął plecy w łuk, rozpostarł szeroko ramiona...

...i poszybował w dół.

– Doprawdy, wielka szkoda – powiedział Rikkin, otwierając drzwi do sali, w której odbywały się spotkania Wewnętrznego Sanktuarium i w której niespełna dziesięć dni wcześniej stojący przed białą tablicą Simon Hathaway perorował żarliwie o wiedzy, która jest bezcenna sama w sobie. – Będziemy musieli zacząć od nowa cały proces przyjmowania nowego członka. Nie mogę uwierzyć, że Simon nie wytrzymał nawet tygodnia.

– Czy wiemy już, co właściwie zaszło? – spytała Laetitia England.

– Owszem, wiemy – rozległ się spokojny głos Simona, dobiegający z przeciwległego końca sali. – A przynajmniej ja wiem.

Rikkin zamarł. Simon spojrział w jego głębokie, ciemne oczy i po raz pierwszy w życiu zobaczył w ludzkim wzroku czystą, niczym niezmaconą nienawiść.

– Simon. Co za niespodzianka – odezwał się po chwili Rikkin. Jego głos, w przeciwieństwie do spojrzenia, był zimny i wyprany z emocji. – Mogę z ręką na sercu powiedzieć, że jesteś ostatnią osobą, jaką spodziewałem się tutaj zastać.

Simon przyjrzał się zdumionym minom pozostałych członków Wewnętrznego Sanktuarium. Był ciekaw, co im powiedziano. Zastanawiał się też, czy opuści tę salę żywy.

– Parafrazując Marka Twaina, mogę jedynie powiedzieć, że pogłoski o mojej śmierci były mocno przesadzone – stwierdził.

Pierwsza uśmiechnęła się Agneta Reider.

– No cóż, ja w każdym razie cieszę się, że cię widzę – oświadczyła, a ton jej głosu wskazywał, że było to szczere wyznanie.

– Simon, co się z tobą stało? Gdzieś ty się podziewał? – dopytywała Mitsuko Nakamura.

Rikkin, ani przez moment nie odrywając wzroku od Simona, włączył zawieszony na ścianach monitory. Po kilku sekundach pojawiły się na nich twarze Otso Berga i Alvaro Gramatiki. Oni także wydawali się zdumieni widokiem Simona.

– Jak udało ci się prześlizgnąć pod nosem ochrony? – zapytał podejrzliwie Alfred Stearns.

– Wkrótce odpowiem na oba twoje pytania, Mitsuko. A ty, Alfredzie, nie udawaj zaskoczonego. Jestem templariuszem, historykiem i londyńczykiem. Kto lepiej ode mnie mógłby znać zapomniane podziemne przejścia? – powiedział Simon i wyprostował ramiona. – No dobrze. Skoro już jesteśmy tu w komplecie, w tej czy innej formie, chciałbym formalnie poddać się osądowi Wewnętrznego Sanktuarium.

Mam prawo być wysłuchany.

– Ma rację. Przysługuje mu takie prawo – zgodził się Berg.

Zaskoczony Simon nigdy by nie przypuszczał, że akurat on stanie po jego stronie.

– Co takiego zrobiłeś, że wymaga to naszego osądu? – chciała się dowiedzieć England.

– Ukradłem bezcenny artefakt – oznajmił Simon. – Ukradłem też i zniszczyłem intelektualną własność Zakonu. Zwracam jednak Miecz Edenu w stanie lepszym niż go zabrałem. Jeśli zaś chodzi o ową własność intelektualną, to zamierzam ujawnić i odtworzyć zniszczone przeze mnie treści. Z całego serca wierzę, że wszystko, co zrobiłem, zrobiłem dla dobra i w najlepszym interesie Zakonu Templariuszy.

Jasnoniebieskie oczy Simona ponownie spotkały się z oczami Rikkina.

– Alanie, o czym on gada? – spytał stanowczo Stearns.

– Nie mam bladego pojęcia – wycedził Rikkin.

Kłamca – pomyślał Simon.

– Jako mój pracodawca, możesz mnie zwolnić i postawić mi zarzuty, Alanie – powiedział. – Ale jako członek Wewnętrznego Sanktuarium masz obowiązek pozwolić mi się wypowiedzieć. A zatem kim dzisiaj będziesz? Dyrektorem czy templariuszem?

W twarzy Rikkina zadrżał nerwowo mięsień.

– Templariuszem. Zawsze i w każdej sytuacji jestem przede wszystkim członkiem Zakonu.

Zgodnie z przewidywaniami Simona Rikkin postanowił odegrać przed zgromadzoną w sali publicznością rolę człowieka kierującego się rozsądkiem, a nie zawziętego despoty.

– Czuję, że to może być ciekawe – stwierdził David Kilkerman.

– Och, zapewniam cię, że będzie, Davidzie. I obiecuję, że nie każę ci moczyć gąbki – odparł Simon.

Tym razem Kilkerman się nie roześmiał. Simon wskazał na dwa przedmioty ustawione na stole konferencyjnym. Pierwszym był monitor 3D, drugim zaś podłużne pudełko.

– Miecz znajduje się w tym pudełku. Pozwólcie, że zacznę od krótkiego omówienia jego losów. Wiemy, że broń znajdowała się w posiadaniu Jakuba de Molaya aż do trzynastego października tysiąc trzysta siódmego roku, kiedy to doszło do masowych aresztowań templariuszy. Tego dnia miecz został przeniesiony i ukryty w Temple, paryskiej siedzibie Zakonu. Niedługo potem zakopano go za ołtarzem kościoła w Sainte-Catherine-de-Fierbois. Na polecenie Joanny d'Arc został odkopany w roku tysiąc czterysta dwudziestym dziewiątym. Miecz zaginął... – Simon zrobił krótką pauzę, po czym odchrząknął i wznowił swoją opowieść. – Zaginął podczas bitwy o Paryż, ósmego września tysiąc czterysta dwudziestego dziewiątego roku. Jakiś czas później został odnaleziony przez templariuszy i ponownie przeniesiony do Temple, gdzie pozostawał aż do czasów rewolucji francuskiej, kiedy to odnalazł go François-Thomas Germain. Następnie popsuty już miecz wpadł w ręce asasyna Arna Dorianiana. Dalsze losy tego artefaktu z pewnością były ciekawe, ale poprzestańmy na tym, że

koniec końców trafił do gabinetu Alana. Jeszcze do tego wróć.

Simon splótł ręce za plecami i powiódł wzrokiem po twarzach zebranych w sali templariuszy.

– Kiedy stanąłem przed wami w dniu, w którym przyjęliście mnie w poczet członków Wewnętrznego Sanktuarium, zobowiązałem się zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze, znaleźć sposób na naprawę miecza. Po drugie, dowieść słuszności mojego podejścia do zadań Działu Badań Historycznych. Zamierzałem udowodnić wam, że wystarczy dać szansę wiedzy, a przyniesie nam ona wspaniałe owoce. Podczas moich poszukiwań odkryłem coś, co wydało mi się szokujące, przerażające, a zarazem niezwykle ekscytujące.

Wziął głęboki oddech. *Pora zaczynać.*

– Odkryłem, że nasz Zakon od niemal sześciu stuleci desperacko potrzebuje korekty kierunku, w jakim zmierza. Od sześciuset lat niemal wszystkie nasze interpretacje były błędne.

– Jak śmiesz! – wrzasnął siny ze złości Stearns. – Jesteś członkiem Wewnętrznego Sanktuarium ledwie od tygodnia i...

– Nie ma absolutnie nic złego w sposobie naszego działania... – zaczęła spokojniejszym tonem Laetitia England.

– Herezja.

To jedno słowo zamknęło wszystkim usta.

Wypowiedział je, rzecz jasna, Alan Rikkin, przekonany o tym, że Simon wyświadczył mu przysługę i bez niczyjej pomocy postanowił zarzucić sobie pętlę na szyję.

– Nie sądzę – odparł spokojnie Simon. – Zamierzam udowodnić wam, że odeszliśmy od tego, co de Molay uważał za słuszne dla Zakonu, i że od czasu jego męczeńskiej śmierci zbłądziliśmy i zeszliliśmy na manowce. Mam prawo przedstawić swoje argumenty. Jeśli potem zechcecie uznać mnie za heretyka, poddam się waszemu osądowi, tak jak to wcześniej zapowiedziałem.

– To wszystko wydaje się całkiem zajmujące – oświadczył Gramatica. – Simonie, miałem cię za nudziarza, ale najwyraźniej się pomyliłem.

Simon nie zamierzał czekać, aż Rikkin ponownie spróbuje zamknąć mu usta.

– Intelktualną własnością, którą ukradłem, są wspomnienia mojego przodka Gabriela Laxarta. Musiałem to uczynić, ponieważ nie chciałem, by ktoś przy nich majstrował, zanim będę miał okazję zaprezentować wam wnioski płynące z moich badań. Oto i owe wspomnienia, nietknięte i nienaruszone.

Simon nacisną przycisk na pilocie. Trójwymiarowy monitor, który Simonowi zawsze kojarzył się z niezwykle zaawansowanym technicznie akwariem, obudził się do życia. Mgły Korytarza Pamięci zaczęły wirować i kłębić się niczym krople atramentu wpuszczone do wody.

Po chwili mgła zaczęła przybierać realne kształty.

– W tej chwili widzicie wyryte znaki czy też rodzaj graffiti, które Jakub de Molay i niektórzy z jego rycerzy pozostawili na ścianach celi w czasie, gdy więziono ich na zamku Chinon.

Z monitora tymczasem dobiegł głos de Metza:

– W tych rycinach musi być ukryty jakiś przekaz. Templariusze nie marnowaliby energii dla zabawy.

– To graffiti jest doskonale wszystkim znane – prychnął Rikkin. – Tracisz nasz czas. Morgenstern z kryptologii mógłby głądzić o tym w nieskończoność...

– Skoro już o kryptologii mowa – podjął Simon – to czy nie wydaje się wam ciekawe, że Morgenstern nigdy nie otrzymał zapisu tej symulacji, wysłanego mu przez doktor Bibeau? – Simon nie patrzył na Rikkina, ale obserwował uważnie, jak przyjęli tę wiadomość pozostali. – Radzę przyjrzeć się szczególnie temu rysunkowi: słońcu przypominającemu odwróconą kroplę, którego promienie padają na uniesioną twarz templariusza. Zwróćcie uwagę na to, jak często pojawia się na ścianach celi motyw wzniesionych ku górze rąk, a także liczne serca. Spójrzcie też na tę łacińską inskrypcję. Można ją przetłumaczyć tak: „Jeśli serce jest silne, to nie straci mocy”.

– Po co właściwie nam to pokazujesz? – Berg jak zwykle nie owijał w bawełnę.

– Zrozumiecie to już niedługo. Na razie postarajcie się to zapamiętać.

Scenę widoczną na monitorze przesłoniła mgła, z której po chwili wyłoniła się twarz Joanny. Na jej widok Simon poczuł, jakby ktoś zdzielił go pięścią w żołądek. Zaciął zęby, starając się zachować spokój. Joanna dotknęła dłonią swojego woreczka i uśmiechając się, powiedziała: „Wciąż mam pierścionek, który dali mi rodzice. Trzymam go zawsze blisko serca, razem z innymi drobiazgami, które są mi drogie”.

Simon przymknął na moment oczy, po czym ciągnął dalej:

– Gabriel wyczuwał drżącą w mieczu moc, ale kiedy go dotknął, miecz był równie martwy jak wtedy, gdy przekazałeś mi go do badań, Alanie. Martwy. Nijaki. Ale spójrzcie na to.

W trójwymiarowym monitorze ponownie ukazała się twarz Joanny. Jej błękitne oczy były szeroko otwarte, a zawieszony na szyi woreczek zakołysał się, gdy pochyliła się, by zsunąć z miecza obitą czerwonym aksamitem pochwę. Na widok złotego blasku klingi z jej ust wyrwał się tłumiony okrzyk zachwytu.

Simon z satysfakcją odnotował, że kiedy Joanna zaciśnęła dłoń na rękojeści miecza, kilkoro z członków Wewnętrznego Sanktuarium z wrażenia gwałtownie wciągnęło powietrze. Złocisty blask nasilił się, a widoczne na mieczu linie, przywodzące na myśl sygnaturę pradawnej technologii, nagle ożyły i rozbłysnęły własnym światłem.

– Jhesu Maria – wyszeptła Joanna i wzniosła miecz w górę. Jej twarz lśniła jasnym światłem, podobnie jak miecz, który otaczał teraz wieniec białych ujarzmionych błyskawic.

– Jak widzicie, miecz jest teraz aktywny. Niestety, nie możecie poczuć tego, co czuł w tamtym momencie Gabriel. Czuł radość, zadowolenie, spokój... – Simon zmarszczył brwi, gdy zdał sobie sprawę z tego, jak nieadekwatne są jego słowa. – Czuł, że nie ma się już czego bać. Że nikt już nie będzie cierpieć. Wszelkie okrucieństwo i gniew wydawały się zbędne. Kiedy Joanna trzymała w dłoni miecz, istniały jedynie pokój i harmonia.

– Dla templariuszy? – chciała upewnić się England.

– Dla wszystkich.

Monitor zaczął tymczasem wyświetlać serię scen, w których Joanna posługiwała się mieczem: to trzymała go wysoko w górze, to uderzała przeciwników płazem, to znowu wykorzystywała miecz do obrony, a miotane przez niego błyskawice roztrzaskiwały na kawałki klingę broni przeciwnika.

– Coś niezwykłego – stwierdził Berg. Widać było, jak walczą w nim sprzeczne uczucia: z jednej strony powątpiewanie w to, co przed chwilą zobaczył, a z drugiej coś, co można by określić tylko jako swoistą... tęsknotę.

Reider z kolei wpatrywała się w monitor jak urzeczona, z podbródkiem opartym na splecionych dłoniach.

– Nie widzieliśmy czegoś podobnego w przypadku Germaina.

– To prawda – przytaknął Simon. – Nie widzieliśmy. Na to także zwróćcie uwagę.

Gabriel Laxart był teraz w oberży w Rouen. Simon pamiętał jego gniew. Chłopak przyszedł do oberży po to, by zabić, ale to, co tam zobaczył, napełniło go taką pogardą i odrazą, że postanowił darować zapitemu nędznikowi życie.

– Oto Geoffroy Therage – oznajmił Simon uroczyście. – Przodek twojego poprzednika, Davidzie. Przodek Warrena Vidica.

Thérage wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać budzący postrach kat. Mierzył ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, co w tamtych czasach czyniło z niego niemal olbrzyma, miał ciemne włosy i gęstą czarną brodę. Teraz siedział przy stole pochylony nad kubkiem piwa i wybałuszając szkliste, podkrążone oczy, mamrotał coś do swego kompana – starszego, lepiej ubranego, o twarzy poszarzałej z przerażenia.

– Zajmuję się tym od dwudziestu pięciu lat – wybełkotał Thérage. – Widziałem takich, którzy przed śmiercią błagają, takich, którzy płaczą, takich, którzy groźnie warczą, i takich, co ze strachu robią w spodnie. Widziałem takich, którzy modlą się do Boga, i takich, którzy go przeklinają. Ale to...

Pociągnął kolejny tęgi łyk piwa. Od sąsiedniego stolika przyglądał się Thérage'owi młody człowiek, który planował odebrać mu życie.

– Zabijanie ich to mój obowiązek. Nigdy nie myślałem o tym dwa razy. Ale za tę dziewczynę będę się smażyć w piekle. Zabiłem świętą i Bóg o tym wie. – Ogromnym ciałem Thérage'a wstrząsnął dreszcz. – Jej serce... próbowaliśmy je spalić trzy razy. Trzy cholerne razy. Obkładałem je siarką i węglem, polewałem oliwą, wszystko na nic. Nie chciało się spalić. – Drżącą ręką przetaił sobie twarz. – Koniec końców wrzuciłem je do Sekwany.

– Spaliliśmy świętą – mruknął jego towarzysz. – Boże, zlituj się nad nami.

– Pogłoski o tym, jakoby serca Joanny d'Arc nie miał się ogień, to jeden z popularniejszych motywów w folklorze, jaki narodził się wokół postaci Joanny – wyjaśnił Simon. – Ale wygląda na to, że akurat ta historia jest prawdziwa. Usłyszeliśmy ją z ust człowieka, który trzykrotnie bezskutecznie próbował serce spalić.

– Thérage jest pijany – zauważyła sceptycznie England. – Zapewne majaczy i fantazjuje.

– Czyż nie tak właśnie brzmi jeden z naszych ulubionych argumentów, które jako

templariusze powtarzamy ludziom, którzy natknęli się na coś, czego nie potrafią sobie wytłumaczyć? – zapytał zaczepnie Simon, po czym dodał: – Tę scenę także postarajcie się dobrze zapamiętać.

Kolejny obraz.

– Rozpoznajecie już z pewnością Gabriela. Elegancko ubrany, rozmawia z Jeanem, księciem Alençon, który w tekstach źródłowych wymieniany jest jako najlepszy przyjaciel Joanny. Teksty historyczne milczą jednak o tym, że Alençon był adeptem Bractwa Asasynów i szkolił się na pełnoprawnego członka Bractwa. Alençon był także bliskim przyjacielem króla Karola. Dlaczego w takim razie ktoś taki osiem lat po śmierci Joanny miałby przyłączać się do buntu przeciw Karolowi? Dlaczego miałby przystępować do Zakonu Złotego Runa, założonego przez Filipa, księcia Burgundii i zarazem templariusza?

– Cóż, po prostu zmienił front – stwierdził Stearns.

– Zgadza się – przyznał Simon – ale historycy przez stulecia głowili się, co go do tego skłoniło. Teraz już wiemy...

– Templariuszem? – zapytał Gabriel ze zgrozą.

Simon pamiętał, że Alençon wydał mu się okropnie stary i zmęczony życiem. Ale Gabriel też nie wyglądał już na młodzieniaszka.

– Asasyni mogli ocalić Jeanne w dowolnym momencie – odparł z goryczą Alençon. – Postanowili tego nie robić. Naciskałem na Jolantę i de Metza, ale nie raczyli mi nawet wyjaśnić, dlaczego tak postępują.

– Jeanne powiedziała kiedyś, że nie obawia się niczego oprócz zdrady.

Księżę utkwiał w Gabrielu smutne spojrzenie swoich ciemnych oczu.

– Jest jeszcze coś, o czym muszę ci powiedzieć. Trudno będzie ci w to uwierzyć, ale taka jest prawda. Księżę Burgundii nigdy nie pragnął śmierci Jeanne, nie zginęła też z jego rozkazu.

Gabriel zachnął się, poirytowany, a zarazem dotknięty tak niedorzecznym stwierdzeniem. Alençon uniósł uspokajająco dłoń.

– Proszę, stary druhu, wysłuchaj mnie spokojnie. Oczywiście, księżę chciał ją powstrzymać. Nic w tym dziwnego, bo przecież Jeanne zagrażała realizacji planów templariuszy. Nie przewidzieli, że może się pojawić dziewczyna, w której żyłach będzie płynąć taka krew, a co dopiero, że uda się jej zdobyć Miecz Edenu. Do niewoli wziął ją Jan Luxembourg, księżę Ligny i wasal Filipa. Czy przypominasz sobie, jak długo trzymał Jeanne w swoim zamku?

– Całymi miesiącami. I dobrze ją traktował – przyznał niechętnie Gabriel. – Ale potem sprzedał ją Anglikom!

– Templariusze musieli skompromitować Karola – wyjaśnił Alençon. – A Jeanne była symbolem jego rządów. Uznanie jej za heretyczkę nadszarpnęłoby autorytet Karola. Dlatego właśnie templariusze, ci z Burgundii i ci z Anglii, uzgodnili, że oskarżą Jeanne o herezję.

– I wytoczyli jej proces – dodał szyderczym tonem Gabriel. – Ukartowany proces, którego wynik był z góry wiadomy.

– To prawda – przyznał Alençon. – Proces, wyrok, a potem możliwość wyparcia się swych heretyckich poglądów i szansa na powrót do domu po trzech, może czterech latach spędzonych w więzieniu. Taki był plan. Gabrielu... Wszystko, co chcieli i co musieli zrobić templariusze, to zszargać reputację Jeanne. Karol w tym czasie odwracał się już do niej plecami; to samo uczyniłby cały świat. Jeanne mogłaby powrócić do Domrémy. Wyjść za mąż. Założyć rodzinę. Taki był plan.

Nawet teraz, oglądając tę scenę na monitorze, Simon doskonale pamiętał wrażenie,

jakie wywarły na Gabrielu słowa Alençona – jaki zamęt wywołały w jego głowie. Wizja powrotu Jeanne do domu, do bliskich... Myśl o tym, że mogłaby założyć rodzinę... być może właśnie z nim...

Gabriel zachwiał się i zatoczył się na ścianę, a Alençon podtrzymał go, by nie upadł.

– Ja... nie wierzę ci – szepnął cicho Gabriel. Nie chciał uwierzyć, bo gdyby to zrobił, jego ból stałby się jeszcze bardziej nieznośny. To asasyni mieli być tymi, którzy zawiedli Jeanne, a templariusze mieli być tymi, którzy próbowali ocalić jej życie? Cały świat Gabriela stanął nagle na głowie.

– Podczas procesu przeprowadzone zostało kolejne badanie, które miało wykazać, czy Jeanne wciąż jest dziewicą. Okazało się, że tak. Jakim cudem zdołała zachować dziewictwo, skoro cały czas przebywała w celi z mężczyznami, którzy nienawidzili jej z całego serca? Pozostała dziewicą, ponieważ Filip zapowiedział strażnikom, że jeśli któryś z nich ją zgwałci, to zostanie skazany na śmierć!

Gabriel pocierał skronie, próbując ogarnąć to wszystko rozumem.

– Ale co się stało? Co poszło nie tak?

– Biskup Pierre Cauchon i oskarżyciel Jeanne ojciec Jean d'Estivet. Oto, co poszło nie tak! Ci dwaj chcieli wykorzystać jej proces do tego, by wzmocnić swoją pozycję polityczną. Cauchon pragnął zostać arcybiskupem Rouen, a do tego chował do Jeanne osobistą urazę. Z kolei d'Estivet... – Alençon splunął z obrzydzeniem na ziemię. – On po prostu lubi zadawać cierpienie.

Gabriel wciąż jeszcze nie doszedł do siebie, nogi miał jak z waty, lecz Alençon mówił dalej.

– Filip nie dowierzał Cauchonowi i d'Estivetowi i wątpił w czystość ich intencji. Dlatego w połowie maja, na dwa tygodnie przed egzekucją, posłał Luxembourg, by ten odwiedził Jeanne w celi i złożył jej ofertę. Luxembourg miałby wykupić Jeanne z rąk Anglików, pod warunkiem że przysięgłaby już nigdy nie występować zbrojnie przeciwko Burgundii oraz Anglii. Ale Jeanne...

– Pomyślała, że to pułapka.

– Tak. Kiedy Jeanne zgodziła się zrezygnować z noszenia męskiego stroju, Filip liczył na to, że wiszące nad nią niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Ale wtedy... Och, Gabrielu... – Alençon sprawiał wrażenie, jakby lada moment miał się załamać. – Cauchon rozkazał strażnikom zabrać Jeanne jej suknie. Miała do wyboru: przywdziać męskie ubranie... albo żadnego.

– Więc to dlatego powróciła do męskiego przyodziewku – wyszeptał Gabriel. A potem twardym już głosem dodał: – I dlatego nie żyje.

– Jeanne była prostą dziewczyną, która nie rozumiała, co się wokół niej działo. Nie była nawet asasynką. Templariusze dobrze o tym wiedzieli. Jeanne wcale nie miała umrzeć, Gabrielu. Pamiętasz, kim był Jakub de Molay?

– Co takiego? Tak... – Gabriel spojrział zaskoczony na Alençona, nie mając pojęcia, do czego zmierza jego stary przyjaciel.

– De Molay ustalił zasady, których powinni przestrzegać templariusze. – Oczy Alençona zapłonęły żarliwym blaskiem. – Wierzymy, że miecz Jeanne należał kiedyś

do niego. De Molaya spalono na stosie. Ostatnią rzeczą, jakiej mógłby sobie życzyć, było posłanie na stos dziewczyny, która posługiwała się jego mieczem z czystym sercem, tak jak on sam to kiedyś czynił.

– Po co mi to wszystko mówisz? – zapytał Gabriel, z trudem powstrzymując się od łez.

– Bo chcę, byś zrozumiał, że templariusze starali się zapobiec śmierci Jeanne. To nie Zakon ją zabił, tylko dwóch samolubnych ludzi, którzy nie kierowali się dobrem ludzkości, ale jedynie własnym interesem. Zakon uważa, że możesz zechcieć pomóc nam w wymierzeniu im sprawiedliwości.

Gabriel powoli podniósł głowę. Zacisnął usta, a rysy jego twarzy stężały.

Na monitorze pojawiła się kolejna scena. Mężczyzna w podeszłym wieku siedział na krześle, a wokół niego krzątał się sługa. Położył na twarzy starca ciepły ręcznik, a następnie wyjął niewielką brzytwę i mydło, przygotowując się do golenia.

Za plecami sługi poruszył się nagle jakiś cień. Gabriel zarzucił mu ramię na szyję i zaciskał je dopóty, dopóki przerażony sługa nie stracił przytomności. Gabriel po cichu ułożył zwiotczałe ciało na podłodze, po czym wziął ze stołu brzytwę i przyłożył ją do gardła siedzącego na krześle mężczyzny.

– Étienne? – zapytał niepewnie Pierre Cauchon, którego twarz, łącznie z oczami, wciąż zakrywał ręcznik. Jego głos był słaby i piskliwy. Cauchon w niczym nie przypominał już wspaniałego oratora, który zadreślał pytaniami półżywą z głodu i zmęczenia młodą kobietę podczas wielogodzinnych przesłuchań.

– Nie, nie jestem Étienne – odparł Gabriel. – Nie znasz mnie. Jestem tylko Cieniem. Świadkiem tego, co zrobiłeś Jeanne Dziewicy. Twoi panowie cię oszczędzili, ale teraz... teraz uznali, że pora zabić starego kundla.

Simon wiedział, jak bardzo Gabriel pragnął to zrobić. Ale zanim zdążył poderżnąć Cauchonowi gardło, starzec szarpnął się w nagłym paroksyzmie i rozpaczliwie wciągając ustami powietrze, chwycił się za serce. Chwilę później zawisł na krześle – martwy.

– Los pozbawił Gabriela satysfakcji zabicia Cauchona – powiedział Simon. – Ale w przypadku Jeana d’Estiveta miał więcej szczęścia. Zwłoki d’Estiveta znaleziono w kanale ściekowym, przyczyną śmierci była rana na gardle zadana wąskim, długim ostrzem. Ludzie uznali to za akt bożej sprawiedliwości za to, co d’Estivet zrobił Joannie d’Arc.

Simon zrobił pauzę, przygotowując się na odparcie zarzutów i słów krytyki. Ale nic takiego nie nastąpiło. Potoczył wzrokiem po członkach Wewnętrznego Sanktuarium, ale nie potrafił odgadnąć, co w tej chwili myślą. Jak przystało na templariuszy, po mistrzowsku opanowali sztukę zachowywania kamiennej twarzy. Milczenie uznał za zgodę na kontynuowanie wystąpienia.

– Zaczynając, poprosiłem was o zwrócenie uwagi na trzy rzeczy. – Simon nacisnął przycisk na pilocie. Na monitorze zaczęły pojawiać się obrazy ilustrujące kolejne punkty jego wywodu. – Graffiti wykonane przez de Molaya, a przede wszystkim wizerunek słońca i łacińską sentencję. Wisiorek, który nosiła na szyi Joanna. A także sposób, w jaki miecz reagował na Joannę. Dodam do tego jeszcze dwie dalsze rzeczy:

słowa Therage'a, który utrzymywał, że serca Joanny nie miał się ogień, jak również informację o tym, że książe Burgundii Filip po wielokroć podejmował próby ocalenia życia Joanny i był wściekły z powodu zdrady, jakiej dopuścili się wobec Zakonu dwaj sędziowie.

Ponownie nacisnął przycisk pilota. Tym razem na ekranie pojawiła się zwykła fotografia przedstawiająca graffiti de Molaya.

– Przyjrzyjcie się słońcu – poleciał. – Na zdjęciu wyraźnie widać wgłębienie. Coś w nim umieszczono, po czym wgłębienie zamaskowano... z myślą o tym, by ukryty tam przedmiot odnalazła właściwa osoba. Potem skrytka została opróżniona. Myślę, że wiem, co się w niej znajdowało.

Serce Simona zabiło szybciej. Tak wiele zależało od tego, co miało się za chwilę wydarzyć. Powoli sięgnął ręką do kieszeni i wyjął z niej mały przedmiot owinięty w chusteczkę, przedmiot, którego bliskość uspokajała jego myśli. Położył zawiniątko na stole i rozwinął chustkę.

Po sali przeszedł szmer i wszyscy pochyli się do przodu, by lepiej widzieć. Na stole leżała idealnie okrągła kulka wielkości sporego winogrona, pulsująca rytmicznie szkarłatnym blaskiem. Simon zauważył, że kilkoro członków Wewnętrznego Sanktuarium wyraźnie się odprężyło. Świetlisty przedmiot nie miał nad nimi kontroli, ale niewątpliwie wyczuwali jego energię i reagowali na nią.

– Oto obiekt, który nazywam Sercem. To serce miecza. A także owo „serce” Joanny, którego nie były w stanie strawić płomienie. To za jego sprawą miecz był tak skuteczny, kiedy znajdował się w posiadaniu Jakuba de Molaya i Joanny d'Arc, to brak Serca sprawił, że miecz nie przejawiał swych właściwości, kiedy był w posiadaniu Germaina.

Simon opowiedział zebrany historię Serca. Do pewnego momentu było ono integralnym elementem Miecza Edenu. Jakub de Molay obawiał się jednak, że w razie zdrady lub kradzieży mogłoby dojść do utraty dwóch Fragmentów Edenu za jednym zamachem. Dlatego też zaczął przechowywać Serce oddzielnie i łączył je z mieczem tylko wtedy, gdy wyruszał do walki. Jakimś sposobem de Molayowi udało się przeszmugłować Serce do celi w podziemiach baszty Coudray. Wyłobził w murze wgłębienie i schował w nim Serce, a następnie zamaskował skrytkę gipsem, który najwyraźniej także udało mu się jakoś przemycić. Na ścianie wyrył nawet swego rodzaju instrukcję dotyczącą tego, jak należy użyć Serca: „Jeśli serce jest silne, to nie straci mocy”.

– De Molay wierzył, że odpowiednia osoba odnajdzie Serce, które będzie ją do siebie przyzywać – ciągnął dalej Simon. – Taką osobą okazała się ponad sto lat później Joanna d'Arc. Napisaną po łacinie instrukcję de Molaya łatwo można zrozumieć w opaczny sposób: „Jeśli twoje serce jest silne, to (czyli twoje serce) nie straci mocy”. Tymczasem jej prawdziwe znaczenie jest inne: „Jeśli twoje serce jest silne, to (czyli Miecz, do którego należy Serce) nie straci mocy”. Ironia losu polegała w tym przypadku na tym, że Joanna, która odnalazła Serce, była niepiśmienna.

Simon zauważył, że nie udało mu się przełamać nieufności kilku członków Wewnętrznego Sanktuarium: Sternsa, Kilkermana i, jakże by inaczej, Rikkina.

Pozostali jednak wydawali się wyraźnie zaciekawieni.

– Podczas pobytu na zamku Chinon Joanna rezydowała w baszcie Coudray. To właśnie po ich wyjeździe z Chinon Gabriel zauważył, że Joanna zaczęła nosić zawieszony na szyi woreczek. Podejrzewam, że oprócz otrzymanego od rodziców pierścionka znajdowało się w nim także Serce. Z pewnością woreczek zawieszony był na szyi Joanny, gdy po raz pierwszy dotknęła miecza, który do tego momentu pozostawał uśpiony. Aktywowała go dopiero bliskość Serca, będącego dla miecza swego rodzaju źródłem energii. Najprawdopodobniej do aktywacji miecza przyczyniło się także to, że Joanna miała sporo DNA Prekursorów.

– W ten sposób zaczęła się niesamowita, a według niektórych cudowna seria militarnych sukcesów Joanny d’Arc. Wygrywała bitwy dzięki stosowaniu strategii, których, logicznie rzecz biorąc, nie mogła znać, a także dzięki entuzjazmowi i zapałowi swoich żołnierzy. Moc miecza wzrastała nie dzięki podbojom i zadawanemu innym ludziom cierpieniu, ale dzięki wierze w słuszność sprawy, o którą walczyła. „Jeśli serce jest silne, to nie straci mocy”.

Simon otworzył pudło.

Miecz lśnił ciepłym, pięknym światłem, pobudzony bliskością Serca. Ale czegoś jeszcze brakowało. Simon sięgnął ku głowicy miecza, stanowiącej zakończenie rękojeści, i przekręcił ją. Dała się bez trudu zdjąć i Simon zademonstrował przyglądającym mu się w skupieniu templariuszom ukryte zagłębienie – idealnie dopasowane do rozmiarów Serca. Osadził je w zagłębieniu, po czym przykręcił z powrotem ruchomą część głowicy i cofnął ręce.

– Joanna miała Serce zawieszony na szyi, kiedy stanęła na stosie. Jej kat, nie potrafiąc go zniszczyć, wrzucił je do Sekwany. Jak niektórym z was wiadomo, nurkowanie to moje hobby. Pojechałem do Francji i udałem się w miejsce, w którym, jak sądziłem, wrzucono do rzeki prochy Joanny.

– Nie jestem Joanną d’Arc – dodał. Jego głos drżał. A niech tam – pomyślał. Wszyscy stali w obliczu czegoś niezwykłego, większego od nich samych i lada moment mieli stać się świadkami czegoś, czego żaden człowiek nie widział od ponad pięciuset lat. – Nie jestem nawet Gabrielem Laxartem. Ale mam w sobie DNA Prekursorów. I tak jak Gabriel wyczuł obecność miecza, zakopanego sto lat wcześniej za ołtarzem, tak i ja wyczułem obecność Serca, czekającego na dzień Sekwany na swego znalazcę. Zajęło mi to trochę czasu... ale w końcu je odnalazłem.

Minęło wiele stuleci, odkąd Serce po raz ostatni znajdowało się tam, gdzie jest jego miejsce. Tyle samo czasu upłynęło od chwili, gdy miecz po raz ostatni znajdował się w rękach kogoś, kto pojmował jego prawdziwą naturę.

Powiódł wzrokiem po twarzach członków Wewnętrznego Sanktuarium w nadziei na to, że dostrzegą i pojmą to samo co on.

– Jak już mówiłem, nie jestem Joanną d’Arc. Ale po wszystkim, co widziałem i co czułem za pośrednictwem wspomnień Gabriela, a także po wszystkim, czego nauczyłem się o Zakonie, któremu moja rodzina służy wiernie od tylu pokoleń i któremu ja sam, podobnie jak każde z was, poprzysiągłem służyć całym swoim życiem, po tym wszystkim nabrałem wiary, że mam prawo stanąć tu i powiedzieć:

moje serce jest silne i naprawdę żywe.

To powiedziawszy, Simon wyciągnął rękę i zacisnął dłoń na rękojeści miecza, a następnie podniósł go w górę.

Jasne, czyste światło w mgnieniu oka wypełniło całą salę. Opromieniło ich wszystkich – Rikkina, Simona, Redier, England, każdego bez wyjątku – i nagle Simon poczuł, że wszystkie życiowe ciężary opadają z jego ramion. Wszyscy obecni w sali wpatrywali się miecz w niemym zachwycie.

Jego blask nie był aż tak jasny jak wtedy, gdy Simon oglądał go oczami Gabriela Laxarta. Ale też i Simon nie był Joanną.

Niemniej wierzył święcie w to, co reprezentował ten miecz. I Miecz o tym wiedział.

– Oto, czym powinien być Zakon Templariuszy! – zawołał Simon, czując, jak rozpiera go radość i niezachwiana pewność. – Bronią, gdy to konieczne, i inspiracją każdego dnia. Światłem dla ludzkości, gdy ta najbardziej go potrzebuje. Taki cel przyświecał Jakubowi de Molayowi. To dlatego miecz rozkwitał pod ręką Joanny. I dlatego, jeśli uważacie moje słowa za kłamstwo, a moje czyny za herezję, chętnie oddam za nie życie, tak jak uczynili to ci, którzy w przeszłości dzierżyli ten miecz: fałszywie oskarżeni, pełni wiary w to, w co i ja wierzę całym swoim sercem.

Trzymając miecz w wyciągniętej ręce, po kolei spojrzął w oczy każdemu z członków Wewnętrznego Sanktuarium.

– Klinga tego miecza jest ostra, a jego moc została przywrócona. To cudowna i śmiertelnie niebezpieczna broń. Kto z was jest przekonany, że jestem heretykiem, kto sądzi, że jego serce jest silne i bez skazy, niechaj weźmie ten miecz i wymierzy mi nim sprawiedliwość.

Żaden z członków Wewnętrznego Sanktuarium – ośmiorga najwyższych rangą członków Zakonu – nie spróbował sięgnąć po miecz.

– Wnioskuje o oddalenie wszelkich zarzutów przeciwko Simonowi Hathawayowi.

Zdumiony Simon spojrzął na jeden z zawieszonych na ścianie ekranów – nie mógł uwierzyć, że słowa te wypowiedział Otso Berg. Twarz mężczyzny, którego Simon uważał zawsze za zbira, wydawała się teraz niemalże łagodna.

– Popieram wniosek – powiedziała Redier. Jej głos był spokojny i opanowany, chociaż mrugała szybko powiekami. – Simonie, osiągnąłeś wszystkie cele, które sobie postawiłeś. Jeśli zabrałeś samowolnie własność Zakonu, to tylko po to, by ją naprawić. I wiedz, że zgadzam się z tym, co powiedziałeś. Niektóre z naszych metod były w sprzeczności z tym, co reprezentuje miecz de Molaya.

Jednak nie na wszystkich twarzach Simon dostrzegł blask zrozumienia. Rikkin, Stearns, Gramatica i Kilkerman milczeli, ale nie ulegało wątpliwości, że nie poruszyło ich nic z tego, co tu zobaczyli i usłyszeli. W końcu Rikkin drgnął i zabrał głos:

– Dałeś nam wiele do myślenia, Simonie. Ciężko polemizować z sukcesem. Daję ci wolną rękę w kwestii organizacji pracy Działu Badań Historycznych. Możesz też bez żadnych ograniczeń korzystać z Animusa. Ale jeśli nie masz nic przeciwko temu... chciałbym odzyskać mój miecz.

Śmiech, który wzbudziły jego ostatnie słowa, zdjął z obecnych czar rzucony przez miecz. Ale nie do końca. Simon posłusznie, choć niechętnie, odłożył cenny artefakt

do pudełka, po czym zamknął je i podał Rikkinowi.

Nie uszło jego uwadze, że dyrektor generalny Abstergo Industries nigdy nie dotknął miecza Jakuba de Molaya.

Wyczerpany Simon ciężkim krokiem wszedł do swojego mieszkania i rzucił się na sofę. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo wyczerpał go ostatni tydzień? Ostatnie dziesięć dni? Stracił rachubę. Ale wszystko znów wróciło do normy – a może dopiero stało się normalne?

Z jego biura i mieszkania zniknęły urządzenia podsłuchowe. Poole znów witał gości w Temp's, cały rozpromieniony po powrocie z niespodziewanych wakacji w Edynburgu, które wygrał jako „Pracownik Roku Temps”. Ben Clarke, młody Amerykanin, którego Anaya przygotowywała do objęcia jej stanowiska, nie pojawił się już w siedzibie firmy, odkąd Simon zniknął z mieczem. Ze swoich tajemniczych wakacji wrócił nawet portier pracujący w budynku, w którym znajdowało się mieszkanie Simona.

Natychmiast po zakończeniu spotkania Simon zadzwonił do Victorii. Ucieszył się, słysząc, że ani ona, ani Anaya nie zostały przesłuchane podczas jego nieobecności.

– Myślę, że czekali, bo chcieli się dowiedzieć, co się ze mną stało – powiedział Simon. Rozmawiał z Victorią przez swój telefon na kartę. Uznał, że być może warto kultywować niektóre nowe nawyki.

– Też tak myślę – odpowiedziała. – Jednak nie wydarzyło się nic niezwykłego. Jestem z powrotem w Aerie, muszę przyznać, że trochę stęskniłam się za moją pracą, chociaż naszej przygody z Animusem nie zamieniłabym na nic innego.

– Ja również – Simon zawiesił głos. – Naprawdę nie wiem, jak ci dziękować. Chroniłaś mnie przez cały czas, nawet wtedy, kiedy wydawało mi się, że jest zupełnie inaczej. Minęło sporo czasu, odkąd naprawdę się z kimś przyjaźniłem. Ale jeszcze trochę czasu ci zajmę.

Do Victorii dotarło nie tylko to, co Simon powiedział, ale też to, czego nie powiedział.

– Mam taką nadzieję! – odparła. – Być może mógłbyś przyjechać tu do nas i przyjrzeć się naszej pracy. Ci młodzi ludzie są naprawdę niezwykli.

– Nie tak niezwykli jak Joanna i Gabriel – odpowiedział. Uświadomił sobie, że się uśmiecha.

– Nikt nie może równać się z Joanną i Gabrielem – odpowiedziała. – Ale, tak czy inaczej, wpadnij do nas.

– Wpadnę – obiecał i naprawdę zamierzał dotrzymać słowa.

– Och, i jeszcze jedno... Jak, do diaska, udało ci się uciec?

Simon zachichotał.

– Wykonałem Skok Wiary i wylądowałem na markizie Bella Cibo. Potrąca mi to z wypłaty.

Podczas swojego pobytu we Francji pozostawał w kontakcie z Anayą (to ona zdobyła dla niego fałszywe dokumenty, dzięki którym mógł pojechać do Rouen i wrócić, nie napotykając po drodze żadnych przeszkód), wiedział więc, że była bezpieczna. Nie rozmawiał z nią, odkąd wrócił, i było mu z tego powodu trochę wstyd. Wiedział, że chociaż Kapitan Ameryka tajemniczo zniknął, to Anaya wciąż ma zamiar pracować w Abstergo Entertainment – o dziwo, okazało się bowiem, że oferta pracy w Montrealu nie była elementem spisku.

Pomimo zmęczenia Simon był niespokojny. Nie namyślając się długo, wsiadł w samochód i pojechał z powrotem do Abstergo. Tak jak obiecał Rikkin, jego karta dostępu została uaktualniona i zapewniała mu teraz nieograniczony dostęp do Animusa.

Czuł się dziwnie, przebywając w tym miejscu w środku nocy, bez Victorii. Wiedział, że nie powinien korzystać z Animusa bez asysty. Był jednak pewien, że siła jego woli i znajomość technicznych aspektów całego procesu pozwolą mu na bezpieczne zanurzenie się w jeszcze jednej – ostatniej – niemonitorowanej symulacji.

Włączył maszynę, wprowadził odpowiednie wytyczne i sam zapiął się w uprzęż. Przypomnił sobie słowa Victorii: *jeśli bylibyś gotowy zaryzykować poważne obrażenia, mógłbyś nie zapinać ostatniego pasa na plecach i przeprowadzić symulację bez niczyjej pomocy*. Victoria miała rację. Ale przy odrobienie szczęścia może okazać się, że symulacja nie będzie wymagała dużego zaangażowania fizycznego. A jeśli będzie inaczej, cóż, Simon wiedział, jak się zdesynchronizować. Nie będzie to miłe doświadczenie, ale w takiej sytuacji nie pozostanie mu nic innego.

Kolejny już raz otoczyły go pasma mgły. Simon starał się przygotować psychicznie na to, co zobaczy, gdy mgła opadnie.

15 maja 1443 roku

Burey-en-Vaux

Gabriel oparł się o bramę domu swojego ojca i spojrzał w górę na cudowny księżyc w pełni. Wrócił do domu zaraz po swojej rozczarowującej wizycie u martwego już biskupa. Chętnie odebrałby mu życie, ale Bóg – lub też diabeł – zrobił to, zanim Gabriel zdążył poderżnąć Cauchonowi gardło. Potraktował to jako znak i kiedy zobaczył się z Alençonem, było to ich ostatnie spotkanie.

Templariusze proponowali mu, żeby wstąpił w ich szeregi, ale Gabriel uświadomił sobie, że chce już tylko wrócić do swojego ojca, macochy i ich dziecka. Pragnienie zemsty rozgorzało w nim w tym samym momencie co stos Joanny i przygasło, gdy dopalił się tamten plugawy ogień. Jego dusza była chora. Obawiał się, że już nic jej nie uleczy.

Pożegnał Alençoną i postanowił się nie angażować po żadnej ze stron konfliktu pomiędzy asasynami a templariuszami. Wrócił do Burey-en-Vaux zeszłego roku

w Wigilię Bożego Narodzenia; tego dnia trzynaście lat wcześniej Joanna d'Arc przybyła do Rouen. Żył spokojnie otoczony swoją rodziną i rodziną Joanny, ale nie zaznał spokoju duszy ani ukojenia.

Gabriel obudził się o północy. Poczuł przeszywający ból w sercu, kiedy przypomniał sobie, jak wyszedł pewnej letniej nocy na zewnątrz i został zaskoczony przez Joannę. Piętnaście lat temu – pomyślał; teraz był już trzydziestolatkiem. Dwanaście lat temu Joanna spłonęła na stosie. Różni ludzie mówili mu, że z czasem będzie łatwiej, że przywyknie do jej nieobecności. Nie było. Nie przywykł. Jak mógłby?

– Wstałeś na nocne oficjum.

Gabriel zamarł. Słyszał swój charczący oddech. Chociaż mocno zamknął oczy, spod jego powiek wciąż płynęły łzy. Czy ogarnęło go szaleństwo? Czy słyszał właśnie Głosy Joanny? Widział, jak umierała śmiercią najokropniejszą z możliwych. To nie mogła być ona, ale nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Żaden szaleniec nie mógł być szczęśliwszy niż on teraz.

– J-Jeanne? – odwrócił się w kierunku, z którego dobiegał głos, i otworzył oczy.

Księżyc był dla niego łaskawy; przez zasłonę łez zobaczył twarz oświetloną srebrnym blaskiem – twarz, którą tak kochał i którą z całych sił pragnął zobaczyć choć jeszcze jeden raz w życiu. Westchnął, pochylił się do przodu i upadł na kolana. Chwycił rąbek sukni, nie dowierzając, że wełniana tkanina, którą trzyma w ręku, jest prawdziwa.

Objęła go mocno ramionami, a on załkał, wtulając się w jej szyję.

– To ja – powiedziała. – To naprawdę ja.

Milczeli przez długi czas, wciąż trwając w kurczowych objęciach i klęcząc na bruku. Gabriel podniósł w końcu głowę i spojrzał na jej opromienioną światłem księżycy twarz. Chwycił ją za rękę, wciąż bojąc się, że może okazać się senną zjawą. Po chwili Jeanne – *Jeanne, Jeanne!* – opowiedziała mu, co się naprawdę wydarzyło.

W dzień egzekucji Joanna spotkała się bez świadków ze swoim powiernikiem Martinem Ladvenu. Duchowny posłał kogoś po swoją stulę. Chciał zgodnie z rytuałem udzielić jej komunii. Nakłonił ją też, żeby wypła coś gęstego i słodkiego. Obudziła się następnej nocy i zobaczyła przed sobą uśmiechniętą twarz de Metza. Wokół niej byli też inni ludzie, których nie znała. Wszyscy mieli na głowach kaptury, które zasłaniały ich twarze.

– Powiedział mi, że pamięta o złożonej przysiędze wierności. Nie zapomniał o mnie. On i jego przyjaciele uratowali mnie, ale... Oh, Gabrielu... Fleur...

Minęła chwila, zanim Gabriel zrozumiał to, co usłyszał. Kiedy już dotarł do niego sens słów Joanny, wstyd, poczucie winy i przerażenie chwyciły go za gardło i ścisnęły jego żołądek. Był wtedy wściekły na Fleur, przeklinał jej imię. Nazwał ją zdrajczynią i tchórzem. Tymczasem ona okazała się bardziej lojalna od niego – i z całą pewnością odważniejsza.

– Myślałem, że to byłaś ty – wyszeptał, wciąż nie mogąc do końca uwierzyć, że ma przed sobą żywą Joannę. Tę radość już na zawsze przytłumił ból płynący z wiedzy, że jej życie okupione zostało poświęceniem Fleur. Przypomniały mu się słowa

jasnowłosej dziewczyny. Joanna odmieniła jej los i doprowadziła ją do Boga, więc Fleur oddała jej całe życie, które miała przed sobą, żeby podziękować za kilka miesięcy doznanej życzliwości.

– Przecież ja widziałem... – Gabriel nie dokończył zdania. Co właściwie widział? Zobaczył, tak jak inni, to, co spodziewał się zobaczyć. Szczupłą dziewczynę o niebieskich oczach, której zgolono włosy, żeby ją upokorzyć. Dziewczynę, która nosiła mitrę zasłaniającą niemal pół zakrwawionej i opuchniętej twarzy i która, umierając, wzywała Jezusa głosem – teraz to sobie uświadomił – zupełnie niepodobnym do głosu Joanny. Był tylko jeden drobny szczegół, jedna rzecz, z której Fleur nie chciała zrezygnować dla dobra mistyfikacji. Przypomniał sobie woreczek, wiszący na szczupłej szyi stojącej na stosie dziewczyny i wystający trochę spod jej zabrudzonej koszuli.

Zaczął zastanawiać się, czy niektórzy spośród zakutych w pełne zbroje „żołnierzy” nie byli przypadkiem asasynami pilnującymi, żeby nikt z tłumu gapiów nie zobaczył zbyt dobrze fałszywej Joanny. Ukryci na widoku.

– Powiedzieli mi, że nie mogę ujawnić nikomu, że przeżyłam, inaczej śmierć Fleur pójdzie na marne. I tak zrobiłam. Chodziłam od miasta do miasta, pracowałam w tawernach i gospodach. Nie wróciłam do rodziny. Nie ma już Joanny Dziewicy. Ale... kiedy dowiedziałam się, że wróciłeś, musiałam cię zobaczyć. Żeby powiedzieć ci, że nigdy nie poprosiłabym o coś takiego Fleur. Ani ciebie.

– Wiem – odpowiedział. – Nie zrobiłabyś czegoś takiego. To był wybór Fleur.

Wiedział, że te słowa przyniosą Joannie pociechę. O asasynach można było powiedzieć wiele nie tylko dobrych rzeczy. Było bardzo okrutne z ich strony, że poprosili Fleur o coś takiego, ale wiedział, że nigdy nie próbowaliby jej do tego zmusić. Nie zdziwiłoby go, gdyby cały ten plan był pomysłem Fleur.

– Fleur cię kochała – powiedział, trzymając Joannę za ramiona i patrząc jej w oczy.

Słuchała go, wpatrzona w niego szeroko otwartymi, wilgotnymi od łez oczami.

– Nie słyszę już moich Głosów, Gabrielu. Czy moje anioły mnie opuściły? – zapytała po chwili cicho.

Powoli i delikatnie starł kciukiem łzę, która potoczyła się po jej policzku. Joanna nie była już dziewczyną, była kobietą. Patrzył na dojrzałą, bardziej wyostroszoną i mniej niewinną twarz. Ale jej skóra była tak delikatna. Dotarło do niego nagle, że bijący od jej twarzy blask wcale nie jest blaskiem księżycowej pełni.

Joanna spojrzała na niego. Widział w tych błękitnych oczach piękno i dobroć płynące z jej serca. Znów promieniowało z niej światło.

– Nie – wyszeptał Gabriel. – Nie opuściły cię. Uwolniły cię. Bóg, przyjmując ofiarę Fleur, zwrócił ci twoje życie. Możesz teraz zadecydować, co z nim zrobić. Jaka będzie twoja decyzja?

Przypomniały mu się słowa, które wypowiedziała tak dawno temu. *Jakże mogłabym być Jeanne, żoną, skoro przysięgłam być Jeanne, Dziewicą z Lotaryngii, i pozostać nią dopóty, dopóki taka będzie wola boża? Złożyłam tę przysięgę trzy lata temu. Moje ciało, moje serce... moje Głosy potrzebują teraz mnie całej. I jego własna prośba: Pozwól mi więc przynajmniej towarzyszyć ci w twej podróży tak długo, jak będzie to*

możliwe.

Wiedział, że Joanna też przypomniała sobie tamtą noc, ponieważ czuł, jak rumieni się jej policzek. Otaczający ją blask stał się jeszcze mocniejszy, kiedy podniosła dłoń, żeby pogłodzić go po twarzy. Gabriel zadrżał i pochylił się ku jej palcom.

– Gabrielu Laxarcie – wyszeptła Joanna d’Arc; jej twarz jaśniała blaskiem, który niemal oślepił Gabriela – już zawsze będziesz mi towarzyszył w podróży.

*

Dużo, dużo później Simon Hathaway drżącymi rękami ściągnął hełm z głowy. Wciąż nie mogąc opanować drżenia rąk, rozpiął kolejne klamry uprzęży, po czym podszedł do biurka i oparł się o nie, próbując złapać oddech. Był tak wstrząśnięty, że zajęło mu dłuższą chwilę, zanim przypomniał sobie kod potrzebny do wymazania z pamięci Animusa symulacji, której właśnie doświadczył.

Potem wziął do ręki telefon.

– Simon? O co chodzi? Stało się coś złego? – powiedziała Anaya sennym, ale zatroskanym głosem.

– Ja... Anaya, musimy porozmawiać – chciał zachować spokój, jasno wytłumaczyć jej, co czuje, ale słowa po prostu wypływały z jego ust. – Nie jedź jeszcze do Montrealu. Nie wyjeżdżaj, dopóki nie porozmawiamy. Proszę. Tej nocy...

– Simon. – Tym razem to ona zdobyła się na opanowanie. – Co się stało?

– Cud – odpowiedział, śmiejąc się i płacząc jednocześnie. – Opowiem ci. Powiem ci wszystko. Wszystko to, co powinienem był powiedzieć ci już wcześniej. Wszystko to, co wtedy wydawało mi się nieważne, a co jest tak naprawdę najważniejsze w życiu. Wiem, że czasami jest za późno na drugą szansę, ale... Porozmawiajmy. Potem powiesz mi, czy na nią zasługuję.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła długa cisza. Długa jak dwanaście lat. Simon ścisnął telefon tak mocno, aż rozboląła go dłoń.

– Zawsze cię wysłucham, Simonie – głos Anayi był pełen ciepła. – Przyjedź do mnie. Porozmawiamy. Nastawię wodę na herbatę.

Epilog

– Tak jak pan przewidywał, nie zajęło to wiele czasu.

Alan Rikkin uśmiechnął się do siebie i odchylił się na oparcie wygodnego skózanego fotela znajdującego się na pokładzie airbusa A319, który należał do Abstergo.

– Co dla mnie masz?

– Hathaway kilka godzin temu korzystał z Animusa.

A myślałem, że Hathaway to taki nadmiernie ostrożny typ – zadumał się Rikkin.

– Mamy kopię symulacji?

– Nie, proszę pana. Skasował ją za pomocą kodu, który dała mu wcześniej Chodary. Ale mamy dowody na to, że symulacja została przeprowadzona.

Rikkin zerknął na zegarek.

– Nie mam teraz czasu, żeby się tym zająć. Obserwuj go, o odpowiednich rozwiązaniach porozmawiamy po moim powrocie. Myślisz, że ktoś cię podejrzewa?

– Na pewno nie. Clarke doskonale sprawdził się jako mylny trop. Przyciągnął całą ich uwagę. Kiedy zniknął, Chodary była przekonana, że to już koniec hakerskich sztuczek.

– Bądź ostrożny – ostrzegł go Rikkin. – Nie wiem, ile powiedział jej Hathaway, ale może być bardziej wyczulona na podobne działania z twojej strony.

– To prawda. Przyłapałaby mnie, gdyby nie Clarke.

– Powiadomię pozostałych członków Zespołu Omega, że wstrzymujemy na razie akcję. Jednak kiedy wrócę z Madrytu, być może będziemy musieli wdrożyć procedurę Podwójnego W.

Rikkin starał się powstrzymać Simona przed odkryciem prawdy. Robił, co w jego mocy. Z całą pewnością nie ponosił winy za to, do czego będzie musiało teraz dojść. Widok Simona, który wzniosł Miecz Edenu niczym jakiś współczesny król Artur wyciągający ze skały Excalibur, wywarł ogromne wrażenie na członkach Wewnętrznego Sanktuarium. Niektórzy z nich byli gotowi porzucić wypracowaną przez stulecia strategię działania Zakonu na rzecz nieprzystającej do dzisiejszych czasów wizji de Molaya, a właściwie jej wyidealizowanej wersji.

Król Artur umarł jako człowiek pełen goryczy, zdradzony przez żonę, najlepszego przyjaciela i syna. Jakub de Molay został spalony żywcem.

Wyznaczając najlepszą drogę rozwoju Zakonu Templariuszy, należało porzucić idealistyczne mrzonki.

– Podwójne W dla Hathawaya? – Głos w słuchawce przywrócił Rikkina do

rzeczywistości.

– Być może dla nich wszystkich. Być może nawet dla... niektórych postronnych osób. Zobaczmy, jak pójdzie w Madrycie.

– Omega pozostaje gotowa do akcji – odpowiedział Andrew Davies.

W Zakonie Templariuszy jedne tajemnice skrywały kolejne. Zespół Omega był najgłębiej schowanym i najpilniej strzeżonym sekretem. Jego członkowie odpowiadali na wezwanie Alana Rikkina, kiedy trzeba było coś... zakończyć. Teraz czekali na jego rozkaz.

Tymczasem Rikkin leciał do Madrytu, gdzie miał nadzieję otworzyć najwspanialszy rozdział w historii Zakonu.

– Alf i Omegi – powiedział cicho, po czym wybrał numer do Sofii.

Podziękowania

Książki takie jak ta nigdy nie powstają w próżni. Dziękuję mojej wspaniałej i niezawodnej agentce, Lucienne Diver, za nieustanne wsparcie, jakiego mi udziela, i za ogromną pracę, jaką wykonuje.

Miałam też szczęście współpracować z grupą wyjątkowo kreatywnych, inteligentnych i pełnych entuzjazmu osób z firmy Ubisoft. Jestem im głęboko wdzięczna za pomoc, którą od nich otrzymałam na każdym etapie pracy nad tą książką.

Dziękuję Caroline Lamanche i Holly Rawlinson, które pod koniec 2015 roku odezwały się do mnie z propozycją napisania tej powieści. Caroline i Anthony Marcantonio dołożyli wszelkich starań, by ta długa i ekscytująca przygoda znalazła swój szczęśliwy finał.

Aymar Azaizia pomógł mi ogromnie, biorąc udział w sesjach burzy mózgów, podczas których narodziły się postaci Joanny, Simona i Gabriela. Richard Farrese i Anouk Bachman gotowi byli o każdej porze służyć mi swoimi radami, wyjaśnieniami i opiniami, dzięki którym udało mi się połączyć świat Assassin's Creed ze światem początków XV wieku. Wspaniały historyk Maxime Durand rozwiewał moje wątpliwości i dostarczał cennych informacji, bez których nie zdołałabym realistycznie opisać Francji z czasów Joanny d'Arc.

Kevin Stallard cierpliwie odpowiadał na mnóstwo moich pytań odnośnie do Białych Kapeluszy; wszelkie błędy i nieścisłości dotyczące umiejętności Anayi obciążają wyłącznie moje konto.

Specjalne słowa uznania należą się nieżyjącej już historyczce i uczonej Regine Pernoud. W książkach poświęconych Joannie d'Arc często oddawała głos swojej bohaterce; stworzyła dzieła, w których słowa Joanny przeplatają się z niezbędnymi czytelnikowi wyjaśnieniami. Książki Regine Pernoud są niezwykle zajmujące, przystępnie napisane i pouczające. Szczerze polecam je każdemu, kto pragnie dowiedzieć się więcej o Joannie d'Arc.

Na koniec chciałabym podziękować młodej kobiecie, która nie potrzebowała Miecza Edenu, by zadziwić świat. Postać Joanny d'Arc fascynuje, inspiruje i budzi podziw – tak było w roku 1429 i nie inaczej jest dzisiaj, choć od tamtej pory minęło już niemal sześćset lat. *Merci, La Pucelle* – za to, że mogłam osnuć swoją opowieść na kanwie twojej prawdy.

O Autorce

Christie Golden, wielokrotnie nagradzana autorka, której książki ośmiokrotnie gościły na liście bestsellerów „New York Timesa”, ma w swoim dorobku niemal pięćdziesiąt powieści i kilka opowiadań z gatunku fantastyki naukowej, fantasy i horroru. Pośród nich znajdują się tytuły takich głośnych serii, jak *Star Trek*, *World of Warcraft*, *StarCraft* i *Star Wars*.